Nowa gwiazda romansu historycznego

# Sarah MacLean

# Nauczka dla księcia

AMBER

Romans historyczny

SARAH MACLEAN

# *Nauczka dla księcia*

*Przekład*
*Aleksandra Januszewska*

Redakcja stylistyczna
Barbara Nowak

Korekta
Barbara Cywińska
Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Zbigniew Foniok

Tytuł oryginału
No Good Duke Goes Unpunished

Copyright © 2013 by Sarah Trabucchi
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.
All rights reserved

For the Polish edition
Copyright © 2014 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5016-8

Warszawa 2014. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

*Ericowi, mojemu łagodnemu olbrzymowi, za to, że tak o mnie dba*
*Pamięci Helen, lady Lowe*

# *Temple*

***Whitefawn Abbey,***
***Devonshire listopad 1819***

**O**budził się z potwornym bólem głowy i twardym przyrodzeniem.

Nie było w tym nic niezwykłego. Ostatecznie od kilku już lat budził się co rano z jednym z tych problemów, a w niezliczone poranki z obydwoma.

William Harrow, markiz Chapin i dziedzic księstwa Lamont, był bogaty, utytułowany, uprzywilejowany i przystojny – młody człowiek gustujący w dobrym winie i pięknych kobietach.

Tak więc tego ranka nie przejął się tym specjalnie. Wiedząc (jak każdy doświadczony wielbiciel mocnych trunków), że ból głowy do południa przejdzie, zajął się drugą dolegliwością i, nie otwierając oczu, sięgnął ręką po kobietę, która musiała leżeć tuż obok.

Tyle że jej tam nie było.

Zamiast ciepłego, chętnego ciała William trzymał w ręku obojętną poduszkę.

Uniósł powieki. Jaskrawe słoneczne światło poranka w Devonshire poraziło jego zmysły i wzmogło tępe łupanie w głowie.

Zaklął. Zasłonił ramieniem zamknięte szybko oczy i odetchnął głęboko. Słońce rozpalało ognistą czerwień pod powiekami.

Światło dnia to najpewniejszy sposób na zrujnowanie sobie poranka.

Może to i lepiej, że kobieta z poprzedniego wieczoru zniknęła, choć na wspomnienie ślicznych, bujnych piersi, burzy kasztanowych loków i ust stworzonych do grzechu zalała go fala żalu.

Była wspaniała.

A w łóżku…

W łóżku była…

Znieruchomiał.

Nie mógł sobie przypomnieć.

Chyba nie wypił aż tyle. Czyżby? Wysoka, zaokrąglona we właściwych miejscach, tak jak lubił u swoich kobiet, pasująca do niego wzrostem i mocną budową ciała, bo kruchość partnerki zbyt często stanowiła zasadniczą trudność w jego stosunkach z kobietami. Nie było miłe wrażenie, że mógłby swoim ciężarem zgnieść dziewczynę.

Jej uśmiech mówił o niewinności i grzechu jednocześnie. Nie chciała zdradzić mu swojego imienia… nie chciała poznać jego…

Czysta doskonałość.

A jej oczy – nigdy nie widział podobnych, jedno niebieskie jak morze latem, drugie zielonkawe. Długo, zbyt długo, zafascynowany, wpatrywał się w te oczy, wielkie i pełne zachęty.

Przemknęli przez kuchnię i schodami dla służby do jego pokoju, nalała mu szkockiej…

I tyle pamiętał.

Dobry Boże. Musi skończyć z piciem.

Jak tylko minie ten dzień. Dzisiaj musi pić, żeby jakoś przetrwać wesele ojca – dzień, kiedy w jego życiu pojawi się czwarta macocha. Młodsza od pozostałych. Młodsza od niego.

I bardzo, bardzo bogata.

Jeszcze jej nie zdążył poznać, tej idealnej panny młodej. Zobaczy ją na ślubie, jak poprzednie trzy. A potem, kiedy już rodzinna szkatuła się wypełni, wyjedzie. Z powrotem do Oksfordu, spełniwszy obowiązek i wystąpiwszy w roli kochającego syna. Do cudownego, wypełnionego cielesnymi rozkoszami życia, jak przystało dziedzicowi księstwa. Wróci, wolny i beztroski, do pijaństwa, gry w kości, kobiet.

Do życia, które uwielbiał.

Ale dziś, gdy nadejdzie wieczór, okaże szacunek ojcu, powita nową macochę i dla dobra rodzinnej fortuny będzie udawał, że go to wszystko obchodzi. I może, po odegraniu roli dziedzica, znajdzie w ogrodach jakąś miłą, wesołą dziewczynę i zrobi, co będzie mógł, żeby przypomnieć sobie wydarzenia minionej nocy.

Dzięki Bogu za wiejskie majątki i szumne wesela. Nie ma kobiety, która byłaby zdolna oprzeć się erotycznemu urokowi zaślubin, i stąd głębokie upodobanie Williama do ceremonii towarzyszących zawieraniu małżeństwa.

Szczęśliwie się składa, że ojciec też w tym gustuje.

Uśmiechnął się i wyciągnął wygodnie, kładąc ramię na chłodnej pościeli.

Zimnej pościeli.

Zimnej, mokrej pościeli.

Co, do diabła?

Otworzył oczy.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że to nie jego pokój.

Nie jego łóżko.

A czerwony płyn na pościeli, od którego lepiły mu się palce, to nie jego krew.

Zanim zdołał się odezwać, poruszyć czy coś z tego pojąć, drzwi obcej sypialni otworzyły się i stanęła w nich młoda pokojówka o świeżej, wesołej twarzyczce.

W tej chwili dziesiątki myśli mogły mu przemknąć przez głowę… setki myśli. A jednak w ciągu kilku sekund, zanim pokojówka go zauważyła, William myślał tylko o jednym – że zrujnuje nieszczęsnej dziewczynie życie. Nie miał wątpliwości, że już nigdy nie otworzy ona obojętnie drzwi, nie zaścieli łóżka, nie będzie się cieszyć słonecznym zimowym porankiem w Devonshire, nie wspominając tej chwili.

Chwili, której nie był w stanie zmienić.

Milczał, kiedy go zauważyła. Zamarła, zbladła jak ściana, a jej brązowe oczy – zabawne, że zapamiętał kolor – rozszerzyły się, najpierw zdumione, a potem przerażone.

Nie odezwał się też, kiedy otworzyła usta i zaczęła krzyczeć. Zapewne na jej miejscu zachowałby się tak samo.

Dopiero kiedy już wydała z siebie ten przeraźliwy krzyk, który sprowadził służbę, gości weselnych i jego ojca, przemówił, wykorzystując moment ciszy przed burzą, żeby zapytać:

– Gdzie jestem?

Śmiertelnie przerażona pokojówka nie odpowiedziała.

Usiłował się podnieść, wysunął się z pościeli do pasa, ale znieruchomiał, stwierdziwszy, że nigdzie nie ma jego ubrania.

Był nagi. W łóżku, które do niego nie należało.

I umazany krwią.

Znowu napotkał przerażony wzrok pokojówki, kiedy się odezwał. Własny głos brzmiał obco i dosłyszał w nim coś, co rozpoznał jako strach.

– Czyje to łóżko?

Niezwykłe, ale udało jej się odpowiedzieć bez drżenia w głosie.

– Panny Lowe.

Panny Mary Lowe, córki zamożnego finansisty, z posagiem wystarczającym, żeby skusił księcia.

Panny Mary Lowe, już wkrótce księżnej Lamont.

Jego przyszłej macochy.

# 1

***Upadły Anioł, Londyn***
***Dwanaście lat później***

Jest piękno w nagłym zderzeniu ciała z kością.

W chrzęście, z jakim kłykcie lądują na szczęce, w głuchym odgłosie ciosu pięścią w żołądek, w jęku, jaki wydobywa się z piersi mężczyzny na ułamek sekundy przed porażką.

Ci, którzy uwielbiają to piękno, walczą.

Jedni walczą dla przyjemności, dla tej chwili, kiedy przeciwnik pada na podłogę, w obłoku wiórów, bez sił, bez tchu, bez czci.

Inni walczą dla chwały, dla tej chwili, kiedy zwycięzca staje nad ciałem pokonanego przeciwnika, lepki od potu, kurzu i krwi.

Jeszcze inni walczą dla zademonstrowania mocy, widocznej w napięciu ścięgien i mięśni, zaś sińce, którymi pokrywa się ich ciało, są obietnicą zwycięstwa i łupów.

Ale książę Lamont, znany w najmroczniejszych zakamarkach Londynu jako Temple, walczył dla zaznania spokoju.

Walczył, by doczekać się chwili, gdy nie będzie już niczym więcej niż mięśniami i kośćmi, ruchem i siłą, zręcznością i sprytem. Gdy brutalność odetnie go od świata, wyciszy wrzaski tłumu i dręczące wspomnienia. Pozostanie tylko oddech i własna potęga.

Walczył, ponieważ przez ostatnich dwanaście lat tylko na ringu poznawał prawdę o sobie i świecie.

Przemoc była czysta. Wszystko inne – skażone.

Świadomość tego czyniła go najlepszym z najlepszych.

Niepokonany w Londynie – wielu poszłoby o zakład, że w całej Europie – stawał co wieczór na ringu, z ledwie zabliźnionymi ranami, które za chwilę mogły znowu krwawić, z dłońmi owiniętymi długimi pasami płótna. Na ringu mierzył się z kolejnym przeciwnikiem, co wieczór innym. Każdy z jego przeciwników przystępował do walki z nadzieją, że rzuci Temple'a na deski.

Każdy miał nadzieję, że to właśnie on uczyni z ogromnego, masywnego Temple'a bezkształtną kupę mięsa leżącą bez ruchu na deskach w największym, najbardziej strzeżonym pomieszczeniu najbardziej ekskluzywnego londyńskiego kasyna.

Upadły Anioł przyciągał nieodparcie graczy. Co noc gra toczyła się o dziesiątki tysięcy funtów. Gdy zapadał zmierzch, wysokie stawki oraz atmosfera grzechu i zepsucia zwabiały utytułowanych, bogatych i wpływowych mężczyzn do kasyna w Mayfair,

wytwornej dzielnicy Londynu, gdzie, stłoczeni wokół stołów do gry, ujawniali swoją słabość do stuku kości słoniowej, szelestu sukna pokrywającego mahoń, dźwięku ruletki.

A kiedy już stracili wszystko w lśniących od ozdób pokojach na górze, udawali się do podziemia, tam, gdzie znajdował się ring. Do krainy, gdzie królował Temple.

Założyciele Upadłego Anioła dali tym mężczyznom jedyną możliwość odkupienia win. Ci, którzy stracili w kasynie majątek, mogli go odzyskać.

Walcząc z Temple'em.

Pokonując go.

I uzyskując rozgrzeszenie.

To się, rzecz jasna, nigdy nie zdarzyło. Temple walczył od dwunastu lat, najpierw, żeby przeżyć, w ciemnych zaułkach, potem w nędznych klubach, żeby zdobyć pieniądze, władzę i wpływy.

To wszystko, co mu obiecało życie.

Co mu się należało z racji urodzenia.

Wszystko, co stracił pewnej nocy, o której wolał nie pamiętać.

Ta myśl wkradła się nieproszona i Temple zachwiał się na nogach, a wtedy przeciwnik – o połowę mniejszy i niedorównujący mu siłą – wyprowadził udany cios w szczękę, aż Temple'owi zadzwoniły zęby i gwiazdy stanęły przed oczami.

Odskoczył do tyłu pod wpływem nagłego bólu, napotykając triumfalny wzrok anonimowego przeciwnika. Wcale nie anonimowego. Oczywiście, że miał imię i nazwisko. Ale Temple rzadko używał ich nazwisk. Przeciwnicy byli dla niego środkiem do osiągnięcia celu.

Tak jak on dla nich.

Po sekundzie – niecałej – odzyskał równowagę i zamarkował cios z lewej, potem z prawej, wiedząc, że sięga ramieniem o pół stopy dalej niż przeciwnik, wyczuwając ból w jego mięśniach i rozumiejąc, że młodszy, rozwścieczony mężczyzna pada ofiarą zmęczenia i emocji.

Ten akurat grał o wysoką stawkę: czterdzieści tysięcy funtów i majątek w Essex, gospodarstwo w Walii, skąd pochodziły najlepsze konie wyścigowe w całym królestwie, oraz pół tuzina obrazów holenderskiego mistrza, który nic Temple'a nie obchodził. Posag córki. Wykształcenie syna. Wszystko stracone przy stołach na górze. Wszystko rzucone na szalę na ringu.

Widział w oczach tamtego desperację. Nienawiść. Nienawiść do klubu, który okazał się pułapką, do ludzi, którzy ten klub prowadzili, a zwłaszcza do Temple'a, strzegącego łupu wyrwanego z kieszeni przyzwoitego dżentelmena.

Takie myśli odbierały sen tym, którzy przegrali.

Jakby to Upadły Anioł był winien, że luźno zawiązana sakiewka i brak szczęścia w grze okazywały się tak zgubnym w skutkach połączeniem. Jakby to była wina Temple'a.

Ale to właśnie nienawiść ich gubiła. Bezużyteczne uczucie zrodzone ze strachu, nadziei i pragnień. Nie rozumieli tego.

Że ci, którzy walczyli o coś, musieli przegrać.

Pora, żeby zakończyć mękę przeciwnika.

Kakofonia wrzasków wokół ringu sięgnęła zenitu, kiedy Temple zaatakował,

odrzucając słaniającego się na nogach rywala przez pokrytą wiórami podłogę na drugą stronę ringu.

Przedtem bawił się z przeciwnikiem, teraz wymierzał bezlitosne, celne ciosy. Policzek, szczęka, tors.

Mężczyzna zawisł na linach ringu, a Temple nie ustawał w ataku, litując się w duchu nad nieszczęśnikiem, który myślał, że może wygrać. Że zdoła pokonać Temple'a. Pokonać Anioła.

Ostatni cios pozbawił przeciwnika resztek sił. Temple patrzył, jak pada na podłogę u jego stóp przy akompaniamencie ogłuszającego, krwiożerczego krzyku tłumu.

Czekał, dysząc ciężko, żeby tamten się poruszył. Podniósł się do kolejnej rundy. Walczył o kolejną szansę.

Mężczyzna leżał nieruchomo, obejmując głowę rękoma.

Sprytny.

Sprytniejszy niż większość.

Temple spojrzał na sędziego stojącego z boku ringu. Podniósł brodę w milczącym pytaniu.

Sędzia powiódł wzrokiem po leżącym na ziemi mężczyźnie, po czym podniósł gruzłowaty palec i wskazał czerwoną flagę w kącie ringu. Flagę Temple'a.

Tłum zawył.

Temple odwrócił się w stronę ogromnego lustra na jednej ze ścian pokoju. Napotkał własne, ponure spojrzenie, skinął głową, odwrócił się plecami do swojego odbicia i przeszedł między linami.

Przeciskając się przez gromadę mężczyzn, którzy zapłacili duże pieniądze, żeby zobaczyć walkę, nie zwracał uwagi na wyciągnięte ręce, na palce, które dotykały jego pokrytej kroplami potu skóry. Ich właściciele mieli się tym chwalić latami.

Dotknęli zabójcy i przeżyli, żeby o tym opowiadać.

Przez lata ten rytuał budził w nim najpierw gniew, a później dumę.

Teraz go nudził.

Pchnął ciężkie stalowe drzwi, prowadzące do jego prywatnych pokoi, odwijając jednocześnie długie płótno z obolałej dłoni. Nie odwrócił się, gdy zamknęły się z trzaskiem, pewien, że nikt nie odważy się pójść za nim do jego mrocznego, podziemnego sanktuarium. Nikt niezaproszony.

Pokój był ciemny i cichy, hałasy z zewnątrz do niego nie docierały. Temple wiedział z doświadczenia, że goście tłoczą się teraz, żeby odebrać wygrane w zakładach, garstka zajmuje się pokonanym i ktoś wzywa medyka, żeby obandażował mu złamane żebra i opatrzył potłuczenia.

Rzucił płótno na podłogę i sięgnął po lampę, żeby ją zapalić. Światło rozlało się po pokoju, wydobywając z mroku niski dębowy stół ze stosem papierów i ozdobnie rzeźbioną hebanową szkatułką. Zabrał się do odwijania pasów z drugiej pięści, zerkając na niepotrzebne teraz papiery.

Nigdy nie będą potrzebne.

Rzucił pas płótna tam, gdzie leżał pierwszy, i przeszedł przez prawie pusty pokój, chwycił zaczepiony u sufitu rzemień i uwiesił się na nim, rozciągając mięśnie rąk, ramion

i pleców. Rozluźniony, odetchnął głęboko z ulgą i usłyszał ciche pukanie do drugich drzwi w ciemnym końcu pokoju.

– Wejść! – zawołał, nie odwracając się, kiedy drzwi otworzyły się i zamknęły.

– Kolejny padł.

– Zawsze tak się kończy. – Temple dokończył rozciąganie mięśni i odwrócił się do Chase'a, założyciela Upadłego Anioła. Chase przeszedł przez pokój i usiadł na niskim drewnianym krześle blisko Temple'a.

– To była dobra walka.

– Tak? – Ostatnio wszystkie wydawały się jednakowe.

– To niezwykłe, że oni wciąż sobie wyobrażają, że mogą cię pokonać – powiedział Chase, opierając się wygodnie i wyciągając przed siebie długie nogi. – Powinni wreszcie pozbyć się złudzeń.

Temple nalał do szklanki wody z karafki.

– Trudno zrezygnować z możliwości odzyskania pieniędzy. Nawet jeśli to tylko złudzenie.

Jako ktoś, kto nie miał możliwości odzyskać tego, co stracił, Temple wiedział o tym lepiej niż inni.

– Złamałeś Montlake'owi trzy żebra.

Temple napił się łapczywie, strużka wody pociekła mu po brodzie. Otarł twarz wierzchem dłoni.

– Żebra się zrastają.

Chase pokiwał głową, przesuwając się na krześle.

– Wiesz, ten twój spartański styl życia nie jest najwygodniejszy.

Temple odstawił szklankę.

– Nikt nie prosił, żebyś tu siedział. Na górze masz aksamity i poduszki.

Chase uśmiechnął się, strzepując niewidoczny pyłek z nogawki spodni i kładąc na stole, obok leżącego już tam stosu, kartkę papieru. Lista chętnych do walki na ringu na jutro i pojutrze. Niekończąca się lista mężczyzn, którzy chcieli się bić o swoje pieniądze. Temple wydmuchnął powietrze w długim wydechu. Nie chciał myśleć o następnej walce. Jedyne, czego pragnął, to gorąca woda i miękkie łóżko. Pociągnął za sznur od dzwonka i polecił, żeby przygotowano mu kąpiel.

Zerknął na kartkę papieru, leżącą dość blisko, żeby dojrzeć, że figuruje na niej z pół tuzina nazwisk, ale za daleko, żeby je przeczytać. Napotkał wszystkowiedzący wzrok przyjaciela.

– Lowe znowu cię wyzywa.

Powinien się tego spodziewać – Christopher Lowe wyzwał go dwanaście razy w ciągu tyluż dni – a jednak odebrał to jak cios.

– Nie. – Takiej odpowiedzi udzielił już jedenaście razy. – I powinieneś przestać umieszczać jego nazwisko na liście.

– Dlaczego? Czy chłopiec nie powinien mieć szansy, jak inni?

Temple spojrzał Chase'owi w oczy.

– Ty krwiożerczy bękarcie.

Chase parsknął śmiechem.

– Ku rozpaczy mojej rodziny nie jestem bękartem.

– Ale jednak krwiożerczy.

– Po prostu lubię zaciętą walkę. – Chase wzruszył ramionami. – Stracił tysiące.

– Nie obchodziłoby mnie, gdyby nawet stracił klejnoty koronne. Nie będę z nim walczył.

– Temple…

– Gdy zawarliśmy umowę… gdy zgodziłem się wejść do spółki, ustaliliśmy, że walki są moje. Czyż nie?

Chase zawahał się, widząc, do czego zmierza rozmowa.

– Czyż nie? – powtórzył Temple.

– Tak.

– Nie będę walczył z Lowe'em. – Przerwał, po czym dodał: – Nawet nie jest członkiem naszego klubu.

– Jest członkiem u Knighta. Teraz z takimi samymi prawami jak członkowie Anioła.

Klub Knighta był najnowszym nabytkiem właścicieli Upadłego Anioła, pomniejszym klubem, który dbał o przyjemności i zawiadywał długami około czterech setek niezbyt ciekawych osobistości.

– Do diabła… – Temple był wściekły. – Gdyby nie Cross i jego kretyńskie decyzje…

– Miał swoje powody – oświadczył Chase.

– Boże, zbaw nas od zakochanych głupków.

– Proszę, proszę – mruknął Chase. – Ale jednak jesteśmy właścicielami drugiego kasyna, w którym Lowe ma dług. I należy mu się walka, jeśli się tego domaga.

– Jak to się stało, że chłopak przegrał tysiące? – zapytał Temple, niezadowolony, że w jego głosie słychać frustrację. – Wszystko, czego dotknął jego ojciec, zamieniało się w złoto.

Dlatego siostra Lowe'a była tak mile widzianą panną młodą.

Nienawistna myśl. Nienawistne wspomnienia, jakie przywołała.

Chase uniósł lekceważąco ramię.

– Szczęście szybko się odwraca.

Prawda, którą znali z własnego życia.

Temple zaklął.

– Nie będę z nim walczyć. Odpal go.

Ich oczy się spotkały.

– Nie ma dowodów, że ją zabiłeś.

Temple nie odwrócił wzroku.

– Nie ma dowodów, że tego nie zrobiłem.

– Ale ty wiesz, że to nieprawda.

Temple nawet tego nie wiedział.

– Znam ciebie.

Nikt nie znał go naprawdę.

– Cóż, Lowe mnie nie zna. Nie będę się z nim bił. I nie będę wracać do tej rozmowy. Jeśli chcesz dać chłopakowi szansę na ringu, sam z nim walcz.

Czekał, co Chase powie. Spodziewał się kolejnego ataku.

Nie nadszedł.

Założyciel Upadłego Anioła wstał, zabierając listę walk i stos papierów leżących na stole.

– Czy mam to włączyć do ksiąg?

Temple pokręcił przecząco głową, wyciągając rękę.

– Sam to zrobię.

To należało do rytuału.

– Po co w ogóle wyjmować dokumenty? – zapytał Chase.

Temple popatrzył na papiery, gdzie wyraźnym, eleganckim charakterem pisma wyszczególniono długi Montlake'a wobec Anioła: raz sto funtów, drugi raz tysiąc funtów. Dziesięć akrów. Sto akrów. Dom, koń, powóz.

Życie.

Uniósł ramię, zadowolony z ukłucia, jakie poczuł w mięśniu.

– Mógł wygrać.

Jedna z jasnych brwi Chase'a uniosła się do góry.

– Mógł.

Ale tak się nie stało.

Temple odłożył dokumenty na porysowany dębowy stół.

– Wiążą takie nadzieje z walką. Tylko tyle mogę zrobić, żeby uświadomić im wielkość straty.

– Ale i tak wygrywasz.

Prawda. Ale rozumiał, co to znaczy stracić wszystko. Dopuścić do tego, żeby w jednej chwili zmieniło się twoje życie na skutek niewłaściwego wyboru. Na skutek czegoś, co w ogóle nie powinno się stać.

Z pewną, rzecz jasna, różnicą.

Mężczyźni, którzy stawali na ringu, pamiętali wybory, jakich dokonywali. Czyny, jakich się dopuszczali.

Temple nie pamiętał.

To i tak nie miało znaczenia.

Głos dzwonka nad drzwiami obwieścił, że kąpiel gotowa, przywracając go do rzeczywistości.

– Nie powiedziałem, że nie zasłużyli na to, żeby przegrać.

Chase roześmiał się, w pustym pokoju śmiech zabrzmiał głośno.

– Zarozumialec. Pewnego dnia możesz tak łatwo nie wygrać.

Temple wziął ręcznik z doskonałej tureckiej bawełny i zawiesił sobie na szyi.

– Obiecanki cacanki – odparł, kierując się do łazienki obok i zostawiając Chase'a, walkę i rany, jakie zadał. – Cudowne obiecanki cacanki.

Ulice na wschód od Temple Bar ożywały w nocy, wypełniając się najgorszymi londyńskimi szumowinami – złodziejami, prostytutkami, zbirami, których ciemność uwalniała z dziennych kryjówek. W niej rozkwitali.

Mroczne zakamarki były ich domem, niecałe pół mili od wspaniałych rezydencji i najbogatszych mieszkańców, którzy nie zapuszczali się w te rejony, bojąc się poznać

prawdę o mieście, przekonać naocznie, że istnieje coś, o czym nie wiedzą.

A może właśnie wiedzieli.

Temple wiedział.

To miejsce, pełne pijaków i dziwek, służyło idealnie do tego, żeby się rozpłynąć. Stać się niewidocznym.

Oni go, naturalnie, widzieli. Od dawna, odkąd dwanaście lat temu zjawił się tutaj młody, gniewny i przerażony, uzbrojony jedynie we własne pięści, żeby wywalczyć sobie wstęp do tego nowego wspaniałego świata.

Szeptano za jego plecami. Najpierw udawał, że nie słyszy, ale z upływem lat pogodził się z owym mianem i stało się ono nawet zaszczytne.

Zabójca.

Trzymało innych na dystans. Książę Zabójca. W oczach gapiów widział ciekawość – jaki powód miał arystokrata, urodzony na puchowych poduszkach, żeby zabić?

Jakie straszliwe tajemnice ukrywali bogaci i uprzywilejowani pod swoimi jedwabiami, klejnotami i złotem?

Temple dawał nadzieję najciemniejszym typom w Londynie.

Pozwalał wierzyć, że ich brudne, nędzne życie może nie różni się aż tak bardzo od życia tych na górze. Tych nieosiągalnych.

Jeśli Książę Zabójca mógł upaść tak nisko, czytał w ich ukradkowych spojrzeniach, to my możemy się wznieść.

W tej nadziei kryło się niebezpieczeństwo. Skręcił za róg ulicy Long Acre, zostawiając za sobą uliczne światła i dźwięki, i zanurzył się w ciemne zaułki, gdzie spędził większość dorosłego życia.

Instynktownie szedł teraz ciszej, wiedząc, że ostatni odcinek drogi – ostatnich sto jardów przed jego domem – to miejsce, gdzie złoczyńcy, kryjący się w ciemnych kątach na eleganckich ulicach, nabierali odwagi.

Dlatego nie zdziwił się, że ktoś za nim idzie.

To już się zdarzało – desperaci, którzy rzucali się na niego z nożem albo pałką w nadziei, że jeden dobrze wymierzony cios powali go na ziemię i pozwoli obrabować z sakiewki.

Gdyby powalił go na zawsze, niech tam. Tak się żyło na ulicy.

Walczył z nimi już wcześniej. Rozlewał krew i wybijał zęby na bruku Newgate z brutalnością, której nie dopuszczano na ringu w Upadłym Aniele.

Walczył i wygrywał. Dziesiątki razy. Wiele, wiele razy.

A jednak ciągle pojawiał się jakiś nowy, zdesperowany grzesznik, który płaszcz Temple'a z dobrej wełny brał za oznakę słabości.

Zwolnił, skupiając uwagę na krokach z tyłu. Innych niż zwykle. Nie tak ciężkich i nierównych jak u pijaka. Szybkich i pewnych.

Prawie się zrównali, zanim uświadomił sobie, dlaczego te kroki są tak inne.

Powinien to wcześniej zauważyć. Powinien natychmiast odgadnąć, co wyróżnia tego szczególnego napastnika. Co jest w nim niepokojącego. Powinien to rozpoznać chociażby po tym, kim ów człowiek nie był.

Ponieważ przez te wszystkie lata, kiedy przemierzał ciemne ulice miasta, kiedy

zmuszony był walczyć na pięści, przeciwnik nigdy nie był kobietą.

Czekał, aż podejdzie całkiem blisko.

Wahała się. Szedł powoli, leniwie, wiedząc, że w każdej chwili może się odwrócić i wyeliminować zagrożenie.

Rzadko bywał zaskoczony.

Teraz był.

Zbliżyła się na tyle, że słyszał jej oddech, szybki i płytki – bała się. Jak nowicjuszka. Albo ofiara.

Może nią była.

Dzielił ich jard. Stopa. Sześć cali, zanim się odwrócił, chwycił ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie, zaskoczony tym razem, że nie jest uzbrojona.

Nie miała rękawiczek.

Ledwie zdążył to zauważyć, westchnęła, znieruchomiała na ułamek sekundy, po czym zaczęła gwałtownie wyrywać ręce z jego uścisku.

Była wyższa niż większość kobiet i silniejsza, niż się spodziewał. Nie płakała i nie krzyczała, oszczędzając oddech i siły na to, żeby się uwolnić, co dowodziło, że jest sprytniejsza od wielu mężczyzn, z jakimi się potykał na ringu.

Jednak z nim nie mogła się mierzyć. Dlatego nie zwalniał uścisku. Trzymał ją mocno i pewnie, aż się poddała.

Raczej żałował, że tak się stało.

Zrobiła to jednak, uświadomiwszy sobie po dłuższej chwili daremność wysiłków.

– Puść mnie – powiedziała po krótkim wahaniu.

Coś w jej głosie, spokojna pewność siebie, sprawiło, że niemal posłuchał. Niemal ją puścił, niemal pozwolił, żeby rozpłynęła się w ciemności.

Niemal.

Ale od dawna żaden przeciwnik tak go nie zaintrygował.

Przyciągnąwszy ją jeszcze bardziej, przełożył obie ręce dziewczyny do swojej dłoni, drugą zaś przesunął po jej płaszczu w poszukiwaniu broni.

Natrafił na rękojeść noża, ukrytego w podszewce. Wyciągnął go.

– Nie, ani mi w głowie.

– To moje. – Wskazała brodą nóż i zaklęła ze złością, widząc go w jego ręce.

– Nie szukam w nocy utarczek z uzbrojonymi przeciwnikami.

– Nie jestem uzbrojona.

Uniósł brew.

Gniewnie westchnęła.

– To znaczy, jestem, oczywiście. Jest środek nocy i nikt z odrobiną oleju w głowie nie wychodzi na ulicę nieuzbrojony. Ale nie zamierzałam cię atakować.

– I mam ci po prostu uwierzyć na słowo?

– Gdybym chciała cię dźgnąć nożem, już bym to zrobiła – stwierdziła po prostu.

Przeklął ciemność i jej tajemnice. Chciał widzieć twarz dziewczyny.

– Czego chcesz? – zapytał cicho, wsuwając nóż za cholewę. – Zawartości moich kieszeni? Trzeba było znaleźć kogoś mniejszego. – Chociaż nie było mu szczególnie przykro, że padło na niego.

– Chcę ciebie – odparła bez wahania, tak szybko, że musiała mówić prawdę.

Nie posiadał się ze zdumienia.

I nagle obudziła się w nim czujność.

– Nie jesteś panienką lekkich obyczajów.

To nie było pytanie. Nie miał wątpliwości, że nie jest prostytutką. Poznał to po tym, jak zesztywniała na jego słowa, jak usiłowała utrzymać dystans między nimi.

Dotyk mężczyzny sprawiał jej przykrość.

Jego dotyk.

Zdwoiła wysiłki, żeby się wyrwać.

– Czy to wszystko, czego ludzie od ciebie chcą? Twojej sakiewki albo twojego… – Urwała, a Temple o mało nie parsknął śmiechem. Z pewnością nie była prostytutką.

– Te dwie rzeczy zwykle kobietom wystarczają, prawdę mówiąc. – Patrzył na jej ukrytą w mroku twarz, żałując, że nie stoją pod latarnią. Albo pod oknem, z którego padałby choć promień światła. – W porządku, kochana, jeśli nie moja sakiewka ani mój… – zawiesił głos, rozbawiony, że wstrzymała oddech, zaciekawiona – … urok, to co, w takim razie?

Wciągnęła powietrze, wyraźnie ważąc słowa, jakby to, co miała do powiedzenia, mogło zmienić jej świat. Zmienić jego świat. Czekał, prawie nie zauważając, że on też wstrzymał oddech.

– Chcę cię wyzwać.

Puścił ją i odwrócił się, żeby odejść, zirytowany, zasmucony i w dużym stopniu rozczarowany. Nie chciała go jako mężczyzny. Był tylko środkiem do celu. Jak dla wszystkich innych.

Jej trzewiki zastukały na bruku, biegła za nim.

– Poczekaj.

Nawet nie zwolnił.

– Wasza Wysokość… – Tytuł ukłuł w mroku jak żądło. Zabolało. Nic nie osiągnie tymi dobrymi manierami. – Poczekaj. Proszę.

Może sprawił to jej cichy, łagodny głos. Może słowo, które księciu zabójcy nie często zdarzało się słyszeć. W każdym razie zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Nie walczę z kobietami. Nie obchodzi mnie, kim jest twój kochanek. Powiedz mu, żeby zachował się jak mężczyzna i sam do mnie przyszedł.

– Nie wie, że tu jestem.

– Może powinnaś mu powiedzieć. Wtedy może powstrzymałby cię przed tak nierozsądnym krokiem, jak zaczepianie w środku nocy, na ciemnej uliczce, mężczyzny uważanego powszechnie za jednego z najbardziej niebezpiecznych w Brytanii.

– Nie sądzę, żebyś taki był.

Te słowa poruszyły go do głębi. Ich prawdziwość. Przez mgnienie oka zastanawiał się, czy znowu jej nie przytrzymać. Zabrać do siebie.

Od dawna żadna kobieta go tak nie zaintrygowała.

Otrzeźwiał nagle.

– Powinnaś wierzyć w to, co mówią.

– To bzdura. Od samego początku.

Zmrużył oczy.

– Wracaj do domu i znajdź sobie mężczyznę, który zechce cię ratować przed tobą samą.

– Mój brat stracił dużo pieniędzy. – Jej akcent zdradzał osobę wykształconą, wychowaną w dobrej dzielnicy. Nie dbał o to, naturalnie. Ani o nią.

– Nie walczę z kobietami. – Powtórzenie tego sprawiło ulgę. Przypomnienie, że nigdy nie skrzywdził kobiety. Drugiej kobiety. – A twój brat wydaje się sprytniejszy niż większość. Z mężczyznami też nie przegrywam.

– Chciałabym jednak odzyskać pieniądze.

– Chcę wielu rzeczy, których nie mogę mieć – odparował.

– Wiem. Dlatego tu jestem. Żeby ci je dać.

W jej słowach brzmiała siła. Prawda. Milczał, ale czekał z zaciekawieniem, co ona jeszcze powie.

Słowa padły jak cios.

– Proponuję wymianę.

Odwrócił się ponownie.

– A więc jednak jesteś panienką lekkich obyczajów?

Chciał ją obrazić. Bezskutecznie. Zaśmiała się, krótki, gardłowy dźwięk podziałał na jego zmysły silniej, niż miałby ochotę przyznać.

– Nie taki rodzaj wymiany. Nie chcesz mnie ani w połowie tak jak tego, co mam ci do zaoferowania.

Rzucała mu wyzwanie i kusiło go, żeby je przyjąć. Coś w słowach tej niemądrej, odważnej dziewczyny do niego przemawiało. Sprawiało, że się zastanawiał, czy nie przyjąć idiotycznej oferty.

Zrobił krok w jej stronę. Owionął go jej ciepły, przyjemny zapach. Gwałtownie pochwycił ją w ramiona i przycisnął do piersi.

– Wyznaję, że zawsze urzekało mnie połączenie urody i śmiałości – szepnął jej do ucha, zachwycony, że wstrzymała oddech. – Może jednak dojdziemy do porozumienia.

– Moje ciało nie jest przedmiotem handlu.

Szkoda. Jedna noc w łóżku takiej szaleńczo odważnej kobiety na pewno byłaby warta tego, czego chciała, cokolwiek to było.

– A więc dlaczego sądzisz, że mogę być zainteresowany wchodzeniem z tobą w jakieś układy?

Zawahała się. Sekundę. Krócej. Ale zauważył to.

– Bo chcesz tego, co mogę ci dać.

– Jestem bogaty jak Krezus, skarbie. Więc jeśli nie proponujesz mi swojego chętnego towarzystwa w łóżku, to nie masz czegoś, czego sam nie mógłbym zdobyć.

Odwrócił się i zrobił kilka kroków w stronę domu, kiedy zawołała:

– Nawet rozgrzeszenia?!

Zamarł.

Rozgrzeszenie.

Ile razy słyszał to słowo w myślach? Ile razy próbował je na języku, kiedy leżał w ciemności, mając za kompanów tylko swój gniew i poczucie winy?

Rozgrzeszenie. Przeszedł go zimny dreszcz, poczuł budzącą się w nim furię. Błyskawicznie rozpoznał ostrzeżenie.

Była niebezpieczna.

Powinien odejść. A jednak…

Rzucił się ku niej, żeby ją pochwycić, szybki jak na ringu; jedną ręką złapał ją mocno za ramię. Nie przejął się tym, że gwałtownie wciągnęła powietrze, i pociągnął ją w stronę światła lampy przy drzwiach swojego domu.

Podniósł jedną dłoń w rękawiczce do jej twarzy, odwracając ją do światła – gładka cera, zaróżowiona od zimnego powietrza nocy, zaciśnięte w wyrazie zdecydowania i wyzwania szczęki. Oczy, szeroko otwarte, przejrzyste, o szczerym spojrzeniu.

Jej oczy. Jedno niebieskie. Drugie zielone.

Zbyt niezwykłe, żeby się zdarzało często takie widzieć. Zbyt silnie zapadające w pamięć.

Próbowała odsunąć brodę. Chwycił mocniej, uniemożliwiając ruch.

– Kim jest twój brat? – zapytał pełnym napięcia głosem.

Przełknęła ślinę. Poczuł to w dłoni. W całym ciele. Wieczność upłynęła, zanim doczekał się odpowiedzi.

– Christopher Lowe.

To imię parzyło. Puścił ją natychmiast i odsunął się, nagle zlany potem, oszołomiony jak po ciosie.

Rozgrzeszenie.

Pokręcił powoli głową.

– Jesteś… – Usłyszał własny głos. Urwał, a ona zamknęła oczy, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia. Nie. Nie pozwoli na to. – Spójrz na mnie.

Wyprostowała się, odsuwając ramiona do tyłu. Popatrzyła mu w oczy, niezawstydzona. Bez żalu.

– Powiedz to. – To nie była prośba.

– Jestem Mara Lowe.

To niemożliwe.

– Ty nie żyjesz.

Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy, w jej włosach w świetle lampy pojawiły się kasztanowe błyski.

– Żyję.

Wszystko w nim zamarło. Wszystko, co burzyło się od lat. Wszystko, czemu się przeciwstawiał, czego nienawidził i się bał. Wszystko ucichło.

A potem wybuchło ze zdwojoną siłą.

Odwrócił się, żeby otworzyć drzwi mieszkania, potrzebował czegoś, żeby uciec przed własnym gniewem. Żelazny zamek obrócił się, stukając w rytm jego chrapliwego oddechu.

– Wasza Wysokość?

Te słowa sprowadziły go z powrotem na ziemię. Wasza Wysokość. Tytuł, z którym się urodził. O którym przez lata starał się zapomnieć. Znowu jego. Z łaski tej, która go z niego odarła.

Jego Wysokość, książę Lamont.

Otworzył drzwi szeroko i ponownie zwrócił się twarzą do niej. Do kobiety, która zmieniła jego życie. Która je zniszczyła.

– Mara Lowe. – Słowa zabrzmiały chrapliwie, szorstko. Tyle kryły treści.

Skinęła głową.

Chryste.

Zaśmiał się. Nie był w stanie wydobyć z siebie nic więcej. Zmieszana, zmarszczyła brwi. Skłonił się kpiąco.

– Wybacz. Widzisz, nie co dzień się zdarza, żeby zabójca spotykał swoją dawną ofiarę.

Wstrzymała oddech. Dobrze. Dlaczego tylko on miał się czuć dzisiaj tak, jakby ziemia się zatrzęsła pod stopami?

Uniosła brodę.

– Nie zabiłeś mnie.

W cichych słowach była siła i odwaga, którą mógłby podziwiać. Której powinien nienawidzić.

Nie zabił jej. Przejął go gniew. Czuł jednocześnie ulgę i wściekłość. Zaskoczenie. Dziesiątki innych emocji.

Dobry Boże.

Co, do diabła, się wtedy stało?

Odstąpił na bok, wskazując ciemny korytarz.

– Wejdź. – I znowu to nie była prośba.

Zawahała się i przez chwilę myślał, że ucieknie.

Ale nie zrobiła tego.

Odetchnęła głęboko i weszła do domu.

Głupia dziewczyna. Trzeba było uciekać.

Jej spódnica musnęła jego buty, kiedy przechodziła obok. Ten dotyk przypomniał mu, że jest z krwi i ciała.

I żywa.

Żywa i jego.

# 2

Kiedy drzwi zamknęły się ze szczękiem zamków i znalazła się w pogrążonym w mroku domu, Mara pomyślała, że być może popełnia największy błąd w całym swoim życiu, zważywszy, że w dwa tygodnie po swoich szesnastych urodzinach uciekła przed planowanym ślubem z księciem, zostawiając jego syna z fałszywymi oskarżeniami o jej zamordowanie.

Syna, który zapewne zastanawiał się teraz, czy by tych fałszywych oskarżeń nie uczynić prawdziwymi.

Syna, który miał pełne prawo wyładować na niej swoją wściekłość.

Syna, z którym stała teraz w mrocznym, wąskim korytarzu. Sama. W środku nocy. Serce Mary biło gwałtownie; każdą komórką ciała pragnęła uciec.

Ale nie mogła tego zrobić. Brat jej to uniemożliwił. Los się odwrócił. Sprowadziła ją tu rozpacz. Nadeszła pora, żeby się zmierzyć z przeszłością.

Pora, żeby stanąć z tym człowiekiem twarzą w twarz.

Zebrawszy siły, odwróciła się ku niemu, usiłując nie zwracać uwagi na to, że jego ogromne ciało – był wyższy i potężniejszy niż inni mężczyźni, jakich znała – majaczące w ciemności, odcina jej odwrót.

Przesunął się obok niej i wszedł na schody wiodące na górę.

Zawahała się, zerkając na drzwi. Mogła znowu zniknąć. Wygnać ponownie Marę Lowe. Raz już uciekła, mogła to zrobić jeszcze raz.

Mogła uciec.

I stracić wszystko, co miała. Wszystko, czym była. Wszystko, na co tak usilnie pracowała.

Znowu.

– Schwytałbym cię, zanim uszłabyś dziesięć jardów – oznajmił.

Z tym też należało się liczyć.

Podniosła głowę. Patrzył na nią z góry, z twarzą oświetloną po raz pierwszy tego wieczoru. Zmienił się w ciągu tych dwunastu lat – z osiemnastoletniego chłopca stał się trzydziestoletnim mężczyzną. Twarz o delikatnej niegdyś skórze stała się kanciasta i pokryta ciemnym zarostem.

A w jego oczach nie było śladu dawnej wesołości, jak tamtej nocy, całe życie wcześniej. Pozostały czarne jak węgle, ale teraz kryły się w nich niewypowiedziane tajemnice.

Oczywiście, że by ją schwytał, gdyby uciekła. Po to przecież tu przyszła. Żeby zostać schwytaną. Żeby się ujawnić.

Mara Lowe.

Minęło ponad dziesięć lat, odkąd ostatnio wymówiła głośno to imię. Po ucieczce tamtej nocy stała się Margaret MacIntyre. Teraz jednak była znowu Marą, żeby uratować jedyną rzecz, na której jej naprawdę zależało. Która dawała jej cel w życiu.

Nie miała wyboru, musiała stać się znowu Marą.

Ta myśl kazała jej wejść na górę, do pokoju, który był pół biblioteką, pół gabinetem i w którym wszystko świadczyło, że należy do mężczyzny. Temple zapalał po kolei świece i złoty blask padał na duże meble pokryte skórą w ciemnych kolorach.

Przykucnął, żeby rozpalić ogień w kominku, kiedy weszła. To było takie niestosowne – książę rozpalający ogień – że nie mogła powstrzymać się przed zadaniem pytania:

– Nie masz służby?

Wstał, otrzepując ręce o masywne uda.

– Rano przychodzi kobieta, żeby posprzątać.

– Nikt inny?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nikt nie chce spać pod jednym dachem z Księciem Zabójcą. – Nie było w jego słowach gniewu. Ani smutku. Tylko prawda.

Podszedł do kredensu, żeby nalać sobie szkockiej, ale jej nie zaproponował. Nie poprosił też, żeby usiadła, kiedy sam usadowił się w skórzanym fotelu. Pociągnął długi łyk bursztynowego płynu i oparł stopę jednej nogi na kolanie drugiej, trzymając niedbale kieliszek w dłoni i przyglądając się Marze. Czarne oczy patrzyły uważnie. Niczego nie dałoby się ukryć przed jego wzrokiem.

Splotła palce obu dłoni, żeby opanować ich drżenie, i spojrzała mu w oczy. Podjęła grę.

Dwanaście lat z dala od pieniędzy, władzy i arystokracji wykształca w człowieku silną wolę.

Jednakowo silną u obojga.

Obudziło się w niej poczucie winy. Ona wybrała takie życie. Postanowiła wszystko zmienić. On nie. Ciężko zapłacił za jej głupi, dziecinny plan.

Przykro mi.

Tak było. Nigdy nie chciała, żeby ten czarujący młody człowiek – wielki, silny, pełen wdzięku, radośnie uśmiechnięty – stał się przypadkową ofiarą jej ucieczki.

Jednak nie próbowała go uratować.

Stłumiła nieprzyjemne myśli. Za późno na przeprosiny. Nawarzyła piwa, a teraz musi je wypić.

Znowu pociągnął łyk szkockiej. Spuścił powieki, jakby sądził, że nie dostrzegła sposobu, w jaki się w nią wpatruje. Jakby nie czuła jego wzroku na sobie, od czubka głowy po palce stóp.

To była walka. Nie chciał się pierwszy odezwać. Zostawił jej rozpoczęcie rozmowy.

Straceńcza pozycja.

Nie zamierzała z nim przegrać.

Czekała więc, próbując opanować zdenerwowanie. Nie wyskakiwać ze skóry na każdy odgłos trzasku polan w kominku. Nie oszaleć od przytłaczającego ciężaru milczenia.

Ale i on nie zamierzał przegrać.

Zmrużyła oczy, nie odwracając wzroku.

Czekała tak długo, że dłużej już nie mogła tego znieść. Wciągnęła głęboko powietrze i powiedziała prawdę.

– Nie chcę tu być i ty tego nie chcesz.

Na moment skamieniał. Ugryzła się w język, bojąc się odezwać. Bojąc się jeszcze bardziej pogorszyć sytuację.

Zaśmiał się. Słyszała już ten śmiech, kiedy stali na dworze – nie było w nim wesołości, raczej ból.

– Zdumiewające. Aż do tej chwili dopuszczałem możliwość, że ty także padłaś ofiarą ślepego losu.

– Czyż nie wszyscy jesteśmy ofiarami losu?

Ona była. Nie udawała, że nie miała udziału w tym, co się zdarzyło tyle lat temu… ale, gdyby wiedziała, jak to ją zmieni… Kim się stanie…

Nie dokończyła tych kłamstw.

I tak by to zrobiła. Wtedy nie miała wyboru. Tak jak nie miała wyboru dzisiaj wieczorem.

Bywały chwile, które zmieniały życie. I drogi, z których nie dawało się zboczyć.

– Żyjesz i masz się dobrze, panno Lowe.

Ten człowiek był księciem, potężnym i bogatym, który mógłby mieć Londyn u stóp, gdyby tylko zechciał.

Uniosła brodę, słysząc oskarżenie w jego głosie.

– Podobnie jak ty, Wasza Wysokość.

Spochmurniał.

– To rzecz dyskusyjna. – Odchylił się na krześle. – A zatem wygląda na to, że to nie los zwrócił się przeciwko mnie, tylko ty.

Kiedy schwycił ją na ulicy, zanim się dowiedział, po co przyszła i kim jest, jego głos brzmiał ciepło – było w nim coś pociągającego, nawet jeśli miała dość rozumu, żeby się temu oprzeć.

To ciepło zastąpił teraz lodowaty spokój, który jej nie zwiódł. Mogłaby się założyć, że pod tym spokojem przetacza się burza.

– Nie zwróciłam się przeciwko tobie.

Fakt, choć może nie cała prawda.

Wciąż trzymał jej wzrok na uwięzi.

– Widzę, że z ciebie uparta kłamczucha.

Podniosła głowę.

– Nigdy nie skłamałam.

– Nie? Pozwoliłaś, żeby świat uwierzył, że nie żyjesz.

– To świata zmartwienie, nie moje.

– Zniknęłaś i pozwoliłaś, żeby inni wyciągnęli z tego oczywiste wnioski.

Jego wolna ręka – ta, w której nie trzymał z udawaną swobodą kieliszka ze szkocką – zdradzała jego gniew. Zaciskał nerwowo palce. Widziała podobny gest u małych uliczników. Zawsze coś zdradzało ich frustrację. Ich gniew. Ich plany.

Ale to nie był mały ulicznik.

Nie była głupia – przez dwanaście lat nauczyła się, jak się bronić i dbać o własne bezpieczeństwo. Przez chwilę wyrzuty sumienia ustąpiły miejsca strachowi i zastanowiła się, czy by jednak nie uciec – od tego człowieka, miejsca i wyboru, jakiego dokonała.

Wyboru, który uratuje życie, jakie stworzyła dla siebie, i zarazem zniszczy je na dobre.

Wyboru, który zmusi ją do zmierzenia się z przeszłością i złożenia przyszłości w ręce tego człowieka.

Patrzyła, jak poruszają się jego palce.

Nigdy nie chciałam, żebyś doznał krzywdy. Pragnęła to powiedzieć. Ale i tak by jej nie uwierzył. Wiedziała o tym. Nie chodziło teraz o jego zrozumienie czy przebaczenie. Ważyła się jej przyszłość. A klucz do niej znajdował się w jego rękach.

– Zniknęłam, owszem. I nie mogę tego wymazać. Ale teraz jestem tutaj.

– No, w końcu do tego doszliśmy. Dlaczego?

Z tylu powodów.

Oparła się tej myśli. Był jeden powód. Jeden, który się liczył.

– Pieniądze. – Prawda. I fałsz.

Uniósł brwi ze zdumienia.

– Przyznaję, że nie spodziewałem się takiej uczciwości.

Wzruszyła lekko ramieniem.

– Uznałam, że kłamstwa wnoszą zbyt wiele komplikacji.

Odetchnął głęboko.

– Przyszłaś, żeby wstawić się za bratem.

Zignorowała gniew, w jaki ją te słowa wprawiły.

– Tak.

– Tkwi po uszy w długach.

Straciwszy jej pieniądze.

– Słyszałam, że możesz to zmienić.

– „Mogę” nie oznacza, że to zrobię.

Westchnęła i przystąpiła do ataku.

– Wiem, że on nie może cię pokonać. Wiem, że walka z wielkim Temple’em jest z góry przegrana. Zawsze wygrywasz. Przypuszczam, że dlatego nie przyjąłeś żadnego z jego wyzwań. Prawdę mówiąc, to mnie raczej cieszy. Dzięki temu możemy negocjować.

Trudno uwierzyć, że jego ciemne oczy mogły stać się jeszcze ciemniejsze.

– Jesteś z nim w kontakcie.

Znieruchomiała, zrozumiawszy, że niechcący zdradziła za dużo.

Nie dał jej czasu, żeby się nad tym zastanawiała.

– Od jak dawna się porozumiewacie?

Wahała się o sekundę za długo. Wystarczająco długo, żeby zerwał się z krzesła i ruszył na nią. Cofając się w stronę ściany, potknęła się o własną spódnicę.

Wysunął masywne ramię. Poczuła je na plecach jak stalową szynę. Przyciągnął ją do siebie

– Od jak dawna? – Przerwał, ale zanim odpowiedziała, dodał: – Nie musisz mówić. Wiesz, że jesteś winna.

Położyła mu ręce na piersi, twardej jak ściana. Popchnęła. Daremny wysiłek, rzecz jasna. Nie puści jej, póki sam nie zechce.

– Ty i twój głupi braciszek wymyśliliście głupi plan, a ty potem zniknęłaś. – Był tak blisko. Zbyt blisko. – Może nie głupi. Może genialny. Ostatecznie, wszyscy myśleli, że nie żyjesz. Ja też myślałem, że nie żyjesz. – W jego słowach brzmiał gniew i coś jeszcze. Coś, co zapragnęła koniecznie uciszyć.

– Nigdy nie było takiego planu.

Puścił mimo uszu te słowa.

– Ale oto jesteś, dwanaście lat później, kobieta z krwi i ciała. Cała i zdrowa. – Mówił cicho, prawie szeptał jej do ucha. – Może powinienem odpłacić ci za przeszłość. Dorównać własnej reputacji.

Słyszała gniew w jego głosie. Czuła w jego dotyku. Później dziwiła się własnej odwadze.

– Może powinieneś. Ale nie zrobisz tego – oznajmiła, podnosząc głowę.

Puścił ją tak nagle, że zatoczyła się do tyłu. Odwrócił się i przeszedł przez pokój, przypominając jej tygrysa, którego kiedyś widziała w wędrownym cyrku, uwięzionego w klatce, nieszczęśliwego. Przyszło jej do głowy, że w tej chwili wolałaby znaleźć się w pokoju z tamtą dziką bestią zamiast z księciem Lamont.

Całkowicie nieoswojonym.

Gdy w końcu odwrócił się do niej, powiedział:

– Nie byłbym taki pewien. Dwanaście lat z etykietką zabójcy zmienia człowieka.

Pokręciła głową, wytrzymując spojrzenie czarnych oczu.

– Nie jesteś zabójcą.

– Jesteś jedyną osobą, która o tym wiedziała.

Ciche słowa kryły ogrom emocji. Słyszała wściekłość, zaskoczenie, szok, ale to oskarżenie poruszyło ją najbardziej. Niemożliwe, żeby uważał się za jej zabójcę.

Niemożliwe, żeby wierzył plotkom. Domysłom.

Czyżby?

Powinna coś powiedzieć. Ale co? Co rzekoma ofiara może powiedzieć człowiekowi fałszywie oskarżonemu o jej zamordowanie?

– Czy coś to zmieni, jeśli przeproszę?

– Czy masz wyrzuty sumienia?

Nie zmieni. Nigdy.

– Przykro mi, że cierpiałeś z tego powodu.

– Czy żałujesz swoich czynów?

Spojrzała mu w oczy.

– Chcesz prawdy czy banału?

– Nie możesz sobie wyobrazić, czego chcę.

Jednak mogła, niewątpliwie.

– Rozumiem, że jesteś rozgniewany.

Na te słowa ruszył w jej stronę, nadal z kieliszkiem w ręku, zmuszając ją do cofania się w zbyt małym pomieszczeniu.

– Rozumiesz?

Niewłaściwie się wyraziła. Obeszła kanapę, podnosząc ręce, jakby mogła go zatrzymać, i szukała odpowiednich słów.

Nie dał jej na to czasu.

– Rozumiesz, co to znaczy wszystko stracić?

– Tak.

– Rozumiesz, co to znaczy stracić nazwisko?

Owszem, tak. Ale była na tyle rozsądna, żeby nie powiedzieć tego głośno.

– Stracić tytuł, ziemię, życie?

– Ale ty nie straciłeś tego wszystkiego… nadal jesteś księciem. Księciem Lamont. – Powiedziała to, o czym rozmyślała przez lata, usiłując złagodzić poczucie winy. – Ziemia wciąż należy do ciebie. Pieniądze. Potroiłeś majątek księstwa.

Otworzył szeroko oczy.

– Skąd wiesz to wszystko?

– Interesowałam się tym.

– Dlaczego?

– Dlaczego nigdy nie wróciłeś do swoich ziem?

– A co dobrego by z tego wynikło, gdybym wrócił?

– Mógłbyś sobie uświadomić, że nie straciłeś aż tak wiele. – Powiedziała to, zanim zdążyła ugryźć się w język. Zanim do niej dotarło, jak on to przyjmie. Cofnęła się szybko za fotel z wysokim oparciem, zerkając zza niego. – Nie miałam na myśli…

– Oczywiście, że miałaś. – Ruszył w jej stronę, okrążając fotel.

Przesunęła się w przeciwnym kierunku, nadal odgradzając się od Temple'a fotelem. Usiłując poskromić bestię.

– Jesteś rozgniewany.

Pokręcił głową.

– Rozgniewany nie oddaje nawet w przybliżeniu tego, co czuję.

Skinęła głową, wciąż mu się wymykając.

– Dobrze więc. Ogarnięty furią.

Zbliżał się do niej.

– To już lepiej.

– Rozsierdzony?

– To też.

Zerknęła do tyłu, zobaczyła kredens. To był niewielki pokój.

– Rozwścieczony?

– Też.

Poczuła twarde drewno za plecami. Znowu w pułapce.

– Mogę to naprawić – zaczęła, rozpaczliwie usiłując odzyskać panowanie nad sytuacją. – To, co zostało zniszczone… – Przystanął, skupiając na niej całą uwagę. – Jeśli ja żyję, a ty nie jesteś… – zabójcą, pomyślała – …tym, za kogo cię biorą… – Milczał, więc pospiesznie wypełniła ciszę. – Dlatego tu jestem. Ujawnię się. Pokażę socjecie. Udowodnię, że nie jesteś tym, za kogo cię uważają.

Postawił kieliszek na kredensie.

– Zrobisz to.

Odetchnęła, nieświadoma, że wstrzymywała powietrze. Nie był tak nieskory do wybaczenia, jak sobie wyobrażała. Skinęła głową.

– Tak, zrobię. Powiem wszystkim…

– Powiesz prawdę.

Zawahała się, nienawidząc tych słów, bojąc się groźby, jaką niosły. A jednak skinęła głową.

– Powiem prawdę. – To będzie najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłaby, ale zdobędzie się na to.

Nie miała wyboru.

To ją zniszczy, ale może wystarczy, żeby uratować to, co ważne.

Miała jedyną okazję, żeby negocjować z Temple'em. Musi ją w pełni wykorzystać.

– Pod jednym warunkiem – dodała.

Roześmiał się. Głośno, tubalnie. Zmarszczyła brwi. Nie podobał jej się ten dźwięk, a jeszcze bardziej pozbawiony wesołości uśmiech na koniec.

– Chcesz się ze mną targować? – Był na tyle blisko, że mógł jej dotknąć. – Myślisz, że mam ochotę negocjować?

– Raz już znikłam. Mogę to zrobić po raz drugi. – Groźba nie usposobiła go do niej bardziej życzliwie.

– Znajdę cię. – Ton głosu sprawił, że nie wątpiła w to.

Nie poddawała się jednak.

– Może, ale ukrywałam się dwanaście lat i jestem w tym dobra. A nawet jeśli mnie znajdziesz, arystokracja nie uwierzy ci po prostu na słowo, że żyję. Potrzebujesz mnie jako uczestniczki w tej grze.

Zmrużył oczy, mięsień zadrgał mu w szczęce. Gdy się odezwał, słowa padały zimne jak lód.

– Bądź pewna, że nigdy nie będę cię potrzebować.

Zignorowała te słowa. Brnęła dalej.

– Powiem prawdę. Udowodnię, kim jestem. A ty zapomnisz o długach mojego brata.

Zapadła cisza i przez tę krótką chwilę Mara łudziła się nadzieją, że udało jej się go przekonać.

– Nie.

Wpadła w panikę. Nie mógł odmówić. Uniosła brodę.

– Uważam, że to uczciwa wymiana.

– Uczciwa wymiana za zniszczenie mojego życia?

Zirytowała się. Był jednym z najbogatszych ludzi w Londynie. Na Boga, w całej Brytanii. Kobiety rzucały się w jego ramiona, a mężczyźni robili wszystko, żeby zdobyć jego zaufanie. Zachował tytuł, majątek, a teraz miał całe królestwo u swoich stóp. Co on wiedział o zrujnowanym życiu?

– A ilu ludziom ty sam zniszczyłeś życie? – zapytała, wiedząc, że nie powinna, ale nie mogąc się powstrzymać. – Nie jesteś święty, mój panie.

– Cokolwiek zrobiłem… – zaczął, po czym przerwał, ponownie zaskoczony. – Dosyć. Jesteś równie głupia, jak byłaś w wieku szesnastu lat, jeśli sądzisz, że możesz ze mną negocjować warunki naszego porozumienia.

Oczywiście, tak na początku myślała. Ale jedno spojrzenie w zimne, gniewne oczy mężczyzny przekonało ją, jak bardzo się pomyliła.

Ten człowiek nie szukał rozgrzeszenia.

Pragnął zemsty.

A ona była środkiem do tego celu.

– Nie rozumiesz, Maro? – Pochylił się ku niej, szepcząc. – Teraz jesteś moja.

Te słowa ją zaniepokoiły, ale nie chciała mu tego okazać. On nie był zabójcą. Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Nie zabił cię… ale nie masz pojęcia, co robił od tamtej pory.

Bzdura. Nie był zabójcą. Po prostu przemawiał przez niego gniew. Spodziewała się tego, czyż nie? Czy nie przygotowała się na to? Czy nie rozważała różnych możliwości, zanim przywdziała płaszcz i ruszyła na ulicę, żeby go znaleźć?

Była sama przez dwanaście lat. Nauczyła się dbać o siebie. Nauczyła się być silna.

Odsunął się od niej i skierował do jednego z krzeseł przy kominku.

– Możesz usiąść. Nigdzie nie pójdziesz.

Te słowa brzmiały bardzo niepokojąco.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że pojawiłaś się pod moimi drzwiami, panno Lowe. A ja nie mam zamiaru pozwolić ci znowu uciec.

Serce biło jej gwałtownie.

– Mam więc być twoim więźniem?

Nie odpowiedział, ale przypomniała sobie, co powiedział wcześniej. „Teraz jesteś moja”.

Niech to diabli. Popełniła fatalny błąd.

Nie zostawiał jej wyboru.

Nie zwracając uwagi na to, że zapraszał ją gestem dłoni, żeby również usiadła przy kominku, podeszła pospiesznie do karafki na kredensie i napełniła jeden kieliszek, potem drugi, starannie odmierzając płyn.

Odwróciła się do niego. Jedną brew miał oskarżycielsko uniesioną.

– Wolno mi się chyba napić? Czy też zamierzasz i tego mi zabronić?

Zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Zechciej się poczęstować.

Przeszła przez pokój i podała mu drugi kieliszek, mając nadzieję, że nie zauważy, jak drży jej ręka.

– Dziękuję.

Ponownie uniósł ciemną brew.

– Myślisz, że uprzejmością coś u mnie zyskasz?

Usiadła na brzegu krzesła naprzeciwko niego.

– Myślę, że uprzejmość nie zaszkodzi.

Napił się, a ona odetchnęła, wpatrując się w płyn w kieliszku i zastanawiając się, zanim wyznała:

– Nie chciałam tego zrobić.

– Tego nie mogę sobie wyobrazić – stwierdził cierpko. – Wyobrażam sobie, że

cieszyłaś się z dwunastu lat wolności.

Nie to miała na myśli, ale wolała go nie wyprowadzać z błędu.

– A jeśli ci powiem, że nie zawsze się cieszyłam? Że nie zawsze było łatwo?

– Odradzałbym ci mówić takie rzeczy. Obawiam się, że nie jestem dzisiaj zdolny do współczucia.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Jesteś trudnym człowiekiem.

Napił się znowu.

– Symptom dwunastu lat samotności.

– Nie chciałam, żeby stało się tak, jak się stało – oznajmiła, już w trakcie mówienia zdając sobie sprawę, że zdradza więcej, niż powinna. – Nie rozpoznaliśmy ciebie.

Znieruchomiał.

– My?

Nie odpowiedziała.

– My? – Pochylił się ku niej. – Twój brat. Powinienem z nim walczyć, kiedy o to prosił. Zasługuje na baty. On… – zawahał się, wstrzymała oddech – …pomagał ci w ucieczce. Pomógł ci… – podniósł rękę do głowy – …odurzyć mnie czymś.

Otworzył szeroko oczy, zszokowany, uświadamiając sobie, co się stało. Zerwała się z krzesła z bijącym mocno sercem.

Podniósł się także, prostując się na całą wysokość – wysoki na sześć stóp, wyższy i większy niż mężczyźni, jakich znała. Przed laty ten jego ogrom ją fascynował. Intrygował.

Pociągał.

Przerwał jej rozmyślania.

– Odurzyłaś mnie!

Postawiła krzesło między nimi.

– Byliśmy dziećmi – broniła się.

Jaką teraz masz wymówkę?

Nie dał jej wyboru.

Kłamczucha.

– Do wszystkich diabłów! – Kieliszek wypadł mu z dłoni, kiedy rzucił się na nią, chybiając celu. Osunął się na krawędź krzesła. – Zrobiłaś to… znowu…

Przewrócił się na podłogę.

Podać komuś środki odurzające raz – cóż, sprawcę można jeszcze usprawiedliwić, ale dwa razy – to już stanowczo za dużo. Nie była, ostatecznie, potworem.

Chociaż on i tak w to nie uwierzy, kiedy się ocknie.

Stała nad księciem Lamont, powalonym we własnym domu niczym potężny dąb, i zastanawiała się, co robić.

Nie dał jej wyboru.

Może jeśli będzie to sobie uparcie powtarzać, w końcu w to uwierzy. I przestanie czuć się winna.

Groził, że ją uwięzi, jak jakieś niebezpieczne zwierzę.

Które z nich było potworem?

Dobry Boże, ależ był wielki.

I groźny, mimo że nieprzytomny.

I przystojny, chociaż nie miał klasycznych rysów.

Wielki i silny, nawet nieruchomy. Przesunęła po nim wzrokiem, po jego długich rękach i nogach, po ciele w doskonale skrojonym ubraniu, brązowej szyi wystającej z rozpiętego kołnierzyka, mocnej szczęce, dołeczku w brodzie, bliznach.

Rysy jego twarzy, nawet pokrytej bliznami, zdradzały arystokratyczne pochodzenie. Na widok takiej męskiej twarzy kobiety mdlały.

Mara nie mogła ich za to potępiać.

Sama kiedyś o mało nie zemdlała.

Nie o mało, naprawdę.

W młodości często się uśmiechał, odsłaniając równe, białe zęby. Jego swobodne zachowanie obiecywało więcej niż przyjemność. Obiecywało rozkosz. Wysoki wzrost w połączeniu z niewymuszoną swobodą sprawiły, że nie podejrzewała go o przynależność do arystokracji. Mógł być chłopcem stajennym. Lub lokajem. Albo może kimś z drobnej szlachty, zaproszonym przez jej ojca – ojca przyszłej księżnej – na wystawne wesele.

Wzięła go za kogoś, kto nie musi dbać o zachowanie pozorów.

Nie przyszło jej do głowy, że dziedzic jednego z najpotężniejszych księstw w kraju może być tak beztroski. A powinno. Powinna się domyślić, że to arystokrata, kiedy spotkali się w tym pięknym, jesiennym ogrodzie, a on uśmiechnął się do niej, jakby była jedyną kobietą w całej Brytanii, a on jedynym mężczyzną.

Ale się nie domyśliła.

I z pewnością nie przyszło jej do głowy, że to markiz Chapin. Dziedzic księstwa, którego ona ma zostać księżną. Jej przyszły pasierb.

Kiedy patrzyła na niego, rozciągniętego na dywanie, słowo „pasierb” zdało się najmniej odpowiednim określeniem.

Ale nie miała zamiaru o tym myśleć.

Przykucnęła, żeby sprawdzić, czy oddycha. Z ulgą zauważyła, że jego szeroka pierś unosi się i opada rytmicznie. Serce jej waliło, zapewne ze strachu. Ostatecznie, gdyby się obudził, nie byłby zachwycony.

Zaśmiała się na tę myśl.

„Zachwycony” to niewłaściwe słowo.

Byłby bezlitostny.

I nagle, przejęta paniką, zrobiła coś przedtem dla niej niewyobrażalnego. Choć, prawdę mówiąc, mogła to sobie wyobrazić, ale nie zdobyłaby się na odwagę, żeby wprowadzić zamiar w czyn.

Dotknęła go.

Jej ręka wyciągnęła się ku niemu, zanim zdążyła ją zatrzymać. Zanim tak naprawdę zdała sobie sprawę z tego, co robi. Jej palce dotknęły jego twarzy – gładkiej, ciepłej i żywej. Widziała na tej twarzy gniew, gdy był przytomny. I niezmiernie pociągający.

Przesunęła palcami po twarzy Temple’a i natrafiła na gładkie brzegi długiej na cal białej blizny, biegnącej wzdłuż kości pod lewym okiem; potem dotknęła noszącego ślady potyczek bokserskich nosa, niegdyś doskonale foremnego. Gardło jej się ścisnęło na myśl

o walkach, które spowodowały złamania. O bólu, jaki musiał odczuwać.

O życiu, jakie do nich doprowadziło.

O życiu, jakie stało się jego udziałem za jej przyczyną.

– Co się z tobą działo? – szepnęła.

Nie odpowiedział, a jej palce zsunęły się do ostatniej blizny, pod dolną wargą.

Wiedziała, że nie powinna… że nie należy… ale już dotykała palcami cienkiej białej linii, ledwie widocznej, sięgającej wargi. Sunęła opuszkami palców po jego ustach, po wgłębieniach i krzywiznach warg, zachwycona ich miękkością.

Wspominała ich dotyk na swoich wargach.

Pragnęła, by…

Nie.

Odsunęła rękę, jakby się oparzyła, i spojrzała na całe jego ciało. Jedno ramię miał nienaturalnie podgięte. Ofiara laudanum. Leżał w niewygodnej pozycji, więc znów wyciągnęła rękę, by wyprostować mu ramię i położyć przy jego boku. Kiedy jednak jego dłoń znalazła się w jej dłoni, nie mogła nie zauważyć, jak wielka jest ta dłoń. Widziała ciemne włosy porastające jej wierzch, żyły, które przecinały ją jak rzeki równinę, zgrubienia i odciski powstałe w wyniku wieloletnich walk. W wyniku wieloletnich gorzkich doświadczeń.

– Dlaczego to sobie robisz? – Przesunęła kciukiem po kostkach jego dłoni, nie mogąc się powstrzymać.

Wróciło wspomnienie księcia sprzed lat – młodego, czarującego, przystojnego, mającego świat u stóp. Pociągał ją wtedy jak nikt inny.

Nikt i nic, poza wolnością.

Zadrżała w zimnym pokoju. Spojrzała na kominek – ogień, który Temple rozpalił, zgasł, został tylko żar. Wstała i podeszła do kominka, żeby dorzucić kolejne polano. Poruszyła węgle, by rozniecić na nowo ogień. Kiedy złote płomienie ożyły, wróciła i popatrzyła na niego, podparłszy się pod boki. Postanowiła coś mu wyznać, uznawszy, że teraz, gdy nie patrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem, łatwiej jej to przyjdzie.

– Gdybyś mi nie groził, nie znaleźlibyśmy się w tej sytuacji. Gdybyś po prostu przyjął moją propozycję, byłbyś teraz przytomny. A ja nie miałabym takiego poczucia winy.

Nie odpowiedział.

– Tak, oczywiście, nadal ciążyłoby na tobie oskarżenie o moją śmierć.

Ciągle nic.

– Ale przysięgam, że sprawy nie miały się tak potoczyć. Straciłam nad tym panowanie.

Ale wtedy jednak uciekła.

– Gdybyś wiedział, dlaczego to zrobiłam…

Jego pierś unosiła się w równym, spokojnym oddechu.

– Dlaczego wróciłam…

Gdyby wiedział, i tak byłby wściekły. Westchnęła.

– Cóż. No i jest, jak jest. A mnie już męczy uciekanie.

Żadnej odpowiedzi.

– Teraz nie ucieknę.

Wydawało jej się ważne, żeby to powiedzieć. Być może dlatego, że jakaś jej część –

zdrowo myśląca, inteligentna część – chciała uciec. Zostawić go na tej zimnej, twardej podłodze i uciec, jak przed laty.

Ale inna część – nie tak rozsądna i nie tak inteligentna – mówiła, że czas odbyć karę.

I że gdyby dobrze zagrała swoimi kartami, dostałaby to, czego chciała.

– Przyjąwszy, że byś się układał.

Spojrzała na kredens, gdzie leżała dzisiejsza gazeta, jeszcze nieprzeczytana. Ciekawa była, czy jest jednym z tych, którzy codziennie czytają gazety. Czy obchodzi go, co się dzieje na świecie.

Znowu poczuła się winna, ale zmusiła się, żeby o tym nie myśleć.

Przedarła stronę gazety na pół, a potem przeszukała szuflady, aż znalazła to, czego szukała – kałamarz z atramentem i pióro. Napisała kilka słów, pomachała kartką z mokrym atramentem i na powrót podeszła do niego. Wciąż leżał nieruchomo, jak martwy.

Wyciągnęła szpilkę z włosów i ukucnęła.

– Tym razem bez krwi – szepnęła. – Mam nadzieję, że to zauważysz.

Spał.

Przypięła mu kartkę do koszuli na piersi, wyjęła swój nóż zza cholewy jego buta, i odwróciła się, żeby wyjść.

Ale daleko nie zaszła.

Przy drzwiach znowu spojrzała w jego stronę i uświadomiła sobie, że w pokoju panuje chłód. Nie mogła go tak zostawić. Zamarzłby na śmierć. Na krześle w rogu pokoju leżał czarno-zielony tartan. Chociaż tyle mogła dla niego zrobić.

Ostatecznie to ona podała mu środki odurzające.

Przeszła przez pokój i chwyciła koc, zanim zdążyła zmienić zdanie.

Okryła go starannie, podwijając koc pod ciało i starając się nie zwracać uwagi na ogrom tego ciała. Na promieniujące z niego ciepło, na kuszący zapach goździków i tymianku. Usiłowała zapomnieć, jakim był kiedyś. I jaki jest teraz.

Bez powodzenia.

– Wybacz – szepnęła.

I wyszła

# 3

Śnił o sali balowej w Whitefawn Abbey, oświetlonej tysiącem świec, spowitej wielobarwną mgiełką lśniących atłasów i jedwabi.

Promienne światło w sali kłóciło się z ciemnością za ogromnymi oknami wychodzącymi na rozległe ogrody posiadłości w Devonshire – wiejskiej siedziby księcia Lamont.

Jego siedziby.

Zszedł po szerokich schodach na parkiet sali balowej, gdzie goście wirowali w rytm muzyki, dobiegającej zza ściany zieleni odgradzającej orkiestrę w dalekim końcu sali. Ogarnęło go gorąco dziesiątków ciał, kiedy przedzierał się przez tłum, wśród śmiechu i westchnień, rąk, które go dotykały, próbowały schwycić. Szerokie uśmiechy i niezrozumiałe słowa zapraszały go w głąb ludzkiej masy – serdecznie witały.

Dom.

Trzymał w dłoni kieliszek. Podniósł go do ust, chłodny szampan ugasił pragnienie, którego przedtem nie odczuwał, a które teraz okazało się nie do zniesienia. Opuścił kieliszek i pozwolił mu upaść na parkiet, gdy piękna kobieta wsunęła się w jego ramiona.

– Wasza Wysokość.

Arystokratyczny tytuł, jakim go obdarzyła, sprawił ogromną przyjemność.

Tańczyli.

Przywołał tkwiące gdzieś głęboko w pamięci taneczne kroki, umiejętność, którą zdążył dawno zapomnieć.

Kobieta w jego ramionach była ciepła, wystarczająco wysoka i wystarczająco zaokrąglona, żeby mógł ją silnie objąć swoimi długimi ramionami.

Muzyka grała, a oni wciąż tańczyli, wirując na parkiecie, aż wreszcie morze twarzy zaczęło rozpływać się i niknąć w mroku, ściany sali balowej zaś coraz bardziej się oddalały. Nagle poczuł, że coś spadło na jego przedramię. Spojrzał i na nieskazitelnie czarnej wełnie rękawa ujrzał białą plamę wielkości sześciopensówki.

Wosk, który skapnął z żyrandola pod sufitem.

Na jego oczach wosk stopniał i spłynął z rękawa jak płynny miód. Dłoń kobiety w jego ramionach sunęła ku tej plamie – długie, delikatne palce głaskały materiał, a ten dotyk wzniecał w nim ogień. Palce oblepił wosk, zanim zbliżyła dłoń do jego twarzy.

Miała piękne dłonie.

Piękną skórę.

Sunął wzrokiem wzdłuż jej długiej ręki, od nadgarstka po ramię i dalej, odnotowując doskonałe szczegóły – krzywiznę i zagłębienia obojczyka, długą, kształtną szyję,

szerokie, ponętne usta, prosty, dumny nos i oczy, jakich przedtem u nikogo nie widział. Jedno niebieskie, drugie zielone.

Jej usta wygięły się, wymawiając słowa, których pragnął i bał się tak długo.

– Wasza Wysokość.

Poznał ją.

Mara Lowe.

Obudził się w błękitnej mgle wstającego świtu, na podłodze swojej biblioteki. Zerwał się na nogi, klnąc wściekle.

Czarno-zielony tartan upadł na podłogę u jego stóp. Nie przyniosło mu pociechy, że przykryła go kocem, odurzywszy przedtem w środku nocy. Wyobraził sobie, jak nad nim stoi, kiedy jest całkowicie bezradny i bezbronny, i miał ochotę wyć z wściekłości.

Odurzyła go i zostawiła.

Znowu.

Zaraz po tej myśli pojawiła się następna.

Dobry Boże. Ona żyje.

Nie zabił jej.

Ogromna ulga walczyła w nim z frustracją i gniewem.

Nie jest zabójcą.

Przesunął ręką po twarzy, żeby się uspokoić, po czym stwierdził, że nie zostawiła go tak po prostu.

Na kawałku wczorajszej gazety znalazł wiadomość. Gazetę przypięła do jego piersi szpilką, jakby był paczką, którą należało dostarczyć pod określony adres.

Odczepił kartkę, wiedząc, że nic, co chciała mu przekazać, nie uśmierzy jego gniewu.

*Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale nie dam się zastraszyć ani nie ulegnę przemocy.*

Oparł się chęci, żeby zmiąć kartkę i wrzucić ją w ogień. Myślała, że to ona jest ofiarą przemocy? Podczas gdy to on leżał na podłodze we własnym mieszkaniu?

*Proponuję wymianę i nic innego.*
*Kiedy będziesz w nastroju do negocjacji, zapraszam cię do rozmowy na równej stopie.*

To niemożliwe. Nie był na tyle szalony, żeby uznać ją za równą sobie.

*Znajdziesz mnie na Cursitor Street numer 9.*

Zostawiła adres. To błąd. Powinna uciekać. I tak by ją złapał, poświęciłby na to resztę życia, jeśliby znów uciekła.

Zasługiwał, ostatecznie, na zadośćuczynienie. I dostanie je od niej.

Kim była ta głupia, dzielna kobieta?

Mara Lowe. Żywa. Odnaleziona.

Silna jak stal.

Z tą myślą sięgnął za cholewę, wiedząc z góry, czego się spodziewać.

Harpia ukradła swój nóż.

W ciągu godziny umył się i wyruszył na Cursitor Street numer 9, niepewny, co go tam czeka. Możliwe, że ta kobieta jednak uciekła, a im bardziej zagłębiał się w ulice dzielnicy Holborn, niecieszącej się dobrą opinią, tym częściej przychodziło mu do głowy, że skierowała go do jakichś swoich zbirów, żeby dokończyli zaczętą przez nią poprzedniego wieczoru robotę, sama zaś się ulotniła.

Otoczenie nie było przyjemne, nawet o siódmej rano. Pijacy gnieździli się na progach podejrzanych tawern, wśród walających się po ziemi butelek. Naprzeciwko niego, na ulicy, pojawiła się wyniszczona prostytutka o przekrwionych oczach.

Ich spojrzenia się spotkały; rozpoznał ten nieobecny wzrok.

– Co taki fajny gość, jak ty, tutaj robi?

Gonię za duchami.

Jak ostatni głupiec.

Prostytutka zaczęła go obmacywać. Złapał ją za rękę, kiedy grzebała w jego kieszeniach w poszukiwaniu sakiewki.

– Dziś nie masz szczęścia, kochana – powiedział, wyciągając jej pustą rękę.

Oparła się bezwstydnie o niego. Wzdrygnął się, czując jej kwaśny oddech.

– A może ubijemy interesik? Nigdy nie miałam takiego wielkiego, jak ty.

– Dzięki – odparł, odstawiając ją na bok. – Obawiam się, że mam spotkanie.

Uśmiechnęła się szeroko, ukazując szczerbate zęby.

– Powiedz mi, skarbie. Wszędzie jesteś taki wielki?

Inny mężczyzna zignorowałby pytanie, ale Temple spędził dużo czasu na ulicach i czuł się swobodnie z prostytutkami. Przez lata to były jedyne kobiety, które miały ochotę dotrzymywać mu towarzystwa. Na szczęście nigdy nie musiał zadowalać się takimi… cóż, mocno zużytymi.

Los potraktował tę kobietę po macoszemu. Temple rozumiał to lepiej niż wielu innych. Nie zasługiwała, żeby z niej drwić za to, że radziła sobie, jak umiała.

Mrugnął do niej.

– Żadna się nie skarżyła.

Zachichotała.

– Kiedy zechcesz, kochasiu. Nie pożałujesz.

Uchylił kapelusza.

– Zapamiętam. – Ruszył dalej Cursitor Street, licząc drzwi, aż znalazł się pod numerem 9.

Budynek nie pasował do otoczenia – wyróżniał się czystością, w oknach były skrzynki z kwiatami o jaskrawych barwach. Kiedy stał tak na dworze, wpatrując się w bruk, wiedział, że znalazł właściwy dom. I że nie uciekła.

Ale dlaczego mieszkała właśnie tutaj, na brudnej ulicy w Holborn?

Podniósł kołatkę i zastukał głośno.

– Widzę, że nie będę pierwsza, żeby spróbować, co tam masz dobrego. – Odwrócił się w stronę ulicy. Prostytutka wciąż mu się przyglądała. Podeszła bliżej, w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Znam cię.

Spojrzał przez ramię.

– Ty jesteś Książę Zabójca.

Znowu odwrócił się do drzwi, pełen frustracji. Nigdy go nie opuszczała. Przepajał go zimny gniew i coś jeszcze gorszego. Coś dużo bardziej niszczącego. Bezbrzeżny smutek.

– Nie dbam o to, kochasiu. Taka dziewczyna jak ja nie może wybrzydzać.

Ale usłyszał zmianę w jej głosie. Inny ton. Ostrożność i rodzaj poufałości, jak wobec równego sobie. Ostatecznie oboje żyli w mroku.

Nie zwracał na nią uwagi, ale ona mówiła dalej:

– Masz chłopaka dla MacIntyre?

Zerknął na drzwi, potem znowu na kobietę.

– Chłopaka?

Uniosła brew.

– No wiesz, nie jesteś pierwszy. Ani ostatni. Tak to jest. Tak robią mężczyźni. Dziewczyny powinny być ostrożne w dzisiejszych czasach. Zwłaszcza z takimi jak ty.

Kobieta najwyraźniej nie znała Mary Lowe.

Drzwi otworzyły się, ucinając przemowę prostytutki, i ukazała się w nich młoda dama o twarzy anioła. Nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat. Patrzyła na niego wielkimi, zdziwionymi oczami.

Skłonił się lekko.

– Dzień dobry. Szukam Mary.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Ma pan na myśli panią MacIntyre?

Powinien wiedzieć, że jej tu nie będzie. Że go okłamała. Czy ta kobieta chociaż raz w życiu powiedziała prawdę?

– Ja nie…

Nie mógł jednak dokończyć zdania, bo w tym akurat momencie w domu rozpętało się piekło.

Z pokoju poza zasięgiem jego wzroku dobiegły wrzaski i z pół tuzina małych postaci wpadło do holu, ściganych przez garstkę nieco większych podrostków, z których jeden wywijał… Czy to była noga od stołu?

Troje spośród mniejszych stworzeń chyba wyczuwało zbliżającą się klęskę i zrobiło to, co każda inteligentna istota zrobiłaby w tej sytuacji – podbiegło do drzwi wyjściowych. Malcy popełnili jednak błąd taktyczny, nie biorąc pod uwagę obecności Temple’a ani młodej kobiety, i zamiast wyskoczyć na ulicę, wpadli w jej szerokie spódnice, niczym muchy w pajęczą sieć.

Trio wydało wrzask przerażenia. Panna przy drzwiach krzyknęła, jak uznał Temple, również przerażona, i nie bez powodu. A wymachujące nogą od stołu stworzenie wydało zwycięski ryk, wskakując na mały stolik przy wejściu i, wzniósłszy broń nad głową, rzuciło się do walki.

Przez krótką chwilę Temple podziwiał odwagę dzieciaka i jego bojową postawę.

Dziewczyna przy drzwiach nie miała szans. Padła na ziemię jak ścięta topola, a chłopcy wypadli z batystowej pułapki, turlając się po podłodze, kopiąc, wrzeszcząc i

okładając pięściami. Kiedy z kłębowiska ciał zaczęły się wydobywać rozpaczliwe piski, Temple zdał sobie sprawę, że nie może z czystym sumieniem po prostu się stamtąd zabrać i pozwolić, żeby to szaleństwo trwało.

Gdyby bachory uciekły, siałyby zniszczenie w całym Londynie.

Był jedynym, który mógł je powstrzymać. To było oczywiste.

Nie pytając o pozwolenie, przekroczył próg i wszedł do domu, zamykając z hukiem drzwi i pomagając pokojówce wstać. Kiedy tylko upewnił się, że dziewczyna może nadal władać rękami i nogami, zajął się sprawą, która wymagała natychmiastowej interwencji – przewalającą się po podłodze plątaniną ciał.

I zrobił to, co wychodziło mu najlepiej.

Włączył się do bójki.

Powyciągał chłopców po jednym z kłębowiska i postawił na nogach. Każdemu odebrał drewniany miecz, woreczki z kamieniami i inną prowizoryczną broń, zanim go uwolnił ze stanowczym poleceniem: „dosyć” i wziął się do następnego.

Podniósł ostatnich dwóch chłopców – tego z nogą od stołu i drugiego, małego – wysoko nad podłogą i wtedy zobaczył to coś: małe, różowe i nieruchome.

Pochylił się, wciąż trzymając obu malców.

– Aj… – jęknął chłopiec z nogą od stołu. Wydawało się, że nie ma nic przeciwko temu, iż jego nogi dyndają trzy stopy nad ziemią. – Ucieknie.

Czy to była…

Świnka ożyła z rozdzierającym uszy kwikiem i pognała do sąsiedniego pokoju. Przerażony Temple odskoczył gwałtownie.

– Jezu Chryste!

I po raz pierwszy, odkąd zapukał do drzwi pod numerem 9 na Cursitor Street, zapadła cisza.

Odwrócił się do pozostałych chłopców. Przyglądali mu się szeroko otwartymi oczami.

– Co to jest?

Żaden nie odpowiedział, tylko wszyscy spojrzeli na swojego przywódcę, który wciąż dzierżył oręż, ale, na szczęście, nie wydawał się skory do jej użycia.

– Wezwałeś imię Pańskie nadaremno – stwierdził tenże tonem oskarżenia, ale nie bez nutki podziwu.

– Wasze prosię mnie przestraszyło.

Chłopiec pokręcił głową.

– Pani MacIntyre nie lubi, kiedy się bluźni.

Temple skłaniał się do opinii, że pani MacIntyre powinna mniej zajmować się językiem chłopców, a więcej ich życiem, ale powstrzymał się przed powiedzeniem tego głośno.

– Cóż, zatem nie mówmy jej o tym.

– Za późno – zauważył mniejszy chłopiec, wskazując na coś za plecami Temple’a.

– Obawiam się, że słyszałam.

Odwrócił się w stronę cichego, kobiecego głosu. Znajomego głosu.

Postawił obu chłopców na ziemi.

Nie uciekła.

– Pani MacIntyre, jak się domyślam?

Mara nie odpowiedziała mu, zamiast tego zwróciła się do chłopców:

– Co mówiłam na temat ganiania za Lavender?

– Nie ganialiśmy jej! – krzyknęli wszyscy chórem.

– Była naszym łupem! – oznajmił któryś.

– Wykradli ją z naszego skarbca! – zawołał przywódca, patrząc na Marę. – Ratowaliśmy ją.

Temple zmarszczył brwi.

– Świnia nazywa się Lavender?

Nie patrzyła na niego; przyglądała się chłopcom po kolei z wyrazem twarzy, który wydał mu się znajomy – z miną, jaką milion razy przybierały jego guwernantki z dzieciństwa. Wyrażającą rozczarowanie.

– Danielu! Co mówiłam? – zapytała, patrząc na prowodyra rozbrykanej przed chwilą bandy. – Jaka jest reguła?

– Lavender nie jest łupem.

Przesunęła wzrok na chłopca stojącego z drugiej strony Temple'a.

– Co jeszcze? Matthew?

– Nie ganiamy za Lavender.

– Właśnie. Nawet jeśli…? George?

George przestąpił z nogi na nogę.

– Nawet jeśli ona zaczyna.

Mara skinęła głową.

– Dobrze. Teraz, kiedy przypomnieliśmy sobie nasze reguły dotyczące Lavender, doprowadźcie się do porządku i odłóżcie broń. Pora na śniadanie.

Chłopcy zawahali się wyraźnie; z tuzin twarzyczek zwróciło się w kierunku Temple'a. Przyglądali mu się, jawnie go szacując.

– Panowie – odezwała się Mara, ponownie skupiając ich uwagę. – Sądzę, że mówiłam po angielsku, nieprawdaż?

Daniel wysunął się naprzód, ostrą bródką wskazując Temple'a.

– Kto to taki?

– Nikt, kim musiałbyś się przejmować – odparła Mara.

Chłopcy przyjęli to oświadczenie ze sceptycyzmem. Bystrzy chłopcy.

Matthew przechylił głowę, patrząc na Temple'a.

– Jest ogromny.

– I silny – zauważył inny.

Daniel skinął głową, a Temple zauważył, że wzrok chłopca przesuwa się po bliźnie na jego policzku.

– Czy przyszedł nas zabrać? Do pracy?

Lata doświadczeń pozwoliły Temple'owi ukryć zaskoczenie ułamek sekundy wcześniej, nim doznał olśnienia. Ten dom był sierocińcem. Powinien to wcześniej zauważyć, ale sierociniec kojarzył mu się z długą kolejką wynędzniałych chłopców, czekających na porcję szarej, parującej zupy. Nie kojarzył się z bandą wrzeszczących, goniących świnkę wojowników.

– Oczywiście, że nie. Nikt was nie zabierze.

– No, więc kim on jest? – nie ustępował Daniel.

Temple uniósł brew, ciekaw, jak na to odpowie. Nie spodziewał się, żeby powiedziała prawdę.

Spojrzała Temple'owi w oczy, dumna i niezmieszana.

– Przyszedł, żeby się domagać zadośćuczynienia.

Tuzin małych ust rozdziawiło się ze zdziwienia. Temple oparł się nagłej chęci uczynienia tego samego.

Znowu przemówił Daniel.

– Zadośćuczynienia za co?

– Za moje kłamstwo.

Chryste. Była nieustraszona.

– Kłamać to grzech – stwierdził mały George.

Mara uśmiechnęła się leciutko, tajemniczo.

– W istocie. Jeśli będziecie kłamać, ludzie tacy jak ten przyjdą, żeby was ukarać.

I znowu zrobiła z niego czarny charakter. Temple skrzywił się, kiedy tuzin par okrągłych, szeroko otwartych oczu zwróciło się na niego.

– No więc, widzicie, chłopcy… – odezwał się. – Mam sprawę do pani MacIntyre.

– Nie chciała skłamać – wystąpił w jej obronie George.

Temple był absolutnie przekonany, że pani MacIntyre chciała skłamać, ale kiedy spojrzał na chłopca, powiedział tylko:

– Jednak skłamała.

– Musiała mieć dobry powód. Prawda? – Kilkanaście chłopięcych twarzy obróciło się ku Marze.

W jej oczach pojawił się błysk. Rozbawienie? Ta sytuacja wydawała jej się zabawna?

– Tak było rzeczywiście, Henry, i dlatego koniecznie muszę się dogadać z naszym gościem.

Po jego trupie. Żadnego dogadywania się.

– Może powinniśmy podyskutować o tym powodzie, pani MacIntyre.

Przechyliła głowę, nie dając się zbić z tropu.

– Być może – odparła głosem, w którym brzmiało przekonanie, że powinno być dokładnie odwrotnie.

Większości chłopców, zdaje się, to wystarczało, ale Daniel nie ustępował.

– Powinniśmy zostać. Na wszelki wypadek. – Temple dostrzegł nagle w chłopcu coś znajomego.

Nieufność.

Podejrzliwość.

Siłę.

– To bardzo miłe z twojej strony, Danielu – powiedziała Mara, popychając chłopców ku drzwiom z drugiej strony holu – ale zapewniam cię, że nic mi się nie stanie.

Temple wcale w to nie wątpił.

Podobnie jak chłopcy, którzy posłusznie odeszli, jakby się nic nie wydarzyło, nie było żadnego wykradania świnki, ganiania się, bijatyki, skoków i wrzasków. Wszyscy z wyjątkiem Daniela, który, co prawda bez przekonania, ale pozwolił się w końcu

wyprowadzić z holu, oglądając się cały czas przez ramię i oceniając Temple'a poważnymi, ciemnymi oczami.

Od dawna nikt nie stawiał mu tak nieustraszenie czoła.

Chłopiec był lojalny wobec Mary.

Temple odczuł niemal podziw, ale w porę przypomniał sobie, że ta kobieta jest wcieleniem szatana i nie zasługuje na podobne oddanie.

Kiedy zamknęła mocno drzwi za gromadą dzieciaków, zakołysał się na pięcie.

– Pani MacIntyre?

Mara spojrzała na pokojówkę, która nadal stała, znieruchomiała, w progu.

– To wszystko, Alice. Powiedz, proszę, kucharce, że chłopcy czekają na śniadanie. I przyślij herbatę do salonu dla naszego gościa.

Temple uniósł brew.

– Nawet gdybym był wielbicielem herbaty, mam dość rozumu, żeby nie tknąć niczego, co mi podasz. Nigdy więcej. – Zerknął szybko na Alice. – Bez obrazy, Alice.

Policzki Mary pokraśniały. Bardzo dobrze. Powinna się wstydzić. Mogła go uśmiercić swoim bezmyślnym postępkiem.

– Dziękuję, Alice. – Dziewczyna opuściła hol z największym zadowoleniem.

– Pani MacIntyre? – odezwał się Temple, kiedy pokojówka wyszła.

Patrzyła na niego nieulękle.

– Tak.

– Co się stało z panem MacIntyre'em?

– Był żołnierzem – odparła po prostu. – Zginął w walce.

Uniósł brew.

– Gdzie?

Zmrużyła oczy.

– Większości ludzi wystarcza taktu, żeby o to nie pytać.

– Brak mi manier.

Skrzywiła się.

– W bitwie pod Nsamankow, jeśli koniecznie musisz wiedzieć.

– Sprytne. Mało kto o tej bitwie słyszał, więc trudno sprawdzić. – Rozejrzał się po holu. – Ale była wystarczająco godna szacunku, żebyś tu mogła się znaleźć.

Zmieniła temat.

– Nie spodziewałam się ciebie tak szybko.

– Za mało arszeniku w szkockiej?

– To nie był arszenik – parsknęła, po czym zniżyła głos do szeptu. – To było laudanum.

– Zatem przyznajesz, że mnie odurzyłaś.

Zawahała się.

– Tak.

– I, żebym się upewnił, nie po raz pierwszy? – Ponieważ nie odpowiadała, dodał: – Za pierwszym razem odurzyłaś mnie i uciekłaś, ot co.

Westchnęła z irytacją, po czym podeszła do niego i ujęła za ramię, kierując do pokoju, gdzie schroniła się świnka. Jej dotyk był pewny i ciepły – czuł to nawet przez wełnę surduta – i wywołał wspomnienie snu, w którym przesuwała palcami po jego

zabrudzonym woskiem rękawie.

W jej obecności ogarniał go niepokój.

Niewątpliwie dlatego, że zagrażała jego życiu. Dosłownie i w przenośni.

Wprowadziła go do czystego, zupełnie zwyczajnego salonu. Mały żelazny piecyk stał w odległym kącie pokoju; ogień buzował wesoło, ogrzewając świnkę, która przed kilkoma zaledwie minutami uniknęła niechybnej śmierci, a teraz spała. Na poduszce.

Ta kobieta trzymała świnię na poduszce. Świnkę o imieniu Lavender.

Gdyby ostatnich kilku godzin nie spędził w stanie głębokiego zdumienia, uznałby zwierzę za coś dziwnego w tym miejscu. Nie zastanawiając się jednak nad tym, odwrócił się do właścicielki świnki. Stała, oparta o drzwi pokoju.

– Ściśle rzecz ujmując, nie uciekłam – oznajmiła. – Zostawiłam ci adres. Właściwie to… nie. Zdecydowanie zaprosiłam cię, żebyś tu przyszedł.

– Jakże wielkodusznie – zakpił.

– Gdybyś nie był taki wściekły…

Nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie przerwać.

– Myślisz, że zostawienie mnie nieprzytomnego na podłodze biblioteki złagodziło mój gniew?

– Przykryłam cię kocem – broniła się.

– Jestem niemądry. To, oczywiście, wszystko usprawiedliwia.

Westchnęła. Spojrzała na niego swoimi niezwykłymi oczami.

– Nie chciałam, żeby tak wyszło.

– Ale jednak przed wyprawą do mojego domu włożyłaś duży zapas laudanum do torebki.

– Cóż, jesteś większy niż przeciętny mężczyzna, musiałam więc się zaopatrzyć w większą dawkę. I odebrałeś mi nóż.

Zmarszczył czoło.

– Ostry język nie usposabia mnie do ciebie życzliwiej.

– Szkoda, przedtem tak dobrze mi szło.

O mało się nie roześmiał, ale stłumił śmiech. Nie pozwoli, by go rozbawiła.

Była toksyczna. A toksyna nie jest zabawna.

– Nie zaprzeczam, że zasłużyłam poniekąd na twój gniew – ciągnęła – ale nie ulegnę przemocy.

– Ponownie używasz w stosunku do mnie tego słowa. Czy muszę ci przypominać, że w ciągu naszej znajomości tylko jedno z nas podało środek odurzający drugiemu? I to dwa razy?

Jej policzki się zaróżowiły. Poczucie winy? Niemożliwe.

– A jednak to słowo dobrze opisuje, jak mógłbyś ze mną postąpić, Wasza Wysokość.

Wolałby, żeby przestała go tak nazywać. Nienawidził tego tytułu. Tytułu, który wręcz go uwierał, przypominając lata, kiedy za nim tęsknił. Kiedy nie mógł go mieć, choć zgodnie z prawem mu się należał.

Chociaż na niego zasługiwał.

Oczywiście, przez lata nie wiedział o tym.

Nie zabił jej.

To odkrycie nadal go szokowało.

Nie wiedział. Przez te wszystkie lata żył z myślą, że mógł być zabójcą. Przez te wszystkie lata.

Ona mu je ukradła.

Znowu ogarnął go gniew. Nigdy nie karmił się zemstą, a teraz, kiedy nie potrafił się zemsty wyrzec, czuł jej gorzki smak na języku.

Utkwił wzrok w Marze.

– Co się stało?

Otworzyła szeroko oczy.

– Słucham?

– Dwanaście lat temu, w Whitefawn. W przeddzień twojego ślubu. Co się stało?

Zawahała się.

– Nie pamiętasz?

Wzruszył ramionami.

– Byłem nieprzytomny. Więc, w istocie, nie pamiętam.

Choć próbował sobie przypomnieć. Wciąż na nowo przeżywał w pamięci ten wieczór, setki razy, tysiące. Pamiętał szkocką. Pamiętał, że pragnął kobiety. Że po nią sięgał. Nie mógł odtworzyć w pamięci twarzy, ale nie zapomniał dziwnych oczu i kasztanowych loków, przyjemnych zaokrągleń i na pół niewinnego, na pół prowokującego śmiechu.

I te oczy. Tych oczu nie dało się zapomnieć.

– Pamiętam, że ze mną byłaś.

Skinęła głową, jej policzki znowu pokrył rumieniec.

To wiedział. To była jedna z tych rzeczy, w które nigdy nie wątpił. Był młody, miał mocno w czubie i nigdy nie spotkał kobiety, której nie zdołałby uwieść. Oczywiście, że z nim poszła.

Nagle zapragnął dowiedzieć się wszystkiego. Podszedł bliżej. Zauważył, że zesztywniała, wciskając plecy w drzwi.

– A zanim wciągnęłaś mnie w pułapkę. Zanim upozorowałaś własną śmierć i uciekłaś jak tchórz, byliśmy w tamtym pokoju sami?

Przełknęła ślinę, a on, chcąc nie chcąc, patrzył na mięśnie jej szyi, których ruch zdradzał zdenerwowanie. Poczucie winy.

– Tak.

Zaskoczyła go, mówiąc prawdę. Znowu.

Spojrzała na swoje spódnice. Wygładziła je. Zauważył, że nie nosi rękawiczek, podobnie jak poprzedniego wieczoru. Ale teraz, w świetle dnia, dostrzegł na jej rękach ślady pracy fizycznej: czyste, krótko obcięte paznokcie, opaleniznę, ledwie widoczną, dawno zaleczoną bliznę na lewej dłoni.

Nie podobała mu się ta blizna.

Ani to, że ją zauważył.

– Jak długo?

– Niedługo.

Zaśmiał się drwiąco.

– Dostatecznie długo.

Spojrzała mu w oczy… W jej oczach było coś… niepokojącego, czego jednak nie potrafił określić.

– Dostatecznie długo na co?

– Dostatecznie długo, żeby mnie pozbawić przytomności.

Ciężko westchnęła. Wiedział, że coś przed nim ukrywa. Przyglądał jej się dłuższą chwilę, żałując, że nie jest na ringu. Tam widział, jasno jak na dłoni, wszystkie słabości przeciwnika. Wiedział, gdzie uderzyć.

Tutaj, w tym dziwnym domu, w dziwacznym pojedynku z tą dziwną kobietą, nic nie okazywało się łatwe.

– Powiedz mi jedno. Czy wiedziałaś, kim jestem? – Z jakiegoś powodu to mu się wydawało ważne.

Ich spojrzenia znowu się spotkały, tym razem nie kłamała.

– Nie.

Oczywiście, że nie wiedziała. Więc co zrobiła? Co się zdarzyło w tej ładnej, żółtej sypialni tyle lat temu?

Do diabła.

Na tyle rozumiał reguły walki, żeby wiedzieć, że ona mu nie powie. I wiedział także, że jeśli okaże zainteresowanie, odda jej władzę.

I niech będzie przeklęty, jeśli da jej choć odrobinę władzy nad sobą.

To był jego dzień. Zmienił taktykę.

– Nie należało wracać. Ale skoro to zrobiłaś, twój błąd jest moją nagrodą. I świat pozna prawdę o nas obojgu.

Mara była niezmiernie wdzięczna losowi, że Temple przestał mówić o tamtej odległej nocy i wrócił do chwili obecnej. Tutaj mogła dać sobie z nim radę. Teraz. Z jego gniewem.

Ale kiedy teraźniejszość mieszała się z przeszłością, traciła pewność siebie i nie wiedziała, jak postępować z tym ogromnym mężczyzną po tylu latach niewidzenia go.

Przestała się nad tym zastanawiać i całą uwagę skupiła na chwili obecnej.

– A zatem jesteś gotów negocjować? – Udając swobodę, skierowała się do biurka. Usiadła. – Dzisiaj napiszę list do gazety, przyjąwszy, że zapomnisz o długach, o jakich mówiliśmy.

Roześmiał się.

– Chyba nie myślałaś, że tak łatwo ci pójdzie?

– Nie powiedziałabym, że łatwo. – Łatwo nie będzie. Setki razy pisała ten list w głowie. Z dziesięć razy na papierze. Od lat. I nie było coraz łatwiej. – Powiedziałabym jednak, że szybko. Z pewnością oboje jesteśmy tym zainteresowani.

Uniósł brew.

– Czekałem na to dwanaście lat. Ani łatwość, ani szybkość nie są dla mnie najbardziej istotne.

Zadała pytanie, mimo że znała odpowiedź.

– Więc co jest istotne?

– Zadośćuczynienie.

Parsknęła śmiechem, usiłując ukryć zdenerwowanie.

– Co zatem planujesz? Chcesz mnie pognać ulicami, wytarzaną w smole?

– Ten obraz nie jest mi niemiły. – Uśmiechnął się. Wyobraziła sobie, że uśmiechał się w ten sposób setki razy w klubie. Na ringu. – Zamierzam pokazać cię Londynowi. Ale nie wytarzaną w smole.

Ściągnęła brwi.

– A więc?

– Umalowaną. I wystrojoną.

Pokręciła głową.

– Nie przyjmą mnie.

– Nie tak, jak bogatą dziedziczkę, jaką kiedyś byłaś, o nie.

Ledwie ją wtedy akceptowali. Zagrażała wszystkiemu, co reprezentowali. Wszystkiemu, co posiadali. Ładna córka człowieka pracy. Mogła być dostatecznie bogata, ale nigdy dosyć dobra dla nich.

– Nie przyjmą mnie w towarzystwie.

– Zrobią, co im powiem. Widzisz, jestem księciem. A jeśli dobrze pamiętam, podczas gdy książęta zabójcy nie są mile widziani przez szacowne damy z towarzystwa, ci spośród nas, którzy nie mają na sumieniu morderstwa, są raczej dobrze przyjmowani. – Przysunął się bliżej. – Damy lubią książęta.

Te słowa były bardziej oddechem niż dźwiękiem i Mara powstrzymała się przed dotknięciem swojej nagiej szyi, żeby zetrzeć je stamtąd, a jednocześnie zatrzymać.

– A ty należysz do mnie i mogę z tobą zrobić, co mi się podoba.

Jej brwi ściągnęły się w jedną linię. Słowa paliły, kryła się w nich groźba.

– Co takiego, ściśle mówiąc?

– Ściśle mówiąc, to, co zechcę.

Zesztywniała.

– Nie zostanę twoją kochanką.

– Po pierwsze, nie jesteś w sytuacji, w której możesz mi stawiać jakiekolwiek żądania. Po drugie, nie pamiętam, żebym wystąpił z taką ofertą.

Zrobiło jej się gorąco.

– Więc jak zamierzasz im to powiedzieć?

Wzruszył ramionami, w tej chwili go nienawidziła.

– Nie ufam tobie na tyle, żeby ci pozwolić na oglądanie mnie śpiącego… ale oni nie muszą o tym wiedzieć.

Te słowa ją ubodły.

– Kochanka tylko z nazwy?

Zbliżył się jeszcze bardziej, tak że czuła ciepło jego ciała.

– Dwanaście lat kłamstw na moją szkodę z pewnością uczyniły z ciebie przekonującą aktorkę. Pora zacząć kłamać na moją korzyść. Tak, jak ja tego chcę.

Wyprostowała się i uniosła głowę, żeby spotkać jego spojrzenie. Był tak blisko – wystarczająco blisko, by w innym miejscu, w innym czasie, jako inna kobieta, mogła podejść do niego na palcach i przycisnąć usta do jego warg.

Skąd się wzięła ta myśl?

Nie miała najmniejszej ochoty całować tego mężczyzny.

Nie był tu po to, żeby go całować. Już nie po to. Nigdy.

Wydęła wargi.

– A więc chcesz mnie skompromitować?

– Zrujnowałaś mi życie – powiedział spokojnie. – Myślę, że taka odpłata będzie w porządku, nie sądzisz?

Jej życie było zrujnowane od dwunastu lat, od chwili kiedy oblała pościel krwią i uciekła z tamtego pokoju.

Było zrujnowane już wcześniej.

Ale ukrywała to i miała dom pełen chłopców, którymi trzeba było się opiekować. Może jej kompromitacja mu się należała. Może jej także. Ale niech ją diabli, jeśli pozwoli mu zrujnować MacIntyre i spokojną przystań, jaką stworzyła dla tych dzieci.

– Więc będę musiała odejść. Zacząć od początku.

– Zrobiłaś to już wcześniej – stwierdził.

Podobnie jak on.

Zemsta jest słodka, nieprawdaż?

Wyprostowała ramiona.

– Zgadzam się. – Otworzył szeroko oczy, a ona z przyjemnością obserwowała jego zdumienie. Najwyraźniej nie docenił jej siły i zdecydowania w dążeniu do celu. – Ale mam warunek.

Powiedz mu.

Myśl pojawiła się nie wiadomo skąd.

Powiedz mu, że dług obejmuje wszystkie fundusze sierocińca.

Napotkała jego wzrok. Zimny. Nieustępliwy. Obojętny. Jak wzrok ojców tych chłopców.

Powiedz mu, że to, co robi, zagraża bezpieczeństwu chłopców.

– Nie widzę powodu, żeby przyjmować twoje warunki – oświadczył.

– Nie masz wyboru. Raz zniknęłam. Mogę to zrobić po raz drugi.

Patrzył na nią dłuższą chwilę, groźba wisiała w powietrzu, wzrok mu pociemniał ze złości. Z czegoś jeszcze gorszego. Bliższego nienawiści. Może powinien jej nienawidzić. Stworzyła go z umiejętnością artysty rzeźbiarza, nie z marmuru, ale z ciała, krwi i wściekłości.

– Gdybyś uciekła, znalazłbym cię. I nie brałbym jeńców.

W tej zapowiedzi były gniew i prawda.

Nic go nie powstrzyma przed wywarciem zemsty. Narażała na niebezpieczeństwo siebie i wszystko, co kochała.

Ale nie będzie narażać na niebezpieczeństwo chłopców.

Przygotowała się do walki, z góry obmyślając kolejne posunięcia… jak mogłaby ochronić chłopców i dom, jeśli on dotrzyma obietnicy. Wyprostowała się dumnie.

– Skoro traktujesz mnie jak dziwkę, to mi płać jak dziwce.

Ugodziła go tymi słowami. Widziała to, odebrał cios i szybko doszedł do siebie, jak na ringu, w swoim królestwie. Milczał, więc uderzyła znowu.

– Zrobię, co mi każesz. Wedle życzenia. Wezmę udział w twojej niemądrej grze, aż

zdecydujesz się ujawnić mnie światu. Póki mnie nie odeślesz. A wtedy odejdę.

– Za dług brata.

– Za co chcesz.

Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu, zadrgał mu kącik ust i Marze przyszła do głowy myśl, że w innym miejscu, innym czasie, jako inna kobieta, ucieszyłaby się, że skłoniła go do uśmiechu.

Ale teraz tylko ją to rozgniewało.

– Nie jest ciebie wart.

– Nie twoja sprawa.

– Dlaczego? Siostrzana miłość? – Oczy mu pociemniały. Niech w to wierzy, pomyślała. We wszystko, co utrzyma go z dala od sierocińca. – Jego twarz domaga się spotkania z pięścią.

Zadośćuczynienie.

– A jednak nie chcesz z nim walczyć – przypomniała, bardziej rozgniewana, niż sądziła, że jest do tego zdolna. – Boisz się dać mu szansę?

Uniósł brew, ale nie złapał się na przynętę.

– Nikt mnie jeszcze nie pokonał.

Uśmiechnęła się.

– Czyż nie pokonałam cię zeszłej nocy?

Znieruchomiał, potem podniósł głowę. Dostrzegła zaszokowanie w czarnych oczach, które na pół sekundy się rozszerzyły. Stłumiła uśmiech triumfu.

– Przechwalasz się tym, że pozbawiłaś mnie przytomności?

Pokręciła głową.

– Przechwalam się tym, że cię powaliłam na ziemię. Taki był cel, nieprawdaż? Jesteś mi winien pieniądze.

– Na ringu, panno Lowe. Tam to się liczy.

Uśmiechnęła się, wiedząc, że tym go rozzłości. Mając nadzieję, że go rozzłości.

– Semantyka. Jesteś zbyt zakłopotany, żeby przyznać, że pokonałam cię w walce wręcz.

– Za pomocą narkotyków wystarczających do powalenia wołu.

– Nonsens. Może konia. Ale nie wołu. I jesteś zakłopotany. Pracuję z chłopcami, Wasza Wysokość. Czy muszę cię przekonywać, że poznaję, kiedy ktoś czuje się zakłopotany?

Jego oczy znowu spochmurniały i spoważniały; pochylił się ku niej. Wystarczająco blisko, by górować nad nią, ponad sześć stóp mięśni i kości, siły, blizn i ścięgien. Pachniał goździkami i tymiankiem.

Chociaż nie zwracała na to uwagi.

A potem szepnął jej do ucha, tak blisko, że bardziej poczuła, niż usłyszała słowa, które przejęły ją zimnym dreszczem:

– Nie jestem chłopcem.

To akurat było prawdą.

Otworzyła usta, ale nie odezwała się.

Teraz z kolei on się uśmiechnął.

– Jeśli chcesz mnie powalić, panno Lowe, zapraszam cię na ring.

– Będziesz mi musiał za to zapłacić.

– A jeśli się nie zgodzę? Co wtedy? Jaki masz wybór?

Prawda.

– Nie mam także nic do stracenia.

Kłamstwo.

– Nonsens – rzucił. – Zawsze ma się coś do stracenia, zapewniam cię. Znalazłbym to.

Wciągnął ją w pułapkę. Nie mogła uciec. Nie wcześniej, niż zapewni chłopcom bezpieczeństwo. Dopiero jak odzyska pieniądze, które Kit stracił.

Spojrzała Temple'owi w oczy, choć miała wrażenie, że czyta w jej myślach.

– Mogłabyś uciec – szepnął – ale złapałbym cię. I nie spodobałoby ci się to, co by się wtedy stało.

Niech go diabli.

Nie zamierzał się zgodzić.

Miała ochotę krzyczeć. O mało zresztą nie krzyknęła, kiedy oznajmił:

– Nie jesteś pierwszą kobietą, której płacę, żeby zrobiła to, co chcę…

Stanął jej przed oczami obraz – ręce i nogi splecione w białej pościeli, ciemne włosy i czarne oczy, i więcej mięśni, niż zwykle przypada na jednego mężczyznę.

– …ale zapewniam, panno Lowe, że będziesz ostatnią.

Przez chwilę musiała skupić uwagę, żeby zrozumieć, co powiedział. Uświadomić sobie, że się zgodził. Że sierociniec przetrwa bezpiecznie.

Ceną jest jej ruina. Jej życia, jej przyszłości.

Ale sierociniec będzie bezpieczny.

Poczucie ulgi nie trwało długo. Póki nie usłyszała jego szeptu:

– Zaczynamy dziś wieczorem

# 4

*K*to mi powie, co się stało z Napoleonem po Waterloo?

Las rąk wystrzelił w górę w małej, dobrze wyposażonej klasie w przytułku dla chłopców pani MacIntyre. Daniel nie czekał, aż zostanie wywołany:

– Umarł!

Mara uznała za stosowne zbagatelizować radość, jaka promieniowała z młodego człowieka, kiedy obwieszczał śmierć cesarza.

– Umarł, w istocie. Chciałabym jednak usłyszeć, co działo się z nim wcześniej.

Daniel zastanawiał się chwilę, po czym rozwinął poprzednią kwestię:

– Uciekł z płaczem i krzykiem przed Wellingtonem… a potem umarł!

Mara pokręciła głową.

– Niezupełnie tak. Matthew?

– Wjechał na koniu do francuskiego okopu… i umarł!

Usta jej zadrżały.

– Niestety, nie. – Wybrała jedną z rąk wyciągających się do sufitu. – Charles?

Charles rozważał różne możliwości, zanim się zdecydował:

– Strzelił sobie w stopę, zrobiła się zielona i odpadła, a potem umarł?

Mara się uśmiechnęła.

– Wiecie co, dżentelmeni. Nie mam pewności, czy jestem dobrą nauczycielką.

Ręce opadły i rozległo się zbiorowe jęknięcie. Chłopcy wiedzieli, że załatwili sobie na dzisiaj dodatkową godzinę historii. Zostali jednak uratowani, kiedy Alice zapukała do drzwi i stanęła w progu klasy.

– Przepraszam, pani MacIntyre.

Mara odłożyła trzymaną w ręku książkę.

– Tak?

– Przyszedł… – Alice otworzyła usta, zamknęła je, po czym znowu otworzyła. – Przyszedł ktoś… żeby się z panią zobaczyć.

Temple.

Wrócił.

Zerknęła na zegar w kącie pokoju. Powiedział „Dziś wieczorem”. A jako że wciąż był dzień, mogła tylko uznać, że jest szubrawcem i oszustem, i zamierzała mu to powiedzieć.

Jak tylko serce przestanie jej tak walić.

Jak tylko serce jej się uspokoi.

Miała wrażenie, że z pokoju uszło powietrze, kiedy rozejrzała się wokół ponad morzem małych twarzyczek i uświadomiła sobie, że nie jest gotowa wyjawić światu prawdy. Nie

była gotowa, żeby znowu zostać Marą Lowe.

Chciała być nadal panią MacIntyre, urodzoną nigdzie, pochodzącą znikąd, obecnie guwernantką pstrokatej gromady chłopców. Pani MacIntyre miała cel. Pani MacIntyre coś znaczyła. Miała życie.

Mara nie miała niczego.

Niczego poza prawdą.

Zmusiła się, żeby wstać i przejść między chłopcami do Alice. Żeby stawić czoło mężczyźnie, który wrócił zapewne z gotowym planem, mającym zmienić życie ich obojga. Już przy drzwiach, odwróciła się do uczniów.

– Jeśli…

Nie. Odchrząknęła. Spróbowała znowu.

– Gdy wrócę, spodziewam się usłyszeć, co się stało z Napoleonem.

Stuknięciu drzwi towarzyszył pomruk niezadowolenia.

Alice milczała rozsądnie, kiedy szły ciemnymi, wąskimi korytarzami. Mara doceniała intuicję młodej pokojówki. Nie byłaby w stanie rozmawiać z sercem bijącym gorączkowo i głową, w której wirowało tysiące myśli.

Był tutaj. Na dole. Sędzia, ława przysięgłych i wykonawca wyroku w jednej osobie.

Zeszła powoli po schodach, wiedząc, że nie ucieknie przed przeszłością i nie uniknie przyszłości.

Drzwi do małego gabinetu, w którym rozmawiali wcześniej tego dnia, były uchylone i Mara pomyślała, że dwucalowa szczelina między drzwiami a framugą jest czymś dziwnym – wywołuje podniecenie albo strach, w zależności od sytuacji.

Nie dotarło do niej, że w tej chwili wywoływała jedno i drugie.

Nie był ani odrobinę podniecający, był okropny.

Wciągnęła głęboko powietrze, usiłując zmusić serce, żeby przestało tak galopować i, z bladym uśmiechem – na więcej nie była w stanie się zdobyć w tych okolicznościach – zwolniła Alice i otworzyła drzwi, żeby stanąć twarzą w twarz z mężczyzną, który tam czekał.

– Widziałaś się z nim.

Weszła do środka i mocno zamknęła drzwi.

– Co ty tutaj robisz?

Brat podszedł ku niej bliżej.

– A co ty robisz, spotykając się z nim?

– Ja zapytałam pierwsza – odparła. Stali teraz na środku pokoju. – Uzgodniliśmy, że nie będziesz tu przychodzić. Powinieneś przysłać zawiadomienie. – Tak się spotykali przez ostatnich dwanaście lat. Nigdy w tym domu i nigdy w miejscu, gdzie ktoś mógłby ją rozpoznać.

– Uzgodniliśmy także, że nigdy nie powiesz temu człowiekowi, że żyjesz i mieszkasz tuż pod jego nosem.

– On ma imię, Kit.

– Ale go nie używa.

– Ma też takie, którego używa. – Temple. Świątynia. Pasowało do niego. Wielki jak owa sakralna budowla i równie nieporuszony.

Czy zawsze był taki? Nie znali się w młodości, ale reputacja go wyprzedzała. Nikt nigdy nie wspominał, żeby był człowiekiem zimnym. Hulaka, zawadiaka, hultaj, z pewnością. Ale nigdy zimny. Nigdy gniewny.

Ona go takim uczyniła.

Kit przeczesał ręką rozwichrzone brązowe loki. Mara widziała, że jest znużony. Dwa lata od niej młodszy, brat był bardzo żywym dzieckiem, zawsze gotowym do psoty, pełnym pomysłów.

A potem ona uciekła, rujnując życie Temple'a i pozostawiając brata, żeby wypił piwo, którego nieopatrznie nawarzyli. I on się zmienił. Przez lata wymieniali tajne liściki, póki nie postanowiła pojawić się jako pani MacIntyre, owdowiała właścicielka domu dla sierot, i ukrywać dalej w pełnym świetle dnia.

Ale był teraz inny. Bardziej wyrachowany. Bardziej bezwzględny.

Nie mówiąc już o życiu, które musiał wieść, opuszczony przez siostrę. O mężczyźnie, od którego był zależny.

A potem przegrał wszystkie jej pieniądze.

Zauważyła, jak się garbi, jakie ma zapadnięte policzki, dostrzegła brud na jego zazwyczaj nieskazitelnie czystych, czarnych butach. Wiedziała, że przynajmniej rozumie ich straszną sytuację. Jej mękę. Westchnęła.

– Kit…

– Wolałbym, żebyś mnie tak nie nazywała – warknął. – Nie jestem już chłopcem.

– Wiem. – To było jedyne, co jej przyszło do głowy.

– Nie powinnaś się z nim spotykać. Czy wiesz, jak go nazywają?

Uniosła brwi.

– Nazywają go tak z mojego powodu.

– To nie znaczy, że z czasem na to nie zasłużył. Nie chcę, żebyś się do niego zbliżała.

Za późno.

– Nie chcesz? – zadrwiła, nagle rozzłoszczona. – Nie masz wyboru. Ten człowiek ma wszystkie nasze pieniądze, trzyma w ręku wszystkie karty. A ja zrobiłam wszystko, co możliwe, żeby uratować dom.

Kit zmarszczył brwi.

– Zawsze ten dom. Zawsze chłopcy.

Oczywiście, że tak. To było to, co się liczyło. To, co zrobiła dobrego. Oni byli dobrem.

Ale nie warto było walczyć z Kitem.

– Skąd w ogóle wiesz, że on tu był?

Zmrużył oczy.

– Bierzesz mnie za głupca? Płacę dziwce na ulicy dobre pieniądze, żeby uważała, czy nie dzieje ci się coś złego.

– Żeby mnie szpiegowała?

– Widziała Księcia Zabójcę. Dała mi znać.

Rozgniewało ją, że brat ją szpieguje.

– Nie potrzebuję ochrony.

– Oczywiście, że potrzebujesz. Zawsze potrzebowałaś.

Przełknęła replikę, że od lat zmaga się z groźniejszymi demonami niż demony dręczące

brata. Samotnie. I wróciła do chwili obecnej.

– Kit… – przerwała. Poprawiła się. – Christopher. Poszłam do niego, bo oboje tego potrzebujemy. – Ty… – zawahała się, nie bardzo wiedząc, jak to powiedzieć. Rozkładając szeroko ręce, spróbowała znowu. – Straciłeś wszystko.

Christopher znowu przeczesał włosy palcami gwałtownym, niespokojnym gestem.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Chryste, Maro! – Mówił podniesionym głosem, a ona natychmiast uprzytomniła sobie, gdzie się znajdują i jakim imieniem się do niej zwrócił. Spojrzała na drzwi, upewniając się, że są zamknięte.

Nie zważał na to.

– Oczywiście, że wiem. Straciłem wszystko, co mi zostawił.

Również wszystkie jej pieniądze. Wszystko, co oszczędziła i głupio powierzyła jemu. Ale to wszystko nic wobec straty funduszu, jaki ustanowiono na utrzymanie sierocińca. Przehulał ostatni cent z pieniędzy, jakie mężczyźni zostawili z przeznaczeniem na swoich synów.

Przekonał ją, że jego bank będzie strzegł jej funduszu. Być może nawet go pomnoży. Była kobietą bez świadectwa ślubu czy świadectwa śmierci męża, więc brat złożył pieniądze w banku.

Brat, który nie potrafił wyrzec się hazardu.

Ogarnął ją gniew, choć wolałaby zachować spokój. Choć chciałaby mieć znowu szesnaście lat i móc pocieszyć swojego młodszego, słodkiego braciszka, nie czując nienawiści do mężczyzny, jakim się stał. Nie osądzając go za jego czyny.

– Nie wiesz, jak to było, żyć w jego cieniu – powiedział.

Ich ojciec. Człowiek, który nieświadomie skierował ich na tę drogę. Bajecznie bogaty i zawsze niezadowolony. Zawsze chciał więcej. Zawsze lepiej. Chciał syna mądrzejszego, śmielszego, dzielniejszego i sprytniejszego.

Chciał tytułu księżnej dla córki.

I nic z tego nie dostał.

Kit roześmiał się gorzko.

– Pewnie gapi się na nas ze swojej grzędy w piekle, wściekle rozczarowany.

Wzruszyła lekko ramionami.

– Nie jesteśmy już jego własnością.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Ależ tak. Gdyby nie on, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ty byś nie uciekła. Ja bym nie grał. I nie straciłbym pieniędzy. – Podniósł rękę, wskazując na ulicę. – Ty nie żyłabyś wśród uliczników i dziwek. – Przerwał. Wciągnął powietrze. – Po co do niego poszłaś?

– On ma nasz dług w ręku.

Kit zmrużył oczy.

– Co powiedział?

Zawahała się. To mu się nie mogło spodobać.

– Na co się zgodziłaś? – naciskał. Słyszała irytację w jego głosie. Frustrację.

– A jak myślisz, na co się zgodziłam?

– Sprzedałaś się.

Gdyby to było takie proste.

– Powiedziałam mu, że się ujawnię. Wrócę do społeczeństwa.

Rozważał jej słowa, przez chwilę myślała, że zaprotestuje. Zapomniała jednak, do czego skłania rozpacz.

– I dostanę swoje pieniądze?

„Swoje". Znienawidziła to słowo.

– To nie tylko twoje pieniądze.

Parsknął pogardliwie.

– Twoich było bardzo niewiele.

– To, co należało do sierocińca, wystarczyłoby na utrzymanie domu przez rok, może dłużej.

– Mam tyle zmartwień na głowie, Maro. Nie będę się jeszcze martwił o twoje szczeniaki.

– To dzieci! Są ode mnie całkowicie zależne!

Westchnął, wyraźnie zniecierpliwiony.

– Dostałaś moje pieniądze z powrotem czy nie?

Nie obchodziło go, że mogła stracić wszystko. Życie, które dla siebie stworzyła. Miejsce, które dawało jej bezpieczeństwo. Cel. Nic go nie obchodziło, byle odzyskał pieniądze.

Tak więc zrobiła to, w czym była taka dobra.

Skłamała.

– Nie.

Jego przystojną twarz wykrzywiła wściekłość.

– Zawarłaś pakt z diabłem i nic w zamian nie dostałaś? To po co to wszystko? – Wygiął usta z irytacją, chodząc w tę i z powrotem po pokoju. – Zniszczyłaś wszystko!

Spojrzała na brata uważnie.

– Zrobiłam, co należało zrobić. On nie będzie z tobą walczyć, Kit. Teraz przynajmniej zostawi cię w spokoju.

Kit odwrócił się i rzucił o ścianę krzesłem, które stało mu na drodze. Nieszczęsny mebel rozbił się na kawałki. Mara znieruchomiała.

Znała ten gniew.

Od zawsze.

Stanęła za biurkiem, wciskając dłonie w blat, żeby ukryć ich drżenie.

Traciła kontrolę nad sytuacją.

Może zasłużyła na to. Może tak działo się z kobietami, które usiłowały decydować o własnym losie. Właśnie tak uczyniła, zmieniła swoją przyszłość. Zmieniła swoje życie. Żyła tak dwanaście lat.

Ale nadeszła pora, żeby Kit zaczął żyć swoim życiem.

– Taki zawarliśmy układ. Twoja jedyna szansa na zachowanie honoru jest taka, że ja się przyznam do tego, co zrobiłam. Zaprowadziłam tego mężczyznę do swojego pokoju. Pozbawiłam przytomności. Zakrwawiłam pościel. – Pokręciła głową. – To ja uciekłam. Ja potrzebuję przebaczenia. Ja mogę dać mu zadośćuczynienie. I on o tym wie.

– A co ze mną?

– On się tobą nie interesuje.

Christopher podszedł do okna i wyjrzał w chłodne, listopadowe popołudnie. Milczał długo, po czym szepnął:

– A powinien. Nie wie, do czego jestem zdolny.

Zachodzące słońce przemieniło jego brązowe loki w złoto i Mara przypomniała sobie odległe popołudnie w domu ich dzieciństwa, w Bristolu. Roześmiany Kit biegł brzegiem małego stawu w pobliżu domu, ciągnąc na sznurku nową zabawkę – łódkę.

Potknął się o korzeń drzewa i się przewrócił, wypuszczając z rąk sznurek, a silny wiatr porwał łódkę na środek stawu, gdzie od razu wywróciła się i zatonęła.

Zostali zbici i wysłani do łóżka bez kolacji – Kit za to, że nie ratował łódki, za którą ojciec zapłacił, a Mara za to, że bezczelnie śmiała przypomnieć ojcu, iż żadne z jego dzieci nie potrafi pływać.

Nie pierwszy raz Kit miał pecha i nie pierwszy raz Mara próbowała go ratować przed gniewem ojca.

Ani też ostatni.

Ale dzisiaj go nie broniła. Dzisiaj broniła czegoś znacznie ważniejszego. I nie ufała mu na tyle, żeby wtajemniczać go w swoje plany.

– To ciebie nie dotyczy.

– A jeśli uważam inaczej?

Otworzyła drzwi, dając mu do zrozumienia, że skończyła rozmowę.

– Nie do ciebie należy decyzja.

Odwrócił się do niej twarzą i przez chwilę gra światła sprawiła, że uległa złudzeniu. Przez chwilę widziała ojca.

– Ty w rękach Księcia Zabójcy? On i jego klub zabrali mi wszystko, co posiadałem. A ja mam na to pozwolić? A co z moimi pieniędzmi?

Nie: co z tobą. Nie: co z moją siostrą.

To jej nie powinno zdziwić, a jednak zdziwiło. Nie dała tego po sobie poznać i uniosła brodę.

– Pieniądze to nie wszystko.

– Och, Maro. – Wydało jej się, że głos wydobywa się z ust kogoś starszego i mądrzejszego niż brat. – Ależ oczywiście, że wszystko.

Wypalona w nich żelazem przez ojca lekcja.

Spojrzał jej w oczy.

– Nie jestem od tego wolny. A teraz i ty.

Wreszcie słowa prawdy.

Kiedy parę godzin później, z Lavender leżącą na poduszce u jej stóp, Mara usiłowała skupić się na pracy, Lydia Baker weszła do jej małego biura, mówiąc:

– Zmęczyłam się udawaniem, że nic nie widziałam.

Mara starała się przybrać zaskoczoną minę, patrząc wielkimi oczami na najbliższą przyjaciółkę.

– Słucham?

– Nie udawaj, że nie rozumiesz – obruszyła się Lydia, siadając na małym drewnianym krześle po drugiej stronie biureczka Mary, i poklepała się po kolanach, żeby zwrócić

uwagę Lavender. Prosiątko podniosło łepek, oszacowało człowieka wzrokiem i zdecydowało, że zostanie na poduszce. – Ta świnka mnie nie lubi.

Mara uchwyciła się zmiany tematu.

– Świnka połowę przedpołudnia uciekała przed gromadą chłopaków, zachowujących się jak szaleńcy. Znowu.

– Zawsze to lepsze od chłopa z siekierą. – Lydia przyjrzała się uważnie zwierzątku.

Lavender westchnęła.

Mara parsknęła śmiechem.

Lydia przeniosła wzrok na Marę.

– Przez siedem lat pracowałyśmy ramię w ramię i nigdy nie pytałam cię o przeszłość.

Mara odchyliła się na krześle.

– Zawsze ci byłam za to wdzięczna.

Lydia uniosła jasne brwi i machnęła delikatną dłonią w powietrzu.

– Gdyby chodziło tylko o mężczyznę, który przyszedł dziś po południu, mogłabym o tym zapomnieć. Ale w połączeniu z porannym gościem… mam dość niezadawania pytań. Książęta zmieniają wszystko.

Bez cienia wątpliwości to było niedopowiedzenie stulecia.

Lydia pochyliła się w przód, postukując rytmicznie listem, który trzymała w ręce, o krawędź biurka.

– Mogę pracować w sierocińcu, Margaret, ale to nie znaczy, że nie mam pojęcia o świecie za jego drzwiami. Ogromny mężczyzna, który zjawił się bladym świtem, to był książę Lamont. – Zamilkła, po czym dodała: – Zabójca, książę Lamont.

Boże, zaczynała nienawidzić tego przezwiska.

– Nie jest zabójcą. – Słowa padły, zanim Mara zdążyła je powstrzymać. Zanim sobie uświadomiła, że w ten sposób przyznała milcząco, iż zna tego człowieka.

Zacisnęła usta w wąską linię, Lydia natomiast szeroko otworzyła oczy z ciekawości.

– Nie jest?

Mara starannie rozważała słowa, jakich użyje. Zdecydowała się na:

– Nie.

Lydia czekała długą chwilę, żeby Mara powiedziała coś jeszcze. Dwa tuziny szpilek ledwie utrzymywały na miejscu jej bujne, niesforne blond włosy. Ponieważ Mara milczała, jej pierwsza pracownica i osoba, którą można by nazwać jej najlepszą przyjaciółką, wyprostowała się na krześle, skrzyżowała nogi, położyła ręce na kolanach i powiedziała:

– Przyszedł nie po to, żeby zostawić dziecko.

Dla arystokratów nie było czymś niezwykłym przyjść tutaj, prowadząc własnego syna z nieprawego łoża.

– Tak.

Lydia skinęła głową.

– Przyszedł też nie po to, żeby któregoś zabrać.

Mara odłożyła pióro na miejsce.

– Tak.

– Ani żeby przekazać hojny, naprawdę hojny datek na utrzymanie sierocińca.

Kącik ust Mary drgnął lekko.

– Tak.

Lydia przechyliła głowę.

– Czy myślisz, że mogłabyś go do tego przekonać?

Mara się roześmiała.

– Obawiam się, że przy mnie nie bywa w nastroju do okazywania hojności.

– Ach. Więc przyszedł tutaj bez żadnego związku z sierocińcem.

– Tak.

– To oznacza, że jego wizyta miała jakiś związek z drugim gościem.

Mara, zaalarmowana, spojrzała w oczy przyjaciółki.

– Nie rozumiem.

– Kłamczucha – odparła Lydia. – Jako drugi odwiedził cię pan Christopher Lowe. Niezmiernie bogaty, jak słyszałam, odkąd odziedziczył bajeczną fortunę ojca.

Mara zacisnęła usta.

– Już nie jest bogaty.

Lydia kiwnęła głową.

– Nie. Podobno stracił wszystko na rzecz człowieka, który zabił jego siostrę.

– Nie zabił… – Mara urwała. Lydia wiedziała.

– Mhm. – Lydia strzepnęła niewidoczny pyłek ze spódnicy. – Wydajesz się bardzo tego pewna.

– Jestem.

– Od jak dawna znasz księcia Lamont? – zapytała z ciekawością Lydia.

Oto padło pytanie, które mogło wszystko zmienić. Pytanie, które miało wywabić ją z ukrycia i objawić całemu światu.

W jakimś momencie musiała zacząć mówić prawdę. Byłoby swego rodzaju szczęściem, gdyby mogła zacząć od Lydii. Tyle że odkrycie przed najbliższą przyjaciółką, która ufała jej przez siedem długich lat, iż przez cały czas ją oszukiwała, było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie w życiu robiła.

Mara wciągnęła głęboko w płuca powietrze. Odetchnęła.

– Dwanaście lat.

Lydia pokiwała powoli głową.

– Odkąd zabił siostrę Lowe’a?

Odkąd rzekomo mnie zabił.

Powinno być łatwo to powiedzieć. Lydia wiedziała o Marze więcej niż ktokolwiek na świecie. Znała życie Mary, jej pracę, myśli, plany. Przybyła tutaj jako młoda, niedoświadczona guwernantka, przysłana z dużego majątku w Yorkshire, tego samego, gdzie Mara ukrywała się przed laty.

Lydia zniżyła głos. Mówiła łagodnym tonem. Pełnym zrozumienia. Serdecznym.

– Wszyscy mamy tajemnice, Margaret.

– To nie jest moje imię – szepnęła Mara.

– Oczywiście, że nie jest – powiedziała Lydia i te proste słowa całkowicie wyprowadziły Marę z równowagi. Łzy popłynęły jej z oczu, a Lydia uśmiechnęła się, pochylając się w jej stronę. – I nie wychowałaś się w gospodarstwie w Shropshire.

Lavender też nigdy tam nie trafi.

Mara zachichotała cicho, patrząc na świnkę, która zachrapała przez sen.

– Gospodarstwo w Shropshire bardzo by jej odpowiadało.

Lydia uśmiechnęła się szeroko.

– Nonsens. Jest rozpuszczonym jak dziadowski bicz stworzeniem, które śpi na poduszce i dostaje jedzenie ze stołu. Nie bawiłaby jej ani pogoda, ani lura w korycie. – W oczach Lydii pojawiło się współczucie. – Jeśli nie w Shropshire, to gdzie?

Mara spojrzała na biurko, przy którym pracowała przez siedem lat, codziennie mając nadzieję, że te pytania nigdy nie padną.

– Bristol – powiedziała do papierów na biurku.

Lydia skinęła głową.

– Nie masz akcentu kogoś, kto wychował się w dokach Bristolu.

W wyobraźni Mary pojawił się nagle obraz ogromnego domu, gdzie spędziła dzieciństwo i młodość.

Ojciec mawiał, że mógłby kupić całą Brytanię, gdyby zechciał, i zbudował dom, żeby to udowodnić reszcie świata. Dom był pozłacany, o ścianach pokrytych malowidłami, pełen obrazów i marmurowych rzeźb, przy których kolekcja Thomasa Elgina wypadała mizernie. Ojciec miał szczególne upodobanie do obrazów, zapełniając każdy skrawek ściany twarzami obcych ludzi. Pewnego dnia wymienię je na portrety własnej rodziny – powtarzał za każdym razem, kiedy wieszał jakiś nowy.

Dom był w najlepszym wypadku przytłaczający, w najgorszym – jarmarcznie niegustowny.

I to było jedyne, co on kochał.

– Nie wychowałam się tam.

– A książę? – Lydia wiedziała. Bez wątpienia.

– Raz… – Mara starannie dobierała słowa. – Spotkałam go raz.

Nie było to kłamstwo, a jednak również nie całkiem prawda. „Spotkanie” nie oddawało istoty tego, co między nimi zaszło. Późna godzina, głucha noc, sytuacja rozpaczliwa. Wykorzystała go. Szybko.

Dostatecznie długo.

– W przeddzień twojego wesela.

Bała się tej chwili przez dwanaście lat, bała się, że ją ta chwila zniszczy. A jednak, stojąc na krawędzi przepaści, mając powiedzieć prawdę po raz pierwszy od dwunastu lat, chcąc postąpić uczciwie wobec przyjaciółki i, w jakiś sposób, wobec całego świata, nie wahała się.

– Tak.

– On cię nie zabił.

– Nie.

Lydia czekała.

Mara potarła czoło z nieobecnym wyrazem twarzy.

– Nigdy nie chciałam, żeby to wyglądało tak… strasznie. – Chciała tylko zakrwawić prześcieradło. Tak, żeby uznano, że się skompromitowała. Że uciekła z jakimś mężczyzną. Miała uciec, zanim ktokolwiek odkryłby, co się stało. Ale było za dużo krwi.

I za dużo laudanum.

Lydia wsłuchiwała się w te słowa przez dłuższą chwilę. Obracała kopertę w dłoni, a Mara nie mogła się powstrzymać, żeby nie patrzeć, jak porusza się mały prostokąt w kolorze écru.

– Nie zapamiętałam twojego imienia.

– Mara.

– Mara – powtórzyła Lydia, wypróbowując to imię. – Mara.

Mara skinęła głową; dźwięk jej imienia w cudzych ustach sprawiał jej przyjemność. Ale i wzbudzał obawę.

Już nie mogła się cofnąć.

W końcu Lydia uśmiechnęła się promiennie i szczerze.

– Bardzo mi miło cię poznać.

Mara wstrzymała na chwilę oddech, potem odczuła ogromną ulgę.

– Kiedy on przeprowadzi to, co zamierza, zostanę zdemaskowana.

Lydia spojrzała jej w oczy. Wiedziała, co te słowa znaczą. Wiedziała, że Mara będzie musiała opuścić Londyn. Że sierociniec będzie zrujnowany, jeśli wyda się, że Mara jest z nim związana. Że ona sama będzie musiała odejść.

– A uda mu się?

Zadośćuczynienie.

Ten człowiek nie cofnie się przed niczym. Ale ona też miała plany. Życie, jakie sobie stworzyła, może się skończyć, ale nie odejdzie, nie zapewniwszy chłopcom bezpieczeństwa.

– Nie, póki ja nie przeprowadzę tego, co zamierzam.

Lydia uśmiechnęła się szelmowsko.

– Tak jak się spodziewałam.

– Zrozumiem, jeśli zechcesz stąd odejść.

Lydia pokręciła przecząco głową.

– Nie chcę odchodzić.

Mara się uśmiechnęła.

– To dobrze. Będziesz potrzebna temu domowi, kiedy ja odejdę.

Lydia kiwnęła głową.

– Zostanę tutaj.

Zegar w holu wybił godzinę, jakby podkreślając ważność chwili. Ten dźwięk przywrócił obie do rzeczywistości.

– No, a teraz – zaczęła Lydia, oddając koperty, które trzymała, w ręce Mary – może zechcesz mi powiedzieć, dlaczego dostajesz listy z kasyna gry?

Mara otworzyła szeroko oczy, biorąc jedną z kopert i przekładając ją z dłoni do dłoni. Na wierzchu, czarnym atramentem, niemal nieczytelnym charakterem pisma napisano jej imię i nazwisko oraz adres. Z tyłu widniała wspaniała, srebrna pieczęć z wizerunkiem pięknej, zwiewnej kobiety – anioła z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

Nie znała tej pieczęci.

Przysunęła ją bliżej, żeby przyjrzeć się uważniej.

– To pieczęć Upadłego Anioła – wyjaśniła Lydia.

Mara podniosła głowę, serce zabiło jej nagle niespokojnie.

– Klub księcia.

Niebieskie oczy zapłonęły z podniecenia.

– Najbardziej ekskluzywne kasyno w Londynie, gdzie połowa arystokracji stawia co noc niewyobrażalne fortuny. – Lydia zniżyła głos. – Słyszałam, że wystarczy, jeśli członek klubu wyrazi jakieś życzenie, choćby nie wiadomo jak dziwaczne, obsceniczne czy niemożliwe do spełnienia, a zostaje spełnione.

Mara przewróciła oczami.

– Jeśli coś jest niemożliwe do spełnienia, to jak klub może to spełniać?

Lydia wzruszyła ramionami.

– Wyobrażam sobie, że są wystarczająco potężni.

Stanęły jej przed oczyma barczyste ramiona i złamany nos Temple'a, przypomniała sobie władczy ton, jakim kazał jej wejść do swojego domu. Sposób, w jaki z nią rozmawiał.

– Ja również.

Podważyła palcem srebrzysty wosk i otworzyła list.

Na białej kartce papieru widniały dwa słowa – tylko dwa. Najwyraźniej Temple nie przejmował się takimi sprawami, jak oszczędność, chyba że chodziło o oszczędność słowa.

*O dziewiątej*.

I tyle. Bez podpisu. Który i tak nie był jej potrzebny. Minęło dwanaście lat, odkąd ktoś tak dobitnie okazywał swoją władzę nad nią.

– Nie wydaje mi się, żebym zanadto lubiła tego twojego księcia. – Lydia pochylała się nad biurkiem, wyciągając szyję, żeby zobaczyć list.

– Ponieważ nie jest moim księciem, mało mnie to obchodzi.

– Zamierzasz pójść?

Przystała na układ. To była jej kara. Jej pokuta.

Jej jedyna szansa.

Nie zwracając uwagi na pytanie, odłożyła kartkę i zerknęła na drugą kopertę.

– To dużo mniej interesujące – stwierdziła Lydia.

To był rachunek, Mara wiedziała o tym, nie otwierając listu.

– Ile?

– Dwa funty, szesnaście szylingów. Za węgiel.

Więcej niż miały w szkatule. Listopad był chłodny, zima zaś będzie na pewno mroźna. Mara nie dała się ponieść gniewowi czy poddać panice.

Odzyska panowanie nad sytuacją.

Sięgnęła po zwięzły liścik księcia, odwróciła kartkę i sięgnęła po pióro, maczając je starannie w atramencie. Napisała:

*Dziesięć funtów*

Wsunęła karteczkę z powrotem do koperty. Serce podeszło jej do gardła, ale miała

poczucie władzy. Mógł dyktować warunki, ale ona dyktowała cenę. A dziesięć funtów zapewni ciepło chłopcom w domu MacIntyre przez cały rok.

Skreśliła swoje nazwisko na kopercie i napisała nazwisko księcia, a potem podała ją Lydii.

– O rachunku pomówimy jutro.

# 5

*K*rawcowa. Zaprowadził ją do krawcowej.

W środku nocy, jakby kupowanie nowych sukien stanowiło zbrodnię.

Oczywiście zakradanie się w środku nocy tylnymi drzwiami do salonu mody jednej z najsłynniejszych krawcowych na Bond Street miało posmak przestępstwa. Podobnie jak dreszcz przyjemności, jaki poczuła, przeciskając się obok niego na zaplecze, do pracowni krawieckiej. Nie mogła uniknąć zetknięcia się z nim – wielkim jak byk.

Oczywiście nie zwracała na to uwagi.

Tak samo jak nie zwracała uwagi, że był niezwykle zręczny mimo swoich rozmiarów. Tak lekko wskakiwał czy wyskakiwał z powozu, otwierał drzwi, trzymając je dla niej, jakby był baletmistrzem, a nie bokserem.

Jakby już w łonie matki został obdarzony wdziękiem.

Nie chciała jednak dostrzegać tego wszystkiego, nawet jeśli serce biło jej mocno, kiedy drzwi się za nim zamknęły i jego ogrom przytłaczał ją jeszcze bardziej w pomieszczeniu, w którym kilka lamp tylko pogłębiało wrażenie mroku.

– Co tu robimy?

– Nie musisz szeptać. Hebert wie, że mamy przyjść.

Spojrzała na niego spod oka.

– Czy wie po co?

Nie patrząc jej w oczy, szedł dalej, wymijając puste stanowiska krawcowych.

– Sądzę, że przypuszcza, iż zamierzam ubrać kobietę, utrzymując tę sytuację w sekrecie.

Szła za nim.

– Często to robisz?

Zatrzymał się i o mało na niego nie wpadła. Obejrzał się przez ramię.

– Mam powody, żeby utrzymywać stosunki z kobietami w tajemnicy.

Znowu stanął jej przed oczami obraz młodego, przystojnego Temple'a o zawadiackim uśmiechu i śmiałych dłoniach, kuszącego ją szerokimi ramionami i czarnymi oczami. Nie potrzebował tajemnic. Kobiety zapewne same mu się narzucały. Odsunęła te myśli od siebie.

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

– W dużym stopniu zawdzięczam to tobie. – Wsunął się za ciężką kotarę do przymierzalni, a ona za nim.

Powinna się spodziewać jakiejś aluzji do tego, że kiedyś prowadził inne życie jako syn i dziedzic jednego z najbogatszych i najbardziej szanowanych książąt w Brytanii. Nadal

miał bogactwo, ale korzystał z niego, kryjąc się w cieniu. Stracił szacunek.

Z jej powodu.

Stłumiła poczucie winy.

– Kiedy dostanę pieniądze?

– Kiedy nasze porozumienie wejdzie w życie.

– Skąd mam wiedzieć, że dotrzymasz słowa?

Patrzył na nią długą chwilę i pomyślała, że nie należało podawać w wątpliwość jego honoru.

– Musisz mi zaufać.

Skrzywiła się.

– Nigdy nie spotkałam arystokraty, który byłby godzien zaufania.

Bywali zrozpaczeni, gniewni, nadużywający władzy, pożądliwi i pełni pogardy. Ale nigdy honorowi.

– Więc powinnaś się cieszyć, że rzadko jestem uznawany za arystokratę. – Odwrócił się od niej. Rozmowę uznał za skończoną.

Weszła za nim do przymierzalni madame Hebert. Właścicielka salonu już czekała, jakby nie miała nic lepszego do roboty, jak czekać na księcia Lamont.

Jego słowa, które wciąż brzmiały w jej uszach, w salonie okazały się prawdziwe. Madame Hebert przyszła nie dla księcia Lamont. Przyszła dla jednego z możnych i potężnych właścicieli legendarnego londyńskiego kasyna gry.

– Temple – powitała go i, wspiąwszy się na palce, ucałowała w oba policzki. – Ty wielka, przystojna bestio. Gdyby chodziło o kogoś innego, pewnie odmówiłabym tej prośbie. – Uśmiechnęła się, a jej twarz wyrażała radość. Mówiła z wyraźnym francuskim akcentem. – Ale tobie nie potrafię się oprzeć.

Mara o mało nie zmarszczyła nosa, kiedy Temple zachichotał.

– Nie możesz oprzeć się Chase'owi.

Hebert roześmiała się; jej głos brzmiał jak kryształ.

– Cóż, każda kobieta interesu musi wiedzieć – jak powiadacie wy, Anglicy – z której strony smaruje się chleb.

Mara ugryzła się w język, żeby nie zapytać, czy sam Temple nie przysłał krawcowej sporej liczby klientek. Co ją to obchodziło.

A potem Mara już nie mogła się odezwać, ponieważ spojrzenie ciemnych oczu słynnej krawcowej przesunęło się na nią.

– Ta jest piękna.

Nikt jej nigdy nie opisał w ten sposób. Cóż, może ktoś, kiedyś, raz… całe życie temu… ale nikt od tamtej nocy, kiedy uciekła.

Jeszcze jedna rzecz, która się zmieniła.

Krawcowa się myliła. Mara miała dwadzieścia osiem lat, spracowane dłonie i więcej zmarszczek wokół oczu, niż miała ochotę policzyć. Nie była umalowana, wystrojona i śliczna jak kobiety, które widziała w Upadłym Aniele tamtej nocy, ani taka drobna, jak prawdziwe damy, ani też nie posługiwała się takim językiem jak one.

Z pewnością nie była piękna.

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale pierwszy odezwał się Temple, zupełnie nie

zwracając uwagi na komplement.

– Potrzebuje ubrań.

Mara pokręciła przecząco głową.

– Nie potrzebuję ubrań.

Francuzka już zapalała świece wokół niskiego podium na środku pokoju, jakby w ogóle nie usłyszała słów Mary.

– Proszę zdjąć płaszcz. – Krawcowa rzuciła Temple'owi szybkie spojrzenie. – Cała wyprawka?

– Pół tuzina eleganckich sukien. Sześć dziennych.

– Ja nie… – zaczęła Mara, ale madame Hebert nie dała jej dokończyć.

– To nie wystarczy na dwa tygodnie.

– Ona nie będzie więcej potrzebować.

Mara zmrużyła oczy.

– Ona jest nadal obecna, chyba się nie mylę? W tym pokoju?

Krawcowa uniosła brwi ze zdumienia.

– *Oui*, panno…

– Nie musisz na razie znać jej imienia – wtrącił Temple.

Na razie. Ten krótki zwrot wyrażał bardzo dużo. Pewnego dnia krawcowa pozna jej imię i jej historię. Ale nie dzisiaj i nie jutro, kiedy będzie szyć suknie na zgubę Mary.

Hebert skończyła zapalać świece, każdy płomyk dokładał się do kręgu złotego światła, do którego Mara, jak się domyślała, miała wstąpić. Sięgnąwszy do kieszeni, krawcowa wyciągnęła miarkę i zwróciła się do Mary:

– Panienko. Płaszcz. Musisz go zdjąć.

Mara ani drgnęła.

– Zdejmij go. – Słowa Temple'a brzmiały groźnie w mroku. On sam już zdjął wierzchnie okrycie i usiadł na kanapie. Oparł nogę w kostce na udzie drugiej i położył wielki, szary płaszcz na kolanach. Jego twarz kryła się w cieniu.

Mara zaśmiała się gorzko.

– Przypuszczam, że tobie wydaje to się takie proste? Rozkazujesz, a kobiety po prostu wyskakują ze skóry, żeby cię zadowolić?

– Jeśli chodzi o zdejmowanie damskich ubrań, to owszem, często tak to właśnie wygląda. – Wypowiadał słowa leniwie. Mara miała ochotę tupnąć nogą.

Zamiast tego odetchnęła głęboko, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Z kieszeni spódnicy wydobyła mały czarny notesik i ołówek.

– Ile zwykle kosztuje cię rozbieranie kobiety?

Miał minę, jakby połknął wielkiego owada. Parsknęłaby śmiechem, gdyby nie była taka wściekła. Kiedy doszedł do siebie, powiedział:

– Mniej niż dziesięć funtów.

Uśmiechnęła się.

– Och, czyżbym wyraziła się niejasno? To była tylko wyjściowa cena wieczoru.

Otworzyła notes, udając, że studiuje pustą kartkę.

– Myślę, że przymierzanie to kolejne… pięć funtów, powiedzmy?

Parsknął gniewnie.

– Dostaniesz kolekcję najbardziej pożądanych sukien w Londynie i jeszcze mam ci za to płacić?

– Nie da się zjeść sukni, Wasza Wysokość – zauważyła tonem guwernantki.

Podziałało.

– Funt.

Uśmiechnęła się.

– Cztery.

– Dwa.

– Trzy funty i dziesięć szylingów.

– Dwa i dziesięć.

– Trzy.

– Jesteś zawodową wyłudzaczką.

Uśmiechnęła się i znowu zajrzała do notesu, lekko oszołomiona. Nie spodziewała się więcej niż dwa funty.

– A zatem trzy.

– No, dalej – powiedział. – Ściągaj płaszcz.

Włożyła notes z powrotem do kieszeni.

– Jesteś hojnym księciem, doprawdy. – Zdjęła płaszcz, podeszła do kanapy, na której siedział, i położyła go na poręczy kanapy. – Sukienkę też mam zdjąć?

– Tak. – Odpowiedź padła z ust krawcowej i Mara mogłaby przysiąc, że w oczach Temple'a błysnęło zaskoczenie, które po chwili ustąpiło rozbawieniu.

Pomachała mu palcem przed nosem.

– Żebyś się nie odważył śmiać.

Jedna ciemna brew strzeliła do góry.

– A gdybym?

– Muszę cię wymierzyć, panienko, i dlatego chcę, żebyś miała na sobie jak najmniej. Może latem, w bawełnianej sukni, ale teraz… – Nie musiała kończyć. W końcu listopada już było przeraźliwie zimno. Mara miała na sobie wełnianą koszulę i wełnianą suknię.

Oparła ręce na biodrach, patrząc na Temple'a:

– Odwróć się.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie.

– Nie wyraziłam zgody, żebyś mnie upokarzał.

– Kupiłem ją – stwierdził, rozpierając się wygodnie na kanapie. – Rozluźnij się. Hebert ma nienaganny gust. Pozwól, żeby cię ubrała w jedwabie i satyny, a ja za to zapłacę.

– Myślisz, że za trzy funty możesz mną dysponować?

– Nawet nie udaję, że myślę, iż zawsze będziesz uległa. Ale spodziewam się, że dotrzymasz umowy. Danego słowa. – Przerwał. – I pomyśl, kiedy wszystko się skończy, będziesz miała tuzin nowych sukien.

– Dżentelmen uszanowałby moją skromność.

– Częściej obdarzano mnie epitetem szubrawca.

Teraz z kolei ona uniosła brew.

– Nie wątpię, że w ciągu naszej znajomości nazwę cię dużo, dużo gorzej.

Wtedy się roześmiał. Ciepły, gardłowy śmiech – obietnica. Nie powinien jej się ten dźwięk tak podobać.

– Bez wątpienia. – Zniżył głos. – Z pewnością znajdziesz w sobie dość siły, żeby znieść moją obecność, kiedy będziesz w bieliźnie. Masz nawet przyzwoitkę.

Ten człowiek doprowadzał ją do szału. Do furii. Chciała go uderzyć. Nie. To zbyt łatwe. Chciała go poskromić. Wygrać z nim w tej walce umysłów… w słownej grze, w której zapewne zawsze wygrywał. Bo to za mało, być silnym na ringu. Poza ringiem też musiał być silny – mieć nie tylko zręczne ciało, ale też sprawny umysł.

Przez długie lata rządzili nią mężczyźni. Kiedy była dzieckiem, ojciec nie pozwalał jej żyć tak, jak chciała, dyktując jej każdy krok poprzez armię szpiegujących służących, płaczliwe niańki i zdradzieckie guwernantki. Gotów był sprzedać ją mężczyźnie trzy razy od niej starszemu, który z pewnością okazałby się równie władczy jak ojciec, więc uciekła.

Ale nawet kiedy uciekła, kiedy zamieszkała w dzikich ostępach Yorkshire, a potem na brudnych londyńskich ulicach, nigdy nie uwolniła się od władzy tych mężczyzn. Nie mogła się z niej otrząsnąć – kontrolowali ją, nawet o tym nie wiedząc. Napawali ją strachem – strachem, że zostanie odkryta i zmuszona do życia, od którego tak rozpaczliwie chciała uciec. Strachem, że utraci samą siebie. Że utraci wszystko, co zdobyła własną pracą.

O co walczyła.

Wszystko, co ryzykowała.

A teraz, chociaż obiecała sobie, że dostanie to, na czym jej zależy, nie mogła pozbyć się uczucia, że ten mężczyzna jest kolejnym z długiego szeregu mężczyzn, którzy dzierżyli władzę jak oręż.

Tak, chciał zadośćuczynienia i może mu się ono należało. Tak, mogła przystać na jego żądania i oddać się w jego ręce. Tak, uszanuje dane mu słowo i ich umowę, ale będzie musiała spojrzeć sobie w twarz, kiedy wszystko zostanie powiedziane i dokonane.

I niech ją diabli, jeśli będzie się go bała.

Był zarozumiały, pewny siebie i bardzo chciała utrzeć mu nosa.

Nawet jeśli to oznaczało, że teraz będzie musiała się rozebrać.

Może nie należało tego mówić. Może należało przełknąć te słowa. Może by to zrobiła, gdyby jej tak nie zirytował. Może gdyby wiedziała, co się stanie, kiedy on te słowa usłyszy… ugryzłaby się w język.

Ale to nie miało już znaczenia. Odwróciła się, pomaszerowała z powrotem do kręgu złotego światła, zajęła miejsce na podium, odwróciła się twarzą do niego i pozwoliła krawcowej porozpinać haftki i guziki sukni.

Wpatrywała się, bez mrugnięcia okiem, w ciemność i wyobraziła sobie wyraz triumfu na jego twarzy. Wtedy mimo wszystko się odezwała:

– Przypuszczam, że to bez znaczenia. Ostatecznie nie po raz pierwszy widzisz mnie w bieliźnie.

Co, do diabła…

Świat wokół niego zamarł. Nie mogła chyba powiedzieć tego, co mu się wydawało, że

powiedziała. Nie mogła mieć na myśli tego, co sądził, że miała na myśli.

Tylko że najwyraźniej tak było. Jej twarz wyrażała pewność siebie, a w jej niebiesko-zielonych oczach pojawiły się iskry, jakby czekała całe życie, żeby dać mu nauczkę.

Może jej się udało.

Pochylił się naprzód, stawiając mocno obie nogi na podłodze. Był teraz widoczny w blasku świec.

– Co powiedziałaś?

Uniosła brew, wiedział, że z niego kpi.

– Masz jakiś problem ze słuchem, Wasza Wysokość?

Była najbardziej niebezpieczną, szkodliwą, nieznośną kobietą, jaką znał. Sprawiała, że miał ochotę powywracać delikatne, obite aksamitem mebelki w tym kobiecym sanktuarium i podrzeć na sobie ubranie z irytacji.

Już miał wstać i zmusić ją, żeby się wytłumaczyła, kiedy zapięcia jej sukni się poddały i materiał spłynął do jej stóp. Została jedynie w jasnej, wełnianej koszuli i skromnym gorsecie.

I wtedy nie był już w stanie się poruszyć.

Niech to diabli.

Francuzka krążyła wokół Mary, przyglądając jej się uważnie, podczas gdy Temple usiłował odzyskać zdolność mówienia.

Hebert odzyskała ją pierwsza.

– Będzie potrzebowała także bielizny.

Temple nie mógł się z nią zgodzić. Mara w ogóle nie potrzebowała bielizny. W istocie wolałby, żeby już nigdy nie włożyła na siebie żadnej.

Ani zresztą niczego innego.

Dobry Boże.

Była doskonała.

A także kłamała.

Bo gdyby ją widział w bieliźnie – w czymś takim, jak teraz – pamiętałby o tym.

Pamiętałby zarys jej piersi, piegi na nich, te piękne okrągłości zakończone… nie mógł tego zobaczyć, ale wiedział, że jej sutki są równie doskonałe jak całe piersi.

Zapamiętałby te piersi.

Czy na pewno?

„Ostatecznie nie po raz pierwszy widzisz mnie w bieliźnie”.

Zamknął oczy, wytrącony z równowagi – nie mógł przywołać wspomnienia. Była jakaś kobieta, bardziej wyobrażenie niż osoba z krwi i kości. Fragment wspomnienia.

Szeroki uśmiech. Dziwne, podniecające oczy.

– Czy są rude?

Słowa krawcowej padły jak wystrzał w cichym, ciemnym pomieszczeniu. Mara drgnęła, przestraszona.

– Słucham?

– Twoje włosy – odparła Hebert. – Blask świec bywa zwodniczy. Ale są rude, prawda?

Mara pokręciła głową.

– Są brązowe.

Jedwabisty wodospad kasztanowych loków.

– Są kasztanowe – powiedział Temple.

– Nie wyglądasz na mężczyznę, który zauważyłby różnicę. – Nie chciała na niego patrzeć, wolała obserwować szczupłą Francuzkę, która teraz klęczała u jej stóp.

– Zauważam więcej, niż sobie wyobrażasz.

Te włosy jawiły mu się we wspomnieniach przez dwanaście lat. Niezliczoną ilość razy uznawał, że nie były prawdziwe. W najgorszych chwilach myślał, że je sobie wymyślił. Że wymyślił ją. Żeby zachować coś dobrego z tamtej nocy.

Ale ona istniała naprawdę.

Wiedział, że Mara jest kluczem do tamtej nocy. Że ona pamięta więcej niż on. Że jest jego jedyną szansą, żeby się pozbierać po tamtej katastrofie. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że była z nim dłużej niż koniecznie trzeba, żeby go zniszczyć.

Może nie była. Może kłamała. Może odurzyła go i zostawiła, żeby odwrócić uwagę świata, podczas gdy sama uciekła Bóg jeden wie dokąd, a tymi słowami chciała go tylko dręczyć.

Nie kłamała.

Tego był pewien, jak mało czego.

Ale prawda nie wiedzieć czemu sprawiła, że czuł się jeszcze gorzej. Ponieważ zostawiła go bez wspomnień tamtej nocy.

Bez wspomnień o niej.

Musiał się wziąć w garść. Odzyskać panowanie nad sytuacją. Zmusił się, żeby usiąść wygodnie. Nie może dostrzec jego wzburzenia.

– Zauważyłem, na przykład, że nigdy nie nosisz rękawiczek.

Jak u marionetki, jej dłonie złączyły się, mocno się zaciskając.

– Kiedy pracuje się na utrzymanie… nie nosi się ich.

Nie musiała pracować. Mogła zostać księżną.

Chciał odpowiedzi. Nie mógł się doczekać.

– Wszystkie guwernantki, jakie znałem, nosiły rękawiczki. – Patrzył na jej ręce, wiedząc, że są zniszczone, że miejscami stwardniała na nich skóra, że kostki palców poczerwieniały od chłodu. To były ręce, które znały pracę.

Wiedział, bo jego ręce wyglądały tak samo.

Jakby słyszała jego myśli, opuściła ręce, wyprostowane z obu stron ciała.

– Nie jestem zwyczajną guwernantką.

Bez wątpienia.

– Nie wyobrażałem sobie, że możesz być zwyczajna w jakiejkolwiek roli.

Madame Hebert wstała, przeprosiła i zostawiła ich samych w pokoju. Mara milczała długą chwilę.

– Czuję się trochę tak, jakby składano mnie w ofierze – odezwała się w końcu.

Rozumiał dlaczego. Podium spowijało ciepłe, złote światło, reszta pokoju pozostawała w ciemności. W swojej skromnej, jasnej bieliźnie mogłaby grać rolę niewinnej dziewicy, która zaraz zostanie wrzucona do krateru wulkanu.

Dziewica.

To słowo go zastanowiło.

Czy oni…

Pytanie rozpłynęło się w wizji jej nagiego, doskonałego ciała, leżącego na śnieżnobiałej pościeli. W ustach mu zaschło… Zastanawiał się, od czego by zaczął. Długa szyja, krągłe piersi, wzniesienie brzucha, tajemnice ukryte między, jak wiedział, długimi, cudownie kształtnymi udami.

Zacząłby tam.

Wstał i ruszył w jej stronę, nie mogąc się powstrzymać, jak ciągnięty na mocnej lince wędki. Otoczyła się ramionami, zauważył na nich gęsią skórkę.

Ogrzałby ją.

– Zimno ci? – zapytał.

– Tak – odparła śmiało. – Jestem półnaga.

Kłamała. Nie marzła. Bała się.

– Nie sądzę.

Zerknęła na niego z ukosa.

– To może sam zdejmiesz ubranie i sprawdzisz, jak się będziesz czuł?

Powiedziała to, zanim zdążyła pomyśleć. Zanim zdołała – lub zdołał – uświadomić sobie, co to mogło oznaczać. Ciekawość. Frustrację. Coś więcej. Zatrzymał się tuż przed kręgiem światła, w którym stała, nie mogąc ukryć twarzy.

– Czy zrobiłem to przedtem? – zapytał ostrzejszym tonem, niż zamierzał. Słowa niosły więcej znaczenia, niż się spodziewał.

Spojrzała w dół, na swoje stopy. W ślad za tym spojrzeniem przesunął wzrok na jej palce w pończochach. Milczała, więc naciskał dalej.

– Tamtego ranka obudziłem się nagi. Nagi i umazany cudzą krwią. Bardzo dużo tej krwi – stwierdził, chociaż krew nie wydawała się taka ważna. Wstąpił w krąg światła. – To nie była twoja krew.

Pokręciła głową, w końcu patrząc na niego.

– Nie moja.

– Czyja więc?

– Świńska.

– Dlaczego?

– Nie sądziłam, że…

Niech to. Nie chciał przeprosin. Chciał prawdy.

– Dość. Gdzie było moje ubranie?

Znowu pokręciła głową.

– Nie wiem. Dałam je…

– Bratu, bez wątpienia. Ale dlaczego?

– My… ja… – zawahała się. – Myślałam, że jeśli będziesz nagi, to nie zaczniesz mnie od razu szukać. Zyskam więcej czasu, żeby uciec.

– Czy tak? – Stwierdził, że odpowiedź go rozczarowała. Czego się spodziewał? Że wyzna, iż nie była w stanie mu się oprzeć?

Być może.

Nie. Do diabła. Same z nią problemy.

Nie wiedział już, czego chce od tej kobiety.

– Byłem nagi, Maro. Pamiętam twoje rozpuszczone włosy. Twoje ciało nade mną. – Zarumieniła się w świetle świec, a on znowu dokładnie wiedział, czego od niej chce. Stanął na małym, okrągłym podium, jakimś cudem – na który żadne nie zasłużyło – nie dotykając jej. – Czy my…

– *Excusez moi*, Wasza Wysokość.

Nie zawahał się, nie poruszył. Nie obejrzał za siebie.

– Chwileczkę, Hebert.

Francuzka wycofała się bezszelestnie.

Otoczył Marę ramieniem w talii, nienawidząc samego siebie za delikatność tego ruchu. Przyciągnął ją mocno do siebie, jej piersi napierały na jego tors. Jej uda przycisnęły się do jego ud.

Westchnęła, ale w tym dźwięku nie usłyszał strachu.

Dobry Boże, nie bała się go. Kiedy ostatnim razem trzymał w objęciach kobietę, która się go nie bała?

Ostatni raz był wtedy, gdy trzymał w ramionach ją.

– Zrobiliśmy to, Maro? – Szeptał przy jej uchu, tak blisko, że wargami muskał ciepłą skórę. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie chwycić delikatnie płatka ucha zębami, aż zadrżała z przyjemności.

Nie ze strachu.

– Pieprzyliśmy się?

Zesztywniała na to słowo, jakby oparzyło wrażliwą skórę jej szyi. Ogarnęło go poczucie winy, nawet jeśli nie chciał się do tego przyznać. Nawet jeśli nie miał ochoty żałować, że rzucił jej w twarz obelgę.

Nie musiał.

Potrafiła walczyć o swoje. Odwróciła głowę, dotykając miękkimi wargami jego ucha, całując go lekko raz i drugi, zanim uchwyciła małżowinę zębami, wzbudzając w nim falę pożądania. Dobry Boże, pragnął tej kobiety bardziej niż czegokolwiek w życiu. Nawet jeśli wiedział, że to trucizna.

Nawet jeśli dowiodła tego, odsuwając wargi i budząc w nim gwałtowną tęsknotę za ich powrotem. Zapytała:

– Jeśli ci powiem, przerwiesz tę grę? Zapomnisz o długu?

Była najzręczniejszym przeciwnikiem, jakiego kiedykolwiek do spotkał.

Ponieważ w tym momencie naprawdę był gotów to uczynić. Wybaczyć i pozwolić jej uciec. Może zrobiłby to, gdyby przywróciła mu pamięć.

Ale mu ją odebrała.

– Och, Maro – westchnął, odsuwając się powoli, pełen złości i uczucia, które przypominało rozczarowanie. Opanował to pierwsze i zignorował drugie. – Nic, co powiesz, nie sprawi, że ci wybaczę.

Zszedł z podium i zawołał Hebert, chowając się w mroku.

Krawcowa pojawiła się znowu, niosąc zwoje atłasu i koronek.

– *Mademoiselle, s'il vous plait* – powiedziała, podchodząc do Mary i dając jej znak, że powinna włożyć przyniesiony strój. Mara zawahała się, ale Temple zauważył, że patrzy na suknię głodnym wzrokiem, jakby nie jadła od wielu dni i w rękach Francuzki

zobaczyła jedzenie.

Zaczęła wsuwać suknię przez głowę, szukając ramionami rękawów. Temple wziął głęboki oddech i spojrzał na krawcową.

– Nie chcę, żeby nosiła czyjeś stroje. Wszystko ma mieć uszyte na miarę. Przez ciebie.

Madame Hebert rzuciła Temple'owi szybkie spojrzenie.

– Oczywiście. Suknia jest szykowna. Wyraziłeś życzenie obejrzenia kolekcji.

Mara zaprotestowała gniewnie, wysuwając w końcu głowę na światło.

– Nie wystarczy, że upokarzasz mnie, zostając w pokoju, kiedy przymierzam stroje? Musisz jeszcze sam je wybierać?

Hebert upinała już dół sukni, ukazując Temple'owi Marę spowitą we fiołkową materię, trochę za ciasną w gorsie, trochę za luźną w talii, ale bez wątpienia suknię.

Nigdy nie żywił przekonania, że suknia może zdobić kobietę. Kobiety to kobiety. Jeśli były atrakcyjne, to były takie niezależnie od tego, co miały na sobie. A jeśli nie były atrakcyjne, cóż… suknia to nie czarodziejska różdżka.

A jednak ta suknia, zdało mu się, sprawiała czary pięknym krojem i lśnieniem atłasu w blasku świec, a także kolorytem, który podkreślał bladość cery dziewczyny, współgrając z rudym połyskiem jej włosów i zielenią oczu.

Do diabła. Takie myśli przychodzą do głowy tylko kobietom.

Stała przed nim Mara, jakiej dotąd nie znał. Ta, z jaką nigdy formalnie się nie spotkał. Ta, która wychowała się wśród bajecznych bogactw, mając Londyn u swych stóp. Ta, która miała zostać księżną Lamont.

I niech go diabli, jeśli w tej sukni nie wyglądała jak prawdziwa księżna.

Za bardzo jak księżna.

Za bardzo jak dama.

Za bardzo jak kobieta, którą Temple chciałby…

Nie.

– Dekolt powinien być głębiej wcięty.

– *Mais non*, Wasza Wysokość – sprzeciwiła się krawcowa. – Dekolt jest doskonały. Proszę zwrócić uwagę, jak podkreśla, nie pokazując.

Miała, oczywiście, rację. Dekolt był idealny, pięknie wycięty, tak żeby wabić bez wulgarności. Zauważył od razu, kiedy Mara włożyła strojną suknię, jak wspaniale ukazywał te piękne, ozdobione piegami piersi. W taki sposób, że miałby ochotę skatalogować każde z owych maleńkich znamion.

Istotnie, dekolt był doskonały.

Ale on nie chciał doskonałości.

Chciał kompromitacji.

– Głębiej.

Krawcowa spojrzała na Marę i Temple zapragnął, żeby ta zaprotestowała. Stawiała opór. Walczyła. Nalegała, żeby dekolt sukni zostawić taki, jaki jest.

Czułby się wtedy lepiej.

Miał wrażenie, że ona o tym wie. Wiedziała, że on chce, żeby walczyła. Ponieważ stała wyprostowana, z pochyloną w geście posłuszeństwa – ale nie skromności – głową, i milczała.

Przez co czuł się stokrotnie większym durniem.

– Jak długo? – warknął na krawcową.

– Trzy dni.

Kiwnął głową. Trzy dni wystarczą.

– Potrzebuje także maski.

– Po co? Czyż nie chodzi właśnie o to, żeby mnie zdemaskować? – Mara odezwała się zamiast krawcowej, zdradzając tonem głosu urazę, że wykluczono ją z rozmowy. – Po co mnie ukrywać?

Spojrzał jej w oczy. Ona była topolą, on burzą. Nie złamie jej. Poczuł podziw, ale nie dopuścił, żeby to zauważyła. Zrujnowała go. Okradła.

– Będziesz się ukrywać, póki nie zdecyduję, że masz się ujawnić.

Znieruchomiała.

– Dobrze. – Krawcowa zaczęła rozpinać suknię, a on zazgrzytał zębami, kiedy suknia się z niej zsunęła, wdzięczny, że Mara przycisnęła ją do piersi, zanim znowu zobaczył ją półnagą. – Powiedz mi, Wasza Wysokość, czy już zawsze mam się rozbierać w twojej obecności?

W pokoju było duszno i wilgotno, a on zatęsknił za walką. Nie sądził, żeby mógł znowu znieść widok Mary w bieliźnie.

Skłonił głowę.

– Zapewnię ci prywatność, z przyjemnością. – Ruszył w stronę frontowej części salonu, ale przystanął, zanim przeszedł za kotarę. – Gdy wrócę – ostrzegł – lepiej, żebyś była gotowa powiedzieć mi prawdę o tamtej nocy. Nie znikniesz mi z oczu, póki się nie dowiem. To nie podlega dyskusji.

Nie czekając na odpowiedź, wszedł do salonu, gdzie pod ścianami ciągnęły się regały z belami materiału i koronek. Wciągnął głęboko powietrze w słabo oświetlonym wnętrzu, przesuwając dłonią po szklanej gablocie i czekając na sygnał, że może wrócić.

Że jest znowu ubrana.

Że puszka Pandory jest z powrotem zamknięta.

Sięgnął do stojącego na gablocie koszyka i wyciągnął z niego długie, ciemne ptasie pióro. Przesuwał po nim palcami obolałej ręki, zdumiewając się jego miękkością. Zastanawiał się, jakby wyglądało w jej włosach. Przy jej skórze.

W jej palcach obok jego dłoni.

Upuścił pióro, jakby go oparzyło, i odwrócił się w stronę przymierzalni. Madame Hebert stała w progu.

– Zielona – rzuciła.

Nie obchodził go kolor jej strojów. Nie zamierzał poświęcać jej aż tyle uwagi.

– Fiołkową też chcę – powiedział jednak. – Tę, którą mierzyła.

Lata praktyki sprawiły, że madame Hebert po mistrzowsku ukrywała swoje myśli.

– Zielony pasuje do niej bardziej niż jakikolwiek inny.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał, wyobrażając sobie Marę w zielonej sukni. W atłasach, koronkach, bieliźnie. W eleganckich koszulkach, sztywnych gorsetach i jedwabnych pończochach z haftem po bokach.

Zapłaciłby niezłe pieniądze, żeby zobaczyć jej nogi.

Być może już je widział.

Znowu ogarnęła go irytacja. Złościło go, że ma przed nim tajemnice. Tajemnice, które w takim samym stopniu były jej jak jego.

– Ubierz ją w taki kolor, jaki ci się podoba. Nie obchodzi mnie to. – Ruszył, żeby wyminąć krawcową. – Ale fiołkową też przyślij.

– Temple. – Na dźwięk własnego imienia w ustach Hebert się zatrzymał. Odwrócił się z jedną ręką na kotarze. – Ubierałam dziesiątki twoich kobiet.

– Kobiet Upadłego Anioła. – Z jakiegoś powodu musiał to dodać.

Nie sprzeczała się z nim.

– Ta jest inna niż tamte – zauważyła.

To było poważne niedomówienie.

– Nie jest.

– Ubranie – ciągnęła Francuzka – ma niezaprzeczalną moc. Może wszystko zmienić.

Bzdura, ale nie miał ochoty kłócić się z krawcową o to, co stanowiło jej domenę, więc pozwolił jej skończyć.

– Obyś był pewien tego, o co prosisz.

Właśnie to mu było potrzebne do szczęścia. Francuska krawcowa mówiąca zagadkami.

Przeszedł za kotarę, zerkając na podium, gdzie przedtem stała Mara w pięknej sukni, wysoka i dumna.

Teraz było puste.

W pustym pokoju.

Niech to diabli.

Uciekła.

# 6

*T*rzy minuty. Może mniej.

Tyle miała czasu, żeby się ukryć, zanim zacznie jej szukać.

Gdyby ją złapał, wieczór stałby się jeszcze gorszy.

Jakby już taki nie był.

Mara opatuliła się ciasno płaszczem, wdzięczna Lydii za to, że przekonała ją do kupna ciepłego zimowego okrycia na wycieczki z chłopcami, i pobiegła uliczką za pracownią krawiecką, usiłując znaleźć jakiś zakątek, gdzie mogłaby się ukryć i poczekać, aż on odjedzie. Pobiegła, kiedy jego woźnica akurat nie patrzył w jej stronę. Choć raz szczęście jej sprzyjało.

A teraz kryjówka.

Im bliżej salonu mód, tym lepiej.

Temple pomyśli, że uciekła. Obliczy czas i odległość, jaką mogła pokonać, i przeszuka okolicę w tym promieniu. Ona musi teraz po prostu gdzieś się zaszyć i spokojnie poczekać, aż Temple ją minie.

Nie będzie się spodziewał, że może być tak blisko.

W ciągu ostatnich dwunastu lat nauczyła się ukrywać. Prawdę mówiąc, nauczyła się tego w ciągu pierwszych dwunastu godzin po ucieczce. Teraz jednak nie miała dobrze opłaconego woźnicy dyliżansu ani zastępu ludzi gotowych jej pomóc. Teraz znalazła się w Mayfair w środku nocy. I zrobiła sobie wroga z jednego z najpotężniejszych ludzi w Londynie.

Gdyby ją złapał, zmusiłby ją zapewne do powiedzenia prawdy.

Ale prawda o tamtej nocy – o jej życiu – była jej jedyną bronią. Niech ją diabli, jeśli tak łatwo wydobędzie z niej tę prawdę.

Jednak nie dlatego zbiegła przed nim. Uciekła, ponieważ bała się, że nie zdoła mu się oprzeć, wbrew temu, co przedtem sądziła.

Serce zaczęło bić jej szybciej.

Bogu dzięki za przedziwną architekturę Mayfair. Szybko się zgubiła w labiryncie uliczek i w końcu schowała się za stosem nie wiadomo czego, usiłując nie wciągać zbyt mocno powietrza, żeby nie czuć smrodu.

Nawet arystokracja produkuje odpadki.

Z jej doświadczenia wynikało, że arystokracja produkowała więcej odpadków niż inne klasy. A to, czego się pozbywali, akurat nie było tym najgorszym.

Pokarm jednych bywa trucizną dla drugich.

Kroki.

Ciężkie, męskie kroki.

Przycisnęła czoło do kolan, marząc, żeby się skurczyć. Znieruchomiała, starając się nie tylko nie poruszyć, ale nawet nie oddychać. Czekając, żeby poszedł dalej.

Odgłos kroków ucichł. Zerwała się na nogi, wiedząc, że teraz jest najważniejszy moment. Że musi biec. Daleko i szybko. W przeciwną stronę.

To nie mogło się udać. Byli ze sobą zbyt związani.

Tylko tej nocy. Żeby miała czas pomyśleć. Przegrupować się. Obmyślić strategię. Przystąpić do wojny.

Wciągnęła głęboko powietrze, żeby się uspokoić, i rzuciła biegiem uliczką. Przebiegła nie więcej niż pięć stóp i zderzyła się ze ścianą ludzkiego ciała.

Temple.

Ale to nie był on. Bo budził w niej wiele uczuć – wściekłość, frustrację, irytację – ale nigdy strach.

W przeciwieństwie do mężczyzny, który trzymał ją teraz w bolesnym uścisku. Czuła jego smród.

– No, no, co my tutaj mamy?

Znieruchomiała, jak królik schwytany w pułapkę. Mężczyzna odrzucił ją do swojego kompana, który ścisnął ją jak imadło, podczas gdy pierwszy przyglądał jej się od głów do stóp i z powrotem. Kiedy skończył, uśmiechnął się pożądliwie, ukazując zepsute zęby.

– Jesteśmy największymi szczęściarzami w Londynie tej nocy. Dziewucha sama wpada nam w ręce.

Ten, który ją trzymał, pochylił się i wyszeptał do ucha straszne słowa. Dotarły do niej na fali kwaśnego oddechu.

– Zaraz w nich się znajdziesz.

Te słowa przywróciły jej siłę, zaczęła się szarpać, kopać i krzyczeć, ale zbir przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej i smród od niego bijący – alkohol i pot, woń niepranego ubrania – poraził jej zmysły.

– Nie lubimy, kiedy dziewczyna się stawia – szepnął jej do ucha.

– Cóż – odszczeknęła się. – To macie kłopot, bo będę się stawiać.

Pchnął ją na kamienną ścianę domu tak mocno, że straciła oddech. Wiła się w panice pod jego ręką, nie mogła już krzyczeć.

Nie mogła zaczerpnąć powietrza.

Nie mogła oddychać.

Wiedziała, że nie zamierzał jej zabić. Zamierzał po prostu pozbawić ją tchu. Ale to wystarczyło, żeby wpadła w przerażenie.

Przerażenie zamieniło się w gniew.

Łzy napłynęły jej do oczu, szarpnęła się mocniej, chcąc uwolnić się za wszelką cenę. Wiła się i odpychała, ale wciąż ją trzymał, wolną ręką rozrywając na niej palto, aż guziki frunęły w powietrze, a potem zaczął podciągać jej spódnice. Mroźne powietrze owiewało jej kostki, łydki, kolana.

– Trzymaj ją – powiedział pierwszy, sięgając ręką do rozporka. Odzyskała jakimś cudem oddech i przestała bać się śmierci. Bała się czegoś innego. Gorszego.

Tłukła pięściami w ramiona zbira, ale był od niej silniejszy. Zmieniła taktykę. Macała

palcami podszewkę palta, szukając noża i usiłując się uspokoić. Usiłując się skupić.

Znalazła nóż i w tym samym momencie ręce tego pierwszego wczepiły się w jej nogę powyżej kolana. Zamknęła oczy, ale oczyma wyobraźni widziała jego brudną łapę na swojej nodze. Wyciągnęła nóż.

Ale napastnik zobaczył nóż, zanim zdążyła go użyć.

Był dla niej za silny.

Wyrwał nóż z ręki Mary i przycisnął do jej gardła.

– Głupia dziewczyna. Taka broń jest zbyt niebezpieczna dla panienek.

Panika przemieniła się w horror.

A w chwilę potem już go nie było. Nóż wylądował z łoskotem na bruku. Uwolnieniu od ciężaru ciała zbira towarzyszył przerażający ryk, który przeraziłby ją w innych okolicznościach, ale teraz sprawił jej nieopisaną ulgę.

Temple.

Była wolna, napastnik puścił ją w chwili, kiedy zjawił się książę. Najpierw usiłował ratować kompana, ale teraz stał z boku, nie mogąc oderwać oczu od walki. Mara odskoczyła od ściany, skuliła się, przyciskając kolana do piersi, i także patrzyła.

Temple tłukł tamtego pięściami, przyciśniętego do ściany jak ona przed chwilą, i z pewnością równie przerażonego jak ona, podczas gdy najsłynniejszy, walczący gołymi rękami bokser Anglii wykorzystywał swoje umiejętności i siłę, żeby wymierzyć sprawiedliwość.

Ale to nie był zawodowiec, który przestrzega zasad i przepisów, czyniąc z walki sportowe widowisko.

Ten Temple był żądny krwi. Wykonywał precyzyjne, oszczędne ruchy, bez wątpienia wynik lat praktyki, wymierzając ciosy niosące ciężar jego gniewu. Uderzał raz za razem i tylko te uderzenia utrzymywały zbira w postawie stojącej.

Temple był silniejszy niż przyciąganie ziemskie.

Drugi mężczyzna doszedł do podobnego wniosku i uznał, że ratowanie przyjaciela jest mniej ważne niż ratowanie samego siebie. Rzucił się do ucieczki, omijając Temple’a.

Ale dzisiaj szczęście mu nie sprzyjało.

Temple puścił pierwszego zbira i chwycił drugiego za szyję, przewracając go na ziemię. Pierwszy wypatrzył w ciemnościach nóż Mary – zauważyła srebrny błysk w jego ręce.

– Nóż! – krzyknęła, gotowa sama przystąpić do walki. Chronić go tak, jak on chronił ją. Zanim jednak zdążyła to zrobić, Temple wyrwał nóż z rąk bandyty. Jakby broń nie mogła go zranić. Jakby nie wiedział, co to strach.

Nóż prześliznął się po bruku i zatrzymał o parę cali od jej butów. Podniosła go i ścisnęła w dłoni; nie odrywała wzroku od Temple’a.

Tym razem przemówił. Słowa, rzucane przez zaciśnięte zęby, towarzyszyły uderzeniom.

– Nigdy. Nie. Skrzywdzisz. Żadnej. Kobiety.

Mężczyzna jęknął.

Temple pochylił się i syknął:

– Co powiedziałeś?

Tamten jęknął znowu.

Temple podniósł go za klapy, po czym puścił. Zbir grzmotnął głową o bruk.

Pokręcił głową, nie otwierając oczu.

– Nigdy, nie…

Temple wymierzył kolejny cios, potem się pochylił.

– Nie, co?

– Skrzywdzę żadnej…

– Żadnej, co?

– Żadnej kobiety.

Temple opadł na kolana, oddychając ciężko i szybko.

– Wstawaj.

Mężczyzna z trudem podniósł się na nogi.

– Zabierz swojego przyjaciela łajdaka, jeśli chcesz, żeby został przy życiu.

Zbir wykonał polecenie, podniósł jęczącego kamrata i obaj wycofali się z uliczki tak szybko, jak tylko mogli.

Patrzyła, jak odchodzą, i dopiero po długiej chwili spojrzała na Temple'a. Wpatrywał się w nią, oddalony o parę stóp, nieruchomy jak kamień.

Kiedy ich oczy się spotkały, wszystko się zmieniło. Zaklął pod nosem i zaczął czołgać się powoli w jej stronę, na czworakach.

– Maro?

Dźwięk jej imienia w jego ustach, cichy i chrapliwy, wybił ją z otumanienia i zaczęła się trząść w ciemności, na brudnej londyńskiej ulicy. W parę sekund był przy niej, podniósł rękę, trzymając ją o parę cali od niej. Bliżej. Nie dotykając jej. Nie chcąc jej przestraszyć, jak sądziła. Nie chcąc się narzucać.

Ten ruch był tak delikatny, tak serdeczny, że trudno było uwierzyć, iż Temple mógł być dla niej kimś innym niż przyjacielem.

Przyszedłeś, chciała powiedzieć. Dziękuję.

Nie mogła wydobyć z siebie słów. Nie musiała, bo już wciągał ją w objęcia swoich potężnych ramion.

Po raz pierwszy od lat poczuła się bezpieczna.

Może po raz pierwszy w życiu.

Wtuliła się w niego, napawając jego ciepłem, siłą. Otoczył ją ramionami, przyciągając mocno, otaczając całym ciałem, osłaniając.

– Teraz jesteś bezpieczna – szepnął nad jej głową. – Jesteś bezpieczna. – Zakołysał jej ciałem w przód i w tył. – Oni nie wrócą. – Mówiąc to, musnął wargami jej skroń.

Wierzyła mu.

Wierzyła, słuchając jego czułego, zatroskanego głosu, rękom, które tak okrutnie się obeszły z jej napastnikami, a teraz gładziły ją delikatnie po plecach i nogach, opatulając ubraniem, przekazując ciepło tym miejscom jej ciała, które przedtem zlodowaciały ze strachu.

– Pokonałeś ich. Ich było dwóch. A ty jeden.

– Mówiłem ci, ja nie przegrywam. – Stwierdził to lekkim tonem, ale ton jej nie zmylił.

Uśmiechnęła się jednak.

– Co za arogancja.

– Nie arogancja. Prawda.

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc zdecydowała się na banalną uwagę:

– Nie masz płaszcza.

– Nie było czasu. Musiałem cię znaleźć.

I znalazł.

– Dziękuję – powiedziała zduszonym głosem.

Przyciągnął ją mocniej.

– Nie dziękuj – szepnął. – Byłem wściekły.

Uśmiechnęła się, wtulona w jego ubranie.

– Wyobrażam sobie.

– Mogę wciąż być wściekły, ale musisz poczekać, aż opanuję przerażenie.

Podniosła głowę, przeklinając ciemność, że nie widzi jego oczu.

– Przerażenie?

Odwrócił głowę.

– Nieważne. Teraz jesteś bezpieczna.

Była. Bo był przy niej.

Na pewno.

– Jak ci…

Uśmiechnął się lekko.

– Mówiłem także, że cię znajdę, jeśli uciekniesz.

Pokręciła głową, bojąc się, że się rozpłacze. Minął ją. Słyszała jego kroki.

A jednak ją znalazł.

Odsunął jej włosy ze swojej twarzy.

– Nie mogłem cię znaleźć. Wróciłem.

– Gdybyś nie…

Przyciągnął ją znowu mocno do siebie.

– Ale znalazłem – rzucił stanowczo.

Znalazł i teraz była bezpieczna.

– Dziękuję – szepnęła, wtulona ustami w pierś Temple’a, i położyła rękę na jego ramieniu. Zesztywniał i syknął z bólu.

Usiadła natychmiast, ręka zsunęła się na jego udo.

– Twoje ramię.

Pokręcił głową.

– To nic.

– To nie jest nic.

W jego kubraku było głębokie cięcie, podobne znalazła pod spodem, w koszuli, a także w jego ciele.

– Zranił cię. – Guziki surduta musiały odlecieć w trakcie walki i leżały gdzieś między kamieniami bruku. Odchyliła jedną klapę. – Zdejmij to – poleciła, rozwiązując mu fular, żeby się dostać do koszuli. – Ranę trzeba opatrzyć.

Chwycił ją za ręce.

– Nic mi nie jest.

– Jest – sprzeciwiła się, ogarnięta poczuciem winy. – Nie powinnam była uciekać.

Znieruchomiał, szukając jej wzroku.

– Co?

– Gdybym nie uciekła… – Skrzywdziła go.

Jak zawsze.

– Nie. – Zignorowała jego protest, uwolniła ręce i wróciła do rozwiązywania fularu. Przerwał jej znowu i położył ciepłą, silną dłoń na jej policzku.

– Nie mów tak. Nie myśl tak. To nie twoja wina.

Spojrzała w jego czarne oczy.

– Jesteś ranny.

Kącik jego ust się uniósł.

– Nie mogłem się doczekać walki.

Pokręciła głową.

– Nie o to chodziło.

– Nie byłbym taki pewien – powiedział kpiąco, po czym spoważniał. – To były bestie w ludzkiej skórze. A ty… – przerwał, ale te słowa przypomniały im, kim on jest.

Kim są oni oboje.

Ale teraz przyszła jej kolej, żeby się nim zaopiekować.

– Musimy gdzieś wejść. – Wstała i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu wstać.

Nie zwrócił uwagi na jej rękę i podniósł się jednym płynnym ruchem. Kiedy się wyprostował na całą wysokość, miała wrażenie, że się zachwiał, i uznała, że osłabł z bólu. Podeszła, żeby wsunąć się pod jego zdrowe ramię.

– Oprzyj się na mnie.

Parsknął śmiechem w ciemności.

– Nie.

– Dlaczego?

– Poza tym, że mógłbym cię zgnieść?

Uśmiechnęła się.

– Jestem silniejsza, niż się wydaje.

Spojrzał na nią z góry.

– Myślę, że to pierwsza prawda, jaką od ciebie usłyszałem.

Te słowa wzbudziły w niej podniecenie, niepokój i coś jeszcze innego.

– Uznaję to za komplement.

– Powinnaś.

Nie, nie miała zamiaru go polubić.

Za późno.

– Więc dlaczego się na mnie nie oprzesz?

– Nie potrzebuję pomocy.

Podniosła wzrok i zobaczyła w zarysie jego szczęki, w stanowczej linii ust coś znajomego.

Ile razy mówiła te słowa ludziom, którzy oferowali jej pomoc? Tak długo żyła samotnie. Odpychała od siebie myśl, że ktoś może chcieć jej pomóc, nie oczekując w zamian jakiejś zapłaty.

Albo, co gorsza, stając się częścią jej życia.

– Rozumiem – powiedziała cicho.

Długa chwila upłynęła, zanim spokojnie odparł:

– Czasami mi się wydaje, że mnie rozumiesz.

Wziął ją za rękę; znieruchomiała, czując jego dotyk.

– Czy mam za to zapłacić?

Te słowa przypomniały o ich układzie, o tym, co ich łączyło. Ale w dotyku nie było cienia wrogości. Czuła jego ciepłą, szorstką skórę przy swojej i sprawiało jej to przyjemność. Przyjemność, do której nie chciała się przyznać, ale której doznaniu nie mogła zaprzeczyć.

– Nie – odparła, drżąc w powiewie zimnego wiatru. – To nie kosztuje.

Milczał, kiedy wracali do powozu. Dobrze się ze sobą czuli w ciemności. To się zmieni w świetle dnia, kiedy przypomną sobie przeszłość i teraźniejszość. I przyszłość, jak wykutą w kamieniu.

Więc ona też milczała.

Milczała, kiedy wyszli z uliczki, kierując się do powozu, kiedy woźnica zeskoczył z kozła, żeby im pomóc, i kiedy znaleźli się w ciemnym wnętrzu, zbyt ciasnym, żeby mogli się nie dotykać – ich kolana się stykały – a byli zbyt dumni, żeby udawać, że tak nie jest.

Nie odezwała się, kiedy zajechali przed jego miejski dom i Temple wyskoczył na ciemną, zimną londyńską ulicę, mówiąc:

– Wejdź do środka.

Słowa nie były potrzebne, gdy szła za nim.

– Historia naszej znajomości, Wasza Wysokość, jest zbyt przesycona przemocą – odezwała się wreszcie, kiedy znaleźli się w bibliotece, gdzie po raz pierwszy wyjawiła, kim jest i czego chce. Gdzie podała mu po raz drugi środek odurzający.

Zdjął surdut, odsłaniając zakrwawioną koszulę.

– A czyja to wina? – zapytał łagodniejszym tonem, niż oczekiwała.

Łagodny.

Dziwne, że to słowo zdawało się tak pasować do tego człowieka, który dla większości Londynu uosabiał brutalną siłę, ukrytą w stalowych mięśniach i kościach.

Ale przy niej potrafił być delikatny.

Syknął z bólu, ściągając koszulę z ramienia i przez głowę, i odrzucił ją. Ukazała się czysta, głęboka rana o równych brzegach. Wchodząc do domu, zażądał gorącej wody i płócien, a wprawny służący, który z pewnością uznał polecenie za najzwyczajniejsze w świecie, przyniósł je natychmiast.

Mara, nie zastanawiając się, podeszła do stojącego przy kominku Temple’a.

– Usiądź – poprosiła cicho. Zanurzyła płótno w wodzie, on zaś usadowił się na jednym z foteli przy kominku. Wyżęła szmatkę z płynu, po czym zabrała się do mycia rany.

Pozwolił na to, co powinno ją zaskoczyć. Powinno zaskoczyć ich oboje.

Siedział spokojnie długie minuty, a ona zmusiła się, żeby patrzyć tylko na ranę, równe cięcie na ciele, które przypominało jej, że i ją mogło spotkać bolesne doświadczenie. Mogła ulec przemocy. Przed którą on ją uchronił.

Myśli mąciły jej się w głowie, pilnowała się, żeby nie dotknąć go nigdzie poza raną, zadaną tuż nad szerokim pasem czarnego tuszu otaczającym ramię. Taki sam pas miał na drugim ramieniu. Ta czerń zdawała się symbolizować mroczną stronę jego natury. Tak bardzo nie pasującą do jego przeszłości. Do takiego księcia, jakim powinien być.

To przez nią pogrążył się w mroku.

Starała się nie oddychać zbyt głęboko, chociaż jego zapach – goździki i tymianek zmieszane z czymś nieokreślonym, ale nieodłącznie z nim związanym – drażnił jej zmysły, kusząc ją do wdychania tego zapachu.

Zamiast tego skupiła się na ranie, usuwając zaschłą krew i tamując świeżą. Patrzyła na płócienny ręcznik przesuwający się od rany do miski z różowawą teraz wodą i z powrotem, nie chcąc widzieć nic innego.

Nie chcąc widzieć blizn, którymi pokryte było jego ciało. Wzgórz i dolin jego piersi. Kępek ciemnych włosów, których jej palce pragnęły dotknąć w inny, niebezpieczny sposób.

– Nie musisz mnie opatrywać – powiedział cicho.

– Oczywiście, że muszę – odparła, nie podnosząc wzroku. Wiedziała, że on na nią patrzy. – Gdyby nie ja…

Chwycił jej rękę i przycisnął ją do ciała, poczuła pod nadgarstkiem sprężyste włoski na jego piersi.

– Mara. – Imię zabrzmiało obco, jakby należało do kogoś innego.

Ponieważ ta chwila, ten mężczyzna, to miejsce nie były dla niej.

Wysunęła dłoń z jego uścisku. Nie protestował i pozwolił jej znów się nim zająć.

– Opatruj mnie zatem.

– Trzeba ranę zszyć.

Uniósł brwi.

– Znasz się na ranach, które trzeba zszywać?

Zszyła w życiu dziesiątki ran. Więcej niżby zliczyła. Zbyt wiele, jeszcze gdy była dzieckiem. Ale tego mu nie powiedziała.

– Tak. Ta właśnie jest taka.

– Przypuszczam, że będę musiał za to zapłacić?

Te słowa ją zaskoczyły. Przypomnienie o ich układzie. Pozwoliła sobie przez chwilę udawać, że są innymi ludźmi. W innym miejscu.

Głupia dziewczyna.

Nic się nie zmieniło tej nocy. On nadal szukał zemsty, jej nadal zależało na pieniądzach. Lepiej, żeby oboje o tym pamiętali.

Odetchnęła i zebrała siły.

– To będzie dla ciebie okazja.

Jedna ciemna brew uniosła się do góry.

– Podaj swoją cenę.

– Dwa funty. – Te słowa wywołały w niej obrzydzenie.

W jego oczach pojawił się jakiś błysk. Nuda? Nie. Błysk znikł, zanim zdążyła go nazwać, a on już wyjmował igłę i nici z szufladki w stole.

– No to zszywaj.

Przyszło jej do głowy, że tylko mężczyzna, który regularnie odnosi rany, trzyma igłę i nici w zasięgu ręki. Powiodła wzrokiem po jego piersi. Widniały na niej dziesiątki blizn, w różnych stadiach gojenia się.

Ile bólu musiał znosić w ostatnich dwunastu latach?

Nie zastanawiała się dłużej nad tym pytaniem, tylko odwróciła się do kredensu i nalała whisky do kieliszka.

– Nie wypiję tego – oznajmił stanowczo.

Zerknęła na niego z ukosa.

– Niczego nie dosypałam.

Pochylił głowę.

– Jednak wolę mieć pewność.

– To i tak nie było dla ciebie. – Zanurzyła igłę w alkoholu i ucięła długi kawał nici.

– To marnowanie dobrej whisky.

– Ściegi będą mniej bolały.

– Bzdura.

Wzruszyła ramieniem.

– Kobieta, która mi pokazała, jak się to robi, sama nauczyła się tego od żołnierzy rannych na polu bitwy. Całkiem sensowne postępowanie.

– Mężczyźni na wojnie z pewnością chcieli mieć butelkę w pobliżu siebie.

Nie zwróciła uwagi na te słowa i starannie nawlekła igłę.

– Będzie bolało.

– Mimo dodatku mojej wybornej szkockiej?

Wbiła igłę w skórę.

– Powiesz mi.

Syknął z bólu.

– Niech to.

Uniosła brew.

– Chcesz się napić?

– Nie. Wolę widzieć twoją broń.

Wargi jej zadrżały. Nie rozbawi jej. Nie polubi go. Był wrogiem, nie przyjacielem.

Dokończyła szycia szybko i z profesjonalną wprawą. Kiedy ucięła nić, sięgnął jeszcze raz do szuflady i wyciągnął naczynie z maścią.

Otworzyła je i wokół rozeszła się znajoma woń goździków i tymianku.

– To dlatego tak pachniesz.

– Zwróciłaś uwagę na to, jak pachnę? – zdziwił się.

Z przerażeniem stwierdziła, że płoną jej policzki.

– Nie da się tego nie zauważyć – wyjaśniła. Jednak podniosła garnuszek do nosa i wciągnęła zapach, od którego przeszły ją ciarki po plecach. Zanurzyła palec w maści i rozsmarowała ją na zaczerwienionej skórze wokół rany, uważając, żeby go nie urazić, po czym złożyła kawałek czystego płótna, przykryła nim ranę i obwiązała opatrunek długim pasem materiału.

Gdy skończyła, odchrząknęła i powiedziała to, co pierwsze przyszło jej do głowy.

– Będziesz miał paskudną bliznę.

– Nie pierwszą, nie ostatnią.

– Ale za tą ja jestem odpowiedzialna. – Zachichotał; podniosła mimo woli wzrok, napotykając spojrzenie jego ciemnych oczu. – Uważasz, że to zabawne?

Wzruszył zdrowym ramieniem.

– Uważam, że to interesujące, iż poczuwasz się do odpowiedzialności za jedyną ranę, z którą nie masz nic wspólnego.

Otworzyła szeroko oczy.

– A inne mają?

Przekrzywił głowę, przyglądając jej się uważnie.

– Każda, otrzymana w walce. W bójkach, w których bym nie brał udziału, gdybym… – zawahał się. Zastanawiała się, jakby dokończył zdanie.

Gdybym nie został zrujnowany.

Gdybym nie został zniszczony.

Gdyby nie pozbawiono mnie tego, co moje.

– …nie był Temple'em – dokończył po prostu.

Temple. Imię, które przybrał po jej ucieczce. Po tym, jak wyklęła go rodzina i społeczeństwo. Imię, które nie miało związku z jego poprzednim życiem.

Tym, w którym był Williamem Harrow, markizem Chapin. Dziedzicem księstwa Lamont.

Potężnym, mającym władzę panem.

Póki ona nie pozbawiła go tej władzy.

Spojrzała na jego blizny. Na mapę białych i różowych linii oraz sińców sprzed tygodnia, oznak jego profesji.

Tylko że to nie była profesja.

Bogaty i utytułowany, czy ciążyła na nim jej śmierć, czy nie, nie musiał walczyć. A jednak walczył.

Temple. Wojownik.

Ona go takim stworzyła. Może dlatego wydawało się właściwe, żeby opatrzyła jego rany.

Kto je opatrywał wcześniej?

Ponieważ nie mogła zadać tego pytania, zapytała o coś innego:

– Dlaczego: Temple?

Odetchnął głęboko, zaciskając dłoń zdrowej ręki w pięść i otwierając ją znowu.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego wybrałeś takie imię?

Zadrżał mu kącik ust.

– Jestem podobnej budowy.

Nonszalancka, wyćwiczona odpowiedź. Wiedziała o tym dzięki latom praktyki w odróżnianiu prawdy od kłamstwa, ale nie naciskała. Przeniosła spojrzenie na jego potężne ramię, tam gdzie widniał pas czarnego tuszu.

– A tusz?

– Tatuaż.

Chciała go dotknąć i jej ręka poruszyła się jakby niezależnie od niej, aż Mara w pewnej

chwili uświadomiła sobie, że posuwa się za daleko. Jej palce zatrzymały się o włos od jego ciała.

– Nie krępuj się – powiedział cicho.

Popatrzyła na niego, ale jego oczy były skierowane na tatuaż. I na jej dłoń.

– Nie powinnam. – Odsunęła gwałtownie rękę.

– Chcesz tego. – Napiął ramię i tatuaż poruszył się, jakby oddychał. – To nie boli.

W pokoju panował chłód – za oknami trwała zima – ale jego ramię paliło gorącem. Przesunęła opuszkami palców po wymyślnym wzorze, krętych liniach i ciemnych polach, zdumiewając się gładkością jego skóry.

– Jak? – zapytała.

– Mała igła i duży pojemnik tuszu.

– Kto to zrobił? – Spojrzała w jego ciemne oczy.

Odwrócił wzrok, znowu patrząc na jej palce. Już nie czuła zmieszania.

– Jedna z dziewcząt w klubie.

Palce znieruchomiały.

– Jest bardzo zręczna.

Poruszył się pod jej dotykiem.

– Jest. I na szczęście ma pewną rękę.

Jest twoją kochanką? – chciała zapytać. Jednak nie chciała słyszeć odpowiedzi. Nie chciała tego chcieć.

Nie chciała myśleć o pięknej kobiecie, która się nad nim pochyla; obdarzonej artystycznym smakiem i z ostrą igłą w ręku. Nie chciała myśleć o tym, co nastąpiło później, po tym, kiedy igła przebiła jego skórę tysiąc razy. Więcej.

– Bolało?

– Nie bardziej niż walka każdej nocy.

Ból, ostatecznie, stale mu towarzyszył. O tym też nie zamierzała myśleć.

– Teraz moja kolej. – Spojrzała na niego, więc dodał: – Żeby zadawać pytania.

Te słowa rozwiały czar i dłoń Mary zsunęła się z jego ramienia.

– Jakie pytania? – Jakby nie wiedziała.

Jakby od lat nie zdawała sobie sprawy, że nadejdzie taka chwila, że będzie musiała na nie odpowiedzieć.

Wolałaby, żeby włożył koszulę.

Nie, nieprawda.

Tylko że gdyby chciał ją zmusić, by mu opowiedziała o tamtej nocy sprzed wieków, kiedy popełniła zbyt dużo zmieniających życie błędów, może byłoby lepiej, gdyby miał na sobie ubranie. Gdyby nie był tak blisko. Gdyby nagle nie stał się taki groźny.

Nie nagle.

– Skąd wiesz tak dużo o opatrywaniu ran?

Nie takiego pytania się spodziewała i nagle oślepiły ją obrazy, które wywołało. Krew i krzyki. Noże i stosy zabrudzonego krwią płótna. Ostatni oddech matki, płacz Kita i zimna, brutalna twarz ojca, która nie wyrażała niczego. Żadnych uczuć. Poczucia winy. Z pewnością żadnych wyrzutów sumienia.

Spojrzała na swoje dłonie, na zaciśnięte, zimne palce, i zastanawiając się nad słowami,

zdecydowała się powiedzieć:

– Przez dwanaście lat miałam mnóstwo okazji, żeby opatrywać rozmaite rany.

Nie odpowiedział i cisza trwała wieczność. Wsunął jej palec pod brodę i zmusił ją, żeby spojrzała w jego poważne czarne oczy.

– Teraz to prawda.

Próbowała zignorować fakt, że ten zwykły dotyk nie pozwalał jej się skoncentrować.

– Myślisz, że znasz mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, kiedy kłamię?

Milczał długo, sunąc czubkami palców po jej policzku aż do skroni, potem wokół ucha, co przypomniało jej, jak całował ją w tym miejscu w pracowni krawieckiej. Wstrzymała oddech, a jego zwinne palce przesunęły się wzdłuż jej szyi i dotarły tam, gdzie pulsująca krew groziła wybuchem przez skórę.

Nie odrywała od niego oczu, nie chcąc pierwsza odwrócić wzroku. Nie chcąc pozwolić mu wygrać, nawet kiedy pochylił się i uniósł jej twarz, a ona rozchyliła wargi na obietnicę pieszczoty, którą jej groził.

Pieszczoty, której, czuła, pragnie nade wszystko.

Prawie ją nią obdarzył. Musnął wargami jej usta raz i drugi, aż całym ciałem zapragnęła czegoś więcej. Spełnienia obietnicy.

Westchnęła, a z jego gardła wydobył się niski, głęboki dźwięk. Warknięcie? Jakie to skandaliczne. Jakie cudowne.

Ale nie pocałował jej. Zamiast tego ów straszny człowiek oznajmił:

– Spędziłem życie, Maro, obserwując, jak ludzie kłamią. Dżentelmeni i szubrawcy. Stałem się znawcą prawdy.

Przełknęła ślinę, czując jego palce na gardle.

– Przypuszczam, że ty nigdy nie kłamiesz?

Patrzył na nią długą chwilę.

– Kłamię cały czas. Jestem najgorszym rodzajem szubrawca.

Teraz, kiedy wciąż spodziewała się pieszczoty, nie dostając jej, uwierzyła mu. Był szubrawcem. Kimś jeszcze gorszym.

Ale i tak nie przestała się zastanawiać, jakby to było, gdyby powiedziała mu prawdę. Złożyła ją niczym murarz cegły w eleganckim stosiku u jego stóp. Całą prawdę.

Gdyby to uczyniła? Gdyby wyznała mu wszystko – co zrobiła i dlaczego? Gdyby otworzyła przed nim duszę i pozwoliła się osądzić za dobre uczynki i za grzechy?

– Powiedz prawdę. – To była pieszczota. Pokusa. – Kogo leczyłaś, Maro? – Cierpliwość w jego głosie, jakby gotów był czekać wieczność na odpowiedź, wystarczyła, żeby zapragnęła wyznać mu wszystko.

„Nic, co powiesz, nie sprawi, że ci wybaczę”.

Przypomniała sobie jego wcześniejsze słowa – groźbę i ostrzeżenie, żeby nie zaufać mu do końca.

Chciał zemsty, a ona była środkiem do celu.

Lepiej, żeby o tym pamiętała.

Prawda to dziwne, eteryczne zjawisko – tak niewielu z niej korzysta i tak często można ją dostrzec tylko w kłamstwach.

– Nikogo, kogo warto by wymienić – wyrzuciła w końcu. – Po prostu dobrze sobie

radzę z igłą i tyle.

– Zapłacę ci za prawdę – obiecał i nawet jeśli głos brzmiał łagodnie, to słowa zabolały. Taką grę prowadzili.

Pokręciła głową.

– Nie jest na sprzedaż.

Nie zamierzał ustąpić. Widziała to w jego oczach. Tak więc zrobiła jedyną rzecz, która jej zdaniem powinna go odwieść od dalszego nalegania. Wspięła się na palce i go pocałowała.

# 7

Gdyby go poproszono, żeby założył się o wszystko, co posiada, jak potoczą się wydarzenia tego wieczoru w tym pokoju, poszedłby o zakład, że ją pocałuje.

Chciał ją pocałować już wtedy, gdy wziął ją w ramiona w tamtym zaułku.

Jeszcze wcześniej.

Już wtedy, gdy odebrała mu spokój, dając do zrozumienia, że zaszło między nimi coś więcej tamtej nocy, przed dwunastu laty.

Jeszcze wcześniej.

W walce na pięści zawsze po zwarciu następował moment, w którym jeden z przeciwników wymierzał drugiemu zdecydowany, silny cios. Teoria sprawdzała się w praktyce także wtedy, gdy przeciwnik był kobietą, a cios – rozkoszą.

Dlatego postanowił uznać falę pożądania, jaka go zalała, za nic innego, jak wyładowanie napięcia po walce. Miał za sobą lata doświadczeń, wiedział więc, że napięcie minie. Że fala pożądania opadnie.

Tyle że nie opadła. Pożądanie w nim rosło, gdy w zaułku dotknęła jego ramienia, mimo że niechcący boleśnie uraziła zranione miejsce. Szalał z pożądania, gdy jechali do jego londyńskiego domu, tak że nie mógł się powstrzymać przed zaproszeniem jej do środka.

Zaproszenie było solą sypaną na ranę, ponieważ wiedział, że jeśli Mara znajdzie się w jego domu, będzie jej pożądał jeszcze bardziej. Z jej długimi nogami, śliczną buzią i włosami, które tak bardzo chciał uwolnić od spinających je szpil, by opadły kaskadą kasztanowego jedwabiu. A to wszystko było niczym w porównaniu z tym, jak pociągała go siła jej ducha. Jej śmiałe, inteligentne słowa. To, jakim była godnym jego przeciwnikiem.

Pożądanie odbierało mu zdolność racjonalnego myślenia, gdy zszywała jego ranę i nie chciała zdradzić swoich tajemnic. A kiedy w końcu jej dotknął, rozlało się w jego żyłach, upajające i niebezpieczne.

Więc – tak. Założyłby się, że ją pocałuje.

Ale nie postawiłby ani pensa na to, że to ona go pocałuje. No i by przegrał, bo Mara Lowe, okazało się, jest gotowa na wszystko, żeby nie odsłonić przed nim swoich tajemnic.

Nawet na to, żeby pocałować Księcia Zabójcę.

I, Chryste, jak ona go pocałowała – silną, miękką dłonią nachylając jego głowę ku sobie, biorąc jego wargi w posiadanie. Pozbawiając go tchu delikatną, oszałamiającą pieszczotą. Muskając jego usta, smakując go. Pytając.

Zmusił się do pozostawania w bezruchu. Żeby jej nie dotykać, nie przejąć kontroli.

Bojąc się, że jeśli położy na niej swoje ogromne, brutalne dłonie, przerazi ją. I ona znowu ucieknie. A potem jej wargi rozchyliły się, niedoświadczone, a tak cudowne, i jej język przesunął się po jego dolnej wardze w śmiałej pieszczocie.

Mężczyzna nie jest zdolny więcej wytrzymać.

Stracił panowanie nad sobą.

Pochwycił ją w ramiona, wydając gardłowy jęk, który pewnie ją przestraszył, ale którego nie mógł powstrzymać. Nie mógł już zapanować nad niczym, kiedy ją obejmował, pochylał głowę i unosił jej twarz ku sobie, aż znalazł najbardziej odpowiednie dla nich obojga nachylenie głów, by całować ją tak, jak tego pragnęła.

Tak jak marzył, by ją całować.

Biorąc ją w posiadanie.

Ale, na Boga, ona też brała go w posiadanie. Objęła jego szyję rękami, zanurzając palce w jego włosy, a on całował ją głęboko i mocno, aż westchnęła z rozkoszy, a on to westchnienie poczuł w całym ciele.

Delikatnie przygryzł jej dolną wargę, zachwycony tym, jak drży w jego ramionach i wsunął ręce w jej włosy. Szpilki rozsypały się po podłodze, a kasztanowe loki spłynęły na ramiona. Gładził jedwabiste, miękkie pasma, aż poczuł nieodpartą chęć spojrzenia na nie. Odsunął się, znów zachwycony tym razem lekkim oporem, z jakim przyjęła rozłąkę ich ciał.

– Temple – westchnęła z lekką irytacją w głosie.

– Poczekaj – powiedział. – Pozwól mi na siebie popatrzeć.

Była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał. Chłonął ją oczami, jej ciemne włosy rozrzucone w nieładzie na ramionach, rudawe refleksy w świetle świec, niebiesko-zielone oczy wyrażające frustrację i pożądanie. Usta obrzmiałe od jego pocałunków…

Pocałował je znowu, nie mogąc się im oprzeć. Całował ją zachłannie, zapamiętując dźwięk jej westchnień, jej zapach, jej dotyk – doznania dotąd mu nieznane…

Tylko że…

Podniósł głowę, a ona, zaskoczona, otworzyła oczy.

– Naprawdę powinieneś przestać przestawać – powiedziała z uśmiechem.

Pokręcił głową.

– U krawcowej – zaczął, zły sam na siebie, że na te słowa z jej oczu zniknęła zmysłowość. – To, co powiedziałaś…

„To nie jest pierwszy raz, kiedy widzisz mnie w bieliźnie”.

– Robiliśmy to już – stwierdził.

Uciekła wzrokiem przed jego spojrzeniem. Patrzyła teraz na jego ramię, na tatuaż.

– Tak.

Nie, to nie mogła być prawda. Zapamiętałby to – jak jej usta pasowały do jego ust. Jak cudownie mieściła się w jego ramionach.

Pocałował ją znowu, tym razem był to test. Eksperyment. Pamiętałby ją. Pamiętałby jej smak. Dźwięki, jakie wydawała. To, jak zapamiętywała się w pieszczocie.

Nie zapomniałby jej.

Uwolnił jej usta, żeby całować jej szyję, aż do zagłębienia w obojczyku, wsuwając w to miejsce język, smakując ją. Napawając się westchnieniem, jakie wyrwało się z jej ust,

kiedy przesunął dłonie na przód jej stanika i wsunąwszy rękę pod materiał, zaczął pieścić pierś.

Odsłonił ją.

Dobry Boże, zapamiętałby ją nagą.

Spojrzała na niego zamglonymi od pożądania oczami.

– Robiliśmy to już przedtem.

Zawahała się, co go rozdrażniło. Nie pozwoli jej na takie uniki. Nie pozwoli jej kłamać. Nie w tej sprawie.

Nagle, nieoczekiwanie, to właśnie stało się ważniejsze niż cokolwiek innego. Zsunął niżej warstwy materiału, patrząc, jak ciemna suknia i jasna koszula ustępują miejsca jeszcze jaśniejszej skórze. Doskonałej skórze, która przy świecach nabrała barwy złotego miodu.

Ślina napłynęła mu do ust, przysunął usta do jej piersi.

Całą siłą woli zmusił się, żeby jej nie dotknąć, a tylko szepnąć:

– Robiliśmy to już wcześniej.

– William – westchnęła.

Jego prawdziwe imię.

Zamarł. Tak samo jak ona.

– Jak mnie nazwałaś?

Zawahała się.

– Ja…

Nikt się do niego nie zwrócił w ten sposób od dziesięciu lat. Więcej niż dziesięciu. Niewielu używało tego imienia, ale niegdyś podobało mu się, gdy jego kobiety tak go nazywały. To imię sprawiało, że stawali się sobie bliżsi. Sprawiało, że gotowe były dać więcej. Łatwy sposób, żeby pokochały naiwnego, głupiego młodzieńca, jakim był kiedyś.

– Powiedz to jeszcze raz. – Rozkaz, któremu nie wolno było się przeciwstawić.

– William. – Jej piękne oczy płonęły; dźwięk imienia wymawianego przez jej ciepłe wargi budził w nim zarazem wściekłość i tęsknotę.

Chryste.

To musiało się zdarzyć.

Pamiętałby ją.

A nie mógł sobie przypomnieć. Przez nią. Ukradła mu tamtą noc. Tę chwilę.

Wypuścił ją z objęć, jakby go oparzyła, i może tak było. Może to, że nie pamiętał tamtej nocy, było najgorszym z jej przewinień, teraz, kiedy dowiedział się, co by znaczyło pamiętać.

Wyprostował się, krew się w nim burzyła, kręciło w głowie. Ta kobieta to zbyt wiele jak dla niego. Odwrócił się i odsunął od niej, chcąc ją zostawić, ale wciąż czując jej ciało przy swoim. Przemierzył pokój tam i z powrotem dwa razy, zanim znów się odwrócił, teraz w jej stronę.

– Co jeszcze zdarzyło się tamtej nocy?

Milczała.

Do diabła. Co się zdarzyło? Czy położył ją nagą na łóżku? Czy całował ją w zakazanych miejscach ciała? Czy odwzajemniła mu się tym samym? Czy cieszyli się sobą

tej ostatniej nocy, zanim obudził się jako Książę Zabójca, który już nigdy nie miał dotknąć kobiety, nie widząc strachu w jej oczach?

Czy też Mara po prostu go wykorzystała*?*

Gniew ogarnął go jak gorączka.

– Całowaliśmy się. Widziałem cię w bieliźnie. Czy my…?

Zesztywniała, czekając, aż dokończy pytanie zimnym, wstrętnym słowem, jakiego użył w pracowni krawieckiej. Oczekiwanie było jednak takim samym ciosem jak tamto słowo. Milczała. Był wściekły, że nie może na tym poprzestać, i nienawidził siebie za to, że powtórzył:

– Zrobiliśmy to, czy nie?

„Nigdy nie spotkałam arystokraty, który byłby godzien zaufania”.

Chryste. Czy ją skrzywdził?

Nie mógł sobie przypomnieć. Jeśli była dziewicą, mógł to uczynić. Nie będąc dość ostrożnym. Przesunął dłonią we włosach. Nigdy nie był z dziewicą.

Nie?

A co, jeśli… Zamarł. Sierociniec. Chłopcy.

Jeśli jeden z nich był jego*?*

Serce zabiło mu gwałtownie.

Nie. To niemożliwe. Nie zostawiłaby tego w ten sposób. Nie zabrałaby mu jego dziecka. Czy zabrałaby?

Poprawiła stanik sukni i stała, spokojna i opanowana, jakby dyskutowali o pogodzie. Albo o parlamencie. Niczym nieurażona. Obojętna na słowa zniewagi.

Podszedł do niej i zatrzymał się, z trudem opanowując chęć potrząśnięcia nią.

– Jesteś mi winna prawdę.

Patrzył jej w oczy. Przez chwilę się zastanawiała. Jej umysł pracował gorączkowo. Knuła. Planowała.

W końcu przemówiła. Nie bała się.

– Ustaliliśmy warunki naszego porozumienia, Wasza Wysokość. Ty zaspokajasz żądzę zemsty, ja dostaję pieniądze. Jeśli chcesz poznać prawdę, z chęcią będę negocjować jej cenę.

Nigdy nie spotkał kogoś takiego jak ona. I niech go diabli, jeśli szczerze jej nie podziwiał, chociaż miałby ochotę ją związać i wykrzykiwać swoje pytania, póki nie otrzymałby odpowiedzi.

– Wydaje się, że jednak miałaś kontakt z szubrawcami.

– Zdziwiłbyś się, jak dwanaście lat może zmienić człowieka – powiedziała. W jej niezwykłych, pięknych oczach płonął ogień.

Stali tuż przy sobie i Temple czuł się równy tej kobiecie jak nikomu innemu. Może dlatego, że oboje mieli grzechy na sumieniu. Może dlatego, że żadne z nich nie pokładało wiary w zaufanie.

– Nie byłbym zdziwiony – odparł.

Cofnęła się o krok.

– Jesteś zatem gotów przedyskutować dodatkowe warunki?

Mało brakowało, a by się zgodził. By darował jej cały dług, domy, konie, wszystko. By

wygrała.

Ponieważ chciał wspomnień z tamtej nocy bardziej niż czegokolwiek w życiu. Bardziej niż nazwiska. Bardziej niż tytułu. Bardziej niż wszystkich swoich wygranych i pieniędzy.

Ale ona nie mogła zwrócić mu pamięci ani tamtych straconych lat.

Mogła tylko dać mu prawdę.

I zamierzał ją od niej wydobyć.

Przed sierocińcem stał mężczyzna.

Powinna się tego rzecz jasna spodziewać od momentu, kiedy zeszłego wieczoru zostawiła Temple'a w jego miejskim domu, odesłana zimnym powozem, bez niego zionącym pustką. Powinna przewidzieć, że każe ją śledzić, kiedy zapomniała o ostrożności i zaoferowała mu prawdę o tamtej nocy, sprzed lat, za pewną cenę. Oczywiście, że musiał ją obserwować. Stała się dla niego cenniejsza.

Prawda była najcenniejszym towarem.

Powóz czekał, aż wejdzie do swojego domu, a potem położy się spać. Zasnęła przy świetle kołyszących się na wietrze latarń powozu, które rzucały cienie na sufit małego pokoiku, naruszając spokój jej sanktuarium.

W nocy spadł śnieg, znacząc bielą pierwszy dzień grudnia, a kiedy wyjrzała przez okno sypialni na ulicę oblaną szarym światłem poranka, powozu nie było. Ślady kół zasypał biały puch. Zastąpił go, ku jej zdziwieniu, ogromny mężczyzna w ciężkim wełnianym płaszczu, z kapeluszem nasuniętym nisko na czoło, szalikiem naciągniętym na twarz, tak że widać było jedynie pas ciemnej skóry i czujne oczy.

Mógł tam zamarznąć na śmierć.

Uznała, że nie powinna się dziwić. Z pewnością przysłał go Temple, który nie ufał jej i bał się, że ucieknie z Londynu, chcąc uniknąć sprawiedliwości, jaką zamierzał jej wymierzyć.

Przekonywała samą siebie, że nie powinno ją to obchodzić, gdy myła się, ubierała i przygotowywała do czekających ją tego dnia lekcji, przysięgając sobie, że wyrzuci z pamięci Temple'a. Wspomnienie ich ciągłych utarczek. Ich pocałunku.

O tym pocałunku zupełnie zapomniała.

Lydia spotkała się z nią w holu; w ręce trzymała stos kopert, między jej brwiami widniała głęboka zmarszczka.

– Mamy kłopot.

– Odeślę go – odparła Mara, kierując się do drzwi.

Lydia zamrugała.

– Nie o taki problem chodzi. – Podniosła stos papierów i serce Mary zamarło. Nasłany przez Temple'a strażnik to najmniejszy z ich kłopotów tego dnia.

Dała Lydii znak, żeby poszła za nią do gabinetu, i sama usiadła za biurkiem. Lydia także usiadła.

– To nie jest jeden kłopot. Albo może jeden wielki kłopot, który składa się z wielu małych. – Mara czekała, wiedząc, co nastąpi. – Straciliśmy kredyt.

Należało się tego spodziewać. Od miesięcy nie spłacały długów. Nie było pieniędzy.

– U kogo?

Lydia zaczęła przerzucać rachunki.

– Krawiec. Księgarnia. Szewc. Pasmanteria. Nabiał. Rzeźnik…

– Dobry Boże, czy oni wszyscy spotkali się razem i postanowili upomnieć się o długi?

– Tak to wygląda. Ale nie to jest najgorsze.

– Chłopcy nie będą mieli co jeść i to nie jest najgorsze?

Mara zadrżała i podeszła do ognia; otworzyła skrzynię na węgiel i stwierdziła, że jest pusta. Zamknęła ją.

Lydia podniosła do góry jedną z kopert.

– To jest najgorsze.

Mara spojrzała na skrzynię. Węgiel.

Znowu.

Londyńskie zimy były długie, zimne i mokre, a sierociniec potrzebował węgla, żeby utrzymać chłopców w dobrym zdrowiu. Do diabła. Żeby ich utrzymać przy życiu.

– Dwa funty, szesnaście szylingów. – Lydia kiwnęła głową, a Mara powiedziała to, co powiedziałby każdy na jej miejscu:

– Cholera.

Lydia ani drgnęła.

– Dokładnie tak samo uważam.

Przeklęte rachunki.

Przeklęci wierzyciele.

Przeklęty jej ojciec za to, że zmusił ją do życia w ukryciu.

Przeklęty brat, który wszystko roztrwonił.

I przeklęty Temple i jego kasyno za to, że wzięli pieniądze brata.

– Mamy dom pełen chłopców, którzy są synami najbogatszych ludzi w Anglii – stwierdziła Lydia. – Czy nie ma nikogo, kto mógłby nam pomóc?

– Nikogo, kto nie chciałby w zamian dostać listy nazwisk. – Około dwóch tuzinów nazwisk, które wywołałyby skandal w Londynie, a procesy zrujnowałyby przyszłość chłopców. Nie wspominając już o reputacji sierocińca, co było sprawą pierwszej wagi.

– A sami ojcowie?

Mężczyźni, którzy zjawiali się w środku nocy, żeby pozbyć się niechcianego potomstwa. Którzy rzucali wymyślne groźby, żeby utrzymać swoje nazwiska w tajemnicy. Mężczyźni, których Mara nie chciała więcej oglądać. Którzy nie chcieliby jej więcej widzieć.

– Umyli ręce. – Pokręciła głową. – Nie zwrócę się do nich.

Nastąpiła długa cisza.

– A książę?

Mara nie udawała, że nie rozumie. Książę Lamont. Bogaty jak Krezus i o wiele potężniejszy niż tamten starożytny bogacz. I słusznie wściekły na Marę.

– Co z nim?

Lydia zawahała się i Mara wiedziała, że przyjaciółka szuka właściwych słów. Jakby sama o tym nie pomyślała.

– Gdybyś mu powiedziała prawdę… że twój brat postawił w grze pieniądze, które do niego nie należały…

„Nic, co powiesz, nie sprawi, że ci wybaczę”.

Przypomniała sobie jego słowa i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Był na nią taki zły zeszłej nocy. Sama sprowadziła na siebie jego gniew, częstując go niedomówieniami, oferując półprawdy, a potem każąc płacić za wspomnienia.

Usiadła.

Nie. Książę nie pomoże. Była sama. Odpowiadała za chłopców.

To ona musi o nich zadbać.

Wstała, podeszła do półki i zdjęła z niej opasłe tomisko. Trzymała księgę w dłoniach, oddychając ciężko i szybko, całą sobą sprzeciwiając się temu, co miała za chwilę zrobić. Księga była jej bezpieczeństwem. Jej przyszłością. Obietnicą, jaką sobie złożyła, że nigdy więcej nie będzie biedna ani głodna. Że nigdy więcej nie będzie zależna od cudzej pomocy.

Zabezpieczeniem, na jakie pracowała przez dwanaście lat.

Była tym, co miało ją uchronić przez pójściem na ulicę.

I co zamierzała wykorzystać, kiedy Temple ją zrujnuje.

Ale chłopcy byli ważniejsi.

Położyła księgę na biurku i otworzyła ją, ujawniając pustą przestrzeń, w której leżał woreczek z materiału. Sakiewka zabrzęczała, kiedy ją podniosła.

Lydia sapnęła ze zdumienia.

– Skąd to się wzięło?

Z dwunastu lat ciężkiej pracy. Z oszczędzania. Z grosza odłożonego raz i drugi.

Dwanaście funtów, cztery szylingi.

Wszystko, co miała.

Mara nie zwróciła uwagi na pytanie i wyjęła monety.

– Zapłać za węgiel, nabiał i rzeźnika. Weź swoją pensję. I pensję Alice. I zrób, co się da, żeby odwlec spłatę innych, póki najstarszy nie będzie potrzebować nowych butów i ubrania.

Lydia popatrzyła na pieniądze, kręcąc głową.

– Nawet z tym…

Nie musiała kończyć zdania. Pieniędzy nie wystarczało do przetrwania zimy. Ledwie wystarczą do Nowego Roku.

Pozostało jej tylko jedno.

Spędzać więcej czasu z księciem Lamont.

Wstała i wyszła do holu, gdzie zebrali się chłopcy. Stali przy dwóch oknach frontowych, niektórzy na krzesłach, przyklejeni do parapetu, wszyscy ze wzrokiem wbitym w mężczyznę po drugiej stronie ulicy.

Lavender siedziała parę stóp dalej, śledząc chłopców. Mara wzięła ją na ręce, żeby nie zgniótł jej jakiś malec, który spadnie z okna.

– Jest tutaj co najmniej od godziny! – stwierdził Henry.

– On chyba w ogóle nie marznie!

– Niemożliwe! Pada śnieg! – zauważył Henry, jakby reszta nie miała oczu.

– Jest prawie taki wielki, jak tamten, co przyszedł w zeszłym tygodniu po panią MacIntyre – powiedział Daniel z podziwem w głosie.

Prawie, ale Temple był większy.

– Aj! Tamten był wielki jak dom!

Większy i bez wątpienia silniejszy. I przystojniejszy. Zamarła na tę myśl. Nie interesowała jej jego uroda. W żaden sposób. Nawet jej nie zauważała. Tak jak nie zauważała, że topniała w jego ramionach, kiedy ją całował.

Doprowadzał ją do furii. Był niemożliwy. I usiłował ją kontrolować w najgorszy możliwy sposób.

I był przystojniejszy niż mężczyzna po drugiej stronie ulicy.

Choć nic to jej nie obchodziło.

– Myślicie, że przyszedł po jednego z nas?

Drżenie w głosie małego George'a sprowadziło ją z powrotem na ziemię.

– Panowie.

Konstrukcja z krzeseł zawaliła się, gdy chłopcy, balansując, wypuścili z rąk okienne zasłony i część towarzystwa wylądowała na podłodze. Mara z trudem powstrzymała się od śmiechu, kiedy drapali się pospiesznie na nogi, poprawiając ubranie i odsuwając włosy z czoła.

Daniel odezwał się pierwszy.

– Pani MacIntyre! Wróciła pani!

Zmusiła się do uśmiechu.

– Oczywiście, że wróciłam.

– Wczoraj nie było pani na kolacji. Myśleliśmy, że pani sobie poszła – powiedział Henry.

– Na dobre – dodał George.

Marze ścisnęło się serce. Udawali nieustraszonych, ale przerażała ich myśl, że mogą zostać opuszczeni. To z pewnością wynik sieroctwa i Mara poświęciła dużo czasu na przekonywanie chłopców, że ich nie opuści. Że, w istocie, to oni ją kiedyś opuszczą.

Tylko że teraz się okazało, że ich okłamała.

Teraz ich opuści. Napisze list do gazety, pokaże swoją twarz Londynowi, a potem nie pozostanie jej nic innego, jak ich zostawić. Dzięki temu ochroni sierociniec. I zapewni sierotom spokojne, uporządkowane życie. Zapewni dopływ pieniędzy dla sierocińca i nie dopuści, żeby odbił się na nim skandal, którego zostanie bohaterką.

Zasmucona pochyliła się nisko z Lavender, która usiłowała się wyrwać na wolność, i pocałowała małego George'a w jasną główkę, a potem uśmiechnęła się do Henry'ego.

– Nigdy.

Chłopcy wierzyli w jej kłamstwa.

– No więc gdzie pani była? – zapytał Daniel, jak zwykle nie owijając niczego w bawełnę.

Zawahała się, obracając to pytanie w myślach. Nie mogła przecież opowiedzieć chłopcom, jak włóczyła się w nocy po Londynie, przymierzała stroje odpowiednie dla ladacznicy i jak napadły na nią zbiry w ciemnym zaułku. I jak się całowała.

– Musiałam… się zająć… pewną sprawą.

Henry odwrócił się z powrotem do okna.

– Teraz jest ich dwóch! Z wielkim czarnym powozem! Rany! Moglibyśmy wszyscy do

niego wejść! I jeszcze zostałoby miejsce!

Jego krzyki ściągnęły uwagę chłopców oraz – wbrew jej woli – Mary. Wiedziała, zanim wyjrzała przez okno, zasłonięte plątaniną chłopięcych rąk i nóg, kto stoi na zaśnieżonej ulicy.

Oczywiście, to był on.

Bez zastanowienia ruszyła do drzwi, otworzyła je na oścież i skierowała się w stronę powozu. Temple stał tyłem do niej, pogrążony w ożywionej rozmowie ze swoim przybocznym, ale Mara zdążyła zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy odwrócił się i spojrzał na nią przez ramię.

– Wracaj do domu. Zamarzniesz na śmierć.

Ona zamarznie? Uniosła dumnie głowę.

– Co ty tutaj robisz?

Spojrzał na swojego towarzysza i powiedział coś, co wywołało na twarzy tamtego kpiący uśmiech, a potem znowu odwrócił się do Mary.

– To uczęszczana ulica, pani MacIntyre – zauważył. – Mógłbym mieć wiele powodów, żeby tutaj być. – Zrobił krok w jej stronę. – A teraz zrób, co mówię. Wracaj do domu. Teraz.

– Jest mi całkiem ciepło – oznajmiła, mrużąc gniewnie oczy. – O ile nie szukasz kobiety, która ogrzałaby ci łóżko, Wasza Wysokość, doprawdy nie mógłbyś mieć wielu powodów, żeby tutaj być. A w twoim stanie wysiłek poszedłby, jak sądzę, na marne.

Uniósł brew.

– Tak sądzisz?

– Zszyłam ci ranę na ramieniu nie dalej niż przed paroma godzinami.

Wzruszył ramieniem.

– Dzisiaj czuję się zupełnie dobrze. Na tyle dobrze, żeby cię wnieść do domu i opakować w palto.

Zawahała się, biła od niego siła i wydawał się jeszcze większy niż zazwyczaj.

Wyglądał dobrze. Wyjątkowo dobrze.

Nie chciała zastanawiać się nad uczuciami, jakie w niej budził jego wygląd.

– Nie powinieneś rozbijać się po Londynie ze świeżą raną – stwierdziła. – Może się otworzyć.

Przechylił głowę.

– Czyżby to była troska?

– Nie – odparła szybko, bez zastanowienia.

– Myślę, że jest.

– Może rana zamroczyła ci mózg – parsknęła z irytacją. – Po prostu nie chcę być zmuszona do ponownego zszywania rany.

– Dlaczego nie? Mogłabyś mnie oskubać z kolejnych dwóch funtów. A przy okazji. Sprawdziłem tę cenę. Rozbój. Chirurg zrobiłby to za szylinga, może za trzy.

– No to szkoda, że nie było chirurga w pobliżu. Wyceniłam to według cen rynkowych. A będzie cię to kosztowało podwójnie, jeśli rana się otworzy i trzeba będzie ją znowu zszyć.

Puścił te słowa mimo uszu.

– Jeśli nie wejdziesz do domu ze względu na siebie, to może miej wzgląd na świnkę. Przeziębi się.

Rzuciła okiem na Lavender, śpiącą w zgięciu jej ramienia.

– Tak, chyba nie jest jej najwygodniej.

Jego spojrzenie przesunęło się poza nią, ponad jej ramieniem, przez co poczuła się mała, chociaż przewyższała o głowę większość mężczyzn.

– Dzień dobry, dżentelmeni.

Odwróciła się – w otwartych drzwiach, przy ośnieżonych schodkach, stali zbici w gromadkę rezydenci domu pani MacIntyre, gapiąc się na nich szeroko otwartymi oczami.

– Chłopcy – powiedziała, przybierając ton guwernantki – wejdźcie do domu i idźcie na śniadanie.

Żadne z dzieci się nie poruszyło.

– Czy wszyscy męscy przedstawiciele gatunku są tacy denerwujący? – mruknęła z irytacją.

– Na to wygląda – odparł Temple.

– To było retoryczne pytanie – warknęła.

– Widzę, że powóz was interesuje, chłopcy. Przyjrzyjcie mu się z bliska, jeśli macie ochotę.

Chłopcy zbiegli po schodach, jakby zepchnęła ich nagła fala. Temple kiwnął głową na woźnicę, który zszedł z kozła, otworzył drzwi i opuścił schodki, żeby dzieci mogły wejść do środka.

Mara słyszała radosne, podniecone okrzyki, dobiegające z wnętrza powozu, gdzie tłoczył się teraz z tuzin chłopaków.

– Nie musiałeś tego robić – zwróciła się do Temple'a.

Nie chciała, żeby był dla nich dobry. Żeby mu ufali, podczas gdy od niego zależało, czy będą mieli pełne brzuchy i ciepłe łóżka.

Wzruszył lekko ramionami, obserwując chłopców.

– Cieszę się, że mogłem to zrobić – odparł. – Nie sądzę, żeby często mieli okazję podróżować powozem.

– Nie mają. Obawiam się, że poza Holborn niewiele widzieli.

– Rozumiem.

Nie rozumiał. W gruncie rzeczy nic nie rozumiał. Dorastał w jednej z najbogatszych rodzin w Anglii, jako dziedzic wielkiego księstwa. Miał do dyspozycji wszystko – kluby, elitarne szkoły, kulturę, politykę. I pół tuzina powozów. Więcej.

Ale i tak, kiedy przyglądał się chłopcom, w jego słowach brzmiała prawda. Rozumiał, co to znaczy być pozostawionym samemu sobie. Być ograniczonym okolicznościami, nad którymi nie panujemy.

Odetchnęła głęboko. Pod tym przynajmniej względem byli do siebie podobni.

– Wasza…

– Temple – sprostował. – Nikt inny nie używa tego tytułu.

– Ale zaczną – zauważyła, przypomniawszy sobie o ich umowie. O jej długu. – Wkrótce.

Czarne oczy zabłysły.

– Tak. Zaczną.

W jego głosie słyszała satysfakcję, ale też jeszcze coś. Chłód. Groźbę. Przypomniała sobie, co mówił tamtej nocy, kiedy ustalili warunki układu – że będzie ostatnią kobietą, której zapłaci za towarzystwo.

Może z powodu zimna, może braku snu, ale zadała to pytanie, nie zastanawiając się:

– I co wtedy?

Żałowała, że nie może go cofnąć, kiedy spojrzał na nią zdziwiony. Wolałaby nie okazywać, jak interesuje ją jego świat.

Milczał i już myślała, że w ogóle nie odpowie. Odpowiedział jednak, spokojnie, w typowy dla siebie sposób. Zgodnie z prawdą. Jak zwykle.

– Wtedy będzie inaczej.

Znowu obrócił się ku chłopcom i wskazał na Daniela.

– Ile on ma lat?

Spojrzała na ciemnowłosego chłopca, przywódcę paczki.

– Jedenaście.

Temple spojrzał jej w oczy z powagą.

– Jak długo jest z tobą?

– Od początku – odparła, patrząc na chłopca.

Czarne oczy stały się mroczne.

– Powiedz mi – zażądał z goryczą w głosie – czy od początku zamierzałaś wykorzystać wydarzenia tamtej nocy, żeby mieć na mnie haczyk? Czy wróciłaś, licząc, że to ci pomoże odzyskać pieniądze brata? Czy zszyłaś mi ranę, chcąc mnie zmiękczyć? Czy dlatego mnie pocałowałaś? Czy taki miałaś plan, odkąd stracił pieniądze?

Głośny chłopięcy śmiech uratował ją przed natychmiastową odpowiedzią – zyskała chwilę, żeby dojść do siebie po tym, gdy wyjawił, o co ją podejrzewa. Żeby opanować odruchową chęć obrony. Żeby powiedzieć mu wszystko.

„Nic, co powiesz, nie sprawi, że ci wybaczę”.

Odwróciła wzrok, zerkając w stronę powozu, w którym teraz usiłowało się zmieścić kolejnych kilku chłopców.

– Szesnaście! – rozległ się okrzyk, kiedy Henry rzucił się w kłębowisko stłoczonych ciał, rękami naprzód, podczas gdy Daniel popychał go z tyłu.

Mara ruszyła, żeby ich powstrzymać.

Temple zatrzymał ją gestem dłoni.

– Zostaw ich. Należy im się trochę zabawy.

– Zniszczą ci tapicerkę.

– Można ją naprawić.

Oczywiście, że można. Przy jego bogactwie. Podjęła rozmowę.

– Nie planowałam tego.

Spojrzał w niebo, z jego ust wydobywały się kłębki siwej pary.

– A jednak proponujesz handel zamiast prawdy.

Nie miała wyboru.

Ale on tego nie rozumiał.

Na Cursitor Street powiało nagle lodowatym zimnem. Mara odwróciła się, szukając

osłony przed wiatrem, wełniana suknia nie chroniła jej dostatecznie. Lavender obudziła się z gniewnym sapnięciem, a Temple chwycił Marę w objęcia, osłaniając ją swoim ogromnym ciałem.

Powstrzymała się przed wtuleniem się w niego. Jak to możliwe, że był taki ciepły?

Zaklął cicho pod nosem.

– Twoja świnka marznie.

Wsunął jedną dłoń między nich i Mara patrzyła na jego długie palce głaszczące miękki ryjek Lavender; czuła, jak prosiątko poddaje się pieszczocie z rozkoszą.

Przez moment zaciekawiło ją, jak czułaby się sama z jego dłonią na policzku. A potem uświadomiła sobie, że jest po prostu zazdrosna o świnkę.

Nie mogła tego zaakceptować.

Podniosła głowę, patrząc mu w twarz i zmuszając się do niezwracania uwagi na jego uśmiechnięte usta. Był rozbawiony widokiem rozanielonej świnki.

– Jak długo każesz mnie śledzić?

Patrzył znowu na chłopców.

– Póki z tobą nie skończę.

Powiedział to zimno i nieżyczliwie. Dzięki temu łatwiej jej było odpowiedzieć:

– A nasza wymiana?

Przestał głaskać Lavender i spojrzał chłodno na Marę.

– Myślę, że mogę zdobyć te informacje w inny sposób.

Poczuła dreszcz. Drżenie. Strach. Jeszcze coś, czego nie miała ochoty nazwać.

– Bez wątpienia. Ale jestem silniejsza, niż myślisz.

– Jesteś dokładnie taka silna, jak myślę.

Te słowa uniósł zimny wiatr, który targał jej spódnicą.

– A zatem, jak na razie, nie spuścisz ze mnie czujnego oka?

Uniósł kącik ust w chłodnym uśmiechu.

– Dobrze, że dostrzegasz promyk słońca za tą chmurką.

– Raczej burzę z piorunami. – Westchnęła głęboko. – A ile to stróżowanie jest dla ciebie warte?

– Nic.

– Nie taka była nasza umowa.

– Nie, wedle umowy ja płacę za twój czas. A to mój czas. I moi ludzie.

– Którzy pilnują nas jak złoczyńców.

– Czy lepiej się czujesz, obsadzając mnie w roli tego złego? Czy to ci pomaga uwolnić się od swoich grzechów? – Słowa były ciche, niepokojące i aż zanadto przenikliwe.

Mara odwróciła wzrok.

– Po prostu nie chcę, żebyś ty i twoi ludzie straszyli dzieci.

Temple spojrzał w stronę powozu.

– No widzę, że nieźle je nastraszyliśmy.

Popatrzyła w tę samą stronę i stwierdziła, że chłopcy skończyli z poprzednią zabawą i postanowili teraz zdobyć ogromny pojazd. Siedmiu czy ośmiu stało na dachu, a reszta wspinała się po ścianach, wspomagana przez Asriela i woźnicę.

On i jego ludzie zjawili się tutaj, w jej życiu, i podbili serca jej podopiecznych jedynie

dzięki wspaniałemu powozowi i paru miłym słowom. W kilka dni zmienił jej życie, zagrażając wszystkiemu, co było jej drogie.

Odebrał jej kontrolę.

Nie dopuści do tego.

Przycisnęła Lavender do piersi i wyciągnęła z kieszeni czarny notesik.

– Wykorzystałeś dzisiaj wystarczająco dużo mojego czasu, Wasza Wysokość – powiedziała, otwierając notes. – Powiedzmy, korona?

Uniósł brwi.

– Nie prosiłem, żebyś się do mnie przyłączyła.

Uśmiechnęła się nieszczerze.

– Ale zrobiłam to. Czyż nie masz szczęścia?

– O, tak – odparł, kołysząc się na piętach. – Przy tobie zawsze mam szczęście.

Skrzywiła się.

– A zatem korona. – Wpisała sumę zapłaty do notesu, potem odwróciła się do powozu. – Chłopcy! – zawołała. – Pora wracać do domu!

Nie słyszeli jej. Jakby nie istniała.

– Panowie – zaczął i chłopcy zamarli. – Dość na dzisiaj.

Chłopcy zeszli z powozu, jakby właśnie na te słowa czekali. Tak było, oczywiście. Naturalnie, że go słuchali.

Miała ochotę krzyczeć.

Ruszyła w stronę domu i w połowie szerokości ulicy zorientowała się, że Temple idzie za nią, jakby jego eskorta była czymś naturalnym. Zatrzymała się. On także.

– Nie zostałeś zaproszony.

Usta mu drgnęły.

– Prawda wyjdzie na jaw, Maro.

Skrzywiła się.

– Nie dzisiaj.

– A zatem jutro.

– To zależy.

– Od?

– Od tego, czy zdecydujesz się przynieść sakiewkę.

Zachichotał, a potem na cały głos się roześmiał. Śmiech szybko ucichł, a ona była na siebie wściekła, że ten dźwięk ją ucieszył.

– Żądam twojej obecności wieczorem – powiedział cicho. – Przypuszczam, że ten przywilej będzie mnie kosztować kolejnych dziesięć funtów?

Te słowa wytrąciły ją z równowagi. Rozmowa o pieniądzach dawała jej poczucie władzy, jemu zaś – okazję do znieważania jej. Broniła się jednak przed przyznaniem się, że tak to odbiera.

– Dobre na początek.

Patrzył na nią długą chwilę. Na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

Wcale się tym nie przejęła.

# 8

**N**astępnego ranka Mara weszła do swojego gabinetu, żeby odkryć, że Lydia jest zdrajczynią.

Siedząc na krawędzi krzesła z boku biurka, rozmawiała swobodnym tonem z księciem Lamont, jakby dla człowieka z jego sfery było czymś zwyczajnym przesiadywanie w sierocińcach, a dla zwykłej guwernantki – dotrzymywanie mu towarzystwa. Lydia szczebiotała, spijając słowa z jego ust. Mara zamknęła z trzaskiem drzwi za sobą.

Temple podniósł się, a Mara postanowiła nie zauważać, że w jej ciele rozlało się ciepło. Był grudzień. Panowało przenikliwe zimno, a dostawa węgla jeszcze nie dotarła. Ten człowiek nie mógł go zastąpić.

– To teraz wpuszczamy tu każdego? – zwróciła się do Lydii.

Lydia za długo pracowała z Marą, żeby pozwolić się onieśmielić.

– Książę wyjaśnił, że jesteście umówieni.

– Nie jesteśmy. – Okrążyła biurko i usiadła. – Możesz odejść, Wasza Wysokość. Jestem dość zajęta.

Nie wyszedł. Usadowił się ponownie na krześle, które całkowicie pod nim zniknęło.

– Być może nie pamiętasz. Miałem wrócić dzisiaj.

– Ustaliliśmy, że wrócisz wieczorem.

– Panna Baker mnie zaprosiła.

– Był na dworze, kiedy się obudziłam – wyjaśniła Lydia. – Jest takie zimnisko, pomyślałam, że może napije się herbaty.

Temple wyraźnie źle wpływał na władze umysłowe tej młodej kobiety.

– On nie chce herbaty.

– Herbata? Cudownie. – Być może żadne inne słowo nie brzmiało tak dziwacznie w ustach tego olbrzyma, jak „cudownie”.

– Nie pijasz herbaty – zauważyła Mara.

– Myślę o tym, żeby zacząć.

Lydia wstała.

– Zadzwonię, żeby ją przynieśli.

– Nie potrzeba, panno Baker, nie mogę jej wypić.

Lydia miała zrozpaczoną minę.

– Dlaczego?

– Boi się, że go otruję – odpowiedziała za niego Mara.

– Och. – Wykrzyknęła Lydia. – Wyobrażam sobie, że jest się czego bać. – Pochyliła się ku Temple’owi. – Ja cię nie otruję, Wasza Wysokość.

Uśmiechnął się szeroko.

– Wierzę ci.

Mara parsknęła gniewnie, patrząc na Lydię morderczym wzrokiem.

– To zdrada.

Lydia wyraźnie doskonale się bawiła.

– Dlaczego? On dzisiaj dla nas pracuje.

– Słucham?! – krzyknęła mimo woli Mara, zrywając się na równe nogi.

Temple podniósł się również.

– Zaproponował pomoc przy chłopcach.

Mara usiadła.

– Odmawiam.

Temple usiadł.

Mara zerknęła na niego z ukosa.

– Co ty wyprawiasz?

Wzruszył zdrowym ramieniem.

– Dżentelmen nie siedzi, kiedy dama wstaje.

– A zatem teraz jesteś dżentelmenem? Wczoraj przedstawiałeś się jako szubrawiec.

– Może postanowiłem zacząć nowy rozdział w życiu. – Uśmiechnął się leciutko kącikiem ust. – Nowy początek, jak z herbatą.

Uśmiech zmuszający do zwrócenia uwagi na jego usta.

Te doprowadzające ją do szału usta, o których nie miała zamiaru myśleć.

Dobry Boże. Sama go pocałowała.

Nie. Nie będzie o tym myśleć.

– Bardzo mocno w to wątpię – stwierdziła ponuro.

Budził w niej wściekłość. Wstała ponownie.

On też wstał, cierpliwy, jak zwykle.

Usiadła, wiedząc, że upiera się niepotrzebnie, ale nie przejmowała się tym szczególnie.

Temple nadal stał.

– Czy nie powinieneś usiąść, jako dżentelmen? – warknęła.

– Zasada dotycząca wstawania i siadania nie dotyczy sytuacji odwrotnej. Myślę, że najrozsądniej będzie stać, póki ty się złościsz.

Mara zmrużyła oczy.

– Zapewniam cię, Wasza Wysokość, że jeśli czekasz, aż przestanę się złościć, to może nigdy już nie usiądziesz.

W niebieskich oczach Lydii iskrzył się tłumiony śmiech.

Mara rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

– Jeśli zaczniesz się śmiać, wpuszczę ci Lavender do sypialni w środku nocy. Obudzi cię świńskie chrumkanie.

Groźba odniosła skutek. Lydia spoważniała.

– Dżentelmen sam to zaproponował, a sądzę, że chłopcy skorzystają na męskiej opiece.

Mara otworzyła szeroko oczy.

– Chyba żartujesz.

– Wcale nie – odparła Lydia. – Są rzeczy, których chłopcy powinni się nauczyć, a

których my ich raczej nie nauczymy.

– Nonsens. Jesteśmy doskonałymi nauczycielkami.

Lydia odchrząknęła i podsunęła Marze przez biurko mały kawałek papieru.

– Skonfiskowałam to wczoraj wieczorem z książki z czytankami Daniela.

Mara rozłożyła kartkę i zobaczyła rysunek…

– Co to…

Przekręciła papier i przechyliła głowę. Temple pochylił się nad biurkiem, przysuwając głowę niebezpiecznie blisko do jej głowy i przekręcił kartkę jeszcze raz. I wtedy wszystko stało się jasne.

Złożyła kartkę z energią generała na polu bitwy, twarz jej płonęła.

– To jeszcze dziecko!

Lydia spuściła wzrok.

– Widocznie jedenastoletni chłopcy są dosyć ciekawscy.

– Cóż, jest absolutnie niewłaściwe, żeby to on zaspokajał ich ciekawość. – Machnęła dłonią w stronę Temple'a, nie chcąc na niego patrzyć. Nie będąc w stanie na niego spojrzeć. – Choć nie wątpię, że mógłby służyć za eksperta.

– Uznam to za komplement – odezwał się, stanowczo zbyt blisko niej.

Obróciła się na krześle, żeby na niego spojrzeć.

– To nie miał być komplement. Chciałam tylko zwrócić uwagę na twoje rozbuchane libido.

Uniósł brwi.

– Libido.

– Na twoje hultajskie zachowanie. Rozwiązłe. Rozpustne.

– Jestem przekonany, że niektóre z tych słów znajdują niezwykle rzadkie zastosowanie.

– Aspirujesz teraz do objęcia stanowiska guwernantki?

– Jeśli chłopcy nauczą się takich słów, jak „rozwiązły", to może nie jest najgorszy pomysł.

Mara zwróciła się do Lydii.

– On wychodzi.

– Maro – zaczęła Lydia. – On jest idealny. Jest księciem i, jak sobie wyobrażam, wychowano go na dżentelmena.

– To bokser, na Boga. Właściciel kasyna. Nie nadaje się na wychowawcę młodych, łatwo ulegających wpływom chłopców, którzy muszą być wzorem dobrych manier.

– Kiedyś byłem dobry w sztuce bycia dżentelmenem.

Mara spojrzała na niego.

– I, mój panie, zwiodłeś mnie.

Słowa padły, zanim zdołała je powstrzymać. Zorientowała się natychmiast, że nasunęły mu wspomnienie o tamtej nocy, która przywiodła ich do chwili obecnej, kiedy to, wydawało się, że przejmował panowanie nad wszystkimi aspektami jej życia.

Wzrok mu pociemniał.

– Mógłbym ci przypomnieć, że to ja zostałem tamtej nocy zwiedziony, pani MacIntyre. – Słysząc, z jakim naciskiem wymówił jej fałszywe nazwisko, zacisnęła usta, a on zwrócił do Lydii: – Jestem dzisiaj wolny i z największą przyjemnością będę uczyć waszych

wychowanków, co to znaczy być dżentelmenem.

Sytuacja wymykała się spod kontroli.

Nie chciała go tutaj. Ani w pobliżu. Ani blisko siebie. Ten człowiek knuł spisek przeciwko niej. Nie chciała, żeby się zbliżał do jej chłopców, jej przyjaciółki, jej życia.

Nie chciała go. Kropka.

Nieważne, że większą część nocy spędziła, przewracała się na swoim małym łóżku, nie mogąc się pozbyć myśli o ich pocałunku. I o tym, jak pozwolił chłopcom bawić się w powozie.

Nieważne, że kiedy zapominała o przeszłości, lubiła go takim, jaki był teraz.

To wszystko nie miało znaczenia. Nie wtedy, gdy trzymał w ręku jej przyszłość i przyszłość sierocińca.

– Czy umknęło waszej uwagi, że to ja jestem panią tego domu? I że nie mam zamiaru pozwolić temu człowiekowi zostać tu na cały dzień?

– Nonsens – stwierdziła Lydia. – Nie będziesz ograniczać chłopcom kontaktu z księciem.

– Niecieszącym się największą estymą socjety. – Powiedziała to, nim zdążyła pomyśleć. Temple zesztywniał. Lydia otworzyła usta, po czym je zamknęła. A potem ponownie otworzyła.

Mara poczuła się głupio.

– Nie miałam na myśli…

Spojrzał jej w oczy, nie zdradzając żadnych uczuć.

– Oczywiście, że nie.

– Wiem lepiej niż inni, że…

Nie odezwał się. Odwróciła się do Lydii, szukając pomocy, ale guwernantka tylko pokręciła głową, szeroko otwierając oczy. Marę ogarnęło wyjątkowo nieprzyjemne poczucie winy. Musiała ratować sytuację.

– Jesteś obyty z towarzyską etykietą? – zwróciła się do Temple’a.

Patrzył jej w oczy dłuższą chwilę, po czym wykonał idealnie poprawny ukłon, w iście książęcym stylu. Takim go Mara jeszcze nie widziała.

– Owszem.

Zawieszenie broni.

– Uczono cię, książę, jak konwersować z damami? – Lydia, wdzięczna za rozejm, zerknęła na kartkę w dłoni Mary. – Ta umiejętność może okazać się potrzebna.

– Skargi się raczej nie zdarzały.

Umiał wyśmienicie prowadzić konwersację. Mara nie miała co do tego wątpliwości.

– A sport? – ciągnęła Lydia. – Myślę, że zbyt długo zaniedbywano fizyczną edukację chłopców.

Mara parsknęła niecierpliwie.

– Ten człowiek jest zbudowany jak grecki bóg. Sport jest z pewnością tym, czego może ich nauczyć.

Słowa, które padły z jej ust, wprawiły wszystkich w szok. Oczy Lydii zrobiły się okrągłe. Temple znieruchomiał.

Mara otworzyła usta.

Nie powiedziała tego.

Grecki bóg?

To jego wina. Mącił jej w głowie. I wtrącał się w jej życie – we wszystko, na co tak ciężko pracowała i o co tak długo walczyła. Dlatego to powiedziała.

Grecki bóg??

Zamknęła oczy, siłą woli starając się sprawić, żeby odjęło mu zdolność mowy. Natychmiast i nieodwracalnie.

– Nie chciałam powiedzieć, rzecz jasna…

– Cóż. Dziękuję.

Czy w całej historii ludzkości silna wola zadziałała choć raz?

Wyprostowała się. Gotowa walczyć dalej.

– Nie uznałabym tego za komplement. Greccy bogowie to przedziwne zbiorowisko. Ciągle zamieniali się w zwierzęta i porywali dziewice.

Dobry Boże, czy nie mogła trzymać buzi na kłódkę?

– To nie taki straszny los – zauważył.

Lydia uśmiechnęła się szelmowsko.

Mara posłała jej karcące spojrzenie.

– Przed chwilą go prosiłaś, żeby nauczył chłopców być dżentelmenami.

Lydia zwróciła ogromne oczy na Temple'a.

– Wasza Wysokość zdaje sobie sprawę, że z chłopcami nie można mówić w sposób tak… dwuznaczny?

– Oczywiście – zapewnił. – Ale zauważ, że to twoja chlebodawczyni zaczęła.

Mara miała ochotę nadepnąć mu na nogę. Ale wątpiła, że taki olbrzym w ogóle to zauważy.

– Cóż, zatem ustalone – podsumowała Lydia, jakby rzeczywiście tak było. Jakby sprzeciw Mary w ogóle się nie liczył. – Wasza Wysokość, spędzi przedpołudnie z chłopcami, którzy z pewnością dużo się nauczą. – Spoglądając na Marę znacząco, dokończyła swobodnym tonem: – A być może, kiedy Wasza Wysokość skończy, porozmawia z panią MacIntyre o donacji na dobroczynny cel, jakim jest utrzymanie sierocińca.

Lydia była kuta na cztery nogi. Mara widziała w Temple'u niebezpiecznego wroga, natomiast Lydia – bogatego ewentualnego sprzymierzeńca. Człowieka, który mógł spłacić ich wszystkie rachunki.

Temple uniósł brew.

– Twój talent do interesów niemal dorównuje talentowi twojej chlebodawczyni.

– Uznaję to za komplement – odparła Lydia z uśmiechem.

Oczywiście, nie powinna.

Temple nie zdecyduje się tak po prostu łożyć na sierociniec. Jemu także nie brakowało sprytu. A najlepszym sposobem zapewnienia wypłacalności sierocińca było trzymanie się obranej przez Marę drogi. Niepokojąca myśl, ale postanowiła się tym nie przejmować.

Chodziło o sierociniec i bezpieczeństwo chłopców.

Cel uświęca środki.

Lydia wstała.

– A więc mamy szczęście. Nie co dzień się zdarza, żeby książę odkładał na bok tytuł i podejmował pracę.

– Słyszałem, że w powieściach to dosyć częste – stwierdził Temple.

– To nie jest, ściśle rzecz ujmując, powieść – zauważyła Mara. W powieści byłaby prześliczną panną o nienagannej przeszłości i równie nieskazitelnej cerze. A on byłby przystojnym, mrocznym księciem. Cóż, jeśli o niego chodzi, to nawet taki rzeczywiście był.

– Doprawdy? – zakpił. – Muszę wyznać, że wydarzenia poprzedniego tygodnia były wystarczająco dziwne, żebym zaczął podejrzewać, że życie jest powieścią.

Lydia się roześmiała.

– W istocie.

– Tylko go nie polub – ostrzegła Mara.

Śmiech przeszedł w uśmiech.

– To może być trudne.

Temple się ukłonił.

Teraz flirtowali i Marze przyszło do głowy, że w powieści to nie ona byłaby bohaterką. Lydia by nią była. Miła, śliczna, jasnowłosa guwernantka, śmieszka o ogromnych oczach – akurat taka, jaka może zawrócić księciu w głowie.

Mara się skrzywiła. To nie powieść.

– Lydio, przygotuj chłopców na specjalną lekcję z Jego Wysokością – powiedziała, patrząc Temple'owi w oczy. – Ty zostajesz tutaj.

Na twarzy Lydii odbiła się ciekawość, ale wiedziała, że lepiej nie zwlekać, i poszła zebrać swoich podopiecznych. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Mara obeszła biurko i stanęła twarzą w twarz z księciem.

– Nie musiałeś tego robić.

– Ładnie z twojej strony, że myślisz o mojej wygodzie.

– Nie to miałam na myśli.

Wygiął usta w kpiącym uśmiechu.

– A jednak.

Rozpraszał ją. Czuła zapach goździków i tymianku. Zapach maści, jaką posmarowała jego ranę, a on czekał cierpliwie, gdy jej palce przesuwały się po ciepłej, gładkiej skórze.

Stąd już było blisko do wspomnienia jego warg na jej wargach.

Nie mogła uwierzyć, że go pocałowała.

Jeszcze mniej w to, że on oddał jej pocałunek.

Nie zamierzała myśleć o tym, jak jej się to podobało.

Ani o tym, że słowo „podobało" nie oddawało w pełni tego, jak się czuła, całowana i przez niego pieszczona.

Patrzył teraz na nią z uśmieszkiem, jakby znał myśli przebiegające jej przez głowę.

Odchrząknęła. Wyprostowała się.

– Chłopcy nie spędzają wiele czasu z dżentelmenami. Zainteresujesz ich.

Skinął głową.

– To brzmi sensownie.

– Nie… – zawahała się, szukając odpowiednich słów. – Nie spraw, żeby cię polubili.

Uniósł brwi.

– Będzie im tylko trudniej, jeśli odejdziesz i nigdy nie wrócisz. Nie pozwól, żeby się do ciebie przywiązali. – Nagle możliwość przywiązania się do niego wydała się całkiem realna.

Po chwili zastanowienia powiedział:

– To tylko przedpołudnie, Maro.

– Biorę cię za słowo. – Mara kiwnęła głową poważnie.

Parsknął cicho. Złość? Frustracja?

– Jako dżentelmena? Szubrawca?

– Jedno i drugie.

– Daję słowo, w obu wypadkach.

Otworzyła drzwi i znowu odwróciła się do niego, starając się nie widzieć, jaki jest przystojny. Jaki pociągający.

– Cóż, mam nadzieję, że chociaż jeden z nich go dotrzyma.

Wyszedł, zamknęła za nim drzwi. Po kilku chwilach stłumiła chęć pójścia za nim, przekręciła klucz w zamku i wróciła do biurka.

Godzina.

Tyle trwało, zanim ciekawość zwyciężyła i Mara zdecydowała się wyruszyć jego śladem.

Znalazła Lydię stojącą na straży w holu sierocińca.

– Gdzie oni są? – zapytała Mara.

Lydia kiwnęła głową w kierunku szczelnie zamkniętych drzwi od jadalni.

– Jest z nimi od czterdziestu pięciu minut.

– Co robią?

– Nie mam pojęcia.

Podeszła do przyjaciółki, zniżając głos do szeptu:

– Nie mogę uwierzyć, że go o to poprosiłaś.

Lydia wzruszyła ramionami.

– Wydaje się przyzwoitym człowiekiem.

– Był.

– Tego nie wiesz.

W niebieskich oczach Lydii błysnęło zrozumienie.

– Znam ludzi nieprzyzwoitych. A sama powiedziałaś, że nie zrobił tego, o co świat go podejrzewa. – Zamilkła, po czym dodała: – I jest na tyle bogaty, żeby nas wszystkich uratować.

Gdyby wiedział, że sierociniec jest zagrożony.

„Nic, co powiesz, nie sprawi, że ci wybaczę”.

Nic, co ona powie, nie sprawi, że on im pomoże.

– …ale wydają się dobrze bawić – mówiła dalej Lydia.

Z jadalni dobiegał śmiech i podniecony gwar, przywracając Marę do rzeczywistości. Zapukała i otworzyła drzwi. Hałas natychmiast przycichł.

Temple spojrzał ze swojego miejsca za stołem i wstał, nie zwlekając, kiedy weszła.

Chłopcy poszli za jego przykładem.

– Ach – powiedział – pani MacIntyre. Właśnie skończyliśmy naszą dyskusję.

Popatrzyła na chłopców, wszyscy mieli zagadkowe miny, jakby poinstruowano ich w jakichś sztukach tajemnych.

– Spodziewam się, że wszystko jest w porządku? – spytała, kiedy jej wzrok ponownie spoczął na Temple'u.

Skinął ostrożnie głową.

– Sądzę, że się udało.

Wyszła, obiecując sobie, że już więcej do nich nie zajrzy. Postanowienie przetrwało pełne dwie godziny, kiedy nie mogła już się powstrzymać od wyjścia z gabinetu i sprawdzenia, czy przygotowania do lunchu trwają, jak powinny, co zmusiło ją przypadkiem do przejścia przez hol sierocińca; nie zdołała nie zauważyć stojących w szeregu skupionych, poważnych chłopców, wpatrujących się w Temple'a, który stał na środku, z Lavender na rękach, a obok niego stali Daniel i George.

Zawahała się u stóp schodów, po czym cofnęła, żeby się przyglądać.

– Rozzłościł mnie – mówił George. Nie po raz pierwszy doszło do bójki między nim a Danielem. Na pewno nie ostatni.

Temple skinął głową, przyglądając się chłopcu uważnie.

– I co?

– Więc uderzyłem go.

Mara była zaszokowana. Agresji fizycznej u pani MacIntyre nie tolerowano. Najwidoczniej wpuszczenie boksera do sierocińca było złym pomysłem. Ruszyła w stronę holu, kiedy Temple zapytał:

– Dlaczego?

Zatrzymała się, słysząc to dziwne pytanie, na które sama by nie wpadła. George'owi trudno było na nie odpowiedzieć. Wpatrywał się we własne, poruszające się niespokojnie stopy.

– Dżentelmen patrzy w oczy tym, z którymi rozmawia.

George podniósł wzrok na Temple'a.

– Chciałem, żeby on też był rozzłoszczony.

Temple pokiwał głową.

– Chciałeś zemsty.

Gdyby budynek zawalił się w tej chwili, Mara nie przestałaby patrzyć.

– Tak – przyznał się George.

– Danielu, czy to mu się udało?

Drugi chłopiec wyprostował się i odparł bez wahania.

– Nie.

Temple miał ochotę się uśmiechnąć, słysząc tę zawadiacką odpowiedź; Mara czytała to z jego twarzy. Powstrzymał się jednak i zapytał drugiego chłopca.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że się rozgniewałeś, kiedy dostałeś pięścią.

– Pewnie, że tak! – zawołał Daniel, jakby miał przed sobą kogoś niespełna rozumu. – Uderzył mnie! Musiałem się bronić!

– Miałeś prawo. Ale czy poczułeś się lepiej, oddając cios?

Daniel się skrzywił.

– Nie.

– A ty czujesz się pomszczony za to, co Daniel ci zrobił? – zwrócił się Temple do George'a.

George zastanawiał się nad pytaniem, przekrzywiając głowę i patrząc na Daniela, zanim uświadomił sobie prawdę.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo ciągle jestem zły.

– No właśnie. I co jeszcze?

– I teraz Daniel też jest zły.

– Słusznie. A Lavender?

Chłopcy spojrzeli na prosiątko.

– Nie widzieliśmy jej! – zawołał Daniel.

– Zjawiła się znikąd! – krzyknął George.

– I o mało jej się nie dostało podczas waszej bójki. A to mogło być dla niej bolesne. Może gorzej. – Chłopcy się przerazili. – Niech to będzie dla was nauczka. Nie mówię wam, żebyście nie walczyli. Mówię tylko, że kiedy się bijecie, róbcie to z właściwych powodów.

– Zemsta nie jest właściwym powodem?

Zamilkł na długą chwilę, a Mara wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź. Wiedziała, że myśli o czymś poważniejszym niż kłótnia małych chłopców.

– Z mojego doświadczenia wynika – odezwał się w końcu – że wypadki często toczą się inaczej, niż przewidywaliśmy. Zemsta nie zawsze dokonuje się tak, jak się spodziewaliśmy.

Co miał na myśli?

Po kolejnej przerwie dodał:

– I czasami dochodzi do tego, że świnka jest w niebezpieczeństwie. – Chłopcy uśmiechnęli się, a George wyciągnął rękę, żeby poklepać prosiątko po różowym łepku. – A teraz, co istotniejsze, wyobrażam sobie, jak bardzo bolą was pięści.

George potrząsnął ręką.

– Skąd wiedziałeś?

Temple wyciągnął własną rękę, wielkości głowy chłopca. Złożył ją w pięść.

– Włożyliście kciuk do środka. – Otworzył dłoń i znowu ją zamknął. – Jeśli zostawi się go na zewnątrz, uderzenia mniej bolą.

– Nauczysz nas walczyć?

Teraz się uśmiechnął, unosząc kącik ust. Boże, ależ był przystojny. A ze swojego miejsca za schodami mogła przyglądać mu się do woli. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

– Z przyjemnością.

Powinna go powstrzymać, zanim wyszkoli batalion małych wojowników. Może by to zrobiła od razu, gdyby się nie odwrócił i nie dostrzegł jej, powodując, że serce skoczyło jej do gardła.

– Pani MacIntyre – powiedział – może się pani do nas przyłączy.

Przyglądała mu się od dawna, zaczajona w kącie. Innej kobiety może by nie zauważył.

Ale to była Mara Lowe i pogodził się z tym, że zawsze będzie ją zauważać. Że zawsze był świadom jej obecności, nawet jeśli tego nie chciał. Nawet jeśli jej nie ufał, wątpił w nią i był na nią wściekły.

Nawet kiedy w jej gabinecie usiłował zmusić ją do powiedzenia prawdy.

Tak więc, kiedy jej podopieczni dali mu okazję, żeby ściągnąć ją bliżej, wykorzystał to, bawiąc się wyrazem zaskoczenia na jej twarzy, kiedy stwierdziła, że ją widzi.

Wysunęła się z kąta, starając się usilnie nie sprawiać wrażenia, że podsłuchiwała.

– Dzień dobry, panowie.

Przypominali ołowianych żołnierzyków, każdy wykonał teraz zgrabny ukłon.

– Dzień dobry, pani MacIntyre! – odpowiedzieli chórem.

Aż przystanęła zaskoczona.

– Mój Boże, co za wspaniałe powitanie!

Kochała tych chłopców; to nie ulegało wątpliwości. Przed oczyma wyobraźni mignął mu obraz: Mara uśmiechająca się do gromadki chłopców na rozległych trawnikach Whitefawn Abbey. Gromadka szczęśliwych ciemnowłosych, ciemnookich chłopców. Jego chłopców.

Jego Mara.

Skąd, do diabła, wzięła się ta myśl?

Pokręcił głową i wrócił do rzeczywistości.

– Pani MacIntyre, chłopcy proszą o lekcję walki, i pomyślałem, że pani może chciałaby mi pomóc.

Spojrzała zdziwiona.

– Nie wiedziałabym, od czego zacząć.

Ta kobieta nosiła przy sobie nóż. Temple mógłby postawić całą swoją fortunę na to, że dokładnie wiedziała, od czego zacząć.

– Jeszcze jeden powód, żeby się nauczyć.

Chłopcy, którzy siedzieli dotąd cicho, zaprotestowali.

– Nie może się nauczyć! – zawołał jeden. – To dziewczyna!

– Pewnie – dodał inny. – Dziewczyny uczą się takich rzeczy, jak taniec. Albo szycie.

Myśl, że Mara Lowe mogłaby szyć coś innego niż ranę po cięciu nożem wydawała się śmiechu warta.

– Może się nauczyć – oznajmił George. – Ale nie potrzebuje. Dziewczyny nie walczą.

Nie podobało mu się wspomnienie, które zjawiło się natychmiast z całą wyrazistością – Mary w zaułku Mayfair, w łapach dwóch bestii dwukrotnie od niej silniejszych. Chciał, żeby była bezpieczna. Mógł ją nauczyć, jak ustrzec się przed niebezpieczeństwem.

– Po pierwsze, dżentelmeni nie mówią o damach „dziewczyny” – stwierdził Temple. – Po drugie, przypuszczam, że wkrótce wszyscy zaczniecie naukę tańca. – W gromadce chłopców rozległy się chóralne jęki. – A po trzecie, każdy powinien umieć się bronić.

Zwrócił się do Mary, wyciągając rękę.

– Pani MacIntyre?

Zawahała się, patrząc na jego dłoń, w końcu zbliżyła się i wsunęła w nią palce. Nie miała rękawiczek i w tej chwili żałował, że on je nosi.

Może to nie był dobry pomysł. Zamierzał wytrącić ją z równowagi.

Nie spodziewał się, że to on odczuje niepokój.

Ale tak to już było z Marą Lowe.

Odwrócił ją twarzą do chłopców i ujął jej dłoń w swoją, po czym tak ułożył jej palce, że utworzyły pięść. Nie przestawał mówić, próbując nie zauważać bliskości jej ciała.

– Starajcie się nie napinać mięśni, kiedy zwijacie dłoń w pięść. To nie mocno ściśnięta pięść sprawia przeciwnikowi ból, tylko siła ciosu. Im silniej zaciśniecie dłoń, tym boleśniej odczujecie cios przez was zadany.

Chłopcy kiwali głowami, patrzyli, zwijali dłonie w pięści, wymachując rękami. Inaczej niż Mara. Trzymała pięści jak zawodnik – blisko twarzy, jakby atak mógł nastąpić w każdej chwili. Skupiona, spojrzała mu w oczy. Poczuł ciepło.

– Pamiętajcie jedno, chłopcy – zwrócił się znowu do nich. – Im bardziej dajecie się ponieść gniewowi, tym pewniej przegracie.

Daniel przestał wymachiwać rękami i zmarszczył brwi ze zdumienia.

– Jeśli nie mamy się bić, jak jesteśmy wściekli, to po co w ogóle się bić?

Doskonałe pytanie.

– W obronie własnej.

– Jeśli ktoś cię pierwszy uderzy – odezwał się jeden z chłopców.

– Ale dlaczego miałby uderzyć – sprzeciwił się George. – Chyba że jest wściekły i łamie zasady.

– Może jest źle wychowany – podpowiedział Daniel i wszyscy parsknęli śmiechem.

– Albo źle wyszkolony – dodał Temple z uśmiechem.

– Albo krzywdzą kogoś, kogo lubisz – powiedział Henry. – Nie pozwoliłbym skrzywdzić Lavender.

Chłopcy jednomyślnie pokiwali głowami.

– Walka w czyjejś obronie – odezwał się znowu Temple. Od tamtej nocy, kiedy Mara została napadnięta, nie przestały boleć go kostki dłoni. Spojrzał na nią, szczęśliwy, że jest bezpieczna. – To czyn najszlachetniejszy.

Jej policzki poróżowiały, a on stwierdził, że bardzo mu się ten widok podoba.

– Albo może ktoś popełnił błąd – zasugerowała.

Co to miało znaczyć?

W tych pięknych, dziwnych oczach coś się kryło. Żal?

Czy to możliwe?

– Co dalej, Wasza Wysokość? – domagali się chłopcy kolejnych wskazówek.

Zwinął dłonie w pięści i przyciągnął je wysoko do twarzy.

– Zawsze chronicie głowę. Nawet kiedy uderzacie. – Przesunął lewą nogę do przodu. Lewe ramię i lewa noga powinny prowadzić. Na ugiętych kolanach.

Chłopcy stanęli w postawie bokserskiej. Przeszedł wzdłuż szeregu, poprawiając tu ramię, tam pięść. Kiedy skończył, odwrócił się do Mary. Stała z uniesionymi pięściami, czekając na niego.

Jakby toczyli nieustannie walkę.

I tak rzeczywiście było.

Zbliżył się do niej.

– Z damami jest trudniej – powiedział cicho – ponieważ nie widzę ich nóg. – Oddałby wszystko, żeby zobaczyć jej nogi. Stanął za nią, kładąc ręce na jej ramionach. – Czy mogę?

Skinęła głową.

– Tak.

Dwudziestu czujnych chłopców odgrywało rolę przyzwoitek. Nie powinien czuć się tak, jakby robił coś niedozwolonego, a jednak kontakt z jej ciałem odczuł jak dotknięcie żywego ognia.

Przechylił ją w tył i w przód, nakazując jej stać mocno na nogach, po czym wysunął jedno z jej kolan naprzód, żeby ocenić długość wykroku. Materiał sukni przesunął się po jego nodze odzianej w spodnie, ale to wystarczyło, żeby mu zaschło w gardle. Był tak blisko niej, że usłyszał, jak wciągnęła gwałtownie powietrze, i poczuł jej zapach, lekki zapach cytryn – teraz, w grudniu, kiedy tylko najbogatsi londyńczycy mogli sobie na nie pozwolić.

Gdyby należała do niego, napełniłby dom drzewkami cytrynowymi.

Gdyby należała do niego?

Co za nonsens. Wysoka, zwinna i piękna – zapragnąłby każdej kobiety do niej podobnej, gdyby znalazł się tak blisko.

Odsunął się.

– Trzymaj pięści wysoko, a głowę nisko. Pamiętaj, że mężczyzna wyprowadza cios z ramion.

– A kobieta? – zapytała. – Z innego miejsca?

W jej oczach zobaczył błysk rozbawienia. Przekomarzała się z nim? Dziwna myśl, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich przeszłość. Ale nie, te niebiesko-zielone oczy naprawdę iskrzyły się wesołością. Przekomarzała się z nim.

– Z mojego doświadczenia wynika, pani MacIntyre, że kobiety walczą nieczysto.

Uśmiechnęła się.

– Nieprawda. Po prostu walczymy sercem.

Uwierzył w to. Bez wahania. Ta kobieta walczyła o to, czego chciała, i dla tych, na których jej zależało. Walczyłaby dla chłopców i – jak się wydawało – dla brata, mimo że tamten raczej na to nie zasługiwał.

Ale miała cel. I jej walka była szlachetna.

Ciekaw był, czy walczyłaby dla niego.

To byłoby niezwykłe.

Stłumił tę myśl i skupił uwagę na chłopcach, choć nie mógł przestać jej dotykać. Ustawił jej głowę, tak że Mara przybrała bardzo profesjonalną bokserską postawę. Każde dotknięcie czuł w całym ciele.

– Pochylcie głowy w przód. – Czy jej włosy zawsze były takie miękkie? – Nie podnoście brody do góry, bo ryzykujecie uderzenie tutaj… – musnął wierzchem dłoni jej podbródek; miękka skóra kusiła go jak kawałek tortu – …i tutaj. – Jego zaciśnięte palce przesunęły się w dół jej szyi, tam, gdzie pulsowała jej krew.

Odetchnęła gwałtownie. Wiedział, że ona też to czuje.

Przyjemność.

Pożądanie.

Kim była ta kobieta? Co robili sobie nawzajem?

Z trudem odsunął się od niej. Przemówił do chłopców podniesionym głosem.

– Uderzenie nie wychodzi z ramion. Tylko z całego ciała. Z nóg. Ramiona, ręce tylko je przekazują. – Zadał cios w powietrze i chłopcy sapnęli ze zdumienia.

– Rany! Ale to było szybkie.

– Jesteś chyba najsilniejszym człowiekiem na świecie?

– Teraz każdy z was wyprowadza cios.

Chłopcy w podnieceniu młócili rękami powietrze, podskakując w tył i w przód na lekko ugiętych w kolanach od tej chwili nogach. Przyglądał im się długo, zatrzymując wzrok na najstarszym, Danielu. Ciemnowłosy, poważny chłopiec skoncentrował całą uwagę na ciosach, chcąc zyskać aprobatę Temple'a, i było w tym coś znajomego. Co Temple rozpoznał u siebie.

Ciemne włosy. Pochmurne oczy. Jedenaście lat.

Chłopiec miał niebieskie oczy, ale poza tym przypominał Temple'a.

Oczy niebieskie jak u Mary.

Powiedziała, że chłopiec jest z nią od zawsze. Czyli, jak zrozumiał, od urodzenia. Czy to ona wydała go na świat?

Chryste. Czy to dziecko to jego syn?

Jeśli tak, to dlaczego tak długo się przed nim ukrywała? Nie wiedziała, że się nimi zajmie? Zapewni opiekę? Ożeniłby się z nią. Nie zwlekając.

Stworzyliby rodzinę.

Ta myśl poruszyła go bardziej, niż mógłby sobie przedtem wyobrazić – wspólne posiłki, rodzinne święta, śmiech… I Daniel nie byłby sam. Miałby braci i siostry o ciemnych włosach, z oczami w kolorze lata. Zielonymi i niebieskimi. I byliby szczęśliwi.

Szczęście to dziwne, ulotne uczucie.

Ale w tej chwili jego rodzina była szczęśliwa.

Jego nieistniejąca rodzina. Hałas przywrócił Temple'a do rzeczywistości. Wydobędzie prawdę z Mary Lowe. Ale to nie była odpowiednia pora.

– Robicie bardzo dobre wrażenie, dżentelmeni.

On i Mara stali obok siebie długie minuty, obserwując dzieci.

– Nic dziwnego, że nie można cię pokonać – powiedziała w końcu Mara cichym głosem.

Wzruszył ramieniem.

– To jest to, co robię. Kim jestem. – To jedyna rzecz, którą robił dobrze przez ostatnich dwanaście lat.

– Wiesz, wcale tak nie myślę.

Odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy, ciesząc się, w jaki sposób na niego patrzy. Jej uwagą. Żałował, że nie są sami. Chciałby tyle jej powiedzieć. O tyle rzeczy zapytać. Poprzestał na:

– Spróbuj.

Podniosła pięści i zadała słaby cios w powietrze między nimi.

Pokręcił głową.

– Nie. – Poklepał się po piersi. – Tutaj.

Otworzyła szeroko oczy.

– Chcesz, żebym cię uderzyła?

– To jedyny sposób, żeby się przekonać, czy robisz to prawidłowo.

Teraz ona z kolei pokręciła głową.

– Nie. – Opuściła pięści. – Nie.

– Dlaczego nie?

Spuściła oczy, a on zapatrzył się na jasne piegi na jej policzkach. Jak to możliwe, że ich przedtem nie zauważył?

– Z pewnością miałabyś ochotę trochę mi dołożyć – zauważył żartobliwie.

Milczała długo, a on zapragnął wyciągnąć rękę i przechylić jej twarz ku sobie. Jednak szepnął tylko:

– Pani MacIntyre?

Pokręciła głową.

– Nie chcę cię skrzywdzić – powiedziała cicho, nie patrząc na niego.

Ze wszystkiego, co mogła powiedzieć, to było najbardziej szokujące. Kłamała. Z pewnością. Ostatecznie byli wrogami, którzy współdziałali dla obopólnej korzyści. Zemsta w zamian za pieniądze. Oczywiście, że chciała go skrzywdzić.

Po co zatem tyle przed nim ukrywała?

Kłamstwo powinno go rozgniewać.

Ale z jakiegoś powodu gniewowi towarzyszyło uczucie, które można by nazwać nadzieją.

To mu się także nie podobało.

– Spójrz na mnie.

Spojrzała. I w jej oczach zobaczył prawdę.

Jeśli nie chciała go skrzywdzić, to co oni robili? Jaką grę prowadzili?

Zrobił krok w jej stronę, chwycił jej zwiniętą w pięść dłoń i przyciągnął do siebie, aż spoczęła, lekka jak piórko, na jego piersi, po lewej stronie. Próbowała ją cofnąć, ale bezskutecznie, więc zamiast tego zrobiła to, co jedynie mogła zrobić w tej sytuacji, to znaczy podeszła bliżej i rozłożyła palce, kładąc dłoń płasko na jego piersi.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie – powtórzyła.

Ten gest był czymś skandalicznym, w obecności wszystkich chłopców, ale nie dbał o to. Myślał tylko o cieple jej dłoni. Miękkości dotyku. Szczerości tego gestu.

Kiedy ostatnio kobieta dotknęła go z taką szczerością?

Odbierała mu siły.

Omal nie wziął jej w ramiona, by całować, aż powie prawdę. Prawdę o tamtej nocy sprzed dwunastu lat, do czego ta noc ich doprowadziła i jak to się stało, że znaleźli się w tym właśnie punkcie, gdzie teraz byli. I dokąd miała ich jeszcze zaprowadzić.

Opuścił głowę. Stała tuż obok niego.

Odchrząknęła.

– Wasza Wysokość chyba nie ma nic przeciwko temu, żebym odesłała chłopców. Powinni doprowadzić się do porządku. To już prawie pora lunchu.

Puścił ją, jakby się oparzył. Dobry Boże. O mało… wobec gromady dzieciaków.

– Ależ skąd. Myślę, że na dzisiaj skończyliśmy.

– Spodziewam się, że zapamiętacie lekcję księcia – zwróciła się do chłopców. – Dżentelmeni nie wszczynają bójek.

– My je tylko kończymy! – zawołał George i chłopcy rozbiegli się natychmiast, każdy w swoją stronę, z wyjątkiem małego Henry'ego, który skierował się wprost do Lavender, leżącej u stóp Temple'a.

Ucieszony, że może odwrócić uwagę od siebie, Temple wziął świnkę na ręce.

– Obawiam się, że nie mogę ci jej dać. Lavender zostanie ze mną.

Henry odął wargi.

– Nie wolno nam traktować jej jak własność – oznajmił. – Pani MacIntyre tego nie lubi.

Temple spojrzał Marze w oczy ponad jasną czupryną Henry'ego.

– Cóż, zatem pani MacIntyre pewnie zmyje mi głowę.

Henry'emu to przypuszczenie chyba przypadło do gustu, odwrócił się bowiem i pobiegł do jadalni. Temple się wyprostował. Mara wyglądała na równie skonsternowaną jak on.

– Wiesz, on ma rację. Reguła jest taka, że Lavender nie może być traktowana jak łup.

– Czyja reguła?

– Moja. – Mara sięgnęła po prosiątko.

Temple cofnął się poza zasięg jej ramion.

– Cóż, według moich reguł – ja ją uratowałem, a zatem należy do mnie.

– Ach. Reguły szubrawców.

– Nie masz, zdaje się, skrupułów, żeby je stosować, kiedy ci wygodnie – zauważył.

Uśmiechnęła się.

– Ale nie wobec Lavender.

Podszedł bliżej.

– A więc jesteś najgorszym rodzajem szubrawca – szepnął.

Uniosła brew.

– A to dlaczego?

– Bo przywdziewasz płaszcz cnoty, kiedy ci to potrzebne. Brak ci poczucia winy.

Stał przy niej bardzo blisko, jego olbrzymia postać górowała nad nią.

– Czy usiłujesz mnie zastraszyć, żebym się z tobą zgodziła?

– A to działa?

Przełknęła ślinę, a on z trudem oparł się chęci pogłaskania jej szyi.

– Nie.

– Wiesz, mężczyźni kulą się na samą wzmiankę mojego imienia.

Roześmiała się.

– Gdyby zobaczyli cię teraz, z prosiaczkiem w objęciach, może przestaliby się tak bać.

Zerknął na śpiącą w jego ramionach Lavender i zachichotał. Mara znieruchomiała, po czym odchrząknęła. Temple spojrzał jej w oczy. Odczytywała jego nastroje i uczucia tak samo jak on jej.

– Czy mówiłeś poważnie o zemście, że nie jest warta trudu?

– Tego nie powiedziałem – stwierdził, lekko marszcząc czoło.

– Powiedziałeś, że wtedy gdy chcemy się zemścić, wypadki rzadko toczą się tak, jak przewidywaliśmy.

– To prawda. Ale to nie znaczy, że koniec nie jest taki, jak przewidywaliśmy. – Musiał w to wierzyć.

Spojrzała przed siebie, skupiając w końcu wzrok na wgłębieniu w jego brodzie.

– Kiedy się ta zemsta ostatecznie dokona?

Nie wiem.

Nie przyznałby się do tego. Oświadczył więc:

– Gdy znowu zostanę księciem. Odzyskam to, co mi obiecano w dzieciństwie. Będę wiódł życie, do którego mnie wychowano. Będę miał żonę. – Odsunął od siebie myśl o dziwnych oczach. – I dziecko. Dziedzictwo. Whitefawn Abbey.

Wtedy na niego spojrzała.

– A co ze mną?

Zastanawiał się długą chwilę. Wyobraził sobie, że są innymi ludźmi. On innym mężczyzną, ona inną kobietą. Że spotkali się w innych okolicznościach. Było w niej tyle dobra – była silna, dzielna, szczerze oddana chłopcom. Życiu, jakie stworzyła.

Nie musiał się o nią troszczyć.

Żałował, że z upływem czasu coraz trudniej mu w to wierzyć.

Wolną ręką ujął jej twarz i uniósł ku swojej.

– Nie wiem – powiedział zgodnie z prawdą. – Nie powinienem tu dzisiaj przychodzić.

– Dlaczego przyszedłeś?

– Bo chciałem cię zobaczyć w twoim otoczeniu. Poznać twoich chłopców.

– W jakim celu?

Nie musiał odpowiadać. Nie powinien chcieć jej lepiej poznać. Ani zrozumieć. Ale to było silniejsze od niego. Może dlatego, że już zawsze miała między nimi istnieć ta więź. Może dlatego, że w jakiś sposób go do tego zmusiła. A może chciał ją lepiej zrozumieć.

Nie spodziewał się jednak, że zacznie ją lubić.

I z całą pewnością nie spodziewał się, że wzbudzi w nim takie pożądanie.

Świadom, że nie może jej tego powiedzieć, wybrał inny sposób, żeby wybrnąć z sytuacji – pocałował ją.

Poddała się pieszczocie. Lekki i słodki dotyk jego warg kazał jej wątpić, czy w ogóle można to nazwać pocałunkiem. To była pokusa, zdumiewająco silna. Westchnęła. Właśnie na to czekał.

Przyjął zaproszenie.

Rozchyliła wargi, a on pogłębił pocałunek. Przesunął dłoń z jej policzka na plecy i kibić i przyciągnął mocno do siebie. Jej westchnienie, głęboki, głuchy jęk, zaskoczył go i sprawił satysfakcję. Rzucała mu wyzwanie, sprawdzając, jak daleko się on posunie.

Podjął je.

Zaczął pieścić językiem jej dolną wargę, a ona wsunęła mu ręce we włosy, tuląc się do niego, jakby niczego na świecie nie pragnęła bardziej, jak być blisko niego. Jakby się go wcale nie bała.

Przyciągnął ją jeszcze mocniej, napawając się jej odwagą, pragnąc zapomnieć o

wszystkim, co było i co miało nastąpić, i żyć tylko tą chwilą. Z kobietą, która pragnęła, czuł to, tego samego.

Wtedy zaprotestowała Lavender.

Świnka wydała oburzony pisk, wiercąc się rozpaczliwie między nimi i domagając się, żeby ją wypuścili albo pozwolili spokojnie drzemać.

Mara i Temple odskoczyli od siebie, ona z ręką przy szyi, on – chroniąc Lavender przed skokiem na złamanie karku. Postawił świnkę na podłodze. Uciekła, zostawiając ich samych w holu, bez tchu, patrzących na siebie, jakby niepewnych, czy uciekać z tego domu, czy paść sobie z powrotem w ramiona.

Nie zamierzał wyjść.

Znalazł się obok niej w dwóch krokach, pochwycił w ramiona i podniósł, ciesząc się jej ciężarem i siłą swoich wyćwiczonych mięśni. Tym, że służyły mu teraz do nieskończenie bardziej użytecznych celów. Całował ją znowu, mocno, gwałtownie, smakując jej frustrację – rozpoznał ją, bo sam czuł to samo.

Chryste. Nie mógł zostać.

Puścił ją równie szybko, jak objął, postawił, chwiejącą się na nogach, ujął w dłonie jej twarz i spojrzał głęboko w oczy.

– Ty niebezpieczna kobieto – oznajmił, na koniec jeszcze raz ją pocałował, po czym odsunął się od niej.

Uniosła rękę do ust, obserwował ten ruch bacznie, zachwycony sposobem, w jaki jej śliczne palce dotykały opuchniętych warg. Marzył, żeby oboje byli kimś innym. Żeby znaleźli się gdziekolwiek indziej, tylko nie tutaj.

Gdyby marzenia mogły się ziścić…

Odwrócił się, żeby odejść. Wiedział, że musi. Nie ufał samemu sobie.

– Zjesz z nami lunch?! – zawołała za nim.

– Nie, dzięki. Dzisiejsze przedpołudnie dla mnie już się skończyło. – Zbyt wiele się zdarzyło. Nie należało jej dotykać. Była przyczyną jego nieszczęścia. Nadzieją na zemstę.

Dlaczego zapominał o tym?

– Sprawiasz wrażenie głodnego – powiedziała i o mało się nie roześmiał. W życiu nie był taki głodny. Głodny jej.

– Wytrzymam.

– Czy wciąż się boisz, że mogłabym cię otruć?

Schylił głowę.

– Ostrożności nigdy za wiele.

Uśmiechnęła się. Podobał mu się ten uśmiech. Aż zanadto.

Musiał to przerwać.

Powiedział więc jedyne słowa, które, jak wiedział, mogły tego dokonać:

– Maro.

Spojrzała mu w oczy, starając się nie zauważać, jaki jest przystojny. Jak bardzo ją pociąga.

– Tak?

– Tamtej nocy. Czy kochaliśmy się?

Otworzyła szeroko oczy. Zaszokował ją. Spodziewała się tysiąca pytań, ale nie tego.

Nie przypomnienia ich przeszłości. Ich układu.

Szybko doszła do siebie, tak szybko, że wzbudziła jego podziw.

– Czy zdecydowałeś się zapomnieć o długu mojego brata?

Dzięki temu znowu stanęli na solidnym gruncie. Na szczęście.

– Nie.

Otworzyła drzwi i stanęła z boku.

– Zatem obawiam się, że nie pamiętam.

– Cóż. – Odwrócił się do drzwi, zdejmując płaszcz z haka. – Rozumiem, jak ci ciężko.

Położył rękę na klamce, a wtedy powiedziała:

– Jeszcze dwa funty, tak czy inaczej.

Obejrzał się, przejęty lodowatym chłodem.

– Za co?

Stała w holu, wysoka i dumna.

– Za pocałunek.

Nie myślał o ich układzie, kiedy ją całował, i założyłby się o wszystko, że ona też o tym nie myślała. Teraz, gdy mówiła o pieniądzach, tamte intymne chwile stały się wulgarne i pozbawione emocji, i miał do niej żal, że potraktowała to jak wymianę usług.

Ale to nie ona była temu winna. On. Ona po prostu poszła za jego przykładem.

– Dwa funty wydają się rozsądną ceną. – Nie musi wiedzieć, że zapłaciłby dwieście za kolejną taką chwilę. Dwa tysiące. – Zobaczymy się wieczorem. – Otworzył drzwi i dodał: – Włóż to, co przyślą dzisiaj od Hebert.

# 9

*N*ie powinieneś z nim walczyć.

Temple nie podniósł głowy, zajęty zawiązywaniem butów.

– Trochę na to za późno, nie sądzisz? Połowa klubu jest już przy ringu.

Markiz Bourne, najdawniejszy przyjaciel Temple'a i współwłaściciel Upadłego Anioła, opierał się o ścianę przy drzwiach, za którymi znajdowała się sala z ringiem, przyglądając się, jak Temple przygotowuje się do walki.

– Nie to mam na myśli i wiesz o tym. Dziś wieczorem możesz walczyć, z kim chcesz, chociaż gdybym miał zwyczaj zakładania się, to postawiłbym dwadzieścia funtów na to, że Drake padnie w pierwszej minucie. – Wskazał niski stół na środku pokoju. – Nie powinieneś przyjmować wyzwania od Lowe'a.

Temple spojrzał na listę nazwisk. Na górze widniało nazwisko: Christopher Lowe – już od tygodni. Wzywając go. Kusząc. Chcąc go skłonić, żeby przyjął wyzwanie. Widocznie Mara nie powiedziała bratu, że zawarła porozumienie z Księciem Zabójcą i że powoli odzyskuje ich pieniądze. Może było tak, a może Lowe chciał uchronić siostrę przed kompromitacją, ale Temple nie mógł sobie wyobrazić, żeby w swoich planach ów młody człowiek uwzględniał reputację siostry.

– To będzie walka roku – stwierdził Temple. – Anioł zarobi na tym nieprawdopodobne pieniądze.

– Nie obchodzi mnie to, nawet gdyby król wraz ze świtą siedział na sali, stawiając w zakład klejnoty koronne. Nie powinieneś z nim walczyć.

Temple rozciągnął się na zwisającym z sufitu rzemieniu, żeby ramiona rozluźniły się pod ciężarem ciała, przygotowując się do tego, co miało nadejść. Za pół godziny wejdzie na ring i będzie walczyć, a wszyscy mężczyźni zgromadzeni wokół ringu będą walczyć razem z nim. Niektórzy będą walczyć u jego boku, odnajdując siebie w zhańbionym księciu, który pomimo wstydu i nienawiści, jaką budził, na ringu był królem. Ale większość weźmie stronę jego przeciwnika, Dawida, przeciwko Goliatowi, Temple'owi. Oni także wiedzieli, co to znaczy przegrać pieniądze w Aniele. I nawet jeśli płacili, tyle ile byli winni, i pławili się w mrocznym blasku kasyna, część z nich życzyła klubowi ruiny.

– To jest gra – rzekł Temple, nie starając się dobierać słów. – Po to tu przychodzą. Zgadzamy się na to.

– Bzdura – rzucił Bourne. – Zgadzamy się brać pieniądze tych głupców i w zamian pozwalamy im oglądać walkę. Nie zgadzamy się robić z siebie widowiska. A ty to właśnie zrobisz. – Odepchnął się od ściany i wziął ze stołu teczkę Lowe'a. – To nie

będzie walka. To będzie egzekucja. Pomyślą, że Lowe dostał wreszcie szansę zemścić się za siostrę. Jeśli w ogóle bierzesz pod uwagę starcie się z nim na ringu, poczekaj, aż dziwka wyjdzie z ukrycia. Wtedy świat będzie po twojej stronie.

Temple zacisnął szczęki.

– Nie dbam o to, po czyjej są stronie.

– Wierutne kłamstwo – parsknął drwiąco Bourne i przesunął dłonią we włosach. – Wiem lepiej od innych, jaki chcesz być w oczach innych.

Temple milczał, więc Bourne mówił dalej.

– Przejrzałem dzisiaj teczkę Lowe'a. Przegrał wszystko z wyjątkiem tego, co do niego należy z racji tytułu, i oprócz tego sporą sumę pieniędzy, które wziął nie wiadomo skąd. Dziwię się, że Chase nie wysłał Brunona, żeby mu ściągnął ubranie z grzbietu. Domy, konie, powozy, przedsiębiorstwa. Srebrny serwis do herbaty. Na co nam to wszystko?

Temple uśmiechnął się krzywo, owijając dłoń paskiem płótna.

– Niektórzy lubią herbatę.

Bourne uniósł brew i rzucił teczkę na stół.

– Christopher Lowe jest człowiekiem, któremu w Brytanii najmniej sprzyja szczęście i który albo tego nie widzi, albo o to nie dba. Tak czy inaczej, jego ojciec przewraca się w grobie, chcąc zawrzeć pakt z diabłem, wstać z grobu i osobiście zabić głupca.

– Gardzisz człowiekiem, który stracił w grze cały majątek? Co za ironia.

Oczy Bourne'a zabłysły gniewnie.

– Mogłem wszystko stracić, ale to odzyskałem. Dziesięciokrotnie. Więcej.

– Zemsta opłaciła się w twoim wypadku.

Bourne się skrzywił.

– Spędziłem dziesięć lat, marząc o zemście, przekonując siebie samego, że nic na świecie nie da większej satysfakcji niż zniszczenie człowieka, który okradł mnie z dziedzictwa.

Temple uniósł brew.

– I właśnie to zrobiłeś.

– I o mało nie straciłem przy okazji jedynej rzeczy, która ma znaczenie – odparł Bourne cichym, poważnym głosem.

Temple jęknął i sięgnął po rzemień wiszący u sufitu, chcąc się jeszcze raz rozciągnąć.

– Gdyby mężczyźni na zewnątrz wiedzieli, jacy jesteście, ty i Cross, słabi przy swoich żonach, Upadły Anioł straciłby wszelkie wpływy.

– Teraz, kiedy rozmawiamy, moja żona czeka na mnie, ciepła i słodka. Mężczyźni na zewnątrz mogą się powiesić. – Przerwał, dodając po chwili: – Zemsta była moim celem, Temple. Nigdy twoim.

Temple spojrzał przyjacielowi w oczy.

– Cele się zmieniają.

– Bez wątpienia. Ale wiedz jedno. Zemsta to dziecko gniewu i wieje mrozem. Czyni z człowieka drania. Wiem, co mówię.

– Już jestem draniem – oznajmił Temple.

Bourne wygiął usta w krzywym uśmiechu.

– Jesteś słodkim koteczkiem.

– Tak myślisz? Powiedz mi to na ringu.

Bourne nie przejął się groźbą.

– Skończy się inaczej, niż myślisz.

Skończy się dokładnie tak, jak planował Temple. Mara mogła być sprawczynią jego ruiny, ale jej brat odegrał swoją rolę – zawodząc, rozpaczając, rzucając fałszywe oskarżenia, spowodował, że cały świat, włącznie z Temple'em, uwierzył, iż wyrządzono biedakowi straszliwą krzywdę.

Wróciło wspomnienie: Temple na ulicy pięć lat wcześniej, w pełnym świetle dnia, cały Londyn omija go szerokim łukiem. Nikt nie miał ochoty wchodzić w drogę Księciu Zabójcy. Nikt nie chciał wywołać jego gniewu. Christopher Lowe wychodzi z pubu z bandą hulaszczych przyjaciół, wprost na Temple'a, człowieka, który wzbudzał w innych najczęściej strach i którego otaczała aura przemocy. Pijany Lowe spojrzał na niego i, ku uciesze tłumu, zawołał, przeciągając słowa:

– Zabójca mojej siostry w pełnym słońcu. Co za niespodzianka.

Gromada pijanych durniów parsknęła śmiechem, a Temple poczuł w sobie chłód. Wierzył w gniew Lowe'a, wierzył, że na niego zasłużył.

Wierzył, że jest zabójcą.

Spojrzał na Bourne'a.

– Odebrała mi dwanaście lat.

– I oboje powinni za to zapłacić. Bogu wiadomo, że Lowe zasłużył na tęgie baty, i, owszem, odczujesz, że dopełniłeś zemsty, gdy okryjesz damę wstydem wobec całego Londynu, jak to zaplanowałeś. Socjeta powita cię z otwartymi ramionami i nie opędzisz się od mamuś panien na wydaniu. Ale nie uwolnisz się od gniewu.

„Zemsta nie zawsze dokonuje się tak, jak się spodziewamy".

Lekcja, jakiej udzielił chłopcom Mary.

Wiedział, że to prawda. Że nie da się tego cofnąć. Że to go naznaczy na zawsze. I na zawsze zmieni.

Bourne oparł się na krześle.

– Chcę tylko powiedzieć, że masz wszystko, czego potrzebujesz. Pieniądze, władzę, tytuł, nieco zakurzony na skutek nieużywania, ale jednak twój. I nie zapominajmy o Whitefawn. Nie przebywasz tam, ale to twój majątek. Możesz go wziąć w każdej chwili. Wrócić na łono socjety. Znaleźć sobie pannę z tych, co to podpierają ściany. Takie kochają hultajów.

Bourne miał rację. To wszystko było w zasięgu ręki. Pieniądze i zbrukany tytuł to więcej niż niejeden mógł marzyć. Jakaś kobieta by go zechciała.

Ale gniew to podstępny towarzysz.

– Nie chcę panny, której nikt nie chce.

– A zatem?

Chciał prawdziwego życia.

Bourne wiedział lepiej od innych, co to znaczy. Ich spojrzenia się spotkały.

– Chcę odzyskać dobre imię – upierał się Temple.

– Lowe ci go nie przywróci. Przegrana na ringu uczyni z niego męczennika. – Temple milczał długą chwilę, po czym skinął głową. Chciał skończyć tę rozmowę. – A

dziewczyna? – zapytał Bourne.

W wyobraźni zobaczył Marę – z kasztanowymi, potarganymi włosami, o błyszczących, niezwykłych oczach. Bez rękawiczek. Dlaczego zwracał na to uwagę?

Dlaczego go to obchodziło*?*

Nie obchodziło.

– Mamy rachunki do wyrównania.

– Nie wątpię.

– Podała mi narkotyk.

Bourne uniósł brew.

– Dawno temu.

Temple pokręcił głową.

– Tej nocy, kiedy się ujawniła, przychodząc do mnie.

Minęła chwila, zanim do Bourne'a dotarło znaczenie tych słów. Temple zazgrzytał zębami, wiedząc, co nastąpi. Żałował, że w ogóle to powiedział.

Bourne parsknął śmiechem.

– Nie!

Temple zakołysał się na palcach, podskoczył, wymierzył cios w powietrze. Udając, że nie jest wściekły.

– Tak.

Bourne wył ze śmiechu.

– Och, poczekaj, aż inni to usłyszą. Wielki, niepokonany Temple odurzony narkotykiem przez guwernantkę. Gdzie?

– W moim miejskim domu. – Tam, gdzie go pocałowała. Gdzie o mało nie wziął więcej.

– W twoim domu! – Bourne piszczał z uciechy.

Niech to diabli.

Temple się skrzywił.

– Wyjdź.

Bourne skrzyżował ramiona na piersi.

– O nie. Jeszcze nie skończyłem się bawić.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi i obaj mężczyźni spojrzeli na zegar. Na walkę było za wcześnie.

– Wejść! – zawołał Temple.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Asriel, człowiek Temple'a i drugi w hierarchii odpowiedzialny za bezpieczeństwo Upadłego Anioła. Spojrzał wprost na Temple'a, nie zwracając uwagi na Bourne'a.

– Dama, którą zaprosiłeś.

Mara.

To imię budziło podniecenie i obawę.

– Wprowadź ją. – Poczekał, aż Asriel wyjdzie, po czym zwrócił się do Bourne'a:

– Myślałem, że wychodzisz.

Bourne siedział na pobliskim krześle, wyciągając przed siebie skrzyżowane w kostkach nogi.

– Myślę, że zostanę, żeby na to popatrzyć – oznajmił radosnym tonem. – Ostatecznie, wolałbym, żeby ta kobieta nie próbowała cię zabić kolejny raz. Możesz potrzebować ochrony.

– Jeśli nie będziesz uważać, sam za chwilę możesz potrzebować ochrony.

Drzwi otworzyły się, zanim Bourne zdążył się odgryźć, i Mara przekroczyła próg sanktuarium Temple'a. Okryła się wielką czarną peleryną z kapturem naciągniętym nisko na czoło, ale i tak ją poznał.

Wysoka i pięknie zbudowana – była jedną z kobiet, które go pociągały w naturalny sposób, ale ta była wcieleniem szatana. Jej usta… szerokie, psotne, stworzone do grzechu. Nie powinien był ich próbować. To tylko zwiększyło w nim głód. Pragnął więcej.

Zrzuciła kaptur, ukazując twarz; ich oczy natychmiast się spotkały. Dostrzegł w nich obawę, niepewność i ogarnęła go złość, kiedy jej wzrok przesunął się na siedzącego nieco dalej Bourne'a.

I nagle, czy to na skutek podniecenia nadchodzącą walką, czy czegoś bardziej niebezpiecznego, Temple zapragnął uderzyć Bourne'a. Mocno.

Musiało chodzić o tę walkę, bo chyba nie o Marę. Nie obchodziło go, na kogo patrzyła. Kto patrzył na nią. Przecież jego plan opierał się na tym, żeby cały Londyn ją zobaczył.

Bourne nie wstał – celowy objaw braku szacunku, który wprawił Temple'a we wściekłość.

– Jestem…

– Wiem, kim jesteś – przerwała, nie używając tytułu Bourne'a czy grzecznościowego „pan", odpłacając mu w ten sposób pięknym za nadobne. – Cały Londyn wie, kim jesteś. – Zwróciła się do Temple'a: – O co tu chodzi? Chcesz, żebym przyszła i oglądała, jak tłuczesz na miazgę jakiegoś biedaka?

To nie było przyjemne powitanie. Wróciła, silna jak stal, ale nie dał się onieśmielić, wiedział, że ta brawura ma ukryć jej niepewność. Znał świetnie tę taktykę. Stosował ją wiele razy.

– No proszę, a ja myślałem, że podarujesz mi chusteczkę czy coś podobnego, żebym miał ją na sercu podczas walki.

Zmrużyła oczy.

– Powinnam była przytępić twoją szablę.

Temple uniósł brew.

– Przytępianie szabli, czy tak się to nazywa w sierocińcu dla chłopców pani MacIntyre?

Bourne uśmiechnął się szyderczo; Mara zerknęła na niego z ukosa.

– Jesteś markizem, prawda?

– Owszem.

– Powiedz mi, czy czasami się zachowujesz, jak przystoi człowiekowi z tym tytułem? Pytam tylko dlatego, że twój przyjaciel chyba zapomniał, jak przystoi zachowywać się księciu. Pomyślałam, że niedojrzałość może być zaraźliwa. Jak influenca.

W oczach Bourne'a błysnął podziw.

– Czarująca – zwrócił się do Temple'a.

– I uzbrojona w laudanum.

Bourne kiwnął głową.

– A zatem nie wypiję niczego, co mi poda.

– I w nóż – dodała oschłym tonem.

Zmarszczył brwi.

– I będę czuwać na okrągło.

– Inteligentny plan – stwierdził Temple.

Mara parsknęła lekko z dezaprobatą. Temple pomyślał, że robiła to często przy swoich podopiecznych.

– Masz już za chwilę stłuc jakiegoś biedaka, a teraz stroisz sobie żarty?

– Interesujące, że przyjmuje postawę wyższości moralnej, nie sądzisz? – odezwał się Bourne ze swojego krzesła.

– Wolałabym, żebyś wyszedł, milordzie – rzuciła Mara w jego stronę.

Jedna z brwi Bourne'a strzeliła do góry.

– Uważałbym z takim tonem, moja droga.

Oczy Mary błysnęły gniewnie.

– Chciałbyś pewnie, żebym przeprosiła?

Bourne wstał, wygładzając swój doskonale skrojony surdut. Kiwnął głową w stronę Temple'a.

– Przeproś jego. On nie jest taki wspaniałomyślny jak ja. – Wyciągnął zegarek z kieszeni i sprawdził godzinę. – Dziesięć minut. Czy jest coś, czego potrzebujesz przed walką? – zapytał Temple'a.

Temple nie odpowiedział. I nie odrywał wzroku od Mary.

– A więc do zobaczenia później.

Temple skinął głową.

– Do zobaczenia.

Markiz wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Nie życzył ci szczęścia – zauważyła Mara.

– Nie życzymy sobie szczęścia. – Temple podszedł do stołu na środku pokoju i z mahoniowej szkatułki wyjął bryłę wosku.

– Dlaczego?

Oderwał dwa spore kawałki i położył je na stole. Zachowywał się tak, jakby nie był świadom jej obecności. Stała w najciemniejszym kącie pokoju. Chciał ją zobaczyć.

Nie powinien.

– Życzenie szczęścia przynosi pecha.

– To niemądre.

– To walka w Aniele.

Nie odpowiedziała, tylko skrzyżowała ramiona na piersi.

– Co ja tutaj robię?

Wziął ze stołu długi, czysty pasek płótna, położył jego koniec na ręce i zaczął obwiązywać dłoń, uważając, żeby pas się nie zwinął i nie skręcił. Conocny rytuał służył nie tylko ochronie mięśni i kości, choć podczas walki palce niejednokrotnie ulegały złamaniu.

Wiedział, że od wieków mężczyźni tuż przed walką wykonywali podobne rytualne ruchy, uspokajając ciało, umysł, nerwy.

Ale w obecności Mary Lowe trudno mu było zachować spokój. Spojrzał na nią; obserwowała jego dłonie.

– Chodź.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Dlaczego?

Wskazał swoją dłoń.

– Ile za owinięcie ręki?

– Dwadzieścia funtów.

Pokręcił przecząco głową.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Pięć.

Chciał jej bliskości, mimo że nie powinien. Mógł sobie na to pozwolić.

– Zgoda.

Podeszła, zrzuciła pelerynę i ukazała fiołkową suknię obiecaną mu przez madame Hebert. Wyglądała w niej przepięknie ze swoją porcelanową cerą. Serce biło mu mocno, kiedy podeszła blisko, zatrzymała się na odległość ramienia i wyjęła czarny notesik, który zawsze ze sobą nosiła.

– Pięć – powtórzyła, zapisując sumę. – I dziesięć za wieczór, jak zwykle.

Przypominała mu, że ma własne powody, żeby tu być.

Schowała notes i sięgnęła po jego rękę. Nie miała rękawiczek. Znowu. Miał poczuć dotyk jej skóry. Jej ciepło.

Płacił za to.

Być może, jeśli będzie o tym pamiętał, łatwiej mu przyjdzie o niej zapomnieć. Zapomni jej dotyku. Zapachu cytrynowego zimą. Jej smaku.

Podjęła rytuał, owijając starannie płótno wokół jego nadgarstka i kciuka, i uważając, żeby długi pasek przylegał do ciała płasko i ściśle.

– Dobra w tym jesteś – powiedział i własny głos zabrzmiał obco w jego uszach. Przez nią nie poznawał sam siebie.

– Bandażowałam połamane kończyny. Uznałam, że zasada jest podobna.

I znowu jakiś przebłysk przeszłości Mary, tego, gdzie była, co robiła. Kim była. Mnóstwo pytań, na które nie uzyskałby odpowiedzi. Zadowolił się więc tylko stwierdzeniem:

– I jest.

Jej palce, delikatne i pewne, manipulowały przy jego dłoniach, a on zapragnął poczuć ich dotyk na swoim ciele. Patrzył na jej pochyloną głowę, na kasztanowe loki, tęskniąc za tym, żeby zanurzyć w nich ręce. Zastanawiał się, jakby jej włosy wyglądały rozsypane szerokimi falami na jego poduszce. Na podłodze jego pokoju. Na jego nagiej piersi. Na jej piersi.

Przesunął wzrok na jej ramiona; wznosiły się i opadały z każdym oddechem, jakby pracowała ponad siły.

Rozpoznał ten oddech. Sam tak oddychał.

Pragnęła go.

Wsunęła koniec paska pod resztę zwojów; sprawdził, czy nie puszczą. Był pod

wrażeniem.

Kolejna czynność, którą wykonała ze znajomością rzeczy.

Odwrócił się i sięgnął po następny pasek płótna. Podał go jej, wyciągając wolną rękę. Patrzył w milczeniu, jak po raz drugi dokonuje rytuału. Jego mięśnie napinały się pod jej dotykiem aż do bólu. Marzył, żeby wziąć ją w ramiona.

Chryste, powinien się jeszcze porozciągać przed walką.

To nie było wszystko, czego potrzebował.

Ale tylko tyle mógł mieć. Wyjął maskę z szuflady.

– Włóż to.

Zawahała się.

– Dlaczego? – ciągnął. – Otóż dzisiaj wieczorem po raz pierwszy staniesz przed londyńską socjetą.

Zamarła; nie spodobała mu się własna reakcja na ten widok.

– Zamaskowana?

– Na razie nie chcę, żeby zobaczono twoją twarz.

Nie chcę, żeby to się już skończyło.

– Dzisiaj wieczorem – powtórzyła.

– Po walce.

– To znaczy, jeśli nie przegrasz.

– Nawet jeśli przegram, Maro.

– Jeśli cię nie zmasakrują na śmierć. Taki jest cel, prawda?

Nie, ale nie chciał jej wyprowadzać z błędu.

– No dobrze, więc jeśli nie przegram. – Schylił głowę. – Ale ja nie przegram.

– Co planujesz? – zapytała.

– Zobaczysz Upadłego Anioła, a wiele kobiet gotowych by było popełnić morderstwo, żeby tam się znaleźć.

Podniosła dumnie głowę.

– Ale nie ja.

– Spodoba ci się.

– Wątpię.

Ten upór wywołał jego uśmiech; żeby go ukryć, ściągnął koszulę przez głowę, obnażając przed nią tors. Natychmiast odwróciła wzrok, doskonała w roli cnotliwej panny.

Parsknął śmiechem.

– Nie jestem nagi – powiedział, poprawiając spodnie. Udał, że przygląda się dawno zaleczonej bliźnie na ramieniu, jednak nie spuszczał z niej wzroku. – Widziałaś mnie takim przedtem, prawda?

Spojrzała na niego, a potem znowu wbiła wzrok w ścianę.

– To co innego. Wtedy byłeś ranny!

Oczy mu pociemniały.

– Przedtem. – Wiedział, że zrozumiała, bo jej policzki się zarumieniły.

Do diabła. Oddałby cały swój majątek, żeby dowiedzieć się, co się stało tamtej nocy. Ale nie zamierzał dać jej tego, o co prosiła. Dla zasady.

Na tym polegało wyzwanie.

Bawiło go to, nawet jeśli doprowadzało do wściekłości.

– Czyż nie prowadzisz domu dla chłopców?

Sapnęła gniewnie, podnosząc oczy do sufitu.

– To nie to samo.

– Dokładnie to samo.

– Mają trzy do trzynastu lat!

– Więc są nieco mniejsi. – Uśmiechnął się kpiąco.

Rozłożyła ręce w geście bezradności.

– O wiele mniejsi. – Milczała chwilę, po czym dodała: – Nie podziękowałam ci jeszcze za to, że poświęciłeś im dzisiaj swój czas.

To mu sprawiło przyjemność, poczuł nawet coś w rodzaju dumy. Wolał to zlekceważyć.

– Nie musisz mi dziękować.

– A jednak. – Patrzyła w podłogę; wyprostowała się. – Ogromnie im się podobała ta lekcja z tobą.

Ten drobny wyraz uznania stanowił ogromne ustępstwo w bitwie, jaką toczyli. Wbrew woli ruszył w jej stronę; cofnęła się. Wiedział, że wprawia ją w zmieszanie, ale nie dbał o to. Kiedy się znalazł blisko niej, zniżając głos, zapytał:

– A ty?

Odetchnęła nerwowo, stojąc z nim twarzą w twarz.

– Czy tobie się podobała?

Jej policzki zarumieniły się gwałtownie.

– Nie.

Uśmiechnął się. Kłamała.

– Nawet to, że cię pocałowałem?

– Z pewnością nie.

Podszedł bliżej, jej ciepło przyciągało go jak magnes. W końcu objął ją, ciesząc się jej cichym westchnieniem. Na swojej nagiej piersi czuł dotyk atłasu sukni. Przesunął rękę wzdłuż jej ramienia, znalazł dłoń i podniósł ją do zwisającego z sufitu rzemienia.

Wiedziała dokładnie, co robić, trzymała mocno rzemień, podczas gdy on uczynił to samo z jej drugą dłonią. Stała wyprostowana, wysoka, z rękoma nad głową, niczym ofiara. Niczym dar.

Mogła się uwolnić w każdej chwili. Odebrać mu tę chwilę. Nie zrobiła tego; spojrzeniem pięknych oczu rzucała wyzwanie, żeby podszedł bliżej. Żeby jej dotknął. Żeby ją kusił.

Przyjął wyzwanie, ujmując dłonią jej policzek i przesuwając kciukiem po wysokim łuku kości policzkowej. Zachwycał się delikatnością jej skóry, nawet jeśli usiłował sobie wmówić, że tego nie zauważa.

– Nie?

– Nie.

Spojrzał na jej suknię, dekolt miała wycięty skandalicznie nisko. Piersi, w tej pozycji, napierały na materiał. Jednocześnie chwalił i przeklinał Hebert, że tak posłusznie

wykonała jego polecenie.

Mara Lowe była najbardziej pociągającą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Dziwne, ale to nie jej twarz, ciało czy cudowne piersi unoszące się w niespokojnym rytmie przekonywały go o tym. Urzekał go sposób, w jaki stawiała mu czoło. To, że nie chciała się go bać. Że wychodziła mu naprzeciw.

To, jakim go widziała.

Nie był zabójcą, a ona była jedyną osobą na świecie, która w to wierzyła. Która wiedziała, że to prawda.

Uniósł jej brodę, odsłaniając długą szyję, i złożył długi pocałunek w miejscu, gdzie bił puls, a potem tam, gdzie ramię stykało się z szyją.

– Jesteś pewna, że to ci się nie podobało?

Słowa łaskotały jej skórę; zaprzeczyła ruchem głowy, kołysząc się na rzemieniu, usiłując nie poddać się urokowi pieszczoty.

– Wcale – odparła; z jej ust wyrwało się drżące westchnienie, kiedy całował wzniesienie jej piersi, jeden, drugi i trzeci raz, aż doszedł do skraju wycięcia sukni i wsunął palec między skórę a atłas, z trudem odróżniając jedno od drugiego. W końcu trafił na wypukłość, która za nim tęskniła.

Za którą tęsknił.

Zsunął atłas niżej i zapytał:

– Nawet teraz?

Jedną rękę położyła na jego ramieniu. Jej naga skóra dotykała jego skóry. Czuł jej pożądanie.

– Nawet teraz.

To była drwina. Wyzwanie.

Przed którym się nie uchylił. Przywarł ustami do jej piersi; krzyknęła cicho, pod wpływem pieszczoty krzyk przeszedł w przeciągły jęk. Przytulił ją i podniósł, układając jej nogi wokół swoich bioder, wielbiąc jej wspaniałe ciało w tym pokoju, w którym rzadko zaznawał rozkoszy, a aż zanadto często bólu.

Wypuściła z rąk rzemień, poczuł jej ciężar w ramionach, wsunęła mu palce we włosy, przyciskając mocno do siebie, zachęcając do pieszczoty, błagając o więcej, domagając się, żeby dał jej wszystko.

Przycisnął ją do ściany, sunąc rękami wzdłuż jej nóg wyżej i wyżej, muskając opuszkami palców pończochy, a potem cudownie gładką skórę, obrysowując krągłość uda… dochodząc do źródła ciepła. Strzeżonego przez miękkie loczki. Była tam obietnica, którą chciał spełnić. Zbadać.

Spojrzał w jej oczy.

– Tak – szepnęła.

Nigdy w życiu nie usłyszał tak cudownego słowa. Nigdy nie otrzymał tak pożądanego pozwolenia.

– Powtórz. – Chciał mieć pewność.

– Tak. – Poczuł dreszcz. Zacisnęła palce na jego włosach.

Oddałby wszystko za noc z tą kobietą.

Ale czy już tego nie zrobił?

Przejął go lodowaty chłód, który kazał mu się od niej odsunąć.

– Powiedz mi. – Przesunął palcami we włosach, usiłując zatrzeć jej wspomnienie. – Zrobiliśmy to? Byliśmy…?

Kochankami.

Przez chwilę myślał, że mu odpowie. Wydawało mu się, że zobaczył coś w jej oczach. Współczucie. Gorzej. Litość.

Niech to piekło pochłonie.

Nie chciał jej litości. Ukradła mu tę noc i nadal mu jej odmawiała.

Potem to coś zniknęło z jej oczu. Wiedział, co powie.

– Powiedz! – zawołał, zanim się odezwała.

– Wiesz, ile kosztuje ta informacja.

Przemknęło mu przez głowę, że w innym miejscu, w innym czasie, uznałby tę kobietę za idealną dla siebie pod każdym względem. Była silna, zdecydowana i, wydawało się, nieustraszona.

Te cechy, wyróżniające ją spośród innych kobiet, urzekły go przy ich pierwszym spotkaniu. I drugim. Było w niej jednak coś szczególnego. Coś, co kazało jej uciekać w ciemność poprzedniego wieczoru.

Coś, co pozwoliło jej zrobić z niego mordercę przed dwunastu laty.

I teraz zapewne pokrzyżuje mu plany.

Ale byli tutaj. I teraz.

Nigdy w życiu nie był taki wściekły.

– Muszę przyznać, pani MacIntyre, jeśli sierociniec upadnie, czeka cię wspaniała kariera w charakterze dziwki.

Znieruchomiała jak ugodzona kulą łania na polowaniu na pół sekundy, a potem jej dłoń wymierzyła mu z całą mocą i precyzją policzek, piekący jak jej gniew i jego wstyd.

Nie próbował się uchylić. Przyjął policzek jako coś, co mu się należało, czując się jak skończony dureń. Nie powinien był tego mówić. Nigdy dotąd nie obraził w ten sposób kobiety. Już niemal przepraszał, kiedy nad drzwiami wiodącymi na ring rozległ się dzwonek.

Opuściła rękę. Oddychała teraz trochę szybciej i lekko drżał jej głos.

– Co to jest?

Chryste. Co on zrobił?

Co oni zrobili?

Odwrócił się, celowo nie dotykając tego miejsca na twarzy, gdzie z pewnością wykwitła czerwona plama.

– Mój przeciwnik jest gotowy. Wrócimy do tego po walce.

Wciągnęła powietrze.

– Mam nadzieję, że wygra – powiedziała. Znienawidził te słowa.

Wrócił do stołu, podniósł wosk i ulepił z niego dwa długie paski.

– Nie wątpię, że tego chcesz. Ale nie wygra.

Włożył do ust jeden pasek, potem drugi, wciskając je na zęby.

Przyglądała mu się, a potem rzuciła na pożegnanie:

– Życzę szczęścia, Wasza Wysokość.

# 10

**B**ezczelny głupek.

Skończony dureń.

Nazwał ją dziwką.

Z arogancją, jaką rodziło bogactwo i władza. Bycie księciem. Dał jej do zrozumienia, że skoro domaga się od niego pieniędzy za informacje, jest dziwką.

Gdyby była mężczyzną, to słowo nie przyszłoby mu do głowy. Gdyby była mężczyzną, nigdy by tego nie powiedział.

Skoro traktujesz mnie jak dziwkę, to mi płać jak dziwce.

Zgoda, ona pierwsza użyła tego słowa. To było co innego. Uwodził ją. Sprawił, że zaczęła go pragnąć.

A potem nazwał ją dziwką.

Zasługiwał na nauczkę. Wielki, niepokonany Temple zasługiwał na to, żeby ktoś mu sprawił lanie. Ona.

Mara w masce, wściekła, szła za strażnikiem, któremu przekazał ją Temple. Posuwali się z jednego końca klubu w drugi krętym korytarzem, ukrytym przed innymi gośćmi. Była zbyt rozgniewana, żeby się zastanawiać, dokąd idą i co się wydarzy. W duchu rozważała różne sposoby krwawej zemsty na Temple'u.

Przewodnik wskazał jej nowe pomieszczenie. Zamknął za nią drzwi i nagle znalazła się w morzu ludzi. Kobiet. Nie posiadała się ze zdumienia. Kobiety nie bywały w męskich klubach. W kasynie.

Rozejrzała się dookoła. Gawędziły swobodnie. Wiele rozpoznała. Markiza. Hrabina. Włoska księżniczka, bohaterka licznych skandali.

Zdumienie walczyło w Marze z ciekawością, kiedy przyglądała się pozostałym kobietom – wszystkie w jedwabiach i atłasach, niektóre w maskach, ale większość zachowująca się tak, jak na damskiej herbatce.

To nie były zwykłe kobiety. Należały do arystokracji.

Dopiero gdy otrząsnęła się po tym odkryciu, zauważyła to, co powinna zauważyć od razu, kiedy wprowadzono ją do tego pokoju, niczym jagnię na rzeź.

Całą ścianę długiego, wąskiego, pogrążonego w mroku pomieszczenia zajmowało okno – wielkie, przyciemnione okno wychodzące na salę pełną mężczyzn w wieczorowych strojach, ustawionych w półkolu. Tłum falował nieustannie, choć ludzie stali w miejscu – krzycząc, śmiejąc się, wibrując energią jak liście na dębie w upalne lato. Mężczyźni otaczali wielką przestrzeń odgrodzoną linami i wysypaną wiórami drzewnymi, na którą kobiety miały ze swojego pokoju doskonały widok.

Ring.

Mara podeszła bliżej do okna, chcąc go dotknąć, zdumiona jaskrawym światłem padającym z sali.

Na szczęście w porę przyszło jej do głowy, że mężczyźni ją zobaczą, jeśli podejdzie zbyt blisko. Zatrzymała się i cofnęła rękę, nie mogąc zrozumieć, dlaczego mężczyźni nie wykazują żadnego zainteresowania oknem i kobietami w małym, ciemnym pokoju.

Czy aż tak przywykli do obecności kobiet przyglądających się walce na ringu, że przestało to ich szokować? Że przestali je kontrolować? Trzymać w bezpiecznej odległości? Co to za miejsce?

Cóż to za niezwykłe, cudowne miejsce?

– Nie mogą cię zobaczyć – odezwała się dama w pobliżu. Miała poważne, niebieskie oczy, ogromne i niepokojące za grubymi szkłami okularów. – To nie jest okno. To lustro.

– Lustro. – W tym oknie nie było niczego, co by przypominało lustro.

Zmieszanie Mary musiało się uwidocznić na jej twarzy, bo dama dodała:

– My ich możemy zobaczyć… ale oni widzą tylko swoje odbicie w lustrze.

Jak na dany znak jeden z dżentelmenów podszedł blisko do okna, odwracając się twarzą do Mary. Pochyliła się w przód, podobnie jak mężczyzna po drugiej stronie. Podniósł brodę, żeby poprawić fular.

Pomachała ręką przed jego pociągłą, bladą twarzą.

Obnażył zęby.

Ręka jej opadła.

Podniósł palec w rękawiczce i przesunął po żółtych od herbaty i tytoniu zębach, po czym odwrócił się i odszedł.

Gromadka pań w pobliżu parsknęła głośnym śmiechem.

– Cóż. Lord Houndswell bez wątpienia poczułby się straszliwie zmieszany, wiedząc, że wszystkie widziałyśmy pozostałości jego kolacji. – Dama się uśmiechnęła. – Teraz mi wierzysz?

Mara zaśmiała się, rozbawiona.

– To musi wam dostarczać niezłej zabawy.

– Gdy nie ma walki – przyznała inna. – Patrzcie! Drake wszedł na ring.

Gwar w pokoju przycichł, panie skupiły uwagę na młodym człowieku, który przeszedł przez liny i wkroczył na pokrytą wiórami przestrzeń, gdzie czekali na uczestników walki dwaj inni – markiz Bourne i drugi, typowy arystokrata, wytwornie ubrany, blady i obojętny.

Tłum z jednej strony ringu rozstąpił się, ukazując szerokie stalowe drzwi, i powietrze w pomieszczeniu nagle zgęstniało.

– Już za chwilę – westchnęła któraś i wszyscy po obu stronach lustra zamarli w oczekiwaniu.

Czekali na Temple’a.

Mara stwierdziła, że ona też na niego czeka.

Mimo że go nienawidziła.

Pojawił się, wypełniając sobą drzwi, jakby wycięte na jego rozmiar – szeroki w barach, wysoki, wielki jak dom, nagi od pasa w górę, strojny jedynie w te skandaliczne tatuaże.

Miał na sobie bryczesy z koźlej skóry, opinające jego masywne uda, oraz pasy płótna, którymi owinęła kostki jego dłoni, oba nadgarstki i kciuki. Starała się nie patrzyć na jego ręce. Nie wspominać ich dotyku na swojej skórze. Usiłowała pamiętać, że ten człowiek jest bronią.

Kiedy ją całował, pamiętała o tym. Bronią, która razi pociskami pożądania. Która rani pragnieniami.

– To największy, najpiękniejszy okaz mężczyzny – westchnęła inna kobieta i Mara znieruchomiała, powstrzymując się od spojrzenia w tamtą stronę. Nie chciała przejmować się tym, że w tych słowach brzmiał podziw i coś jeszcze – coś sugerującego doświadczenie.

– Jaka szkoda, że nigdy nie okazał ci zainteresowania, Harriet – odezwała się kolejna, wywołując wybuch śmiechu pozostałych.

Zmusiła się do obojętności wobec faktu, że owo doświadczenie okazało się kłamstwem.

A potem ruszył w ich stronę – i może wyobraźnia zaczęła płatać jej figle, ale miała wrażenie, że patrzy prosto na nią, jakby magiczne okno było lustrem dla wszystkich oprócz niego.

Jakby znał siebie na tyle dobrze, że nie musiał oglądać własnego odbicia.

Przeszedł przez liny i Bourne, który, choć wysoki, nie dorównywał mu wzrostem, podszedł do Drake'a, mówiąc coś, czego Mara nie mogła usłyszeć. Drake podniósł wysoko ręce, a markiz przesunął dłońmi wzdłuż jego boków i poklepał bryczesy w obojętny, ale dla Mary szokujący sposób.

– Co oni robią? – Mara nie mogła powstrzymać się od zadania tego pytania.

Dama podeszła do niej.

– Szukają broni. Upewniają się, że walka będzie uczciwa.

– Temple nigdy by nie oszukiwał – oburzyła się Mara, zwracając na siebie uwagę kobiet, zanim zdążyła ugryźć się w język. Gorąco oblało jej policzki, kiedy wodziła wzrokiem od jednej do drugiej, zatrzymując w końcu wzrok na tej, która się przedtem odezwała, wysokiej, jasnowłosej, o brązowych oczach, lśniących złotem w świetle bijącym od ringu.

– Nie – powiedziała dama. – Nie oszukiwałby.

Teraz. Dopiero teraz Mara usłyszała w jej głosie tę pewność siebie, świadczącą o osobistym doświadczeniu. Ta kobieta go znała.

Była na to dość piękna.

Z pewnością pięknie razem wyglądali, choć pasowali do siebie tylko wzrostem, pod każdym innym względem doskonale ze sobą kontrastowali. Wyobraziła sobie długie ramiona kobiety oplatające jego szyję, jej długie palce w jego ciemnych włosach. Jego masywne dłonie na jej kibici. Jak biorą w posiadanie. Dają miłość.

Znienawidziła go na nowo, ale teraz z innego, bardziej niejasnego powodu.

Z drugiego końca pokoju rozległ się przeciągły gwizd.

– Czego bym nie dała, żeby być teraz sekundantem Drake'a!

Mara spojrzała znowu na ring. Wytwornie ubrany arystokrata zbliżał się do Temple'a, pokazując niezgrabnie, że on także powinien podnieść ręce. Zrobił to, mięśnie klatki

piersiowej i brzucha zagrały pod skórą i Marze zaschło w ustach na ten widok. Uśmiechał się kpiąco, jakby stał za nim sam diabeł i dlatego nie potrzebował uciekać się do żadnych sztuczek.

Wyobraziła sobie jego ramiona uniesione wysoko nad głową, uczepione rzemienia zawieszonego pod sufitem; w miejscu, gdzie ona sama stała nieruchomo, a chłodny rzemień wbijał jej się w ręce, kontrastując z jego ciepłem. Z jego dotykiem. Z jego pocałunkiem.

Ale czuła do niego tylko nienawiść.

– No, dalej, człowieku! Dotknij go!

– Weź go do ręki!

– Przeszukaj wszystkie zakamarki!

Damy konkurowały ze sobą w sprośnych zachętach, śmiejąc się i krzycząc, podczas gdy arystokrata na ringu sprawdzał księcia Lamont pospiesznie, ze strachu albo zmieszania, albo jednego i drugiego.

– Nie tak szybko!

– Nie tak delikatnie!

– Stawiam majątek, że Temple lubi mocną rękę!

– Masz na myśli majątek męża? – Rudowłosa dama przy oknie odwróciła się do pokoju, z szerokim uśmiechem na ślicznej twarzy.

– Czego hrabia nie wie, to go nie zaboli. Popatrzcie, jaki jest wielki!

– Dziesięć funtów, że jest taki wielki wszędzie.

– Żadna z nas nie podejmie zakładu, Floro – odparła któraś z pań ze śmiechem. – Żadna z nas nie chce się rozczarować.

– Zaryzykowałabym noc z Księciem Zabójcą, żeby to sprawdzić!

Śmiech wstrząsnął ścianami pokoju, damy świetnie się bawiły własnymi zbereźnymi uwagami. Mara rozejrzała się, patrząc na wspaniałe suknie, kunsztowne fryzury, makijaż… Kobiety śliniły się na widok Temple'a; pamiętały jego przezwisko, ale zapominały, że naprawdę jest księciem. Że zasługuje na szacunek.

A gdyby nawet nie był księciem… przecież nie był zwierzęciem.

A one tak go traktowały.

Tak go traktowały na skutek jej postępku.

Uświadomiła to sobie z głębokim żalem. Gdyby mogła cofnąć czas… gdyby mogła wszystko zmienić, znalazłaby inny sposób, żeby uciec od tamtego życia. Sposób, żeby się uwolnić od okrutnego ojca i obojętnego męża, a nie sprowadzić na tego człowieka takiej hańby.

Ale nie mogła.

To było ich życie. Ich taniec. Ich walka.

Na szczęście sekundanci zakończyli sprawdzanie, a wtedy Temple wytyczył nogą linię w drewnianych wiórach na środku ringu. Nawet ten nieznaczny ruch był pełen wdzięku.

– To linia dzieląca przeciwników – wyjaśniła nowa towarzyszka Mary. – Mężczyźni ustawiają się naprzeciwko siebie i walczą w kolejnych rundach, aż któryś z nich padnie i się nie podniesie.

– Zakłady zamknięte, moje panie. – Ciemnoskóry mężczyzna, który przyprowadził tu

Marę, odezwał się po raz pierwszy, przypominając jej, że są w kasynie. Że nawet w tej chwili Upadły Anioł zarabia.

Temple czekał bez ruchu, aż Drake podejdzie.

– Temple zawsze pozwała przeciwnikowi zadać pierwszy cios. – Nowa znajoma nadal wyjaśniała sytuację na ringu.

– Dlaczego? – zapytała Mara, niezadowolona, że się tak przejmuje rozpoczynającą się walką. Przyciągnięto ją tutaj wbrew jej woli, żeby oglądała to brutalne widowisko.

Więc dlaczego odpowiedź nabrała dla niej nagle takiego znaczenia?

– Jest niepokonany – odparła tamta po prostu. – Zwykł dawać przeciwnikom równe szanse.

Równe szanse. Coś, czego sam nie dostał. Był dobrym człowiekiem. Nawet jeśli nikt w nim tej dobroci nie widział. Nawet jeśli sama nie chciała w to wierzyć. Nawet jeśli…

Spojrzała na jego bose stopy, na szerokie czarne pasy na jego masywnych ramionach, niezliczone blizny na jego piersi i policzku i jedną, świeżą, na ramieniu, wciąż z nićmi, którymi ją zszyła.

Nie mogła spojrzeć w jego ciemne oczy, zmusić się, żeby go zobaczyć całego i szczerze przyznać, że to, co zrobiła, doprowadziło go na ten ring, gdzie był oglądany przez połowę Londynu. Stawiano na niego zakłady. Podziwiano, niczym ciekawy okaz w gabinecie osobliwości.

Odwróciła wzrok, by popatrzeć na Drake’a; to było łatwiejsze. Wciągnął głęboko powietrze, szykując się do walki.

Zaczęła się, brutalna i bezpardonowa.

Drake ruszył na Temple’a z niezaprzeczalną siłą, ale Temple uchylił się, przez co niższy od niego przeciwnik stracił równowagę. Temple zadał mu wówczas cios w bok.

Uderzenie było mocne i precyzyjne, Drake upadł na liny, odwrócił się i znowu stanął naprzeciwko Temple’a.

Książę stał przed nakreśloną na podłodze linią, oddychał tylko nieco ciężej. Czekał.

– Och, dziewczęta, dzisiaj nie będzie dobrej walki – odezwała się jedna z dam. – Drake padnie jak kamień.

– Zawsze tak padają – zauważyła inna.

– Gdyby wreszcie znalazł się przeciwnik, który dłużej utrzymałby go na ringu – westchnęła trzecia, a Mara zapragnęła, żeby zamilkły.

Drake ruszył na niego znowu, z wyciągniętymi ramionami, jak dziecko, które chce się przytulić. Nie miał szans. Temple runął jak błyskawica, odtrącając długie ręce Drake’a i wymierzając mu paskudny cios w szczękę i zaraz potem w tors.

Drake upadł na kolana, a Temple natychmiast się odsunął.

Mara spojrzała na jego twarz – nie było na niej triumfu czy dumy, jak można było się spodziewać. Żadnych emocji, nic, co zdradzałoby jego uczucia. Co wskazywałoby na radość z odniesienia zwycięstwa.

W ciągu trzydziestu sekund.

Drake przewrócił się na plecy i po obu stronach lustra wybuchła wrzawa.

Przyszli zobaczyć, jak Książę Zabójca walczy i zwycięża, i się nie zawiedli.

– Teraz oglądamy prawdziwą walkę – powiedziała dama obok Mary. Mężczyźni

tłoczyli się wokół ringu, krzycząc i wymachując kawałkami papieru.

– Co się stało? – zapytała Mara.

– Ci ludzie postawili wysokie sumy na walkę między nimi dwoma, nigdy na przegraną Temple'a, ale na liczbę rund i ciosów… nawet na sposób, w jaki Drake upadnie. – Dama przerwała. – Nie lubią krótkich walk.

– Anno! – zawołał mężczyzna, który pojawił się w kącie pokoju, i dama odwróciła się do niego.

Skinął głową, a ona ponownie zwróciła się do Mary.

– Przepraszam. Obawiam się, że czeka mnie praca. – Mara zmarszczyła brwi, a dama przechyliła głowę. – Trzeba pocieszyć… nieszczęśliwego klienta.

I Mara zrozumiała. Dama była prostytutką. Bardzo drogą, jak się domyśliła.

– Oczywiście.

Dama pochyliła głowę.

– Milady.

– Och, nie jestem…

Anna się uśmiechnęła.

– Może nie z racji urodzenia, ale duchem.

Odeszła, zostawiając Marę z jej przeżyciami po walce i świadomością, że, zważywszy na jej przeszłe czyny, nie zasługiwała na tytuł należny prawdziwej damie.

Temple pozostawał obojętny na zamieszanie, jakie powstało, kiedy rozgorączkowani mężczyźni usiłowali odzyskać swoje pieniądze. Odwrócił się w stronę lustra, obrzucając je spojrzeniem.

– Oto i on! – zawołała dama gdzieś w pobliżu.

Skinął głową, wywołując falę westchnień i chichot w pokoju. Mara wiedziała, że skoro walka się skończyła, Temple przyjdzie po nią.

I przypomniała sobie ich ostatnią rozmowę. Słowa, jakich użył. Cios, jaki zadał.

To, jak zrobiła sobie z niego wroga. Jak zrobiła wszystko, żeby zdobyć pieniądze, a on – żeby się zemścić.

Znowu ogarnął ją gniew.

Gdyby była mężczyzną. Gdyby mogła otwarcie go wyzwać, stoczyć walkę o pieniądze, które jej się słusznie należały. Gdyby mogła stanąć z nim twarzą w twarz i walczyć.

Gdybyż to było takie proste.

Nagle uświadomiła sobie, że ta chwila i to miejsce stanowią odpowiedź.

Markiz Bourne wszedł na ring i obaj pogrążyli się w dyskusji.

Mara myślała gorączkowo.

To może być całkiem łatwe.

W pokoju pojawił się chudy jak patyk mężczyzna w okularach.

– Temple domaga się, żebyś czekała na niego w pokoju. Mam cię tam zabrać.

Doskonale.

– Z największą chęcią spotkam się z księciem.

Zamierzała dać mu nauczkę. Udowodnić, że się myli. Że jest silniejsza, sprytniejsza i może dokonać więcej, niż jemu się wydaje. Sprawić, żeby pożałował swoich słów. Żeby je odszczekał.

Jego pocałunki osłabiły jej czujność aż nadto skutecznie. Nieoczekiwana czułość kazała zapomnieć o wojnie, jaką toczą. Ale potem nazwał ją dziwką. I przypomniała sobie, czego on tak naprawdę chce. I jaki ona sama ma cel.

On chciał zemsty, ona – zapewnić bezpieczeństwo sierocińcowi.

I je zapewni.

Była już zdecydowana. Razem z przewodnikiem wynurzyła się ze spokojnego korytarza i włączyła w tłum. Cieszyła się, że ma na twarzy maskę. Dzięki ograniczonemu polu widzenia nie interesowało jej, po co i dokąd zmierzają mężczyźni wokół niej. Ukazywali się i znikali. Maska uczyniła z wieczoru rodzaj spektaklu – mężczyźni byli aktorami w teatrze urządzonym specjalnie dla niej, a ona przygotowywała się do odegrania ważnej sceny. Z udziałem głównego aktora.

Temple'a.

Pozwoliła przewodnikowi odprowadzić się do pokojów Temple'a. Zostawił ją w słabo oświetlonym pokoju, po czym bez wahania zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Ale Mara szła już przez pokój, kierując się do stalowych drzwi, które widziała z drugiej strony ringu, wiedząc, dokąd one prowadzą.

Otworzyła je szarpnięciem. Miała jasny plan w głowie, tak jak wtedy, przed dwunastu laty. Tamten plan doprowadził ją tutaj. Do tej chwili. Do tego człowieka.

Nie zwracała uwagi na mężczyzn po obu stronach przejścia na ring. Żeby tam dojść, wystarczyło zrobić pięćdziesiąt kroków, nie więcej. Szła, wdzięczna za maskę, chociaż nie widziała nikogo poza ogromnym mężczyzną na ringu, który stał tyłem do niej, ściskając wyciągnięte doń ręce gratulujących mu gości.

Biedak nie miał pojęcia, co go czeka.

Tak się wpatrzyła w Temple'a, że nie zauważyła markiza Bourne'a, zanim zagrodził jej drogę.

– Ani kroku dalej.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie dam się zatrzymać.

– Nie sądzę, żebyś chciała sprawdzić, co zrobię.

Roześmiała się.

– Lordzie Bourne, powiedz mi – odezwała się, rozważając możliwości. – Czy naprawdę sądzisz, że masz w tym jakiś udział? Całe życie wiodło mnie ku tej chwili.

– Nie pozwolę ci zniweczyć jego zemsty – oświadczył. – Co do mnie, uważam, że zasługujesz na nią w pełni za to, że zrujnowałaś mu życie.

Może to sprawiła aluzja do przeszłości jej i Temple'a. A może jego pycha – jakby markiz Bourne mógł rozkazać Ziemi, żeby zaprzestała obrotów. A może zarozumiały wyraz jego twarzy.

Sama nie wiedziała.

Nie zawahała się. Użyła całej swej siły i zręczności, jakiej nabyła w ciągu dwunastu lat samodzielnego życia, pozbawiona czyjejkolwiek opieki. Skorzystała także z lekcji, której udzielił jej mężczyzna, stojący w ringu.

Bourne nie zauważył nadchodzącego ciosu.

Pyszałkowaty arystokrata zatoczył się w tył z okrzykiem zaskoczenia. Strumień krwi

popłynął z jego nosa, ale Mara nie miała czasu podziwiać swego dzieła.

Momentalnie pokonała liny oddzielające ring i gdy się już tam znalazła, na podłodze pokrytej wiórami, w sali zaczęła zapadać cisza. Mężczyźni krzykliwie żądający pieniędzy wygranych w zakładach i domagający się drugiej rundy odwracali się kolejno w jej stronę, milknąc.

Chwilę trwało, zanim dotarła do niego ta cisza. Zanim zrozumiał, że chodzi o niego. O ring.

Zatrzymała się. Dręcząca niepewność minęła, zduszona siłą woli.

Dokonała wyboru.

To był kolejny krok.

Napotkała spojrzenie jego czarnych oczu, kiedy ruszył w jej stronę, i dostrzegła w nich zdumienie. Irytację. Frustrację. I coś więcej. Coś, czego nie rozpoznała, zanim zniknęło w głębinie tych oczu, patrzących na nią oskarżycielsko. Bez przebaczenia.

Wciągnęła głęboko powietrze i przemówiła. Jej głos rozbrzmiał wyraźnie w tej wielkiej sali.

– Ja też mam w Upadłym Aniele dług, książę.

Uniósł czarną brew, ale się nie odezwał.

– A zatem powiedz. Przyjmiesz moje wyzwanie?

# 11

Gdyby miał się założyć o dziesięć tysięcy funtów, kto następny wejdzie na ring, nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że to będzie ona.

Kiedy jednak wrzawa ucichła, a on odwrócił się od gromady mężczyzn stojących za linami, żeby zobaczyć, co było tego przyczyną, już wiedział, że to ona. Nawet jeśli miał pewność, że to niemożliwe.

Ale oto stała, wysoka, dumna i silna, na środku ringu zbroczonego krwią Drake'a, jakby weszła do herbaciarni. Albo do sklepu z koronkami. Jakby codziennie się zdarzało, że kobieta w masce zjawiała się na ringu, w męskim klubie.

Oszalała.

A potem spokojnym, czystym głosem rzuciła mu wyzwanie, jakby miała do tego pełne prawo. Jakby nie sądziła, że wywoła tym w klubie niewyobrażalny skandal.

I wywołała. W sali wybuchła kakofonia okrzyków oburzenia, męskiego rechotu i niewybrednych głośnych uwag, zewsząd dobiegał szum gorączkowych rozmów. Zapanował hałas. W całym tym zgiełku Temple zdołał się opanować i podszedł do niej.

Była jego przeciwniczką pod każdym względem, a zarazem wcale nią nie była.

Zmarszczył brwi.

Nie poruszyła się. Żałował, że nosi maskę, która nie pozwalała zobaczyć wyrazu jej twarzy.

Powinna ją zdjąć. Natychmiast.

Mógł ją zdemaskować wobec tłumu gości, którymi byli najbardziej wpływowi, najpotężniejsi ludzie w Londynie, i wrócić do życia, jakie musiał porzucić przed dwunastu laty.

I porzucić to, które trwało krócej niż tydzień.

Ale wtedy nie przekonałby się, jak daleko jest gotowa się posunąć.

Przechylił głowę i odezwał się tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć:

– Śmiały krok.

Przechyliła głowę jak on, jej usta lekko się wygięły. Drażniła go. Kusiła.

– Pierwszy krok powinien być śmiały, nie sądzisz?

Zrobiło mu się gorąco. Rzuciła mu wyzwanie. Za każdym razem, kiedy stawali twarzą w twarz, ogarniało go podniecenie. Teraz też.

– Myślisz, że pozwolę ci wygrać?

Wygięcie ust przeszło w uśmiech.

– Myślę, że nie masz wyboru.

– Przeliczyłaś się.

– A to dlaczego?

Tu ją miał.

– Mój ring, moje reguły.

Podniósł rękę i gromada mężczyzn – dwie setki, może więcej – ucichła. Jej oczy, przysłonięte maską, rozszerzyły się ze zdumienia. Ten człowiek panował nad tą przestrzenią i tymi ludźmi.

– Panowie! – zawołał. – Wygląda na to, że to nie koniec rozrywek na dzisiaj. – Zbliżył się do niej i owionął go delikatny zapach cytryn, czysty w tym brudnym miejscu. Nieskażony pośród grzechu. To miejsce nie było dla niej przeznaczone. I, w niepojęty sposób, było.

A może po prostu nie chciał, żeby odeszła, chociaż wiedział, że powinna.

Tak byłoby najlepiej dla nich obojga. Bez wątpienia.

Stała niedaleko, na odległość ramienia, więc przyciągnął ją do siebie, wsuwając nogę między jej nogi, dotyk atłasu sprawił mu zmysłową przyjemność. Napawał się bliskością jej ciała, które trzymał w swoich ramionach. I jednocześnie nienawidził tej bliskości, bo wiedział, że ta kobieta całkowicie pochłania jego myśli, kiedy jest blisko niego. Odciąga go od wyznaczonego celu.

Zemsta.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej. Oparła dłonie na jego nagiej piersi, wilgotnej od potu. Jej skóra w zetknięciu z jego skórą była delikatna i chłodna. Zniżył głos, tak żeby dotarł tylko do jej uszu:

– Sama sobie pościeliłaś.

Znieruchomiała.

– A zatem, Wasza Wysokość, najwyższa pora, żebym się w tej pościeli położyła.

Zaskoczyła go jej śmiałość. Ciekaw był, czy te słowa także w niej wywołały zmysłowe wizje. Ich oboje w łóżku. Nadzy. Spleceni ze sobą.

Wspaniali.

Równi sobie.

Zwrócił się do tłumu, rozwścieczony głodnymi spojrzeniami, jakimi ją obrzucano.

– Czy mam ją obszukać, by się upewnić, że nie ma przy sobie broni?

Rozległ się ryk aprobaty. Sięgnął ręką do jej spódnic, wiedząc, że nie rozstaje się z nożem. Westchnęła, kiedy jego dłonie przesunęły się po jej piersiach, talii i biodrach. Zapewne dawała wyraz swojemu zadowoleniu. Spojrzał jej w oczy.

– Nigdy nie sądziłem, że jesteś ekshibicjonistką.

Odęła wargi.

– Na pewno teraz nie zacznę nią być.

– Hm. Twoje poczynania dzisiejszego wieczoru świadczą o czym innym. – W kieszeni spódnicy jego palce natrafiły na notes, w którym spisano ich historię w funtach, szylingach i pensach, a obok notesu wyczuł rękojeść noża. Jej wiernego kompana. – Hebert uszyła ci kieszeń?

Zmrużyła oczy.

– Chyba dotarło do ciebie, że dobrze sobie radzę z igłą.

Nie mógł nie parsknąć śmiechem. Ta kobieta była niesamowita. Dostała suknię, która

kosztowała więcej, niż ona zarabiała przez rok, i natychmiast wszyła w nią kieszeń, żeby mieć broń przy sobie.

Wyciągnął nóż i podniósł go wysoko nad głową.

– Dama jest uzbrojona w stal.

Nie tylko.

Mężczyźni ryknęli śmiechem, a Temple cisnął nóż na podłogę ringu, nie patrząc, jak ślizga się wśród wiórów. Nie odrywał wzroku od niej.

– Nigdy nie dość ostrożności, Wasza Wysokość – powiedziała głośno. Teraz przyszła kolej na nią, żeby odegrać swoją rolę przed tłumem. Rozbawić. Uśmiechnęła się do Temple'a promiennie, a on zapragnął, żeby byli gdziekolwiek indziej, tylko nie tutaj. – Podejmiesz wyzwanie? Mamy chyba teraz równe szanse, skoro odebrałeś mi nóż?

Podniosła się wrzawa i chór okrzyków zachęcających do walki. Temple natychmiast uświadomił sobie, do czego ona zmierza.

– Nie na ringu, kochana. Ale może znajdziemy inne miejsce, żeby o tym… podyskutować.

Mężczyźni zachichotali, a Mara, zesztywniała, odparła na cały głos:

– Nie sądzę. Mam u ciebie dług. Jestem tu po to, żeby odzyskać pieniądze. Jak to w Aniele, nieprawdaż?

– Ooch – zaśpiewał tłum.

Pokręcił powoli głową, nadal grając na emocjach tłumu, i odezwał się spokojnym, poważnym głosem:

– Nie walczę z kobietami. – Przypomniał sobie, kiedy jej to powiedział po raz pierwszy. I jakim był wtedy człowiekiem. Niepewnym siebie. Niepewnym swoich poczynań. Ale teraz już nie jest taki.

Zwinęła jedną dłoń na jego piersi w pięść.

– Powiedz mi, Wasza Wysokość, czy ktoś z nich cię wyzwał? Tutaj, na ringu?

– Punkt dla niej, Temple! – zawołał ktoś z tłumu.

– Dam ci sto funtów, żeby przyjąć to wyzwanie za ciebie!

– Tylko sto? Dam pięćset za taką dziewczynę! Idę o zakład, że jest wspaniała w łóżku!

Temple odwrócił się, żeby spojrzeć na tego, kto to powiedział. Oliver Densmore, największy dureń w Londynie, z wywieszonym językiem czepiał się lin ringu.

Temple z trudem powstrzymał się przed kopnięciem go w szczękę.

– Cóż, Wasza Wysokość? – ciągnęła Mara. – Czy wyzwała cię kiedykolwiek kobieta?

– Nie.

Obróciła się powoli, ukazując zamaskowaną twarz zgromadzonym. Jej wzrok zatrzymał się na lustrze, za którym kobiety z pewnością chichotały i plotkowały, usiłując zgadnąć, kim ona jest.

Spotkała jego spojrzenie w lustrze i uśmiechnęła się, szeroko i pogodnie, i po raz pierwszy, odkąd spotkali się na ciemnej londyńskiej ulicy, zastanowił się, jakby to było, gdyby ten uśmiech stał się na zawsze częścią jego życia.

– Ach – westchnęła, a jej głos rozległ się w całej sali. – A zatem poddajesz się.

Roześmiał się.

– Nie.

Zwróciła się do niewysokiego mężczyzny, sędziującego w poprzedniej walce. Jego wytrzeszczone oczy groziły wyskoczeniem z orbit.

– Czy nie takie są reguły ? Albo walka, albo jeden z przeciwników poddaje się bez walki?

Starszy mężczyzna otworzył usta i zamknął je, patrząc na Temple'a w oczekiwaniu na wskazówki. Mądry człowiek.

Temple skrzyżował ręce na piersi i wybawił biedaka z kłopotu.

– Są inne sposoby walki, Maro. Mogę zwyciężyć inaczej.

Odwróciła głowę, patrząc przez ramię. Spokojna, z wyzwaniem na twarzy. I nieznośnie pociągająca.

– Chcesz powiedzieć: inne sposoby, żebym ja zwyciężyła.

Tłum oszalał. Wzbudziła uwielbienie tych mężczyzn – tajemnicza kobieta, która, zdawało się, owinęła Temple'a i cały świat wokół małego palca.

W tej chwili i on był pełen uwielbienia dla niej.

Przyskoczył do Mary, objął ją ramionami, przyciągnął mocno do siebie i pocałował. Obwieszczając, wobec Boga i Londynu, że należy do niego. Smakując jej słodycz. Przestały do niego docierać wrzaski gromady mężczyzn, gdy całował ją brutalnie, zaborczo, aż dotarło do niego, że jej namiętność dorównuje jego.

Pragnęła go tak samo jak on jej.

Katastrofa. Później będzie się tym martwił.

Całował ją, obejmując dłońmi jej twarz. Cały świat zniknął i została tylko ona. I on. I ta chwila. I to, co ich łączyło.

To, jakim go widziała.

To, jaką on ją widział.

Ale nie byli tu sami, niestety. Otaczali ich ludzie. A on prawie że ją posiadł na oczach całego Londynu.

Chryste. Całował ją na oczach całego Londynu.

Kompromitował ją.

Oderwał usta od jej ust, zachwycony, że nie chciała przerywać pocałunku, że go pożądała, równie mocno, jak on pożądał jej.

Nie.

Była skompromitowana. Jak prawdziwa dziwka.

Chryste. Co on zrobił?

To był cel, czyż nie? Zemsta? Ale teraz to słowo zabrzmiało fałszywie. Plan nie przewidywał pożądania. Ani namiętności. Ani uczuć.

Co ona mu zrobiła?

Musieli porozmawiać.

Z tą jedną, jedyną myślą w głowie uniósł Marę z podłogi, ciesząc się, że wciąż ma ona maskę na twarzy, i odwrócił się, żeby razem z nią zejść z ringu wśród dobiegających zewsząd okrzyków zachęty.

Zszedłby, gdyby nie mężczyzna, który zagrodził mu drogę.

Christopher Lowe.

Mara z łomoczącym w piersi sercem, unoszona w ramionach Temple'a, była tak zdumiona jego siłą, przejęta ich niedawnym słownym pojedynkiem i w takiej euforii z postawienia na swoim, że nie zauważyła, iż ten się zatrzymał, póki nie postawił jej na pokrytej wiórami podłodze.

– Lowe – powiedział niskim, groźnym głosem. Odwróciła się, zaskoczona. Wyjawiał całemu Londynowi, kim ona jest? Dobre posunięcie. Szach-mat w ich grze.

I rozczarowanie. Ale nie patrzył na nią. Patrzył ponad jej ramieniem w oczy stojącego parę stóp dalej, na krawędzi ringu, jej brata. A w oczach Christophera dojrzała frustrację i coś jeszcze gorszego. Strasznego. Nieobliczalnego.

– Myślisz, że wygrałeś? – odezwał się brat. – Że mogłeś zabrać mi wszystko, co moje… – przerwał. – I moją siostrę?

W sali zapadła cisza, wszyscy pochylili się do przodu, żeby nie uronić ani słowa.

Postąpiła w stronę brata. Wiedziała, że jest wściekły. Chciała go uspokoić. Nie dopuścić go do Temple'a. Do zniweczenia jej planów. Zrujnowania tego, co zbudowała.

Tego, co dobre, i tego, co złe.

Temple powstrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu, i stanął między nią a bratem. Kit, kręcąc głową, parł naprzód, pchany własną głupotą; mówił donośnie, z gniewem.

– Cały Londyn widzi w tobie zwycięzcę. Bohatera. Ale Książę Zabójca jest zwykłym tchórzem. – Spojrzał na Marę z nienawiścią, jaką widziała przedtem w oczach ojca. – Tchórzem i dziwkarzem.

Wszyscy, włącznie z Marą, westchnęli głośno. To był cios, i to cios wymierzony przez mężczyznę, któremu powinno zależeć na reputacji własnej siostry.

Teraz Temple musiał z nim walczyć. Nie miał wyboru i Kit o tym wiedział. Nie nazywa się kogoś tchórzem, jeśli się nie chce go sprowokować do walki. Ruszyła w stronę brata, by go powstrzymać. Własnymi rękami.

Ramię Temple'a osadziło ją w miejscu.

– Nie. To moja walka – szepnął.

W jego oczach również widziała gniew, ale inny niż dotąd.

Był gotów walczyć o jej cześć.

Kim był ten człowiek?

Kit, zaślepiony własnym zacietrzewieniem, nie widział tego gniewu.

– Nie chcesz walczyć z jedynym człowiekiem, który ma po temu powód. – Podniósł pięści. – Ale teraz tu jestem i nie możesz mnie zignorować. Będziesz ze mną walczyć.

Tłum ożył na te słowa. Ludzka fala runęła na bukmacherów, stawiając zakłady.

– To walka stulecia! – zawołał ktoś.

– Dwieście na Temple'a, na jego wygraną! – krzyknął inny. – W jednej rundzie!

– Pięćdziesiąt, że Temple złamie Lowe'owi trzy żebra!

Londyn czekał na tę walkę od lat. Książę Zabójca przeciwko bratu ofiary. Ostateczna wersja Dawida i Goliata.

Przypomniała sobie słowa brata sprzed paru dni. „Nie jestem od tego wolny. A teraz i ty".

Kit wszystko zniszczy. Przegra kolejny raz. Zrujnuje wszystko, na co tak długo i ciężko pracowała. A Temple będzie bezpośrednim sprawcą jej upadku. Narzędziem w rękach

losu.

Wywrze na niej zemstę, tak czy inaczej.

Na myśl o tym powinna się poddać. Pogodzić się z klęską. Uciec stąd. Ale tak się nie stało. Przeciwnie, na myśl o tym ogarnął ją smutek, bo czyż przez chwilę nie poczuła smaku zwycięstwa? A nagrodą byłyby pieniądze, sierociniec… mężczyzna?

Odsunęła tę myśl.

Nie był nagrodą. Z pewnością nie dla niej.

Nie zasługiwała na niego.

Teraz, po wszystkim, po prostu się jej pozbędzie.

Temple odepchnął ją lekko w stronę lin odgradzających ring.

– Temple – szepnęła, nie wiedząc, jak ma mu to powiedzieć.

To nie był mój plan.

Nie wiedziałam, że on tu jest.

Wygraj.

Nie patrzył na nią. Jakby nie istniała. A w tej chwili nic innego się dla niej nie liczyło. Chciała, żeby ją zobaczył. Chciała, żeby czas się cofnął. Do nocy, w której zaprowadził ją do krawcowej. Do tej nocy na ulicy, przed jego domem. Do tej chwili sprzed dwunastu lat.

Gdyby tylko mogła to zmienić.

– Temple – powtórzyła, pragnąc zawrzeć wszystko w tym imieniu.

Nie zareagował. Podniósł ją i podał ponad linami markizowi Bourne, stojącemu po drugiej stronie lin. Bourne chwycił ją i mocno trzymał, chroniąc przed napierającym tłumem.

– Powinien cię zabić za to, że wciągnęłaś go w tę pułapkę.

Dobry Boże. Temple nie myślał chyba, że to zaplanowała.

Nie mógł tak myśleć.

Tylko że ona w tej sytuacji tak właśnie by pomyślała.

Każda moneta ma dwie strony.

Wyzna mu wszystko, gdy on już wygra. Absolutnie wszystko. Od samego początku. Powie mu, że pieniądze należą do sierocińca. Że walczyła o te pieniądze dla chłopców, dla nikogo innego. Że nie życzy mu źle.

Że życzy mu szczęścia.

Ale w tej chwili pozostało jej tylko przyglądać się walce. Temple stanął naprzeciwko Kita – naprzeciwko niej – i zrozumiała, że to będzie walka zupełnie inna niż walka z Drakiem. Tym razem w jego oczach odbijały się kłębiące się w nim emocje. Gniew. Wściekłość. Furia.

Coś więcej.

Zakreślił nogą linię w wiórach wyścielających podłogę ringu. Znak, że walka rozpoczęta.

A może zakończona.

Nawet teraz Temple przestrzegał własnych reguł. Pozwolił Kitowi na pierwszy ruch. Jej brat rzucił się na Temple'a z furią, wymierzając cios w oko.

Usłyszała głuchy odgłos uderzenia pięści w ciało. Lub w kość. Od tego dźwięku

zrobiło jej się niedobrze. Patrzyła, jak Temple przyjmuje jeden cios, potem drugi, potem trzeci. A potem, podarowawszy jej bratu te trzy pierwsze ciosy, kazał mu z nawiązką za nie zapłacić. Ruszył na Kita.

Uderzał z szybkością błyskawicy, okładając pięściami brzuch i boki Kita, aż ten się odwrócił, żeby złapać oddech. Odzyskać siły. I znowu rzucił się na Temple'a.

Może to imię, Temple, wzięło się stąd, że ten mężczyzna był twardy jak kamienie, z których wznoszono świątynie. Niepokonany. Gdyby nastąpił koniec świata, tylko on jeden by przeżył. Na jej brata sypał się grad ciosów. Kit upadł na liny, blisko niej; jedno oko miał zapuchnięte.

Mogła go czasami nienawidzić. Może nie był już tym chłopcem, którego znała – którego opuściła – ale wciąż pozostawał jej bratem. I nie życzyła mu śmierci.

– Kit, przestań! – zawołała błagalnie. – Przestań! On cię zabije!

Ich spojrzenia się skrzyżowały; spodziewała się zobaczyć w jego oczach ból, żal, zaskoczenie… ale zamiast tego zobaczyła coś nieoczekiwanego. Nienawiść.

– Wybrałaś jego.

Instynktownie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie. – To nie była prawda. Czy może była? Wybrała chłopców. Ich bezpieczeństwo.

A jednak… wybrała również Temple'a.

Szokująca myśl. Dobry Boże. Wybrała go?

Czy on na to pozwoli? Przesunęła wzrok na niego; zbliżał się do nich. Szedł po Kita. Oczy Temple'a były skierowane na nią. Zimne. Twarde.

Ból zdrady.

Znienawidziła to spojrzenie. Nie mogła go znieść. Odwróciła się ponownie do brata, który uśmiechnął się, tak jak uśmiechał się, kiedy byli dziećmi, a on chciał zrobić coś, co im obojgu zapewniłoby dobrą zabawę i sprowadziło na niego, bez wątpienia, karę ze strony ojca.

Schylił się i sięgnął po nóż leżący na podłodze.

Po jej nóż.

Pierwsza zobaczyła srebrny błysk.

– Nie! – krzyknęła.

Za późno. Rzucił się furiacko na Temple'a, nie zważając na reguły. Z całą siłą.

Spojrzała na Temple'a. Nie patrzył na Kita.

Patrzył na nią.

Dobry Boże.

– On cię zabije! – Te same słowa, ale teraz znaczyły co innego. Jak oszalała wyrwała się z uścisku Bourne'a, rzuciła ku ringowi i chwyciła liny, usiłując dostać się do Temple'a.

By go ratować.

Słowa utonęły w ryku tłumu. Wyli, jak stado psów na polowaniu, które zwietrzyły krew.

Za sprawą Kita.

Nóż utkwił głęboko w piersi Temple'a; krew wykwitła niczym przedziwny kwiat.

Zamarła, już prawie na ringu. Ktoś szarpnął ją bezlitośnie z tyłu. Nie wiedziała, że

krzyczy, póki własny głos omal jej nie ogłuszył.

Po raz pierwszy, odkąd dwanaście lat temu po raz pierwszy stanął na ringu, Książę Zabójca padł na podłogę.

Nie mogła oderwać od niego wzroku, od dziwacznego ułożenia jego nóg i od strumienia krwi, rozlewającego się złowieszczą plamą na wiórach podłogi. Na ring wskoczył wysoki, rudowłosy mężczyzna, który, ściągnąwszy kurtkę, uklęknął obok Temple'a, wykrzykując rozkazy, i pochylił się nad leżącym, żeby ocenić ranę.

A potem Mara już nic nie widziała, bo widok przesłoniło jej kilku mężczyzn, którzy stanęli na ringu, próbując dostać się do Temple'a. Każdy chciał pierwszy wykrzyknąć nowinę.

– Nie żyje!

– Nie – szepnęła, nie chcąc w to uwierzyć.

Co ona zrobiła?

Temple był za silny, za wielki, zbyt żywotny, żeby to była prawda. Szarpała się w trzymających ją w żelaznym uścisku ramionach, chcąc rozpaczliwie się uwolnić. Znaleźć blisko niego. Przekonać się, że to nieprawda.

– Nie, to nie może być prawda.

Ramiona przytrzymały ją tak mocno, że poczuła ból.

– Drogo za to zapłacisz, jeśli to prawda – szepnął jej Bourne złowieszczo do ucha.

# 12

Mężczyźni z Upadłego Anioła czuwali przy powalonym na ringu towarzyszu.

Trzeba było trzech ludzi, żeby Temple'a stamtąd wynieść – Bourne'a, Crossa, klubowego finansisty, i Asriela – i cała trójka dyszała ciężko, kiedy weszli przez stalowe drzwi do prywatnych pokoi Temple'a, w pierwotnym zamyśle mających mu zapewniać spokój i ciszę.

Opróżnili szeroki, niski stół i złożyli go na nim, a potem zapalili wszystkie świece. Bez pytania Asriel ruszył na poszukiwanie gorącej wody, płótna i chirurga, chociaż nie było jasne, czy ten ostatni na coś się jeszcze przyda. I mieli nikłą nadzieję, że pomoże ktokolwiek poza Bogiem. A właścicieli Upadłego Anioła Bóg rzadko traktował łaskawie.

Cross obejrzał ranę.

– Nie zasypiaj, ciężki draniu. Jesteś za wielki, żeby się tak poddać.

Temple drgnął.

– Nie powinienem tu być. – Myśli przysłaniała mu mgła a język miał ciężki. – Mam walkę do stoczenia.

Cross odsunął jedno ramię Temple'a, żeby sprawdzić, gdzie dokładnie tkwi nóż, i Temple wygiął się z bólu.

– Stoczyłeś walkę – odezwał się cicho Justin, majordomus klubu, stojący nieco dalej. – Dwie walki.

Temple pokręcił bezwładnie głową, jak zepsuta dziecinna lalka; majaczył.

– Nie. Za daleko się posunął tym razem. Za długo to trwa. Jest ich zbyt wielu.

Bourne podszedł, żeby go przytrzymać; klął pod nosem.

– To było dawno temu, Temple. Lata. Nie prowadzimy już walk na ulicy.

Drzwi pokoju otworzyły się, ale żaden z mężczyzn się nie odwrócił. Ten pokój był tak bezpieczny, jakby sam król tu leżał, walcząc o życie. Dostępny tylko dla tych, którzy znali najmroczniejsze tajemnice klubu.

– Justin, wracaj na salę. – W pokoju zjawił się Chase. – Nie przestaniemy skubać arystokratów tylko dlatego, że Temple odniósł ranę.

Bourne rzucił Chase'owi gniewne spojrzenie.

– Dużo czasu ci zajęło dotarcie tutaj.

– Tylko ja pamiętam, że prowadzimy klub. Co się stanie z Temple'em, jeśli zbankrutujemy, gdy on będzie dochodzić do siebie?

Cross nadal wpatrywał się w nóż.

– To nie jest nieznacząca rana.

Temple usiłował się uwolnić z uścisku przyjaciela.

– Muszę walczyć! Bourne nie da im rady!

– Pobiliśmy ich razem – powiedział cicho Bourne, miał pobladłą, zmartwioną twarz. – Walczyliśmy razem.

Temple otworzył oczy i spojrzał na Bourne'a.

– Przegramy.

Bourne pokręcił głową.

– Mając diabła za sprzymierzeńca, nie przegramy. Zjawił się Chase.

– Uratowałem wtedy wasze tyłki. – Chase pochylił się, w jego głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta, zdradzająca emocje, do których za nic nie chciałby się przyznać. – Uratowałem wtedy i teraz też je uratujemy.

Temple pokręcił głową.

– Muszę walczyć… – Głos mu zamarł, głowa opadła na matę, na której go przyniesiono. Stracił przytomność.

– Czy on… – zwrócił się Bourne do Crossa ponurym tonem.

– Nie. Zemdlał. – Cross przyglądał się z uwagą miejscu, gdzie w ciele Temple'a głęboko tkwił nóż, pomiędzy ramieniem a piersią. – Może to nie jest śmiertelna rana.

Mówił to bez przekonania.

– Jako że żaden z nas nie jest medykiem – odezwał się Bourne – pozwolisz, że nie zadowolę się twoją diagnozą.

– To może być mięsień. Nerw.

– Wyciągnij nóż.

Cross pokręcił głową.

– Nie wiemy, co się wtedy stanie. Nie wiemy, czy to go nie… – Urwał, ale słowa i tak zawisły, niewypowiedziane, w powietrzu. Zabije szybciej.

Chase zaklął, cicho i wściekle.

– Justin?! – zawołał Cross i zarządca klubu podsunął okulary wyżej na nosie, czekając na rozkaz. – Wezwij chirurga. I moją żonę. – Hrabina Harlow miała imponującą wiedzę na temat ludzkiej anatomii i była z nich wszystkich najlepiej obeznana z medycyną.

– I sprowadź mi tu Knighta – przykazał niskim, ponurym głosem Chase.

Cross zmarszczył brwi.

– Knight nie jest nam tutaj potrzebny. Nie powinien w tym uczestniczyć.

– Niezależnie od twojej i Knighta przeszłości, on nadal zna swój klub lepiej niż ktokolwiek z nas. A musimy wiedzieć wszystko, co się da, o Christopherze Lowie.

Bourne spojrzał na Chase'a.

– Przypuszczam, że Lowe uciekł.

– Zmył się podczas zamieszania.

– Jak? – Bourne był wściekły.

– Strażnicy tak się przejęli Temple'em, że zapomnieli o pilnowaniu wyjść. Będę miał ich głowy na tacy. Wszystkie co do jednej.

– Martwią się o niego – zauważył Cross.

Złota brew uniosła się do góry.

– Interesujące. Zważywszy, że mogliby schwytać jego zabójcę, gdyby nie wyli jak potępieńcy. Odpowiedzą przede mną za to, że zachowali się jak dzieci, którym odebrano

słodycze.

– Zimny drań z ciebie – stwierdził Cross.

Chase nie odpowiedział mu ani słowem, natomiast zwrócił się, zaciekawiony, do Bourne'a:

– Co ci się stało?

Na twarzy Bourne'a wykwitł siniak, zabarwiając okolice prawego oka na czarno. Bourne się skrzywił.

– Wolałbym o tym nie rozmawiać.

Chase przyjął to obojętnie.

– Gdzie dziewczyna?

– Zamknięta w Prometeuszu. Tam jej miejsce.

Chase kiwnął głową.

– Dobrze. Niech się zastanowi nad tym, do czego doprowadziła.

– Co zamierzasz z nią zrobić?

Założyciel Upadłego Anioła stanął nad Temple'em, obserwując jego płytki oddech, ledwie zauważalne wznoszenie się i opadanie masywnej piersi. Śniadą cerę przyjaciela bliskość śmierci zabarwiła na żółtawosiny kolor.

– Zabiję ją osobiście, jeśli on umrze. Z przyjemnością.

– Lowe myślał, że go zdradziła – zauważył Bourne.

– Oszukała nas wszystkich. – Chase nie podniósł głowy. – Nie sądziłem, że jest do czegoś takiego zdolna.

Cross ściągnął brwi.

– Sfingowała własną śmierć i rzuciła na niego oskarżenie.

Drzwi otworzyły się ponownie i weszła Philippa, lady Harlow, zdyszana, z przekrzywionymi okularami na nosie, a za nią Asriel z gorącą wodą i płótnem.

Pippa, nie zwracając na nikogo uwagi, skierowała się do Crossa i dotknęła ramienia męża w przelotnym geście pocieszenia. Cross podniósł jej dłoń do ust i pocałował, a wtedy Pippa podeszła do Temple'a i przesunęła palcami po jego ramieniu do miejsca, skąd wystawał nóż.

Nacisnęła ciało i Temple jęknął.

– Uraziłaś go – stwierdził Chase ostrzegawczo.

Pippa nie odwróciła wzroku.

– To, że czuje ból – odparła – że jest w stanie protestować, dobrze wróży. Wskazuje, że jest świadomy. – Zwróciła się do męża. – Chirurg wyszedł, kiedy skończyła się pierwsza walka. Posłano za nim kilku ludzi. Ale nie wolno nam czekać. Musisz wyciągnąć nóż. Natychmiast. Trzeba zająć się raną, zanim…

Przerwała. Nikt w pokoju nie potrzebował usłyszeć reszty.

– A jeśli nóż w jakiś sposób tamuje krwawienie? – zapytał Chase.

– Jeśli tak jest – odparła Pippa łagodnie – to tylko opóźniamy nadejście tego, co nieuniknione.

– Lady Harlow, o ile nie kwestionowałbym twojej głębokiej wiedzy w dziedzinie wszelakich nauk ścisłych – rzekł Chase – o tyle musisz mi wybaczyć moją niepewność co do twoich umiejętności medycznych.

Pippa spojrzała na Crossa. Czekała.

– W tych okolicznościach zignoruję ton, jakim zwracasz się do mojej żony – oznajmił Cross. – Nie będziemy czekać na chirurga. On może się zjawić za kilka godzin.

Chase zaklął. Ten przejaw wzburzenia u kogoś o tak stoickim usposobieniu poruszył i zaniepokoił wszystkich obecnych.

– On nie umrze – powiedział Bourne; to była przysięga i modlitwa zarazem. – To Temple. Silniejszy od nas wszystkich. Zdrowszy. Chryste. Jest wielki jak bawół. Niepokonany.

Tylko że właśnie został pokonany.

– Przyprowadźcie dziewczynę – rozkazał Chase.

– Nie – odparł krótko Cross.

Bourne wyraził się nieco barwniej.

– Ta suka wejdzie do tego pokoju po moim gnijącym trupie.

Chase nie okazał gniewu.

– Niech zobaczy, co mu wyrządziła.

– Wolałbym, żeby sama doświadczyła tego, co mu wyrządziła.

Chase spojrzał na Asriela.

– Sprowadź dziewczynę.

Asriel nie czekał na powtórzenie polecenia. Wolę Chase'a zawsze spełniano.

– Nie spuszczajcie z niej oczu. Może, tak jak jej brat, rzucić się na któregoś z nas z nożem. – Bourne podniósł dłoń do oka. – I ma zaskakująco dobry prawy sierpowy.

Pippa przyjrzała mu się. Mrugnęła za okularami, a Bourne siłą woli powstrzymał się przed okazaniem zaniepokojenia.

– Uderzyła cię.

– Nie spodziewałem się tego.

– Wyobrażam sobie – nie darował Cross.

Pippa obmywała ranę wokół noża – była to syzyfowa praca, bo krew sączyła się z rany przy każdym dotknięciu.

Po długiej chwili, nie podnosząc głowy, powiedziała:

– Nie zamierzasz się chyba przed nią ujawnić.

– Nie pomyślałem o tym – odparł Chase.

– Nie może się dowiedzieć, kim jesteś – zgodził się z żoną Cross. – Nie można jej ufać.

Pippa czystą płócienną szmatką otarła z potu i wiórów czoło Temple'a.

– Gdyby się dowiedziała… – odezwał się Bourne.

Nie musiał kończyć.

Gdyby Mara… gdyby ktokolwiek spoza zaufanego kręgu wtajemniczonych poznał tożsamość Chase'a, Upadły Anioł znalazłby się w niebezpieczeństwie.

Oni wszyscy również.

Na ścianie pokoju, w którym uwięziono Marę, wisiał ponury obraz przedstawiający Prometeusza. Była to scena tortur.

Bohater leżał przykuty do skały, z twarzą wykrzywioną cierpieniem, podczas gdy Zeus pod postacią czarnego orła szarpał jego ciało. Karząc go za czelność. Za to, że śmiał

skraść ogień bogom. Za to, że myślał, iż zdoła ich pokonać.

To był przerażający obraz, wielki i groźny, bez wątpienia mający na celu uświadomienie tym, którzy rzucali wyzwanie Aniołowi, jakie mogą być konsekwencje ich czynów, i skłonienie ich do wyznania win.

Przed oczami stanął jej obraz Temple'a na podłodze; życie uchodzi z niego, a ona krzyczy ze zgrozy.

Kit dźgnął go nożem. Jej nożem.

Ogień bogów.

Drzwi się otworzyły. Odwróciła się. Słowa same wyrwały jej się z ust:

– Książę. Żyje?

Wierny przyboczny Temple'a. Człowiek, który stał na straży przed sierocińcem, wielki, szeroki w barach, ciemnoskóry, nie odpowiedział, wskazując w milczeniu, że ma iść przed nim. Jego powaga sugerowała, że wszelkie próby wyciągnięcia z niego informacji albo zignorowanie polecenia byłyby z góry skazane na porażkę.

Szkoła Temple'a.

Z bijącym sercem zrobiła, co kazał. Kiedy go mijała, odezwał się groźnie:

– Niczego nie próbuj.

Chciała mu powiedzieć, że nie będzie. Że jest przerażona tym, co się stało. Że gdyby wiedziała, że tak się stanie, zrobiłaby wszystko, żeby temu zapobiec. Że nawet w chwili największego gniewu nie miała zamiaru skrzywdzić Temple'a. Wiedziała jednak, że słowa nie pomogą i że zostaną poczytane za kłamstwo albo coś gorszego. Wyprostowała się więc i weszła w mroczny korytarz.

Stali w nim mężczyźni i kobiety w rozmaitych ubiorach – od liberii do wyzywającego stroju kokoty. Każda twarz pobladła ze zmartwienia. Każde spojrzenie pełne piekącej nienawiści.

Tęskniła za maską, którą jej odebrano po walce. Patrzyli gniewnie, jak idzie korytarzami. Już same te korytarze budziły niepokój rozmiarami i licznymi zakrętami. Ich przeznaczeniem było udowodnienie, do kogo należy władza. Przekonać Prometeusza, że myli się, sądząc, że uda mu się zwieść bogów.

– Mam nadzieję, że zabierasz ją do Chase'a – powiedziała z wściekłością jasnowłosa, piękna dziewczyna. – Mam nadzieję, że się z nią policzy.

Dookoła rozległy się zgodne pomruki, a jeden z mężczyzn dodał:

– Zasłużyła na to samo, co spotkało Temple'a.

– Zasługuje na więcej – odezwał się gniewny głos za jej plecami i Mara skrzyżowała ciaśniej ramiona, rozpaczliwie chcąc uciec od tych ludzi. Od ich nienawiści.

A potem eskortujący ją mężczyzna otworzył drzwi i Mara weszła z korytarza do jakiegoś pokoju. Zatrzymała się gwałtownie, kiedy zdała sobie sprawę, gdzie jest.

Żałując, że nie pozwolono jej zostać na korytarzu.

Była w pokojach Temple'a, gdzie wcześniej tego wieczoru widziała, jak on zdejmuje koszulę. Gdzie ją całował, dając jej przedsmak rozkoszy, jaka mogła stać się jej udziałem. Gdzie usiłowała zachować stanowczość i zdecydowanie i nie widzieć jego ciała. Nie dostrzegać jego ciepła. Jego żywotnej siły.

Ta siła teraz z niego uszła. Kobieta i dwóch mężczyzn pochylało się nad nim nisko;

spowijało go ciepłe światło świec, podkreślając bladość jego cery. Nie ruszał się – jak martwy. Zamknęła oczy, żałując, że taka myśl przyszła jej do głowy. Usiłując odepchnąć słowo: martwy.

Ruszyła w jego stronę, ze ściśniętym gardłem.

– Mój Boże. – Przygniatał ją strach i smutek; mimowolnie wyciągnęła rękę, żeby dotknąć Temple'a, ale wówczas mężczyzna, który ją przyprowadził, położył ciężką dłoń na jej ramieniu i osadził w miejscu.

Markiz Bourne odwrócił się na dźwięk jej głosu; w wewnętrznym kącie oka miał siniec i na ten widok odczuła ból w prawej dłoni.

– Nie podejdziesz do niego – uprzedził ją Bourne, podnosząc rękę.

W jego głosie brzmiała nienawiść i inna kobieta może by nie odpowiedziała. Ale ona nie mogła dłużej znieść niepewności.

– On nie żyje?

– Chciałabyś tego, co?

– Nie. – Prawda przyniosła jej ulgę, wiedziała, że to słowo nie ma dla nikogo w pokoju znaczenia, ale chciała to powiedzieć, tak czy inaczej. Chciała przypomnieć sobie samej, że nigdy nie zamierzała skrzywdzić Temple'a. Nigdy. Od początku. I z pewnością nie teraz. – Nie.

Uniósł brew.

– Nie wierzę ci.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie spodziewałam się, że uwierzysz.

– Dosyć, Bourne. – Kobieta przy stole podniosła głowę i Mara rozpoznała jasnowłosą kobietę w okularach, którą spotkała wcześniej w tajemniczym pokoju, gdzie razem oglądały walkę. – Nie możemy dłużej czekać. Musimy wyciągnąć nóż.

Minęła godzina… Więcej niż godzina.

Mara nie mogła milczeć.

– Od razu i szybko, tak jak wszedł.

– Powinna wiedzieć, jak wszedł, bo praktycznie sama go tam wsadziła – stwierdził Bourne. – Podziwiaj swoje dzieło, obrzydła harpio.

Jakby Mara nie widziała. Jakby nie widziała, jak jej brat zatapia nóż w piersi Temple'a. Jakby nie pragnęła z całej duszy, żeby to się nie stało.

Spojrzała w orzechowe, pełne nienawiści oczy Bourne'a.

– Nie zrobiłam tego.

– Oczywiście, że zrobiłaś. – To powiedział inny arystokrata, wysoki, rudowłosy mężczyzna. A kiedy na niego spojrzała, dodał: – Zrobiłaś to w tej samej chwili, kiedy wrobiłaś go w morderstwo, którego nie popełnił. Dwanaście lat kończy się dzisiaj. Na tym.

– Ja wtedy… – Mara urwała. Nie rozumieli. Niewielu rozumiało.

Wtedy się pomyliła.

Nie dokończyła, bo ich i tak nie obchodziła jej historia ani nie zasługiwali, żeby ją usłyszeć. Temple to co innego. Temple zasługiwał na prawdę.

Jeśli on przeżyje, ona mu ją wyjawi. Całą.

Przypadnie do jego stóp, by uczynił z nią, co zechce, odpłacając się za wyrządzone mu krzywdy. By dokonał zemsty. I powie mu całą prawdę.

Jeśli tylko on przeżyje.

Znów chciała podejść do nieruchomego ciała, ale człowiek Temple'a ponownie ją zatrzymał. Spojrzała na stos płócien przy głowie Temple'a.

– Trzeba nóż wyciągnąć jednym szybkim ruchem i natychmiast ucisnąć ranę – powiedziała, celowo unikając wzroku mężczyzn i patrząc tylko w zdumione oczy hrabiny. – Musimy mieć więcej płócien. – Zerknęła na nóż. – Rana jest głęboka.

– Teraz nagle znasz się na medycynie? – odezwał się Bourne lekceważąco.

Zebrała siły i spojrzała markizowi w oczy.

– Już wyciągałam noże z ciała.

– Komu?

Znowu skierowała wzrok na Temple'a.

– Różnie.

Hrabina miała dość czekania.

– Asriel, będziesz musiał puścić pannę Lowe. Potrzebujemy twojej siły, żeby go przytrzymać.

– Jest nieprzytomny – zauważył Bourne.

– Przy odrobinie szczęścia odzyska przytomność, kiedy wyciągniemy nóż. To będzie bolało. Wyobrażam sobie jak bardzo. – Mara zamknęła oczy, pragnąc, żeby jej słowa się ziściły. Żeby oprzytomniał. Żeby nie umarł. Patrzyła, jak mężczyźni ustawiają się, żeby przytrzymać Temple'a – aż trzech – i starała się nie widzieć, jaką ma teraz bladą skórę, jak życie z niego uchodzi wraz ze strumieniem krwi.

Gardło ścisnęło jej się boleśnie.

Co ona uczyniła temu człowiekowi? Co on uczynił, że znalazła się w jego życiu? Jeśli przeżyje… znowu targowała się z Bogiem. Jeśli przeżyje, da mu wszystko, czego on zechce, i zostawi go, żeby żył szczęśliwie.

Z jakąś piękną kobietą i ich pięknymi dziećmi, w pięknej posiadłości.

Odda mu wszystko, co zabrała.

Jeśli tylko będzie żył.

Takiego targu z Bogiem nie prowadziła od dziesięciu lat. Dłużej.

Hrabina powiodła wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego, potem spojrzała na Marę.

– Robiłaś to przedtem?

Mara skinęła głową, myśląc o innym nożu. Innym czasie. Jeszcze bledszej skórze.

– Tak.

– Więc zrób to teraz.

Bez wahania podeszła do Temple'a. Pragnąc go dotknąć. Bourne ją zatrzymał.

– Jeśli go skrzywdzisz. Jeśli go zabijesz. Ja zabiję ciebie.

Kiwnęła głową.

– Postąpisz rozsądnie.

Zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby go uratować. Chciała, żeby żył. Chciała mu dać wszystko, o co prosił. Prawdę.

Może jej wybaczy.

Może będą mogli zacząć życie od nowa.

Jeśli nie, to przynajmniej da mu wszystko, co ma. Wszystko, na co on zasługuje.

Bourne ją puścił. Chwyciła stosik płócien i zgniotła je w bezkształtny kłąb, przysunęła bliżej stołu wiadro z gorącą wodą. Hrabia i markiz patrzyli groźnie na jej ręce, ale nie dała się zastraszyć. Niech ich diabli.

Wręczyła kłąb płócien hrabinie i podciągnęła spódnice, żeby uklęknąć na stole, obok głowy Temple'a. Uchwyciła pewnie dłońmi zakrwawioną rękojeść noża.

– Liczę do trzech.

Wszyscy znieruchomieli. Spojrzała w dół, na Temple'a. Na jego bladą twarz.

– Żebyś nie śmiał umierać – szepnęła. – Mam ci dużo do powiedzenia.

Nie poruszył się. Jej serce przeszył ból, ale nie zważała na to.

– Jeden… – zaczęła odliczać. – Dwa… – Nie czekając na trzy, wyrwała nóż.

Krzyknął z bólu, wyginając w łuk ciało, i Mara, słysząc ten krzyk, niemal zapłakała z ulgi. Hrabina pochyliła się nad nim, polewając ranę gorącą wodą, żeby zmyć krew, w nadziei, że nie ma mniejszego, już nie tak śmiertelnie groźnego cięcia. Nie było. Nadzieja, matka głupich.

Temple znowu krzyczał, wrzątek parzył go; popłynął nowy strumień krwi. Mara chwyciła kłąb płótna i zatkała nim głęboką ranę, przyciskając płótno z całej siły do miejsca, skąd wypływała krew, by zatrzymać krwotok, chociaż krew przesiąkała przez płótno. Chociaż nadal się wykrwawiał.

Chociaż mógł umrzeć na jej rękach.

– Nie umrzesz – powtarzała szeptem raz po raz.

Musi powstrzymać krwawienie.

Tylko o tym teraz myślała. Pochylona nad nim, napierała z całą mocą na opatrunek, nie zważając na to, że Temple usiłuje ich wszystkich zrzucić z siebie. Nawet teraz szokował ją jego ogrom. Jego siła. I siła jego woli. Zaryczał z gniewu i bólu, nagle otwierając czarne jak węgle, rozgorączkowane oczy.

Spojrzał na nią i zaklął; mięśnie jego szyi się napięły.

– Sprawiłaś mu ból – odezwał się markiz Bourne, patrząc na Temple'a. – Z wyraźną przyjemnością.

– Nieprawda – szepnęła tylko do niego, do swego księcia. Do swego olbrzyma. – Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. – Przycisnęła mocniej jego ramię, wdzięczna wysokiemu, rudowłosemu dżentelmenowi, stojącemu po drugiej stronie stołu, że ma dość siły, by przytrzymać rękę Temple'a. W przeciwnym razie Temple na pewno by ją uderzył. – Życzę ci dobrze.

Temple opierał się naciskowi, więc zmieniła taktykę.

– Przestań się naprężać – poprosiła głośno i z równą mocą, z jaką starała się go ratować. – Im usilniej walczysz, tym bardziej krwawisz, a nie możesz sobie na to pozwolić.

Temple nie odrywał od niej wzroku, zęby miał wciąż zaciśnięte. Ale przestał walczyć.

Miała nadzieję, że świadomie.

Płótno przemokło, jak się spodziewała. Krwawił obficie i potrzebowała więcej

opatrunków, żeby wchłonęły krew.

– Milady… czy mogłabyś… – zwróciła się do hrabiny.

Kobieta w okularach od razu się zorientowała, o co Marze chodzi. Wzięła ze stołu kolejny kłąb płócien, Mara zaś sięgnęła po zakrwawiony nóż, też leżący na stole.

– Nie. – Rudowłosy pierwszy zauważył jej ruch.

Bourne natychmiast puścił Temple'a.

– Odłóż to.

Nie ukrywała irytacji.

– Myślicie, że poderżnę mu gardło na waszych oczach? Myślicie, że oszalałam z nienawiści?

– Nie mam zamiaru ryzykować – oznajmił Bourne, ale Mara już się odwracała od nich, podnosząc spódnice, nawet kiedy markiz się do niej zbliżał, i odcięła nożem duży fragment pięknej fiołkowej halki. Markiz zatrzymał się gwałtownie, a Marę rozbawiłaby jego zszokowana mina, gdyby właśnie nie wyciągała w jego stronę rękojeści noża, mówiąc:

– Przydajcie się na coś. Waszych koszul pewnie też będziemy potrzebować.

Później miała przypominać sobie z zadziwieniem, jak skwapliwie posłuchali jej wezwania. Natychmiast zdjęli z siebie surduty i ściągnęli przez głowę koszule. Teraz dodała tylko:

– Jego koszula też jest gdzieś w pokoju. Znajdźcie ją.

A potem odsunęła hrabinę i przyłożyła zwiniętą w kłąb halkę do piersi Temple'a, przestraszona, że jego krzyki przeszły teraz w niewyraźne jęki protestu. Przerażona, że nie zatrzyma uchodzącego z niego życia.

– Przez ciebie zniszczyłam nową suknię – poskarżyła się, patrząc mu w oczy i starając się, by nie stracił przytomności. – Będziesz mi winien drugą.

Nie odpowiedział. Powieki zaczęły mu opadać. Zauważyła, że jego walka słabnie. Z jej ust padły więc jedyne słowa, jakie przyszły jej do głowy.

– Żebyś się nie ważył umierać.

Czarne oczy poruszyły się pod powiekami, długie czarne rzęsy spoczęły na bladych policzkach.

I Mara znowu została sama, mając ból w piersi za towarzysza. Zamknęła oczy, błagając o łzy.

– Jeśli umrze, pójdziesz za nim do piekła.

Chwilę trwało, zanim uświadomiła sobie, że powiedział to nie markiz – człowiek, który szybko stał się jej nemezis, ale ten drugi arystokrata, rudowłosy, wstrzemięźliwy w słowach, o pociągłej twarzy i kwadratowej szczęce. Spojrzała na niego, w jego szarych oczach odbijały się ledwie powstrzymywane na wodzy emocje. I nie miała wątpliwości, że spełniłby groźbę.

Zabiliby ją, gdyby Temple umarł. Bez zastanowienia.

Może na to zasługiwała.

Ale Temple nie zasługiwał na śmierć.

A zatem zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby utrzymać go przy życiu.

Głęboko westchnęła i zastąpiła swoje przesiąknięte krwią halki męską koszulą.

– Nie umrze.

Nie umarł tamtej nocy.

Zapadł w niespokojny sen, trwający jeszcze, kiedy przybył chirurg, który zaczął natychmiast krytykować opatrunek i zabiegi przy rannym.

– Należało poczekać na mnie z wyciągnięciem noża – powiedział, przyglądając się ranie i celowo nie zwracając uwagi na kobiety w pokoju.

– Nie przyszedł pan – burknął Bourne z gniewem i Mara ucieszyła się, że skierował gniew na kogoś, kto niewątpliwie na to zasłużył. – Mieliśmy nic nie robić?

– Mam inne sprawy – odparł doktor, niczym niezrażony. – Lepiej było nic nie robić. Mogliście wyrządzić większą szkodę. Z pewnością oddanie go w ręce kobiet to była pochopna decyzja.

Hrabina Harlow zmarszczyła brwi, spoglądając na rudowłosego arystokratę, swojego męża, jak odkryła Mara, milczała jednak, najwyraźniej nie chcąc zrazić trudno uchwytnego medyka, skoro już przyszedł.

Mara, przeciwnie, bez skrupułów powiedziała to, co myśli. Widziała zbyt wielu doktorów, którzy zjawiali się z magicznymi eliksirami i rozmaitymi instrumentami, a potem odchodzili, zostawiając chorego w gorszym stanie niż przed ich wizytą. Temple miał wyjątkowe szczęście, że doktor spóźnił się osiem godzin.

– Lepszy medyk w spódnicy niż w ogóle żaden.

Chirurg raczył wówczas na nią spojrzeć.

– Nie jest pani medykiem.

Stawiała czoło silniejszym i poważniejszym przeciwnikom niż ten mały człowieczek. Włącznie z mężczyzną spoczywającym na stole.

– Mogłabym to samo powiedzieć o panu, sądząc po pańskiej medycznej przenikliwości, jaką pan się wykazał dzisiejszego wieczoru.

Hrabina Harlow zamrugała za grubymi szkłami okularów, kąciki jej ust drgnęły leciutko. Kiedy spojrzenia ich obu się spotkały, hrabina odwróciła wzrok, ale Mara zdążyła wyczytać w jej oczach podziw.

Sprzymierzeniec, być może, w pokoju pełnym wrogów.

Chirurg już się odwrócił, mówiąc do hrabiego Harlow:

– Trzeba mu puścić krew.

Mara skrzywiła się, przed oczami stanął jej obraz matki z pijawkami na ciele, spęczniałymi od matczynej krwi.

– Nie.

Nikt na nią nie spojrzał. Nikt, zdawało się, nie słyszał, co powiedziała.

– Czy to konieczne? – zapytał hrabia bez przekonania.

Doktor spojrzał na ranę.

– Tak.

– Nie! – powtórzyła, tym razem głośniej. Puszczanie krwi zabijało. I zabije Temple'a, tak jak zabiło jej matkę.

– A kto wie, jaką jeszcze mu ta kobieta wyrządziła krzywdę – ciągnął chirurg. – Nieodwracalną. Puszczanie krwi stanowi remedium.

– Puszczanie krwi nie jest remedium. – Mara stanęła przy Temple'u, odgradzając go swoim ciałem od doktora, który już wyciągał z torby kwadratowe pudło. Nikt jej nie słuchał.

Nikt z wyjątkiem hrabiny Harlow.

– Ja także nie jestem pewna, czy to właściwy sposób leczenia – odezwała się hrabina z powagą, stając obok Mary.

– Pani także nie jest doktorem, milady.

– Nie jesteśmy doktorami, ale lepszych od nas nie było przy nim.

Chirurg wydął wargi.

– Nie zniosę, żeby zwracano się do mnie w ten sposób. I to kto… – Machnął ręką w kierunku kobiet.

Cross wysunął się naprzód, gotów walczyć w obronie honoru żony.

– Kto, dokładnie?

Chirurg uświadomił sobie własną niezręczność.

– Oczywiście nie mam na myśli lady Harlow, milordzie. Mówiłem… – wskazał na Marę – … o tej kobiecie.

Słowo „kobieta" zabrzmiało jak obraźliwy epitet.

Mara przejęłaby się tym, gdyby nie chodziło o życie Temple'a. Zignorowała zniewagę.

– Czy wcześniej puszczał mu pan krew?

Nastąpiła cisza i Mara sądziła, że chirurg nie odpowie. I wtedy hrabina Harlow zdecydowała się ją poprzeć:

– Doskonałe pytanie.

Chirurg wahał się, ale Cross nalegał:

– Doktorze?

– Nie. Nigdy mu to nie było potrzebne.

Mara spojrzała na leżącego nieruchomo Temple'a. Oczywiście, że nie było. Ten człowiek miał żelazne zdrowie. Wątpliwe, żeby potrzebował jakiegokolwiek leczenia. Aż do tej pory.

Teraz groziła mu śmierć.

– Milady? – zwróciła się do hrabiny. Twarz Mary i jej głos zdradzały, co ma na myśli. Nie pozwól na to.

Błagam, on musi żyć.

Hrabina skinęła głową.

– Powinniśmy poczekać – oznajmiła, patrząc na męża. – Jest zdrowy i silny. Wolałabym raczej, żeby sam doszedł do siebie, niż utracił jeszcze więcej krwi.

Mara, której oczy płonęły z emocji, odetchnęła z ulgą. Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymywała oddech.

– Kobiety nie są w stanie zrozumieć arkanów wiedzy medycznej. Ich mózgi – chirurg machnął ręką w powietrzu – nie są na to przygotowane.

– Słucham? – Hrabina Harlow była wyraźnie urażona.

Mara nie chciała tracić energii na obrażanie się. Nie wtedy, kiedy życie Temple'a wisiało na włosku. Nie ustępowała.

– Kobiety rozumieją, że krew na ogół nie wypływa z ciała i nie widzę powodu, żeby

sądzić, iż człowiekowi nie jest potrzebna cała jego krew.

To nie była powszechna opinia. I nie cieszyła się popularnością.

Ale większość ludzi nie widziała tego, co ona – jak umiera jej matka, bledsza i coraz bardziej chora, z pijawkami na ciele, pokaleczona lancetem. Przekonała się naocznie, że puszczanie krwi nie jest żadnym lekarstwem.

Doktor westchnął, zrozumiawszy zapewne, że nie może lekceważyć obecnych w pokoju kobiet. Przemówił jak do dziecka i Mara zauważyła, że hrabia zacisnął szczęki z irytacją.

– Musimy przywrócić równowagę. Ile stracił z ramienia, tyle trzeba odjąć z nogi.

– To brzmi przeraźliwie głupio. – Mara zwróciła się do hrabiny, jedynego sprzymierzeńca. – Kiedy dach przecieka, nie wybija się drugiej dziury w suficie.

Doktorowi tego było nadto. Parsknął gniewnie.

– Nie pozwolę się pouczać kobietom w dziedzinie, w której jestem ekspertem. Albo wyjdą one, albo ja.

– Zatem wyjdzie pan, a my znajdziemy innego chirurga – odparowała hrabina.

– Pippa – odezwał się Cross cicho, ale stanowczo. Mara słyszała w jego głosie niepokój. Nie chciał dopuścić do śmierci przyjaciela.

Gdyby wiedział, że Mara też tego nie chce.

– Dajcie Temple'owi noc – błagała. – Jeśli w ciągu dwunastu godzin wystąpi gorączka, objaw infekcji, to wtedy wpuścicie swojego konowała.

Doktor otworzył szeroko oczy, usłyszawszy tę zniewagę, i Mara parsknęłaby śmiechem, gdyby nie zależało jej tak bardzo na tym, żeby trzymać go, z jego barbarzyńskimi metodami, jak najdalej od Temple'a.

– Nie podejmę się teraz leczenia go, nawet jeśli potrojono by mi gażę.

Mara znienawidziła tego człowieka, tak podobnego do hordy innych londyńskich lekarzy, którzy znęcali się nad jej matką, uznawszy w końcu, że nie da się jej uratować. Zostawili ją, żeby umarła, chociaż Mara błagała ojca o znalezienie takiego, który by nie leczył jej pijawkami i laudanum.

Nawet kiedy przestał się córką interesować, zostawiwszy ją na pastwę losu.

Teraz odezwał się Bourne i Mara zauważyła ironię sytuacji – markiz starał się ułagodzić doktora.

– Doktorze, proszę, dwanaście godzin to nie jest bardzo długo.

– Dwanaście godzin może go zabić. Jeśli umrze, to wina spadnie na głowy waszych kobiet.

– Moją głowę – powiedziała Mara, napotykając wzrok markiza. Czarny krąg wokół oka zapewne nie usposabiał go do niej życzliwiej. Ku jej zdumieniu odwzajemnił spojrzenie. – Mam jego krew na rękach. Pozwólcie mi ją zmyć.

To było niemal błaganie.

Wystarczyło.

Spojrzał na swojego partnera w interesach, potem na nią.

– Dwanaście godzin.

Ogarnęła ją ulga, gotowa była przeprosić tego zarozumialca. Prawie gotowa.

– Nie wrócę – oznajmił doktor kwaśno.

Wyżymała właśnie czystą płócienną szmatkę.

– Nie będziemy pana potrzebować.

Drzwi się za nim zamknęły i markiz wyjął z kieszeni zegarek.

– Liczę dwanaście godzin od teraz. – Spojrzał na Crossa. – Chase utnie nam głowy za to, że pozwoliliśmy mu odejść.

Dla Mary te słowa nie miały sensu, ale nawet nie starała się ich zrozumieć. Całą uwagę skierowała na Temple'a.

– Musimy zrobić wszystko, żeby zapobiec gorączce – zwróciła się do hrabiny.

Pippa skinęła głową i podeszła do drzwi, żeby zażądać więcej wody i płócien.

Mara popatrzyła na nieruchomą twarz Temple'a, ciemną krechę brwi, krzywą linię patrycjuszowskiego niegdyś nosa, blizny na czole i wardze, skaleczenie z wcześniejszej walki tego wieczoru ciemniejące teraz na policzku, i ogarnął ją żal.

To wszystko moje dzieło, pomyślała, przyciskając kompres do jego czoła.

Teraz go uratuje.

# 13

Kłamią ci, którzy snują opowieści o śmierci przy wtórze anielskich chórów i wszechogarniającym spokoju.

Nie było aniołów. Ani spokoju.

Przynajmniej nie dla Temple'a.

Nic nie ciągnęło go w stronę jasnego ciepłego światła, nic nie przynosiło ulgi, kiedy ból palił, mieszając myśli i wyciskając powietrze z płuc.

I gorąco. Pierś, ramię i cała ręka paliły ogniem, jakby stanęły w płomieniach. Nie mógł z tym walczyć – trzymali go i zmuszali, żeby to znosił. Jakby sprawiało im to przyjemność.

To gorąco uświadomiło mu, że stoi na progu piekła.

Anioły nie przychodziły doń z niebios, przychodziły z samego dna i kusiły, żeby się do nich przyłączył. Te anioły były upadłymi aniołami. I nie śpiewały hymnów.

Przeciwnie, klęły i przyzywały go, kusząc i grożąc. Obiecując wszystko, co kochał w życiu – kobiety, dobrą szkocką, sport. Obiecywały, że będzie królować, jeśli się do nich przyłączy. To było wiele głosów – głosy londyńskich uliczników, arystokratów, kobiet. Kobiety szeptały, obiecując rozkosz, jeśli za nimi pójdzie.

Na Boga, czuł pokusę.

No i była ona.

Ta, której szept brzmiał najbardziej szorstko. Ta, która go niemal beształa. Jej słowa przemawiały do niego bardziej niż słodkie obietnice.

Słowa takie jak zemsta. Władza. Siła.

I książę.

Oczywiście, od dawna nie był księciem.

Odkąd zabił narzeczoną ojca.

Na krawędzi świadomości pojawiały się przebłyski myśli, która wracała i znikała, kiedy docierały do niego szepty z otoczenia, które go wzywały.

„To tylko kwestia czasu".

„Nie słyszy nas. Nie da sobie z tym rady".

„Za dużo stracił…"

Tak wiele stracił. Nazwisko, rodzinę, swoją historię i swoje życie. Stracił świat, w którym się urodził… świat, który mu się tak podobał.

Ale za każdym razem, kiedy kusiła go ciemność, słyszał ją.

„Ma walczyć. Będzie żył".

Jej głos nie był miły ani anielski. Twardy jak stal, dawał najpiękniejsze obietnice. Nie

pozwalał się zignorować.

Niech ich diabli.

„Jesteś dwa razy silniejszy niż każdy z nich.

Twoje dzieło nie jest skończone. Twoje życie nie jest skończone”.

Ale było, czyż nie? Było skończone od lat. Czyż nie skończyło się tamtego dnia, kiedy obudził się w zakrwawionym łóżku, mając na sumieniu zabójstwo narzeczonej ojca?

Zabił ją.

Zabił ją ogromnymi pięściami o nadnaturalnej sile i Bóg wie, czym jeszcze. Zamordował ją tak, jak zabił wszystko, czym mogło być jego życie. Zabił ją i oto był tu teraz. Umierał, ponosząc wreszcie – wreszcie – zasłużoną karę.

Powiadają, że w chwili śmierci całe życie człowieka przebiega mu przed oczami. Temple bardzo na to liczył, nie dlatego, żeby przypomnieć sobie dzieciństwo spędzone w ogromnym majątku ojca, ale dlatego, żeby przypomnieć sobie tamtą noc. Tę, która wszystko zmieniła.

Gdzieś tam, w głębi duszy, spodziewał się, że kiedy stanie na progu śmierci, wydarzenia tamtej nocy odsłonią się przed nim. Że dowie się, co się wtedy stało, gdy jego los został przypieczętowany. Że przypomni sobie noc, kiedy obiecano mu piekło.

Ale nawet teraz nie mógł sobie niczego przypomnieć i miał ochotę wyć z wściekłości.

– Dlaczego?

Nie słyszał, jak jego szept rozbrzmiał w pokoju.

Słyszał tylko kłamstwa swojego gniewnego, upadłego anioła, nawet kiedy pogrążył się w delirium.

„Będziesz żył, Temple.

Będziesz żył i wszystko ci opowiem”.

Była tu, dziewczyna z tamtej nocy – śliczna, roześmiana dziewczyna, która umykała przed nim w ogrodzie i unosiła się nad nim na świeżej, płóciennej pościeli; dziewczyna o jedwabistych włosach, gładkiej cerze i oczach, które go wciąż prześladowały.

Była tu, wraz z gromadką chłopców o ciemnych włosach i oczach jak klejnoty.

Była tu, czuł jej chłodny dotyk w ciemności; jej obietnice nie dawały mu iść ku światłu. Przyzywały go do niej.

Do życia.

Ratowała go.

Mijały godziny, a on się nie budził, choć we śnie odzyskiwał powoli siły – spinał się do walki za każdym razem, kiedy polewali ranę gorącą wodą.

Marę wyprowadzano i przyprowadzano do pokoju, dopuszczając ją do niego, tylko wtedy gdy należało przemyć ranę albo zmienić opatrunek. Za każdym jej powrotem przy Temple’u czuwali nowi ludzie. Bourne, Cross i Pippa nie ruszali się z miejsca, a kiedy ostatni gracz opuścił kasyno, przyłączyli się do nich ludzie pracujący przy stołach do gry, dealerzy i krupierzy, a także kobiety z klubu – zapłakane służące, zatroskane przyjaciółki i kto tam jeszcze.

Jasnowłosa kobieta o imieniu Anna, którą Mara poznała w dziwnym pokoju z ogromnym oknem, zjawiła się także po zakończonej pracy i Mara obserwowała, jak

prostytutka czuwa w milczeniu przy Temple'u przez długie minuty, muskając palcami wytatuowaną skórę jego ramion, obrysowując jego mięśnie, trzymając go za rękę i szepcząc mu coś do ucha.

Zdaniem Mary Anna mogła być kochanką Temple'a, zważywszy, jak mówiła o nim w ciemnym pokoju z lustrem. Kobiety traciły oddech na jego widok, więc z pewnością miał ich wiele. Urodziwa Anna z powodzeniem mogłaby grać rolę generała jego armii w halkach.

Długie, szczupłe palce o zadbanych paznokciach gładziły jego ramiona w geście, którego nie można było odczytać niewłaściwie. Ta kobieta znała Temple'a. Zależało jej na nim. Bez śladu zażenowania dotykała go, kiedy tak leżał nagi na stole w ciemnym pokoju.

Mara odwróciła wzrok, czuła do niej nienawiść. Nienawidziła siebie za bolesne ukłucie zazdrości. Za to, że nie powiedziała mu wszystkiego, kiedy miała okazję. Że mu nie ufała.

Że go dręczyła, podczas gdy on nie zasłużył na to w żaden sposób.

Nie podnosiła głowy, zajmując się nim – myjąc, opatrując, ocierając czoło i nasłuchując silnego, na szczęście, stałego rytmu uderzeń jego serca. Ktoś przykrył go kocem i podłożył poduszkę pod głowę – ustępstwo na rzecz wygody, choć bali się przenieść go ze stołu, jakby wyszczerbiony dębowy blat miał jakieś przywracające życie właściwości.

Mara martwiła się coraz bardziej, kiedy dzień ustępował zmierzchowi w świecie poza kasynem, a on wciąż leżał bez ruchu. Bourne zagroził sprowadzeniem innego doktora, ale tajemniczy Chase, podczas jednej z jej nieobecności, sprzymierzył się z Pippą i dał im jeszcze jedną noc, żeby przywrócić Temple'a do przytomności.

Chase znikł, zanim Mara wróciła do pokoju, ale jego słowa miały moc Pisma Świętego dla pozostałych.

Kiedy znalazła się blisko Temple'a, przemówiła do niego; rozpaczliwie chciała, żeby wróciła mu przytomność. Żeby otworzył oczy i ją zobaczył. Żeby rozumiał, co do niego mówi.

„Czasami mi się wydaje, że mnie rozumiesz".

Słowa wyszeptane w nocy, na ulicy Londynu.

Wtedy go nie rozumiała. Naprawdę. Ale teraz tak. I chciała, żeby on ją rozumiał. Potrzebowała tego. Musiała mu wszystko wyjaśnić. Sprawić, żeby zrozumiał prawdę.

Jej prawdę.

Nie budził się jednak, tylko rzucał i walczył, kiedy przemywali mu ranę niemal wrzącą wodą. Wkraczał chyba wtedy w jakiś inny wymiar świadomości, gdzie był w stanie tylko powtarzać w kółko: „dlaczego?"

Odpowiadała cicho, nie chcąc, żeby inni słyszeli, co obiecywała. A obiecywała odpowiedzieć na jego pytania, obiecywała prawdę, obiecywała nawet zemstę, w nadziei, że coś z tego, co powie, skłoni go do powrotu stamtąd, gdzie błądził jego umysł, zanim inni uznają, że ona i hrabina oszalały, i poślą po okrutnego człowieka, zwącego siebie doktorem.

Hrabina stała się jej jedynym sprzymierzeńcem, bo po wielu godzinach wspólnego pielęgnowania rannego zrozumiała, że ona i Mara chcą tego samego.

Mara chciała nawet więcej.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszły dwie kobiety, jedna starannie ubrana, najwyraźniej dama, druga tęga, w fartuchu, z czajnikiem w ręku. Dama znalazła wzrokiem Bourne'a stojącego na końcu pokoju i podbiegła do niego, wpadając w jego otwarte ramiona. Przycisnął ją do siebie i wtulił twarz w jej szyję, a ona objęła jego głowę, wsuwając palce w ciemne loki i szepcząc mu coś do ucha.

Mara nie wiedziała, czy przyglądać się tej scenie, tak niepasującej do markiza, jakiego dotąd znała, czy odwrócić wzrok, by nie zakłócać intymnej chwili.

Kiedy się w końcu odsunął od owej damy, znowu stał się tamtym niemiłym człowiekiem.

– Co ty, do diabła, tutaj robisz?

Dama wydawała się nie zwracać uwagi na jego ton.

– Powinieneś mnie wezwać. Dlaczego dopiero Pippa mnie zawiadomiła? – Urwała, podnosząc palce do jego policzka. – Co się stało z twoim okiem?

– Nic. – Spojrzał w bok, podobnie jak Mara, której wzrok padł na stojącą po drugiej stronie Temple'a i przyglądającą jej się Pippę.

– To nie jest nic, Michael.

– Wszystko w porządku. – Ujął jej dłoń i pocałował czubki palców.

– Kto cię uderzył?

Usta hrabiny zadrżały. Mara nakazywała jej w duchu zachować milczenie. Na próżno.

– Panna Lowe go uderzyła.

Dama wyprostowała się na całą wysokość i spojrzała na Pippę.

– Kto to jest panna Lowe?

Pippa wskazała ręką Marę, która marzyła o tym, żeby zniknąć.

– Ona.

Dama odwróciła się do Mary, obejmując wzrokiem jej zakrwawioną sukienkę, rozczochrane włosy i z pewnością wymizerowaną twarz, i zatrzymując go w końcu na prawej ręce, która wymierzyła cios.

Ściągnęła jasne brwi.

– Przypuszczam, że na to zasłużył?

Mara, zaszokowana, spojrzała damie w oczy.

– Tak, raczej tak.

Dama skinęła głową.

– Dobrze więc. – Odwróciła się ponownie do Bourne'a.

– Z całą pewnością nie zasłużyłem.

Zmarszczyła czoło.

– Czy przeprosiłeś?

– Przeprosić! – parsknął gniewnie. – Uderzyła mnie. Zamierzając zaraz potem zabić Temple'a.

Mara otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale dama nie dopuściła jej do głosu.

– Panno Lowe, czy zamierzała pani zabić Temple'a?

Po raz pierwszy ktoś pomyślał, żeby zadać to pytanie.

– Nie – odparła Mara zgodnie z prawdą.

Dama spojrzała z powrotem na Bourne'a.

– A zatem mój mąż bez wątpienia na to zasłużył.

Bourne zmrużył ze złością oczy, a do Mary po chwili dotarło znaczenie tego, co powiedziała owa dama. To była markiza Bourne i nie wahała się stawić czoło temu okropnemu człowiekowi. Z pewnością należało ją uznać za świętą.

– Nie powinnaś tutaj być – burknął Bourne.

– Dlaczego? Jestem członkiem klubu i żoną jednego z jego właścicieli.

– To nie miejsce dla kobiety w twoim stanie.

– Och, na Boga. Jestem brzemienna, Michael, a nie chora. Pippa tu jest. – Markiza wskazała hrabinę, która także spodziewała się dziecka.

– Nie moja wina, że Cross nie kocha swojej żony tak, jak ja kocham swoją.

Cross zmarszczył lekko brwi, a potem uśmiechnął się do Pippy.

– Kocham cię ogromnie.

– Wiem – powiedziała Pippa i Mara zachwyciła się prostotą tej odpowiedzi. Tą niezachwianą pewnością, że Pippa jest kochana.

Wyobraziła sobie, jakby to było, gdyby ją darzono takim uczuciem. Zerknęła na mężczyznę na stole. Na jego silną szczękę i długie ramiona, na leżącą płasko na stole dłoń, zgiętą i pustą. Zastanowiła się, jakby to było, gdyby wsunęła rękę w tę pustą przestrzeń. Gdyby ją wypełniła.

Kochać i być kochaną.

Ponownie skupiła uwagę na markizie Bourne, która nie odwracała oczu od męża.

– Michael – powiedziała cicho. – Temple jest tak samo mój, jak każdego z was.

Markiza odwróciła się w stronę nieruchomej postaci, twarz miała zatroskaną, kiedy wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego zdrowego ramienia i odsunąć mu włosy z czoła. Bourne stanął obok żony, przyciągając ją mocno do swojego boku, z wyrazem gniewu i bólu na przystojnej twarzy.

– Dobry Boże – szepnęła, wtulając się w ramiona męża.

– Będzie żył – zapytał zduszonym głosem Bourne.

Marze ścisnęło się serce w piersi, kiedy przyglądała się tej scenie. Ten człowiek – z którego życiem igrała – nie padł jej ofiarą. Dziesiątki ludzi troszczyło się o niego, miał przyjaciół gotowych na wszystko, żeby go uratować.

Ile czasu minęło, odkąd ktoś się o nią martwił? Od jak dawna o tym marzyła?

Od jak dawna na to zasługiwała?

Wolała nie myśleć o odpowiedzi.

– Czy to ciepła herbata? – zwróciła się do kobiety z czajnikiem.

Tamta skinęła twierdząco głową i oczy jej się zaszkliły, kiedy spojrzała na Temple'a.

– *Oui*. Sama ją zaparzyłam.

– Dziękuję, Didier – powiedziała Pippa, a Mara wzięła czajnik i nalała brązowego płynu do kieliszka, który stał obok karafki ze szkocką.

– Mam nadzieję, że ten wywar ma moc magiczną. Bogu wiadomo, że jest mu to potrzebne – stwierdziła markiza.

– Kora wierzbowa – odparła hrabina. – Podobno zwalcza gorączkę.

– Której, jak się wydaje, nie ma, jak dotąd, i oby tak zostało – dodała Mara, patrząc na

Crossa. – Pomóż mi podnieść mu głowę. Musimy spróbować go napoić.

Cross podszedł i razem z Asrielem unieśli bezwładne ciało Temple'a do pozycji siedzącej. Mara przytrzymała jego głowę i zaczęła mu wlewać do ust herbatę łyżeczką.

– Musisz pić, jeśli chcesz wyzdrowieć – oświadczyła stanowczo po kilku nieudanych próbach. Spróbowała znowu, ale herbata wciąż spływała mu po brodzie i piersi, razem z jej cierpliwością. Będzie pił, choćby musiała wlać mu przemocą płyn do gardła. Nalała mu jeszcze parę kropli w usta.

– Łykaj, do diabła.

Otworzył szeroko oczy, czujne i przytomne; zakasłał i ciepły płyn spryskał jej twarz i szyję. Pisnęła zaskoczona, a jego wspólnicy zaklęli.

Temple spojrzał na nią czarnymi oczami, odsuwając od siebie kieliszek.

– Chryste – wykrztusił chrapliwie. – Czy już nie dosyć razy próbowałaś mnie zabić?

Z ust Bourne'a wyrwało się ciche, pełne szacunku przekleństwo, a na twarzy Crossa pojawił się szeroki uśmiech. Marę ogarnęła ulga niemal nie do zniesienia… Zamknęła oczy, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, a potem znowu podniosła kieliszek do jego ust.

Pokręcił głową, odsuwając jej rękę.

– Kto zrobił te pomyje? – Spojrzał na kobietę, która przyniosła czajnik. – Didier?

Francuzka wystąpiła naprzód ze łzami ulgi w oczach.

– Tak, Temple. *Je l'ai fait*. – Kiwnęła głową. Przeszła na angielski. – Tak, ja to zrobiłam.

Popatrzył na Marę nieufnie.

– Nie kręciłaś się koło tego?

Zaprzeczyła ruchem głowy, odzyskując zdolność mowy.

– Nie. Tylko, żeby nalać.

Popchnął kieliszek w jej stronę.

– Pij.

Zmarszczyła brwi.

– Ja nie…

– Pij pierwsza.

Teraz zrozumiała i parsknęła śmiechem – dźwięk obcy w tym pokoju, a tak potrzebny. I tak pożądany, jak spojrzenie jego czarnych oczu, przytomnych, bez gorączki.

Coś błysnęło w tych pięknych oczach i znowu podsunął jej kieliszek.

– Wypij to, Maro.

– Co to… – Markiza Bourne wysunęła się naprzód, ale mąż ją zatrzymał. – To niedorzeczne.

– Tak chce Temple.

Nie ufał jej.

Był na tyle przytomny, żeby jej nie ufać.

Podniosła kieliszek do ust i połknęła jego zawartość, po czym wysunęła język, pokazując go Temple'owi.

– Dzisiaj nie zamierzam cię otruć.

Przyglądał jej się uważnie; kącik ust drżał mu lekko.

– Dobrze.

Starała się nie zwracać uwagi na przyjemność, jaką jej to sprawiło. Odwróciła się, żeby napełnić kieliszek.

– Nie mogę powiedzieć, żebyś nie skłaniał kobiety do rozważania takiej możliwości.

Ujął ją za rękę, przysuwając sobie kieliszek do ust.

– A zatem otrujesz mnie kiedy indziej.

Chciała się uśmiechnąć. Powiedzieć dziesiątki rzeczy. Rzeczy, w które by nie uwierzył. Rzeczy, których nie mogła powiedzieć.

Powiedziała więc tylko:

– Pij, ty wielki bawole.

Wypił cały kieliszek. Kiedy chciała się odsunąć, chwycił ją mocno za rękę. Chociaż utracił tak dużo krwi, skórę miał ciepłą. Spojrzeli sobie w oczy.

– Obiecałaś mi coś.

Zesztywniała.

– Tak. Obiecałam, że wrócę, by stanąć przed socjetą. Udowodnię, że nie jesteś zabójcą.

– Nie o tej obietnicy mówię.

– A więc o czym?

– Obiecałaś mi, że odpowiesz na moje pytanie. Obiecałaś mi prawdę.

Krew zaszumiała jej gwałtownie w uszach. Nie sądziła, że będzie pamiętać.

– Pamiętasz.

– Wiem, że pamięć mnie zawodzi, jeśli chodzi o ciebie. – Napił się. – Ale powiesz mi prawdę o tamtej nocy. Dotrzymasz słowa. Spełnisz obietnice.

Obietnice zemsty. Prawdy. Jeśli będzie żył.

Był tutaj, żywy i świadomy.

Kiwnęła głową.

– Dotrzymam słowa.

– Wiem.

I zasnął.

Trzy dni później Temple zanurzył się w przeraźliwie gorącej wodzie w mosiężnej wannie, którą zrobiono specjalnie dla niego, żeby po walce w Upadłym Aniele mógł się umyć. Syknął z bólu, który przeszył jego lewe ramię, kiedy je podniósł, by nie zamoczyć zabandażowanej rany. Nie chciał z powodu niezagojonej jeszcze rany dostać gorączki lub być zmuszony do położenia się do łóżka. Poruszył delikatnie ramieniem i skrzywił się z bólu, odchylając do tyłu głowę i opierając ją na brzegu wanny.

Westchnął głęboko i zamknął oczy, poddając się leczniczemu działaniu gorąca i pary. Wypierało ono stopniowo krążące w jego głowie myśli.

Większość jego myśli.

Myśli, które nie dotyczyły jej, z jej pięknymi, miękkimi włosami, niezwykłymi, niepokojącymi oczami i nieprzeciętną siłą. Myśli, które nie kazały mu pytać, dlaczego dwanaście lat wcześniej postąpiła tak, a nie inaczej. Co zrobiła tamtej nocy na ringu. Czy pomogła bratu. Czy podsunęła mu nóż, który w końcu znalazł się w piersi Temple'a.

Myśli, które nie kazały mu pamiętać o delikatności i czułości, z jaką przemywała jego ranę tego ranka, kiedy wrócił do świadomości. O tym, jak podawała mu herbatę. Jak go

wyleczyła. Które nie kazały mu się zastanawiać, jakby to było znowu doznać tej czułości. Doznawać jej częściej.

Albo, co gorsza, co ta czułość oznaczała.

Zaklął brutalnie w cichym, wypełnionym parą pokoju. Nie chciał jej dobroci. Chciał wyrzutów sumienia. Skruchy.

Poruszył ostrożnie ręką, zaniepokojony bólem, jaki ten ruch wywołał. Ramię wydawało się uwięzione w piasku. Nie podobało mu się to. Nie podobał mu się strach, jaki budziła myśl o tym, że może utracić sprawność.

Czucie wróci.

Siła także.

Muszą wrócić.

Żeby mógł dokonać zemsty.

Wróciło wspomnienie z wieczoru, kiedy stoczył walkę. Mara tuż przy ringu, z przerażeniem w oczach. On cię zabije! – wołała do niego. Ale on był tak urzeczony troską, jaką dostrzegł w jej spojrzeniu – myślą, że może jej na nim zależeć – że nie rozumiał słów, póki nóż nie wbił mu się w pierś.

Zrozumiał później.

Wtedy, kiedy tracił i odzyskiwał świadomość, a ona szeptała mu obietnice do ucha.

„Będziesz żył.

Będziesz żył i ja wszystko ci opowiem”.

Przeżył.

A ona powie mu prawdę o tamtej nocy i dlaczego postanowiła uciec. Dlaczego wybrała jego. Dlaczego go ukarała.

W jaki sposób ukradła mu życie. I jak mu je zwróci.

– Czy wiesz, co zrobisz?

Nie okazał zdziwienia, choć nie zauważył wejścia intruza i serce zabiło mu trochę szybciej z tego powodu.

– Nie wątpię, że mi powiesz. – Temple otworzył oczy. Chase stał w nogach wanny. – Jak długo oglądasz mnie w kąpieli?

– Wystarczająco długo, żeby żeńska połowa Londynu odczuła zazdrość. – Chase usiadł na pobliskim stołku i pochylił się wprzód, rozsuwając szeroko nogi i opierając łokcie na kolanach. – Jak ramię?

– Boli – odparł Temple, zacisnął pięść i zamachnął się nią w powietrzu. – Sztywne.

Nie dodał: drętwe. Słabe. Bezużyteczne.

– Nie minął tydzień. Daj sobie trochę czasu – poprosił Chase. – Powinieneś być w łóżku.

Temple poruszył się w wodzie, krzywiąc się z bólu, który nie dawał mu spokoju.

– Nie potrzebuję niańki.

– A jednak każdej nocy, kiedy nie ma cię na ringu, tracimy pieniądze.

– Powinienem wiedzieć, że nie obchodzi cię moje dobro.

Obaj wiedzieli, że to nieprawda i że Chase starłby Londyn z powierzchni ziemi, gdyby to miało pomóc Temple’owi. A jednak udawali.

– Obchodzi mnie twoje zdrowie na tyle, na ile ma ono związek z moimi dochodami.

Temple parsknął śmiechem.

– Zawsze człowiek interesu.

Milczeli chwilę, zanim Chase znowu się odezwał.

– Musimy porozmawiać o dziewczynie.

– Jakiej dziewczynie?

Chase zignorował głupie pytanie.

– Ona chce wrócić do swojego domu.

Nie widział jej od kilku dni. Chciał dojść do siebie, zanim ją znowu zobaczy. Odzyskać siły, zanim znowu podejmą walkę. Zanim staną twarzą w twarz.

Ale nie chciał, żeby była daleko. Nie miał ochoty zastanawiać się dlaczego.

– A brat?

Chase westchnął przeciągle i odwrócił wzrok.

– Nadal nigdzie go nie ma.

– Nie może się ukrywać bez końca. Nie ma pieniędzy.

– Możliwe, że dziewczyna mu pomogła. – Chase przeczesał palcami jasne włosy. – Ostatecznie jest kimś w rodzaju eksperta od ukrywania się w pełnym świetle.

To niemożliwe. Za bardzo zależało jej na pieniądzach.

– Nie pomogła.

– Tego nie wiesz.

Wiedział. Przeżywał tamtą walkę w swojej głowie wciąż na nowo.

– Widziałem ją podczas walki. Próbowała go powstrzymać. – Przerwał, myśląc o jej szeptanych obietnicach. – Uratowała mnie. Wyleczyła.

– Nie miała wyboru. – Chase był jak zwykle sceptyczny.

Temple pokręcił głową. Nie próbowała go zabić. Nie mógł w to uwierzyć. Nie zamierzał.

Chase uniósł brwi.

– Bronisz dziewczyny?

– Nie. – Kłamca. – Chcę tylko, żeby było jasne, że jej kara nie jest karą jej brata.

– A jak zamierzasz ją ukarać?

– Potrzebuję Westa. – Duncan West, jeden z najbogatszych członków klubu, był właścicielem co najmniej pół tuzina londyńskich gazet.

Chase kiwnął głową i wstał, zrozumiawszy Temple’a w pół słowa.

– To łatwe.

A więc zaczęło się.

Czy chciał, żeby tak to się potoczyło? Taki był tego przedtem pewien. Noc w noc wyobrażał sobie tę chwilę, kiedy odkryje przed całym Londynem, kim ona jest, i sprawiedliwości stanie się zadość. Wyobrażał sobie jej kompromitację. Nie miałaby wyboru, musiałaby wyjechać z kraju. Zacząć od nowa. Przekonać się na własnej skórze, co mu zrobiła.

Ale teraz…

– Ja dyktuję warunki.

Brązowe oczy otworzyły się szeroko, wyrażając fałszywą niewinność.

– Jakżeby inaczej?

– Wiem, jak lubisz się wtrącać.

– Nonsens. – Chase wygładził rękaw, strząsając jakiś pyłek z mankietu. – Ja ci tylko przypominam, Temple, że kobiety są doskonałymi aktorkami. Twoja nie jest inna. – Temple stłumił uczucie przyjemności, wywołane słowem „twoja”. – Wywołała największy skandal w historii Upadłego Anioła, kilka minut wcześniej, zanim jej brat dźgnął cię nożem. Cała ta sytuacja pachnie spiskiem.

– Więc dlaczego ona także nie uciekła? Dlaczego została? – To pytanie powtarzał sobie od kilku dni, budząc się z majaków i widząc ją obok siebie. Cieszyła się, że on żyje.

Piękna.

Jego.

Nie. Nie jego. Nigdy jego.

– Kto może wiedzieć, czego ta dziewczyna chce? – odparł Chase. – Ważne jest, że nie można jej ufać. Rana się nie zagoiła, a ty nie odzyskałeś pełni sił. Daj jej odejść. Asriel będzie ją obserwować.

Temple znieruchomiał. Nie spodobało mu się to, co usłyszał. Nie znosił własnej słabości. I tego, że myśl o tym, że ktoś ma śledzić Marę, tak wytrącała go z równowagi. To była jego sprawa. Jego droga do prawdy.

– Nie mogę ryzykować, że on ją straci z oczu.

Chase rzucił mu niedowierzające spojrzenie.

– Asriel w życiu niczego nie zgubił. – Temple nie odpowiedział. Założyciel Upadłego Anioła pochylił się ku niemu. – Chryste. Nie mów mi, że się w niej zadurzyłeś.

– Nie. – Temple podniósł się i woda przelała się przez krawędzie wanny, tworząc wielkie kałuże na podłodze.

Nie zadurzył się w tej dziewczynie.

Nie mógł.

Chase rzucił mu ręcznik, a drugi na podłogę – w kałuże wody.

– Okradła cię z twojego życia, najpierw w przenośni, potem niemal naprawdę. A teraz cię zaintrygowała.

Temple wycierał się jedną ręką, druga była jeszcze bardzo obolała.

– Ona pamięta wszystko o tamtej nocy. Ja nie pamiętam nic.

– A co tu jest do pamiętania? Dała ci środek usypiający i uciekła, zostawiając cię z oskarżeniem o morderstwo, którego nie popełniłeś.

Było coś więcej. Pytania: dlaczego, jak.

Następstwa. Chłopiec z jego włosami i o jej oczach.

Owinął ręcznik wokół bioder i minął Chase’a, przechodząc do pokoju.

– Wyzna mi wszystko o tamtej nocy i udowodni moją niewinność wobec reszty świata. To dlatego, jak powiadasz, jestem nią zaintrygowany. Dlatego się martwię, że może się wymknąć Asrielowi.

Ale to nie wszystko.

Zignorował tę myśl, która mogłaby powstać w głowie Chase’a, ale powstała w jego głowie. Nie intrygowała go. Ani też jej siła, niezłomna wola, odwaga. Ani długa szyja czy pełne wargi. W Londynie było tysiące piękniejszych i bardziej przystępnych dam niż ona.

Nie intrygowała go panna Mara Lowe.

„Intrygować” nie oddawało ani w przybliżeniu tego, co do niej czuł. Pociągała go. Kusiła.

Był nią pochłonięty.

Chase milczał długą chwilę, patrząc, jak Temple się ubiera, wkłada spodnie, potem białą koszulę, potem temblak na zranioną rękę.

Robił to wszystko jedną ręką. Może Chase nie zauważy.

Chase zauważał wszystko.

– Jak się ma twoja ręka?

– Nadal mógłbym cię zwalić z nóg.

Chase uniósł złote brwi.

– Mocne słowa. – Chase skierował się do drzwi, położył rękę na klamce i dopiero wtedy oznajmił: – O mało nie zapomniałem. Śledzimy sierociniec, odkąd Lowe cię zaatakował.

Temple’a to nie zdziwiło. Lowe nie miał pieniędzy ani sprzymierzeńców, odkąd zadarł z Upadłym Aniołem. Nie mógł się bezpiecznie pokazać nigdzie w Londynie. Miał tylko siostrę.

Ta myśl go rozgniewała.

– I?

– Wysłał jej wiadomość. Przejęliśmy ją.

Co za dureń.

– Co było w liście?

Chase uśmiechnął się kpiąco.

– A jak myślisz? Potrzebuje pieniędzy.

Temple przypomniał sobie aluzje zastępczyni Mary, że sierocińcowi przydałaby się jakaś donacja, przetarte spódnice Mary, które nosiła, kiedy się nie spodziewała jego wizyty, jej gołe, czerwone od zimna dłonie.

– Ona nie ma tego, czego on potrzebuje.

– Ona w ogóle niczego nie ma.

– Zabraliście list?

– Nie. Przeczytaliśmy i puściliśmy dalej.

Zastawili pułapkę, żeby pomogła bratu. Żeby zdradziła Temple’a.

Znowu.

– Przyślij ją do mnie – poprosił Temple. – Chcę z nią porozmawiać.

Chcę ją zobaczyć.

Chcę jej.

– Odeślij ją do sierocińca pani MacIntyre, Temple – odezwał się Chase po chwili milczenia. – Asriel z paroma chłopakami obserwują dom dzień i noc.

Temple rzucił Chase’owi zaskoczone spojrzenie.

– MacIntyre.

Chase się zawahał. Chase nigdy się nie wahał.

– MacIntyre. Nie jesteś kimś, kogo by obchodził jakiś niby sierociniec z arystokratycznymi bękartami – burknął Temple.

– Zwykle nie. Ale dziwisz się, że wiem? Oczywiście, że wiem, gdzie nasi członkowie

umieszczają swoje bękarty.

Tę informację Chase musiał mieć. To informacje dawały Upadłemu Aniołowi władzę. To informacji Temple łaknął w tym momencie najbardziej. Chryste, czy miał to wykrzyczeć z dachu?

Czy jeden z tych chłopców jest mój?

Jej?

Nasz?

Zadowolił się pytaniem:

– Wiedziałeś, że ona tu jest?

– Nie.

Temple spojrzał w oczy przyjaciela, szukając prawdy. Nie znalazł.

– Kłamiesz.

Chase westchnął.

– Pani Margaret MacIntyre, urodzona i wychowana w dokach Bristolu, zamężna z żołnierzem, który zginął tragicznie pod Nsamankow.

Gniew zmienił się w uczucie zdrady.

– Wiedziałeś, że tu jest, i nie powiedziałeś mi.

– No i co dobrego z tego wynikło, że ją znalazłeś? Struła cię i poczęstowała nożem.

Gniew przeszedł w palącą, morderczą furię.

– Wyjdź.

Chase westchnął.

– Temple…

– Tylko nie próbuj mnie uspokajać. – Temple zbliżał się do niego z zaciśniętymi pięściami, które świerzbiały go, żeby zetrzeć tę zarozumiałą minę z twarzy Chase'a. – Już zbyt długo prowadzisz z nami swoje gierki.

Oczy Chase'a rozbłysły.

– Uratowałem ci tyłek przed zbirami, którzy byli żądni krwi.

Temple zmrużył oczy.

– I od lat to wykorzystujesz. Z Bourne'em i Crossem postępujesz tak samo. W roli opiekuna, spowiednika i cholernej matki. A teraz myślisz, że moja zemsta do ciebie należy? Znałeś ją. Wiedziałeś, że od jej istnienia zależy moje dobre imię.

Wróciło wspomnienie. Chase w pokojach Temple'a w Upadłym Aniele. „Nie ma dowodów, że ją zabiłeś". Znowu ogarnął go gniew.

– Wiedziałeś od początku. Odkąd zabrałeś mnie z ulicy i sprowadziłeś do Anioła.

Chase się nie poruszył.

– Do diabła. Wiedziałeś i nigdy mi nie powiedziałeś.

Chase podniósł ręce w pojednawczym geście.

– Temple…

Ale Temple nie chciał spokoju. Chciał walki. Przeszywający ból w piersi objął ramię, gdy zacisnęły się mięśnie wokół rany i rozpłynął się gdzieś w połowie przedramienia.

Brak czucia nie bolał aż tak bardzo, jak zdrada przyjaciela.

– Wynoś się – rzucił. – Zanim zrobię coś, czego będę żałować.

Cicho wypowiedziane słowa niosły taką groźbę, że Chase nie ociągał się już z

wyjściem i odwrócił się do drzwi.

– Co byś zrobił, gdybyś wiedział?

Pytanie było jak cios.

– Zakończyłbym to.

Chase ściągnął brwi.

– Wciąż możesz.

Chase się mylił. Nie było końca. Nie teraz. Za daleko posunęli się na tej drodze.

– Wyjdź.

# 14

Tego rana była gotowa do walki. Gotowa sprzeciwić się uwięzieniu, gotowa negocjować warunki zwolnienia.

Spędziła trzy dni zamknięta w Upadłym Aniele, choć wolno jej było poruszać się po niezliczonych korytarzach i sekretnych pokojach, zawsze z towarzyszącą jej osobą. Czasami z Asrielem, poważnym, milczącym strażnikiem, czasami z hrabiną Harlow, kiedy ta przychodziła, żeby obejrzeć ranę Temple'a, a niekiedy z tajemniczą, piękną Anną, która miała usta pełne słów, a zarazem nic nie mówiła.

Tego popołudnia właśnie Annę po nią posłano. Lekko zapukała, zanim weszła do pokoju.

– Temple chce cię widzieć – oznajmiła, wygładzając spódnice.

To był szok. Nie widziała go, odkąd się przebudził, plując herbatą, nieufny. Myślała, że o niej zapomniał.

Żałowała, że ona nie może o nim zapomnieć. Tego, jak godzinami leżał nieruchomy i blady, zanim odzyskał przytomność i werwę. Tego, jak się o niego bała. Jak bardzo chciała, żeby wyzdrowiał.

Jak sobie uświadomiła, że ta chwila… ta sytuacja… że straciła nad nią panowanie.

Jak za nim tęskniła.

Dała znać pozostałym wspólnikom – Bourne'owi, Crossowi i tajemniczemu Chase'owi – że chce odejść. Że ma pilne zajęcia w sierocińcu MacIntyre. Że musi opiekować się chłopcami.

Że ma swoje życie.

Nie dostała odpowiedzi, aż do teraz. Póki nie zjawiła się Anna z wiadomością, od której zabrakło jej tchu, a serce zabiło szybciej. Kilka zwykłych słów: „Temple chce cię widzieć".

Zobaczy go znowu.

Zobaczy go teraz.

Podniecenie walczyło w niej z niepokojem; wstała, poprawiając ubranie. Bała się. Wyprostowała się.

– Jak Boleyn idąca na szafot.

– Jesteśmy królową Anglii? – Anna uśmiechnęła się kpiąco.

– Jest się o co ubiegać.

Ruszyły długim, krętym korytarzem, idąc w milczeniu przez długą chwilę, zanim odezwała się Anna:

– Wiesz, to nie jest zły człowiek.

– Nigdy nie sądziłam, że jest – odparła Mara bez wahania.

Prawda.

– Nikt mu nie ufa – powiedziała Anna. – Nikt, kto nie jest z nim bardzo blisko. Nikt, kto nie zna go na tyle dobrze, że wie, iż nie mógłby… – Urwała.

– Mnie zabić – dokończyła za nią Mara.

Anna zerknęła na nią z ukosa.

– Tak.

– Ale ty znałaś go na tyle dobrze?

Anna popatrzyła na swoje dłonie.

– Tak, znam go dobrze.

Mara usłyszała czas teraźniejszy. Przejęła ją nienawiść. Ta kobieta jest kochanką Temple'a, bez cienia wątpliwości. I dlaczego nie miałaby nią być? Doskonale do siebie pasowali. Ona jasna, on ciemny, ona bez skazy, on pocięty bliznami. I taka piękna. Będą mieli piękne dzieci.

Ale Temple miał poważniejsze plany niż poślubienie kochanki.

„Będę wiódł życie, do którego mnie wychowano". Tak jej kiedyś powiedział. „Będę miał żonę. I dziecko. Dziedzictwo".

Stosowne. Doskonałe. Jak przystało księciu.

Jego żona będzie z pewnością piękna, młoda, zdolna rodzić doskonałe dzieci. Ogarnęła ją zazdrość. Nie podobała jej się myśl o kobiecie, która mu urodzi dzieci.

O żadnej kobiecie, która miałaby mu urodzić dzieci.

Z wyjątkiem…

Stłumiła tę myśl, zanim zdążyła się sformułować. Powstrzymała szaleństwo. Dla własnego dobra.

– Szczęście, że ma tylu dobrych przyjaciół – powiedziała Mara.

Anna zerknęła na nią z ukosa.

– A ty?

– Ja?

– Kim są twoi przyjaciele?

Mara roześmiała się niewesoło.

– Ukrywałam się dwanaście lat. Przyjaciele to luksus, na który nie mogłam sobie pozwolić.

– A brat?

Mara pokręciła głową. Kit był rodziną. Nie był przyjacielem. Teraz już nigdy nim nie zostanie. Westchnęła głęboko.

– O mało nie zabił Temple'a. Co z niego za przyjaciel?

Anna odwróciła się, kładąc rękę na klamce. Nacisnęła ją.

– Spraw, żeby Temple to zrozumiał – powiedziała, kiedy drzwi otworzyły się szeroko.

Mara nie miała czasu prosić o wyjaśnienie. Weszła do pokojów Temple'a, gdy drzwi się za nią zamknęły po tej tajemniczej uwadze, i spojrzała na inne, otwarte drzwi, które, jak wiedziała, prowadziły na ring. Skierowała się w ich stronę.

Stał pośrodku pustej sali, na środku ringu. Silny, milczący i tak ujmująco przystojny, nawet bez koszuli i z ręką na białym, płóciennym temblaku, przyciśniętą do piersi. A

może właśnie z tego powodu. Jego czarne spodnie były starannie wyprasowane. Mara powiodła po nich wzrokiem, aż do pokrytej wiórami podłogi. Jego nagie stopy wystawały spod wełnianych nogawek.

Urzekły ją te nagie stopy. Ich siła. Ich kształt. Doskonałe, proste palce. Czyste białe paznokcie.

Ten człowiek nawet stopy ma piękne.

Ich oczy się spotkały, gdy to pomyślała, i zastanowiła się, czy w niewiadomy sposób to usłyszał. Czy potrafi czytać w jej myślach.

Wcale by się nie zdziwiła.

W sali bez tłumu widzów panował chłód i Mara objęła się ramionami, zbliżając się do niego. Górował nad nią o stopę, ale wydawało się, że dużo więcej. Patrzył na nią, a ona czuła każdy swój krok. Chciała wygładzić włosy, poprawić spódnice. Oprzeć się pokusie.

Dotarła do ringu; patrzył na nią z góry z nieodgadnionym wyrazem twarzy, jakby nie był pewien, co ona zrobi. Co się za chwilę stanie.

Ona też nie była pewna.

Ale wiedziała, że on gotów jest czekać wieczność, zanim ona się odezwie, więc powiedziała:

– Przepraszam.

Już wcześniej chciała to powiedzieć, ale dopiero teraz wypowiedziała te słowa na głos. Do niego.

Zmarszczył czoło, zaskoczony.

– Za co?

Chwyciła jedną z szorstkich lin opasujących ring.

– Za wszystko. – Podniosła na niego wzrok, jego czarne oczy niczego nie zdradzały. – Za czyny mojego brata. – Przerwała. Wciągnęła powietrze. Wyznała grzechy. – Za moje.

Podszedł i pomógł jej przejść między linami, podając jej szorstką, pokrytą odciskami dłoń, ciepłą i silną. Kiedy znalazła się na ringu, odstąpił do tyłu i aż jęknęła z żalu, że już jej nie dotyka.

– Żałujesz tego? – zadał jej to samo pytanie wieki temu, kiedy spotkali się na ulicy przed jego miejskim domem.

– Żałuję, że to wszystko obróciło się przeciwko tobie. – Odpowiedź taka sama, ale jednak inna. Bardziej prawdziwa. Nie żałowała ucieczki. Ale głęboko bolała nad rolą, jaka jemu przypadła w jej głupim, bezmyślnym planie. – I żałuję tego, co uczynił mój brat, bardziej niż sobie wyobrażasz. – Przerwała. Milczał, czekając. – Tak. Żałuję. Żałuję twojego bólu. Tego, że zniszczyłam twoje życie. Że z nim igrałam. Zwróciłabym ci je, gdybym mogła.

Oparł się o liny w drugim końcu ringu.

– Zatem nie znałaś jego zamiarów?

Wstrząśnięta, otworzyła szeroko oczy.

– Nie! – Jak mógł podejrzewać, że ona…

Jak mógł?

Pokręciła głową.

– Nie skrzywdziłabym cię.

Uśmiechnął się lekko.

– Nazwałem cię dziwką.

Słowa bolały, nawet teraz. Nie odwróciła wzroku.

– Doprowadziłam do takiej sytuacji.

Zachichotał cicho; ciepło, życzliwie.

– Owszem.

Milczał długo, aż musiała znowu na niego spojrzeć. Przyglądał jej się, czarne oczy widziały wszystko. Może z powodu tych oczu powiedziała:

– Jestem szczęśliwa, że wyzdrowiałeś, Wasza Wysokość.

Prawda.

A może straszne kłamstwo. Bo słowo „szczęśliwa” nie oddawało nawet w przybliżeniu emocji, jakie odczuwała, widząc go zdrowego i silnego. Przekonując się, że zdołał dojść do siebie wbrew wszystkiemu.

Czuła ulgę. Wdzięczność.

Radość.

Żyje.

Westchnęła, a on odsunął się od lin i ruszył w jej stronę; przeszył ją dreszcz oczekiwania.

Wyciągnął ręce, nie wahała się i wtuliła w jego ramiona. Gładził kciukiem jej policzek, podniosła rękę, zatrzymując jego dłoń na swej twarzy i szepcząc:

– Ty żyjesz.

Oczy mu rozbłysły.

– Ty też.

Po raz pierwszy od przeszło dziesięciu lat czuła to. W jakiś sposób dzięki temu człowiekowi, który powinien być jej wrogiem. Który pewnie nim pozostał. I chciał ją zniszczyć za to, co zrobiła. Ukarać za jej grzechy.

A który ujrzał ją taką, jaka była naprawdę.

– Myślałam, że umrzesz.

Uśmiechnął się.

– Nie uznałabyś tego. Nie śmiałem cię rozczarować.

Usiłowała odwzajemnić uśmiech. Bez powodzenia. Przypomniała sobie innego pacjenta. Inną śmierć.

Zobaczył to na jej twarzy.

– Powiedz mi.

Nagle zapragnęła, żeby wiedział.

– Nie mogłam jej uratować – szepnęła.

Nie poruszył się.

– Kogo?

– Mojej matki.

Zmarszczył brwi.

– Twoja matka zmarła, kiedy byłaś dzieckiem.

– Miałam dwanaście lat.

– Byłaś dzieckiem – powtórzył.

Spojrzała w dół na swoje głupie, jedwabne kapcie, wystające spod pożyczonej sukienki. Jej palce niemal dotykały jego nagich palców.

Tak blisko.

– Byłam na tyle duża, żeby wiedzieć, że ona umrze.

– Dostała gorączki – oznajmił tonem pocieszenia. Nie mogłaś wiedzieć. Nie dało się nic zrobić. Dziesiątki ludzi jej to mówiło. Setki.

Wszyscy wierzyli w tę historię.

Tylko że matka nie miała gorączki.

Albo raczej, miała… ale było inaczej, niż opowiadał ojciec. Nie wynikała z choroby. Była wynikiem infekcji. Rany, która nie chciała się zagoić.

I cierpiała straszliwie z bólu.

Temple podniósł jej brodę, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy. Ciepły, silny, ogromny i szorstki. I uczciwy.

Spojrzała w jego oczy, czarne jak noc.

– On ją zabił – szepnęła.

– Kto ją zabił?

– Mój ojciec. – Nawet teraz, po tylu latach, trudno było to powiedzieć. Trudno myśleć o ojcu jako o mordercy.

Temple pokręcił głową i Mara wiedziała, o czym myśli. To niemożliwe. Mąż nie zabija żony.

– Nie podobało mu się, że ja i Kit postępowaliśmy wbrew jego życzeniom, a ona robiła wszystko, co mogła, żeby nas chronić. Tamtego dnia… – Urwała, nie chcąc powiedzieć więcej, ale nie mogąc się przed tym powstrzymać. Zagubiła się we wspomnieniach. – Kupił nowe popiersie. Rzymskie, greckie albo perskie. Nie pamiętam. Kit i ja biegaliśmy po domu i potknęłam się o spódnicę. – Zaśmiała się gorzko. – Właśnie pozwolono mi nosić długie spódnice. Byłam taka z siebie dumna. Taka dorosła. Wpadłam na rzeźbę, która stała na stole, na górnym piętrze. – Temple wciągnął gwałtownie powietrze, jakby wiedział, co nastąpi. A czego ona nie mogła przewidzieć jako dziecko.

Wzruszyła ramionami.

– Przetoczyła się przez poręcz i spadła dwa piętra w dół, na posadzkę w holu.

Widziała ją teraz, rozbitą na kawałki, daleko w dole.

– Był wściekły. Wbiegł po schodach, i spotkał mnie na półpiętrze.

– Nie uciekałaś?

Te słowa przywołały ją do rzeczywistości.

– Ucieczka tylko pogorszyłaby sprawę.

– Bił cię.

– Zniosłabym to. Nie pierwszy raz nas karał. I nie ostatni. – Zawahała się. – Ale moja matka postanowiła z tym skończyć.

– Co zrobiła?

– Rzuciła się na niego. Z nożem.

Wciągnął powietrze.

– Chryste.

Mara w myślach odgrywała tę scenę raz po raz, niemal codziennie, odkąd to się stało.

Jej piękna matka, gniewna królowa, stojąca między dziećmi a ich ojcem.

Nie pozwalając ich skrzywdzić.

– Śmiał się z niej – przypomniała sobie Mara, nienawidząc swego żałosnego tonu. Tak jakby znowu była dzieckiem. Przełknęła ślinę. Spojrzała mu ponownie w oczy. – Był dla niej za silny.

– Obrócił nóż ostrzem do niej.

Inna rana, inna krew. Tamtym razem szczęście nie sprzyjało.

– Zjawili się doktorzy, ale nic się nie dało zrobić. Zabił ją jednym ciosem.

– Chryste – powtórzył, tym razem przyciągając ją mocno do szerokiej, silnej piersi. – A ty musiałaś z tym żyć – szepnął jej we włosy.

Póki nie oddał mnie drugiemu mężczyźnie, a ja nie miałam innego wyboru, jak tylko uciec.

Zachowała te słowa dla siebie, po części dlatego, że nie chciała mu przypominać, w jakich okolicznościach się spotkali po raz pierwszy. Że to z jej powodu jego życie przybrało taki, a nie inny obrót. Za dobrze jej było w jego ramionach.

Kłamstwo niedopowiedzenia.

Wtuliła twarz w jego ciepłe ciało, wciągając zapach tymianku i goździków, pozwalając sobie na tę chwilę wytchnienia, choćby ulotną, zanim znowu będzie musiała zmierzyć się ze światem. I powiedziała to, czego nie mówiła nigdy dotąd:

– Gdybym nie stłukła tamtej rzeźby…

Ujął jej brodę i podniósł jej twarz do światła.

– Maro – zaczął; to imię po latach nieużywania wciąż brzmiało obco. – To nie twój grzech. Niczym nie zawiniłaś.

Wiedziała o tym, nawet w to nie wierząc.

– Jednak za to zapłaciłam. – Kącik jego ust zadrżał, grożąc uśmiechem. Dostrzegła ironię. – Spłacanie cudzych długów. Powinieneś mnóstwo na ten temat wiedzieć.

– Nie aż tyle, jak sądzisz. – Jego kciuk sunął po jej policzku niczym gorący jedwab, tam i z powrotem, uspokajając i niepokojąc jednocześnie.

Patrzyła na jego złamany nos, bliznę pod okiem, drugą, przecinającą dolną wargę. Na chwilę zapomniała o rozmowie, rozmarzona obietnicą kryjącą się w jego dotyku.

Kiedy się odezwał, zobaczyła, jak jego wargi poruszają się, tworząc słowa.

– Myślałem, że to mój dług.

Nie patrzył jej w oczy, nawet wtedy, gdy szepnęła jego imię, to, które przybrał, stając się innym człowiekiem, wygnańcem.

– Myślałem, że cię zabiłem – powiedział spokojnie. Jakby mówili o czymś nieistotnym. Gazecie porannej. Pogodzie. Odchrząknął i odsunął rękę od jej policzka. – Ale jednak tego nie zrobiłem.

Brak tego dotyku był czymś strasznym.

Przepraszam. Chciała to powiedzieć.

Zamiast tego podniosła dłoń do jego policzka; lekki zarost na brodzie łaskotał jej place. Kusił. Ich spojrzenia się spotkały i dostrzegła w jego oczach żal, zmieszanie, niepokój i, owszem… gniew, tak głęboko ukryty, że mogłaby go przeoczyć, gdyby nie stała tak blisko.

– Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. – Przerwała, patrząc ponad jego ramieniem na lustro, za którym kobiety oglądały walkę. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że będziesz cierpieć.

Nie odpowiedział. Nie musiał. Przekonanie, że to, co mu uczyniła, pozostanie bez konsekwencji, było głupotą. Mówiła dalej, jakby słowami dało się odsunąć przeszłość.

– Ale kiedy je usłyszałam… Kiedy na ciebie patrzyły…

– Kto? – zapytał.

Kiwnęła głową w stronę lustra.

– One. Nie podobał mi się sposób, w jaki o tobie rozmawiały. – Jej palce przesunęły się na jego pierś, muskając delikatnie tors pod płótnem. – Nienawidziłam tego, jak na ciebie patrzą.

– Jesteś zazdrosna?

Była, ale nie to chciała wyrazić.

– Nienawidzę tego, jak pożerają cię oczami, jakbyś był zwierzęciem. Nagrodą. Czymś, co można połknąć. Czymś mniej… niż jesteś.

Chwycił jej rękę i odsunął od siebie, ku jej żalowi.

– Nie potrzebuję twojej litości.

Otworzyła szeroko oczy.

– Litości? – Jak mógł myśleć, że to dziwne, niepokojące uczucie, które ją ogarniało, przewracając cały znany jej świat do góry nogami, to litość?

To nie było takie proste.

– Chciałabym, żeby to była litość. – Uwolniła rękę z jego uścisku. Położyła ją na jego brzuchu, mięśnie drgały i napinały się pod jej palcami. – Gdyby to była litość, może mogłabym jej uniknąć.

– A więc co? – zapytał niskim, głębokim głosem. Miała wrażenie, że ogromna sala stała się nagle maleńkim pokojem. Cichym i odosobnionym.

Całą sobą odczuwała jego obecność. Całą sobą pragnęła jego dotyku. Wybaczenia.

– Nie wiem. Sprawiasz, że czuję…

Przerwała, nie będąc w stanie przełożyć uczuć na słowa.

Podniósł rękę do jej szyi, muskając ją lekko, jakby w obawie, że ona ucieknie, jeśli nie będzie dość ostrożny.

– Co?

Jej palce poruszały się niezależnie od jej woli, wsuwając w jego włosy, napawając ich miękkością. Przerwał pieszczotę, przysuwając ją do lin i zaciskając na nich palce jej ręki, najpierw jednej, potem drugiej. Kiedy skończył, podniósł jej twarz do góry.

– Sprawiam, że jak się czujesz, Maro?

Cały Londyn uważał ją za jego kochankę. Czy to nie mogło się urzeczywistnić? Czy miało znaczenie, że tak nie było? Czy miało znaczenie, że pragnęła go naprawdę? Że chciała go całego? Jego rąk, ust, ciała i…

Zawahała się przed dokończeniem wyliczanki.

To by ją mogło zniszczyć bardziej niż jakakolwiek kara wymyślona przez Temple’a.

Ale walka się zaczęła i wiedziała, że nie ma szans.

Zwłaszcza że życzyła mu zwycięstwa.

Trzymała kurczowo liny, jej cumy podczas burzy.

– Sprawiasz, że czuję… – Pocałował ją w tej chwili wahania; pocałunek był czulszy niż kiedykolwiek przedtem, język muskał jej usta ze słodką, niszczącą siłą.

Odsunął się, zostawiając ją nienasyconą.

– Mów – szepnął, nie dotykając jej, ale i tak czuła go całą sobą. Trzymał ją na krawędzi przepaści i jedynie liny chroniły ją przed szaleństwem.

– Przy tobie jest mi gorąco, a jednocześnie zimno.

Nagrodził ją długim, słodkim pocałunkiem u nasady szyi.

– Co czujesz teraz?

– Gorąco. – Dreszcz przebiegł jej po plecach. – Nie wiem. Zimno.

Pocałował ją znowu, uwielbiała czuć dotyk jego warg na swojej skórze.

– Co jeszcze?

– Kiedy na mnie patrzysz, czuję się tak, jakbym była jedyną kobietą na świecie.

Patrzył na dekolt jej pożyczonej sukni, której stanik wydawał się zdecydowanie za ciasny. Przesunął palcem wzdłuż brzegu materiału, prawie nie dotykając skóry, sprawiając, że zapragnęła pozbyć się ubrania. A potem pociągnął za białą wstążkę z przodu, rozluźniając powoli cały przód stanika, aż materiał rozchylił się na boki. Instynktownie puściła liny, żeby przytrzymać górę sukni. Przycisnąć suknię do siebie.

Ale on odsunął najpierw jedną jej rękę od wełnianej sukni, potem drugą.

Pozwoliła mu na to.

Kiedy skończył, powiedział tylko:

– Liny.

Chwyciła posłusznie dłońmi liny.

Suknia zatrzymała się na jej piersi, grożąc ześlizgnięciem. Przyglądał się sukni, a Mara była ciekawa, czy mógłby wzrokiem sprawić, że materiał osunąłby się na ziemię.

Przesunął palcem po wełnie i suknia znalazła się u jej stóp. Westchnęła.

– Zimno? – zapytał.

– Nie. – Gorąco jak w słońcu.

Schylił głowę, obejmując czubek jednej piersi ustami, razem z koszulą. Stała się wilgotna i stęskniona za jego dotykiem. Za nim. Spojrzał jej w oczy.

– Co jeszcze, Maro? – zapytał. – Co jeszcze czujesz dzięki mnie?

– Sprawiasz, że chciałabym, żeby wszystko było inaczej.

Nagrodził to wyznanie, posyłając jej koszulę na podłogę. Została jedynie w wełnianych pończochach i tych głupich jedwabnych bucikach, które pasowały do sukni, w jakiej tu przyszła, ale teraz były zupełnie nie na miejscu. Teraz. Patrzył na nią długą chwilę, chłonąc jej widok, a jej nadal było gorąco, chociaż poczuła na piersi chłód jego oddechu.

Westchnęła z przyjemności i podniósł głowę, widząc ją naprawdę. Taką, jakiej pragnął. Jakiej pożądał. A kiedy otarł usta wierzchem dłoni, jak wygłodniały człowiek, ugięły się pod nią kolana. Cieszyła się, że może się trzymać lin.

– Sprawiasz, że chciałabym być inna – wyznała. Chciałabym być kimś więcej.

Pokręcił głową.

– Dziwne, ale wcale tego nie chcę.

Nie mogła się połapać we własnych myślach, wywołanych tymi słowami. Chciała

powiedzieć coś właściwego, co by go do niej zbliżyło. Co by sprawiło, że dałby jej to, czego chciała. Czego pragnęła ze wszystkich sił.

Coś, dzięki czemu stałby się jej.

– Wszystko – szepnęła w końcu. – Dzięki tobie czuję wszystko.

I tam, na ringu, który był jego zamkiem i królestwem, opadł przed nią na kolana, objął jednym silnym ramieniem w talii i przycisnął usta do miękkiego wzniesienia jej brzucha.

– Nie wszystko. Jeszcze nie.

Całował ją, wodząc wargami od pępka w dół brzucha, tam, gdzie zaczynały się włoski.

– Ale zrobię to – obiecał, przesuwając językiem po niezwykle wrażliwej skórze.

Westchnęła, kładąc jedną rękę na jego głowie i wsuwając palce we włosy.

Zamarł i natychmiast chwycił delikatnie zębami jej dłoń u podstawy kciuka.

– Liny.

Znieruchomiała.

– Dlaczego?

Spojrzała mu w oczy, była w nich jakaś przewrotna obietnica.

– Liny – powtórzył.

Zrobiła, co kazał, a on jedną ręką zaczął gładzić długą linię jej nogi od kostki, poprzez zaokrąglenie kolana, po miękką, dziewiczą skórę wewnętrznej strony uda, powyżej pończochy. Wyplątał zdrową ręką jej nogę z fałdów leżącej na podłodze sukni i położył na swoim zdrowym ramieniu, jakby nic nie ważyła.

Policzki płonęły jej ze zmieszania, reszta ciała płonęła z pożądania. Była przerażona i rozpaczliwie spragniona. Sprzeczność, jak zwykle, gdy była z nim.

– Patrz.

Jakby była w stanie robić coś innego. Jedyne, co mogła, to patrzeć na niego.

Patrzeć, jak on ją widzi.

– W lustrze. – Przeniosła wzrok na ogromne lustro naprzeciwko, o którym zupełnie zapomniała, zatopiona w jego pieszczocie. Zapomniała, że mogło dać jej widok, o jakim nie śniła. Jakiego nie byłaby w stanie sobie wyobrazić.

Była naga, całkowicie przed nim odsłonięta, na ringu, przed lustrem, z rękami zaplątanymi w liny, i wyglądała skandalicznie, rozpostarta niczym ofiara na tym dziwacznym ołtarzu. Ale to on klęczał, z ramionami między jej nagimi udami, z jedną jej nogą przerzuconą na jego plecy w szaleńczym zapamiętaniu.

Każdy mógł ich zobaczyć.

– Temple – powiedziała cicho, zamykając oczy. Przerażona potęgą tej wizji. Tego, co on zrobi.

Przerażona tym, czego mógłby nie zrobić.

A potem zrobił to, rozsuwając ją szeroko, patrząc na nią, widząc tak, jak nie widział jej nikt nigdy dotąd. Jak nikt nie powinien jej nigdy widzieć.

Była zachwycona.

Ta ręka – cudowna, magiczna dłoń – przesunęła się, dotykając jej najbardziej sekretnego miejsca, wywołując falę rozkoszy. Zamknęła oczy, odchylając się do tyłu, liny zaskrzypiały pod nią, drapiąc ją po plecach, szorstkie tam, gdzie jego dotyk był miękki. Twarde tam, gdzie on był delikatny.

– Mój Boże – szepnął; jego słowa były zarazem świętokradztwem i błogosławieństwem, podczas gdy jego dłoń nie ustawała w pieszczocie, pozbawiając ją tchu i plącząc myśli. – Nie wiem, jak mogłem w ogóle myśleć, że zdołam ci się oprzeć.

Echo jej myśli. To było nieuniknione. Od chwili, kiedy podeszła do niego na ulicy. I jeszcze wcześniej.

A potem jego usta dotknęły jej ciała, język drażnił, kusił, zadawał torturę, dając jednocześnie rozkosz, jakiej nie znała.

– Temple! – krzyknęła, oddając mu się. Ufając mu.

Ufając komuś po raz pierwszy od, jak się wydawało, wieków.

Nagrodził ją wzmożoną pieszczotą, przyciągając mocno do siebie, dotykając ustami jakichś niemożliwych, nie do pomyślenia miejsc, aż zaczęła krzyczeć.

– William – wyszeptała imię, które powtarzała setki razy w nocy. Tysiące. Nawet nie podejrzewając, że może dać jej tyle rozkoszy.

Znieruchomiał, spojrzała w jego czarne oczy, zrozumiawszy, że zrobiła coś niewłaściwego, a jednocześnie właśnie to, co należało.

Oderwał od niej usta na tyle długo, żeby powiedzieć:

– Patrz.

Pokręciła głową, zarumieniwszy się po uszy.

– Nie mogę.

– Możesz – odparł, całując ją w udo. – Patrz, jak daję ci wszystko, co mogę ci dać.

Patrzyła, przenosząc wzrok z ich odbicia w lustrze na jego piękną twarz, wiedząc, że to nieskromne i skandaliczne, ale nie mogła się powstrzymać. Mimowolnie puściła liny, wsuwając dłoń w jego wspaniałą czuprynę, przyciągając go mocno do siebie. Mimowolnie zaczęła się poruszać. Jęknął, a ją ogarnęła fala przeogromnej rozkoszy.

Zdwoił wysiłki, jego język, wargi i zęby pracowały w doskonałej zgodności, aż rozkosz sięgnęła szczytu. Wykrzyknęła jego imię, zaciskając dłonie w pięści.

Nie mogła utrzymać się na nogach i opadła na kolana obok niego.

Posadził ją sobie na kolanach i tak siedzieli przez wieczność, z bijącymi sercami, oddychając ciężko; żadne się nie odzywało, ale oboje wiedzieli, że wszystko się zmieniło.

Na zawsze.

Nigdy nie doznała czegoś podobnego. Nawet tamtej odległej nocy, kiedy leżeli w łóżku, dotykając się i całując. Kiedy szeptał jej do ucha słodkie słówka, bawił się jej włosami, składając obietnice, których nie zamierzał dotrzymać.

Kiedy odebrała mu jego świat.

Nie mogła już niczego przed nim ukrywać. Nie mogła kłamać. Znajdzie inny sposób, żeby uratować sierociniec. Zapewnić chłopcom bezpieczeństwo. Musi się znaleźć jakiś sposób.

Sposób, który nie polegałby na wykorzystywaniu tego człowieka.

Przynajmniej tyle mogła mu dać.

Ogarnął ją smutek, kiedy podniosła głowę, napotykając jego nieodgadnione spojrzenie. Żałując, że nie słyszy jego myśli. Pragnąc powiedzieć mu wszystko.

Żałując, że ich przyszłość została wykuta w kamieniu.

– Przyrzekłam, że ci powiem… – zaczęła.

Przerwał jej w pół słowa.

– Nie teraz. Nie z powodu tego. Nie psuj tego. Pierwszy raz to było takie prawdziwe…

Zamilkł, ale jego słowa niosły nadzieję i obietnicę – dwa dary, których nie mogła przyjąć. Bo, jak zrozumiała już dawno temu, mogłyby ją zniszczyć.

– My nigdy… Zaczęliśmy, ale nie doszliśmy do tego… – Zamknął oczy i wciągnął głęboko powietrze. Chciała przerwać, ale brnęła dalej. – Nigdy nie powinnam pozwolić ci uwierzyć, że było inaczej.

Wtedy spojrzał jej w oczy.

– A więc kolejne kłamstwo.

Skinęła głową, chcąc wyznać mu wszystko. Chciała mu powiedzieć, że tamtej nocy, dawno temu, kiedy zrobiła coś, czego żałuje najbardziej, zrobiła także coś, czego nie żałuje.

Sprawił, że się śmiała i uśmiechała. Że czuła się piękna.

Po raz pierwszy w życiu.

Jedyny raz w życiu.

Otworzyła usta, żeby mu to powiedzieć, spróbować wyjaśnić, ale on ją ubiegł:

– Daniel.

Imię chłopca zbiło ją z tropu.

– Daniel?

– Nie jest mój.

To ją zaszokowało. Znaczenie tych słów. Pokręciła głową.

– Nie rozumiem…

– Powiedziałaś, że jest z tobą od zawsze.

Daniel o ciemnych włosach, niebieskich oczach i odpowiednim wieku – wszystko by się zgadzało, gdyby wtedy…

Przez chwilę pozwoliła ponieść się fantazji. Temple silny, przystojny, należący do niej. I syn – ciemnowłosy, poważny, kochany.

Ich syn.

Takiego życia pragnął. Żony. Syna. Dziedzictwa.

Ale to nie była prawda. W jego oczach dostrzegła żal, gniew, smutek.

Znowu go skrzywdziła. Nawet nie próbując. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Odkąd założyłam sierociniec. On nie jest… – Urwała, żałując, że prawda nie jest inna.

Roześmiał się z goryczą.

– Oczywiście, że nie jest. Oczywiście, że tego nie zrobiliśmy.

Słowa bolały.

Podniósł się jednym płynnym ruchem i i przeszedł na drugą stronę ringu, pełen wdzięku, oszczędny w ruchach nawet teraz, z ręką na temblaku. Nawet z raną, która zabiłaby kogoś słabszego.

Odwrócony plecami do niej, przeczesał ręką włosy.

– Jeden raz chciałem usłyszeć od ciebie prawdę. – Zerknął na nią przez ramię. – Jeden raz chciałem znaleźć powód, dla którego mógłbym uwierzyć, że jesteś kimś więcej, niż się wydajesz. Więcej, niż kobietą, która chce krwi i pieniędzy. – Zaśmiał się i znowu

odwrócił. – A potem dostaję to.

Powinna mu powiedzieć.

Całą historię.

O pieniądzach, długu, o tym, dlaczego uciekła. Paść mu do stóp i dać mu szansę, żeby jej wybaczył. Uwierzył jej i uwierzył w nią.

Może wtedy mogliby zacząć od nowa. Może wtedy ta dziwna, niepokojąca, niezwykła więź między nimi umocniłaby się.

Dobry Boże, pragnęła tego znacznie bardziej niż powietrza do oddychania.

– Nie chciałam krwi – oznajmiła, podnosząc się i zakrywając swoją nagość suknią – ani pieniędzy. – Zrobiła krok w jego stronę. – Proszę. Pozwól mi wytłumaczyć…

– Nie. – Odwrócił się, przecinając dłonią powietrze.

Zatrzymała się.

– Nie – powtórzył. – Jestem zmęczony. Twoimi kłamstwami. Twoimi gierkami. Jestem zmęczony staraniem się, żeby w nie uwierzyć. Dość.

Owinęła się suknią, wiedząc, że na to zasłużyła. Wiedząc, że przez dwanaście lat jej życie zmierzało do tego. Do dnia, kiedy stanie twarzą w twarz z tym mężczyzną, powie prawdę i będzie musiała ponieść konsekwencje.

Ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że utrata tego mężczyzny sprawi jej taki ból. Że będzie jej na nim zależeć.

Co za niemądre, nijakie zdanie w porównaniu z tym, co teraz czuła, patrząc na tego niezwykłego człowieka, walczącego ze swoimi demonami. Demonami, które ona na niego nasłała.

– Nie obchodzą mnie twoje powody ani jak dobrze je zmyśliłaś. Skończyłem. Ile to było warte? To popołudnie?

To był cios. Nie uwierzyłby, że mogłaby nie zażądać zapłaty. Oczywiście, dlaczego miałby wierzyć. Taki zawarli układ.

Pokręciła głową.

– Teraz jesteś za dumna na własną umowę?

Nie chciała tego. Chciała tylko jego.

I nagle, jak uderzenie, to do niej dotarło.

Kocha go.

Jakby to już nie było dostatecznym złem, on nigdy by w to nie uwierzył.

Jednak spróbowała.

– Williamie, proszę. Jeśli tylko…

– Nie. – Słowo przecięło powietrze, zimne i groźne. I uświadomiła sobie teraz, że ma przed sobą Temple'a, najlepszego boksera, jakiego widział Londyn. – Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj. Nie masz prawa.

Oczywiście, że nie miała. Ukradła mu imię razem z jego życiem. Przełknęła łzy, nie chcąc, żeby myślał, że udaje. Że jest fałszywa. Skinęła głową.

– Oczywiście.

Był lodowaty i nieporuszony i nie mogła już na niego patrzeć. Objęła się ramionami, a on zadał ostateczny cios.

– Jutro to się skończy. Ujawnisz się, przywrócisz mi dobre imię. Dam ci twoje

pieniądze. A potem znikniesz z mojego świata.

Zostawił ją tam, na środku ringu, w sercu swojego klubu.

Dopiero kiedy drzwi się za nim zamknęły i szczęknął zamek, ubrała się i pozwoliła popłynąć łzom.

# 15

Zostawił ją nagą na ringu.

W żadnym momencie swojej bokserskiej kariery nie zostawił przeciwnika tak dokładnie odartego z honoru.

Żaden przeciwnik nigdy nie odarł go z marzeń.

Co za bzdura. Temple pochylił się nad stołem bilardowym w jednym z górnych pomieszczeń Upadłego Anioła, uderzając kule.

– Chryste, Temple – powiedział Bourne, patrząc, jak dwie kule wpadają do dołków na końcu pola. – Czy mamy cię zostawić i pozwolić ci grać samemu? – Dopił szkocką. – I to jedną ręką.

Wzmianka o ramieniu, nadal osłabionym i w którym brakowało czucia, znowu obudziła w nim gniew. Jej brat odebrał mu siłę. Moc. Ale ona zrobiła coś gorszego. Odebrała mu nadzieję.

Pozwolił sobie wierzyć w to, co mogłoby być. Że ona mogłaby dać mu to, o czym marzył.

Żonę. Rodzinę. I więcej.

Miłość.

To słowo wywołało w nim szok, smutek, pragnienie.

Zignorował to i uderzył ponownie z wściekłą precyzją. I jeszcze raz.

Cross zakołysał się na piętach.

– W porządku, jasne, że interesuje cię nie tyle gra, ile wygrana – zauważył. – No więc, co się z tobą dzieje?

– Kobieta – stwierdził Bourne, idąc przez pokój, żeby nalać sobie szkockiej.

Oczywiście, że chodziło o kobietę.

Temple pominął milczeniem tę myśl i popchnął kolejną kulę do dołka.

– Tak myślisz? – zapytał Cross, patrząc na Bourne’a.

Bourne przekazał kieliszek Crossowi.

– Zawsze chodzi o kobietę.

Cross kiwnął głową.

– Masz rację.

– Nie ma racji – oznajmił Temple.

Bourne uniósł brew.

– Zawsze mam rację.

Jasne, że miał.

Temple się skrzywił.

– Obaj możecie iść do diabła.

– Zatęskniłbyś za nami, gdybyśmy poszli – zauważył Cross, któremu udało się wreszcie pchnąć kulę. – Poza tym lubię tę kobietę. Nie mam nic przeciwko temu, że to twój kłopot.

– Lubisz ją? – zapytał podejrzliwie Bourne.

– Pippa ją lubi. Uważa, że zależy jej na Temple'u. Wierzę jej.

Wróciło wspomnienie: Mara siedzi na ringu z oczami mokrymi od łez. Kiedy potraktował ją tak ohydnie. Temple zazgrzytał zębami.

Ukradła mu życie. Potem okłamała. Okłamywała raz po raz. Nie obchodził jej. To niemożliwe.

– Cóż, przyłożyła ci pięścią w twarz – przypomniał Cross, zwracając się do Bourne'a.

– Nie musisz tego mówić z takim zadowoleniem – odparował Bourne.

– Ale to zabawne. Dostałeś baty. Od kobiety.

– Ty draniu – burknął Bourne. – A poza tym, skąd miałem wiedzieć, że ma prawy sierpowy jak Temple?

Kolejne wspomnienie: Mara w holu sierocińca dla chłopców pani MacIntyre, z ręką płasko na jego piersi, silną i ciepłą. „Nie chcę cię skrzywdzić".

Jeszcze jedno kłamstwo.

Cross wdarł się w jego myśli.

– No więc, Temple, co złego zrobiłeś?

I znowu zobaczył Marę na środku ringu, jak błaga go, żeby jej wysłuchał. Co by mu wyznała?

Odsunął to wspomnienie. Czy ona kiedykolwiek nie kłamała?

– Nic.

– Och, to znaczy, że zdecydowanie coś zrobiłeś. – Bourne opadł na pobliskie krzesło.

– Kiedy zamieniliście się w stado skrzeczących srok?

Cross oparł się o stół bilardowy.

– Kiedy straciłeś poczucie humoru?

Pytanie było jak najbardziej na miejscu. Gdyby Bourne czy Cross byli w tak paskudnym nastroju, Temple pierwszy zacząłby zadawać pytania.

W istocie, w minionym roku Temple z ogromną satysfakcją obserwował, jak obaj mężczyźni flirtują nieprzytomnie ze swoimi przyszłymi żonami, najpierw im się opierając, a potem je uwodząc. Śmiał się z nich i dręczył z rozkoszą.

Ale chociaż teraz też chodziło o kobietę, o małżeństwie nie było mowy.

To była kwestia odpuszczenia grzechów. Czegoś znacznie poważniejszego.

– Pozwoliłem jej odejść – oznajmił.

– Dokąd? – zapytał Bourne.

– Do domu.

– Ach – powiedział Cross, jakby „ach" wyjaśniało wszystko. A nie wyjaśniało niczego.

Temple skrzywił się; rudzielec działał mu na nerwy.

– Co, do diabła, to miało znaczyć?

– Tylko tyle, że kiedy odchodzą, nigdy nie jest tak przyjemnie, jak się spodziewasz.

– Mhm – dodał Bourne. – Myślisz, że zyskasz spokój, a zamiast tego… nie możesz

przestać o nich myśleć.

Temple powiódł wzrokiem od jednego przyjaciela do drugiego.

– Zrobiły się z was baby. Z łatwością przestałbym o niej myśleć, gdyby nie była taka… – Zawahał się.

Taka denerwująca.

Taka wszechobecna.

Taka piękna. I gdyby nie stała na ringu dumnie wyprostowana, przyjmując ciosy niczym mistrz. Jakby na nie zasłużyła.

Zasłużyła.

A jeśli jednak nie zasłużyła?

– Gdyby nie była…? – naciskał Cross.

Temple nalał sobie szklankę szkockiej. Wypił. Miał nadzieję, że palący trunek zatrze palące wspomnienia.

– Gdyby nie była środkiem do celu.

– Jakiego?

Dotarcia do Lowe'a. Do prawdy. Do przeszłości. Życia, którego tak rozpaczliwie i tak długo pragnął.

Więcej. Była środkiem do osiągnięcia wszystkiego.

Odsunął tę myśl i pochylił się nad stołem, żeby znowu popchnąć kulę. Poczuł przeszywający ból w ramieniu, który za chwilę zniknął, jakby nigdy się nie pojawił.

Chybił. Cross i Bourne popatrzyli na siebie z niedowierzaniem. Posłał im najbardziej gniewne spojrzenie, na jakie mógł się zdobyć.

– Spróbujcie sami jedną ręką.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszyscy odwrócili się jednocześnie, ku zadowoleniu Temple'a. Przestaną się wreszcie go czepiać.

– Wejść! – zawołał Bourne.

Wszedł Justin, a za nim Duncan West, właściciel nie mniej niż ośmiu gazet i magazynów w Londynie, zdolny dziennikarz i być może najbardziej wpływowy człowiek w Brytanii i ten, który miał przywrócić Temple'owi należne mu z mocy prawa miejsce – członkostwo w Izbie Lordów.

West rozejrzał się po pokoju.

– Znajdzie się miejsce dla czwartego?

Temple wyciągnął kij w stronę nowo przybyłego.

– Możesz wziąć mój. – Temple podszedł do kredensu i nalał sobie kieliszek, a potem drugi dla Westa, który tymczasem zrzucił płaszcz i położył go na krześle.

– Kto wygrywa?

– Temple. – Bourne uderzył i chybił.

West posłał Temple'owi zaciekawione spojrzenie, przyjmując podany kieliszek.

– Nie chcesz korzystać z dobrej passy?

Temple oparł się o fotel, popijając szkocką.

– Wolałbym mówić, nie rozpraszając się niczym innym.

Dziennikarz znieruchomiał.

– Czy ja także mam się niczym nie rozpraszać?

Temple machnął ręką z kieliszkiem w stronę stołu.

– Ty graj, póki nie powiem czegoś, czego warto posłuchać.

Propozycja widać spodobała się Westowi. Podszedł do stołu bilardowego, żeby przyłączyć się do gry.

– W porządku. Jak ramię?

– Wciąż na swoim miejscu – odparł Temple.

West skinął głową, stawiając kieliszek na krawędzi stołu, następnie pochylił się i przygotował do strzału. Kiedy wykonywał pchnięcie, Temple oznajmił:

– Mara Lowe żyje.

West chybił, ale nie zwrócił na to uwagi, odwracając się do Temple'a i szeroko otwierając oczy.

– Sądzę, że powiedziałeś coś, czego warto posłuchać.

– Myślałem, że tak to właśnie ocenisz.

West odłożył kij.

– Jak z pewnością się domyślasz, mam tuzin pytań. Więcej.

– Odpowiem na każde z nich. Jeśli nie ja, to ona odpowie.

– Jesteś w stanie mówić o niej? – West gwizdnął cicho. – Niezła historia. Gdzie ona jest?

– To nieważne – powiedział Temple, nagle niezainteresowany dzieleniem się szczegółami dotyczącymi miejsca pobytu Mary. Napił się znowu. Pijacka odwaga. Skąd, do diabła, wzięła się ta myśl? – Czy zamierzasz wziąć udział w świątecznej maskaradzie u Leightonów?

West, rasowy dziennikarz, dobrze wiedział, że powinien tam się pojawić.

– Przypuszczam, że panna Lowe będzie obecna?

– Będzie.

– I chcesz mi ją przedstawić? – Temple kiwnął potakująco głową. Westowi nie brakowało inteligencji i chwytał wszystko w lot. – A jednak to nie wszystko.

– Czy kiedykolwiek jest inaczej? – odezwał się Cross ze swojego miejsca przy bilardowym stole.

– Chcesz skompromitować dziewczynę – stwierdził West.

Czy chciał?

– Nie winię cię za to – oświadczył dziennikarz. – Ale nie będę twoją marionetką. Przyszedłem, bo Chase mnie wezwał, a mam u niego dług. Wysłucham twojej historii. Twojej wersji. Ale jej wersji także wysłucham i jeśli uznam, że nie zasługuje na okrycie jej wstydem, nie przyłożę do tego ręki.

– Od kiedy to jesteś taki szlachetny? – wtrącił Bourne. – Gazety będą się dzięki temu lepiej sprzedawać, czyż nie?

Po twarzy Westa przemknął cień, który zniknął tak szybko, że Temple by go nie dostrzegł, gdyby nie przyglądał się mu tak uważnie.

– Wystarczy powiedzieć, że zrujnowałem tylu ludzi swoimi artykułami, iż nie muszę już spełniać życzeń każdego arystokraty, który prowadzi wendetę. – Spojrzał Temple'owi w oczy. – Czy ona na to zasługuje?

Temple miał nadzieję, że nikt mu nie zada tego pytania.

Miał nadzieję, że nie będzie musiał na nie odpowiadać.

Ponieważ tydzień wcześniej bez wahania odpowiedziałby twierdząco. Tydzień temu twierdziłby z przekonaniem, że dziewczyna w pełni zasługuje na to, żeby wymierzyć jej sprawiedliwość. Taką, jaką on mógłby jej wymierzyć, korzystając ze swojej władzy i wpływów.

Ale teraz to już nie było takie proste. I nie mógł o niej myśleć jednoznacznie. Nagle przypomniał sobie, jak się z nim przekomarzała, kiedy zapominała, że są wrogami. Jak traktowała go jak równego sobie. Jak zręcznie radziła sobie ze swoimi uczniami i mężczyznami w jego klubie. Jak poddała się jego pocałunkom. Jego dotykowi. Jak tuliła w ramionach to głupie prosię, jakby to był najlepszy przyjaciel, jakiego kobieta mogłaby sobie życzyć.

Jak gdzieś pod czaszką tłukły mu się niepokojące myśli, że może on byłby czymś lepszym niż ta przeklęta świnka.

Dopił szkocką i odwrócił się, żeby nalać sobie więcej.

Chryste, zaczął się porównywać ze świnią.

A zatem, czy zasługiwała na jego zemstę? Już nie był tego pewien. Ale kiedy myślał o przeszłości – o życiu, które mógłby prowadzić, o przyjemnościach, jakie zapewniał tytuł, pozycja w społeczeństwie, możliwości – nie mógł powstrzymać się od gniewu.

Gdyby nie ona, byłoby w nim dużo mniej gniewu.

I dużo mniej poczucia krzywdy.

To piwo nawarzono lata temu. Musiał je wypić.

Okłamała go. Niejeden raz.

A kiedy w końcu powiedziała prawdę, odebrała mu ostatni okruch nadziei. Obietnicę życia, jakiego pragnął w najskrytszych zakamarkach duszy. Pięknej żony. Silnego, szczęśliwego dziecka. Rodziny. Nazwiska.

Dziedzictwa.

Ukradła mu to wszystko, jakby nigdy do niego nie należało.

Poczuł gniew, bardzo w tej chwili potrzebny, palący i spojrzał w oczy Duncanowi Westowi.

– Zasługuje.

West odwrócił się do stołu i uderzył kulę. Wpadła do dołka. Wyprostował się i podniósł kieliszek, zwracając się do Temple’a:

– Jeśli to prawda, z największą chęcią ci pomogę – powiedział. – Zobaczymy się na balu u Leightonów. – Napił się, rzucił Temple’owi kij i skierował się do drzwi. Już przy nich odwrócił się. – A co z Chase’em?

Temple nie rozmawiał z nim, odkąd się pokłócili przed kilkoma dniami.

– To znaczy?

– Gdzie jest dziś wieczorem?

– Zajęty – rzucił Bourne głosem nie zachęcającym do dalszej dyskusji.

West udał, że nie zauważył irytacji Bourne’a.

– Bez wątpienia. Ale kiedy on zrozumie, że jestem jego lojalnym przyjacielem i potrafię dochować sekretów?

Cross uniósł brew.

– Kiedy przestaniesz się utrzymywać z ich ujawniania.

West się uśmiechnął.

– W porządku. Mam ochotę pograć w *vingt-et-un*. – Skinął głową Temple'owi. – Jutro?

– Jutro.

– I dostanę odpowiedzi na swoje pytania?

– Co do jednej – obiecał Temple.

West kiwnął głową i zniknął w ciągu paru sekund; stoły kasyna pociągały go z nieodpartą mocą. Jego zgoda powinna dodać Temple'owi skrzydeł. Powinna go upewnić, że zemsta się dokona.

Ale to, co czuł, nie było przyjemne. Nie zamierzał jednak ani nie był w stanie się nad tym zastanawiać.

Odwrócił się od przyjaciół. Obaj obserwowali go w skupieniu.

– Gdy ujawni jej tożsamość, dziewczyna straci reputację. To niebezpieczne dla sierocińca – zauważył Bourne.

– Nikomu by się nie spodobało, że sierociniec prowadzi bohaterka skandalu – dodał Cross, jakby Temple tego nie rozumiał.

Rozumiał. I nie podobało mu się nieprzyjemne uczucie, jakie te słowa pogłębiały. Nie podobała mu się sugestia, że jego plan zagraża gromadce niewinnych dzieci.

I że Bourne w taki sposób mówił o Marze.

Nie wiedział, co z tego nie podobało mu się najbardziej.

– Jeśli zdobędzie dostęp do papierów sierocińca, w kilka minut dowie się, kim są chłopcy – stwierdził Bourne.

– Dziewczyna nie będzie mogła zostać. Nie będzie mogła się pokazywać w Londynie – dodał Cross. – Jeśli nie poszczują jej ojcowie chłopców, zniszczą ją damy z socjety. Winą za to obarczy ciebie. Jesteś na to przygotowany? Że ją stracisz? Całkowicie?

Temple zmrużył gniewnie oczy.

– A dlaczego miałbym się martwić, czy ją stracę, czy nie? Krzyżyk na drogę.

Kłamstwo zabrzmiało w jego uszach jak zgrzyt, nawet jeśli nie chciał tego, co powiedział, uznać za kłamstwo.

– West jest przyjacielem – ciągnął Cross – ale jest także dziennikarzem. I to dobrym.

– Wiem.

Nie był potworem. Gdy zostanie skompromitowana, on zajmie się chłopcami. Zbuduje im pałac za miastem. Napełni go słodyczami i psami.

I prosiakami.

Wyobraził ją sobie, jak trzyma tę przeklętą świnkę, z uśmiechem na ślicznych ustach, i poczuł coś w rodzaju ukłucia winy.

Niech to diabli.

Zgiął dłoń zranionej ręki, zły, że ciągle jest sztywna.

– Będę trzymał Westa z daleka od sierocińca – oznajmił. – To przyzwoity człowiek. Nie zechce szkodzić dwóm tuzinom dzieciaków.

Cross popatrzył na jego dłoń, którą Temple wciąż rytmicznie zginał i prostował.

– Chciałbyś, żebym wrócił na ring, co? – zażartował Temple, choć nie było mu specjalnie wesoło.

Cross nie uśmiechnął się.

– Chciałbym, żebyś wrócił. Kropka.

Temple spojrzał na przedramię niesprawnej ręki i obrócił je, zastanawiając się nad czymś. Zastanawiając się, czy powinien podzielić się z nimi podejrzeniami, jakie go dręczyły nocami, kiedy ręka piekła i drętwiała.

Co by powiedzieli, gdyby im zdradził, że części ramienia w ogóle nie czuje? Kim stałby się dla nich, gdyby przestał być niezwyciężonym Temple'em? Kim by się stał sam dla siebie?

Nie byłby już człowiekiem, z którym się zaprzyjaźnili, z którym zaczęli prowadzić interesy. Nie byłby już legendarnym brytyjskim bokserem. Człowiekiem, który dnie spędzał w Mayfair, a noce w Temple Bar. Byłby kimś innym. Dziwadłem, urodzonym jako arystokrata, który dorosłe życie spędził na ulicy. Księciem Lamont, który nie widział swojej ziemi ani rodziny przez długich dwanaście lat.

Nie byłby już Księciem Zabójcą.

Oczywiście, nigdy nim nie był.

Znowu zobaczył Marę na ringu, dumną i niewzruszoną. Silniejszą niż jego wcześniejsi przeciwnicy. Dzielniejszą. Niezwykłą.

Kim będzie dla niej?

Przesunął zdrową ręką po twarzy.

Co ona mu zrobiła? Co on sam sobie zrobił?

– Wiesz, że nie musisz tego robić – powiedział cicho Bourne.

Spojrzał na przyjaciela.

– Teraz jej bronisz? Mam ci podać lustro, żeby ci przypomnieć o żółtym siniaku wokół oka?

Bourne uśmiechnął się krzywo.

– Nie ona pierwsza zadała taki cios. I nie będzie ostatnia. – Mówił prawdę. – Chcę tylko powiedzieć, że możesz to powstrzymać. Możesz to zmienić.

– Co się stało, że jesteś taki skłonny do wybaczania?

Markiz wzruszył ramionami.

– Zależy ci na dziewczynie, to jasne, bo inaczej nie byłbyś taki nieszczęśliwy. Wiem, jak to jest. I wiem, co to znaczy wyrzec się zemsty.

Przez chwilę bawił się tą myślą. Wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby mógł to zmienić. Jakie życie by sobie stworzył, gdyby to było możliwe. Wyobraził sobie rządek ciemnowłosych synów i córek o kasztanowych włosach, z pięknymi, niezwykłymi oczami, silnych jak stal.

Wyobraził sobie ich matkę na czele całej gromadki.

Ale to tylko wyobraźnia.

Rzeczywistość to zupełnie co innego.

Zdaniem Lydii książę i księżna Leighton urządzali doroczny świąteczny bal maskowy zawsze w grudniu, odkąd wstąpili w związek małżeński, i te przyjęcia tak obrosły legendą, że większość towarzystwa wracała na tę okazję do Londynu pomimo niezachęcającej grudniowej pogody.

Jak również, zdaniem Lydii (która dużo bardziej interesowała się plotkami, niż Mara dotąd sądziła), księżna Leighton stawiała sobie za punkt honoru, żeby na liście gości umieszczać znaczących, choć niekoniecznie arystokratycznego pochodzenia, londyńskich dygnitarzy. Lydia wyraziła to słowami: „każdego, kto jest kimś", podekscytowana zaproszeniem przysłanym przez Temple'a – jeśli można tak nazwać linijkę tekstu z informacją o godzinie balu i sukni, jaką Mara miała włożyć na tę okazję. Mara uznała, że to nie przypadek, że na tym właśnie balu zostanie zdemaskowana wobec Londynu. Dosłownie i w przenośni.

Tylko że wczoraj, zanim wszystko wywróciło się do góry nogami, mogło być zupełnie inaczej. Wczoraj, zanim przypomniała mu o przeszłości. O tym, że są wrogami, choć mogli być przyjaciółmi.

Marzenie.

Zaśmiała się lekko na tę myśl. Marzenie. Nic nie mogło zatrzeć przeszłości. Tego, co zrobiła. Żadne wybaczenie nie mogło tego zmienić. Spowodować innego zakończenia tej historii.

Czekała ją kompromitacja.

Mara była szczerze zadowolona, że ten wieczór wreszcie nadszedł. Kiedy to się dokona, z pewnością będzie mogła wrócić do zwyczajnego życia i wszyscy o niej zapomną.

On o niej zapomni.

Najlepiej, żeby tak się stało. To będzie dobrodziejstwo.

Tak przynajmniej sobie mówiła.

Mówiła to sobie, przekazując tamtego dnia sierociniec Lydii. Wprowadzała ją we wszystkie szczegóły, opowiadała o historii chłopców, pokazywała teczki z dokumentami, pozostałościami ich przeszłości. Dowodami ich urodzenia.

Mówiła to sobie, obiecując Lydii pieniądze zarobione na Temple'u, choć czuła ból na myśl o upominaniu się o dług. Nie miała wyboru. Chłopcy potrzebowali węgla, a Lydia potrzebowała pieniędzy, jeśli miała prowadzić sierociniec.

Mówiła to sobie, pakując małą torbę podróżną i pieniądze, dzięki którym miała dotrzeć do Yorkshire, tam, dokąd uciekła przed dwunastu laty. Gdzie stworzyła siebie na nowo i została Margaret MacIntyre.

Mówiła to sobie, kiedy przyniesiono suknię w eleganckim białym pudle z wytłoczonym złotym H i piękną złotą maską. Zwalczyła pokusę, żeby jej dotknąć.

Była także bielizna – jedwabna, atłasowa, koronkowa – pończochy ze wzorem z boku, haftowane koszule, zachwycające i zupełnie zbędne. Minęło ponad dziesięć lat, odkąd czuła na skórze dotyk tak miękkiego, delikatnego materiału, napawała się nim, nawet jeśli pamiętała, jaki jest cel tego przebrania.

Ta bielizna była przeznaczona do tego, żeby ją oglądać. Męskimi oczami.

Oczami Temple'a.

A płaszcz – zachwycający, w zielonym kolorze, przetykany złotymi nićmi, żeby pasował do reszty stroju, obramowany gronostajowym futrem – wart był więcej niż roczne rachunki sierocińca. Mara przeżyła szok, znajdując go w pudle, jako że o płaszczu nie mówiono podczas owej, tak zawstydzającej, przymiarki u madame Hebert.

Poczuła gorąco na policzkach na wspomnienie jego oczu na sobie w tamtym słabo oświetlonym pokoju. A potem to wspomnienie ustąpiło innemu – jego ust, i jej policzki zapłonęły.

I mówiła sobie, że jest szczęśliwa, mając spotkać się ze swoim katem, kiedy stała w holu domu MacIntyre, czekając na niego. Lydia siedziała na schodach z jej torbą u stóp i Lavender na kolanach.

Teraz, kiedy stała w miejscu, które stworzyła pracą, łzami i pasją, uświadomiła sobie, że nie jest już panią MacIntyre ani Marą Lowe. Nie jest już dyrektorką, siostrą, opiekunką, przyjaciółką.

Znowu stała się pustą kartą.

Serce jej się ścisnęło. Ale nie liczyło się nic, poza jedną prawdą: dla Temple'a też była nikim.

Zwróciła się do Lydii:

– Jeśli zjawi się Kit, powiesz mu, że wyjechałam? Dasz mu mój list?

Wiadomość od brata, z prośbą o pieniądze na wyjazd z kraju, czekała na nią, kiedy wróciła z Upadłego Anioła. Z obietnicą, że to ostatnia prośba z jego strony.

Mara odpisała, wyjaśniając, jak jest naprawdę – że nie ma pieniędzy i że oboje znaleźli się w sytuacji, która zmusza ich do wyjazdu. Podziękowała mu, że przez lata dochowywał jej tajemnic, i pożegnała się z nim.

Lydia zrobiła nadąsaną minę.

– Tak, zrobię to, chociaż wcale mi się to nie podoba. A jeśli będzie cię ścigać?

– Niech mnie ściga. Wolę, żeby starał się coś uzyskać ode mnie, a nie od ciebie. Ani z sierocińca – powiedziała Mara i dodała cicho: – Ani od Temple'a.

To jej przypomniało tamtą noc. Jej nóż w piersi Temple'a, Kit rozpływa się w tłumie, ona wpada w panikę. To było rozwiązanie. Na tym powinno się skończyć. Temple będzie wolny.

Kit już nigdy nie stanie mu na drodze.

A po dzisiejszej nocy i ona.

Westchnęła, starając się usilnie zwalczyć emocje, które ogarniały ją na myśl o nim.

– Ani od kogokolwiek innego…

Lydia skinęła głowę, stawiając Lavender na ziemi; podeszła do Mary, ujmując ją za ręce.

Stały tak długą chwilę. Przyjaciółki.

– Wiesz, że nie musisz tego robić. Mogłybyśmy walczyć.

Mara zamrugała, nie dając łzom spłynąć.

– Ale zrobię. Dla ciebie. Dla chłopców. – Przesunęła dłońmi po gładkim jedwabiu spódnicy, zmuszając się do tego, żeby pamiętać, co się stanie dzisiejszej nocy. Że on dotrzyma obietnicy. Że ona spełni swoją. Wreszcie.

Tej nocy to się skończy.

Lydia wiedziała, że nie ma sensu się spierać.

– To piękna suknia.

– Wyglądam w niej, jakbym była na sprzedaż.

– Wcale nie.

Lydia miała rację. Owszem, dekolt był głęboki, ale madame Hebert w jakiś sposób zdołała spełnić żądanie Temple'a i zachować przyzwoitość. Ale Mara nie chciała przyznać, że suknia jest wspaniała.

– Wyglądasz jak księżniczka.

Mara owinęła się płaszczem.

– Wcale nie.

Lydia się uśmiechnęła.

– A zatem księżna. – Mara zerknęła na nią z ukosa, ale Lydia mówiła dalej, podnosząc z ziemi wiercącą się u ich stóp Lavender. – Ojej. Wyobraź sobie. Ty, jako żona jego ojca.

– Wolę nie.

– Macocha Temple'a.

Mara zamknęła oczy.

– Nie mów tego.

– Wyobraź sobie takie życie, pełne nieczystych myśli na temat własnego pasierba.

– Lydia! – zaprotestowała Mara, wdzięczna za zmianę tematu.

– Och – parsknęła Lydia. – On jest starszy od ciebie.

– To nie znaczy…

Lydia machnęła ręką.

– Oczywiście, że znaczy. Spójrz na niego. Jest ogromny. I przystojny jak sam diabeł. Czy możesz uczciwie powiedzieć, że nie miałaś żadnej nieczystej myśli na jego temat?

– Nie miałam.

– Kłamczucha.

Oczywiście, że kłamała. Miała nie tylko nieczyste myśli. Także czyny lubieżne. I jeszcze gorzej.

Kochała go.

Co za nieszczęśliwy splot okoliczności.

I wtedy, w samą porę, zjawił się obiekt jej rozmyślań, ratując ją przed dalszym roztrząsaniem tychże okoliczności.

Serce podeszło jej do gardła, kiedy na niego patrzyła – w czarnych spodniach, kamizelce, żakiecie, płaszczu; wszystko doskonale skrojone. Mimo temblaka, także czarnego, wyglądał bardzo elegancko. Dobry Boże, ależ miał szerokie ramiona. Czerń przełamywała jedynie biel koszuli i fularu, wykrochmalonych i wyprasowanych z umiejętnością godną najlepszego kamerdynera w Londynie.

Nie mogła go sobie wyobrazić z kamerdynerem. Nie wydawał się człowiekiem, który potrzebuje pomocy w czymkolwiek, zwłaszcza w czymś tak błahym, jak perfekcyjne zawiązanie fularu.

Był perfekcyjnie zawiązany.

– Wasza Wysokość – odezwała się Lydia z szerokim uśmiechem. – Właśnie o tobie mówiłyśmy.

Przechylił głowę.

– Czy tak? A co mówiłyście? – Pochylił się nisko nad ręką Lydii, nie zauważając błysku w jej oczach w odpowiedzi na gniewne spojrzenie Mary ponad jego plecami, nakazujące jej milczeć.

– Rozmawiałyśmy o zaskakujących igraszkach losu.

Pogłaskał mały ryjek Lavender i zdradzieckie prosię prychnęło z rozkoszy, wtulając się w jego rękę.

– W istocie, zaskakujące igraszki. – Temple objął spojrzeniem Marę, aż poczuła na przemian zimno i gorąco. Przycisnęła gronostajowy brzeg płaszcza do szyi i miała dziwne wrażenie, że Temple przenika wzrokiem materiał. Przesunął wzrok na jej rękę i wahał się długo, zanim zapytał:

– Jesteś gotowa?

– Tak, jestem – powiedziała cicho, ale on już szedł do drzwi, zapewne śpiesząc się, by jak najszybciej doprowadzić do jej kompromitacji. Zmęczony nią i ich grą. Zmęczony życiem bez przywilejów, które mu się należały z racji urodzenia.

Szła za nim, wiedząc, że dzisiaj jej życie się zmieni. Dzisiaj wieczorem nie będzie już w stanie uciec przed przeszłością. Zmuszona się do niej przyznać, straci wszystko, na co pracowała.

Z jego powodu.

Lydia zatrzymała ją przy drzwiach i otoczyła ramionami, szepcząc do ucha:

– Odwagi.

Mara, ze ściśniętym gardłem, skinęła głową i podniosła Lavender, tuląc ją długo w ramionach i całując w łepek, zanim oddała ją nowej właścicielce domu dla chłopców pani MacIntyre.

W powozie Temple milczał jak grób. Mara starała się na niego nie patrzeć.

Starała się nie widzieć, jak jego pierś wznosi się rytmicznie i opada pod śnieżnobiałym płótnem koszuli i miękką wełną żakietu. Nie słyszeć jego powolnego, regularnego oddechu. Nie patrzyć, jak jego mocne uda napinają się, kiedy powóz podskakuje na bruku. Nie czuć zapachu – tymianku, goździków, Temple'a.

Starała się go nie zauważać, aż nachylił się ku niej w mroku, przekraczając niewidzialną linię demarkacyjną między jego a jej częścią powozu, i powiedział szorstkim głosem:

– Mam dla ciebie prezent.

Ostatecznie byłoby niegrzecznie nie zauważyć kogoś, kto ma dla nas prezent.

I, rzecz jasna, dodał swoim słowom mocy, wyciągając do niej długie wąskie pudełko. Rozpoznała je natychmiast, było białe, ze złotymi tłoczeniami, od madame Hebert. Pokręciła głową, zmieszana, przyjmując paczuszkę.

– Mam na sobie wszystko, co przysłałeś. Nawet więcej.

Słowa padły, zanim zdołała je powstrzymać, przypominając im obojgu, że ma na sobie ubranie, za które on zapłacił. Ubranie, które wybrał, kiedy stała przed nim półnaga w mrocznej przymierzalni.

Mógł to wykorzystać i ciągnąć dalej ten temat. Zmusić ją do przyznania, że wszystko, co ma na sobie, należało do niego, zanim to dostała. Nie zrobił tego. Oparł się na ławce, mówiąc:

– Nie wszystko.

Otworzyła pudełko, odsuwając cieniutki jak pajęczyna papier i odsłaniając parę pięknych, jedwabnych rękawiczek, doskonale pasujących do jej sukni, ze ślicznym

haftem i rzędami guziczków. Podniosła je delikatnie, jakby mogły jej się rozpaść w dłoniach.

– Nigdy nie nosisz rękawiczek – stwierdził Temple. – Pomyślałem, że mogą ci się przydać.

Jednak to nie były rękawiczki na co dzień, tylko takie, które pasowały do jednego stroju, na jedną noc. Dla jednego mężczyzny.

Naciągnęła jedną, zanim zdążyła sobie uświadomić, że nie zdoła jej zapiąć jedną ręką. Ale on już pochylał się w przód, wyciągając przyrząd do zapinania guzików z kieszeni płaszcza, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie, że mężczyzna ma przy sobie coś takiego. Wyciągnął rękę i odwinął rękaw jej płaszcza. Przytrzymując jej dłoń zranioną ręką, zabrał się do zapinania niekończącego się rzędu małych, zielonych guziczków.

Chciała go nienawidzić za to, że kontroluje wszystko, nawet taki szczegół stroju.

Ale zamiast tego kochała go jeszcze bardziej; serce jej się ściskało na myśl, że to ich ostatni wieczór. Może ostatni raz są sami.

– Dziękuję – powiedziała cicho, nie bardzo wiedząc, co mogłaby jeszcze zrobić. Wolną ręką mięła papier w pudełku.

Milczał, skupiony na zapinaniu guziczków, patrzyła więc na czubek jego ciemnej głowy, nie będąc w stanie odetchnąć głębiej ze względu na jego bliskość, pragnąc, by nie oglądał jej niedoskonałych, podrapanych dłoni. I zadowolona, że zasłoni wypisane na nich lata swojej historii.

Jego delikatny, zręczny dotyk wytrącał ją z równowagi.

Czuła miękkość jego oddechu na skórze nadgarstka, jego palce na wewnętrznej stronie przedramienia, okrytego jedwabiem.

Nie. Nie okrytego. Uwięzionego w jedwabiu.

Ponieważ rękawiczka nie pozwalała odczuć tego dotyku.

Skończył zapinać jedną rękawiczkę, co trwało wieczność, a ona odetchnęła głęboko, nieświadoma, że zatrzymała oddech. Pochwycił jej drugą dłoń bez ostrzeżenia. Szarpnęła ją, ale jego uścisk był stalowy.

– Dziękuję, mogę…

– Pozwól mi – poprosił, podnosząc drugą rękawiczkę z jej kolan.

Nie, chciała powiedzieć, nie patrz.

Zarumieniła się, ciesząc się, że w powozie panuje mrok.

I tak zauważył.

– Czujesz się skrępowana – powiedział, przesuwając kciukiem po wnętrzu jej dłoni.

Ponownie chciała uwolnić dłoń. Na próżno.

– Nie musisz – mówił, torturując ją powolną pieszczotą. – Te ręce pomogły ci przeżyć dwanaście lat. Pracowały dla ciebie. Zapewniały pieniądze, schronienie i bezpieczeństwo przez tyle czasu.

Spojrzała w jego czarne jak węgle oczy.

– Ręce kobiet nie powinny… – Urwała.

Ciągnął głosem tylko trochę głośniejszym od szeptu:

– Nie rozumiem jednak, Maro, dlaczego tego od nich żądałaś?

Strach. Los.

Szaleństwo.

– Żałuję, że są spracowane. Nie są miękkie. Takie, jakie powinny być ręce damy.

Takie, jakie z pewnością wolisz.

Nie, to jej w ogóle nie obchodziło, jakie ręce wolał.

Wsunął jedwabną rękawiczkę na jej dłoń, wprowadzając palce do jedwabnych kanałów i swoimi palcami przyciskając ich nasady. Kto mógł sobie wyobrazić, że skóra w tych miejscach jest taka wrażliwa?

– To są twoje ręce – powiedział, podnosząc jej dłoń, schylając głowę i szepcząc te słowa z ustami tuż przy jej nagiej skórze. – Są doskonałe.

– Nie mów tak – szepnęła.

Nie bądź dla mnie miły.

Nie sprawiaj, żebym kochała cię jeszcze bardziej.

Nie rań mnie mocniej, niż już zaplanowałeś.

Pocałował delikatnie poduszeczkę mięśnia u nasady jej kciuka, po czym zapiął guziczki do wysokości nadgarstka, gdzie pocałował ją znowu, i zapinał guziczki dalej.

Posuwał się w ten sposób wyżej i wyżej, składając pocałunki na wewnętrznej stronie jej ramienia; każdy z nich wywoływał falę gorąca, każdy zapisywał się w jedwabiu. Każdy sprawiał, że miała ochotę wsunąć mu się na kolana i poddać jego pieszczotom bez pytania.

Kiedy doszedł do ostatniego rzędu guziczków, tam, gdzie rękawiczka miała zakryć jej łokieć, zatrzymał się dłużej przy nagiej skórze, przyciskając ciepłe wargi do wrażliwego miejsca, którego przedtem nie znała. Westchnęła. Jakież to było przyjemne.

Ledwie się powstrzymała przed wsunięciem wolnej ręki w jego włosy i przytrzymaniem jego warg tam, w tym cudownym miejscu.

Nienawidząc przeklętej rękawiczki za to, że nie może go dotykać.

Przeklinając ją za to głośno.

Poczuła, jak jego wargi wyginają się w uśmiechu przy jej ręce, a potem poczuła leciutkie drapanie jego zębów, zanim skończył nieznośną torturę pieszczoty i zapinanie guziczków.

W tamtej chwili mógłby mieć wszystko, o co by poprosił.

Dałaby mu to z największą rozkoszą. Dlatego ten człowiek był bardziej niebezpieczny, niż ktokolwiek w Londynie mógłby podejrzewać.

Panował nad nią samym dotykiem i ten dotyk był bardziej niebezpieczny niż dotyk innych mężczyzn w jej życiu, którzy mieli nad nią władzę.

To było przerażające.

– Temple – szepnęła w ciemności. – Ja…

Przerwała, chcąc powiedzieć milion rzeczy.

Przepraszam.

Żałuję, że nie jest inaczej.

Żałuję, że nie jestem doskonałą kobietą, jakiej chcesz. Taką, która zmaże przeszłość.

Kocham cię.

Nie dał jej szansy powiedzieć tego.

– Pora, żebyś włożyła maskę. – Oparł się znowu wygodnie, jego twarz nie wyrażała

żadnych emocji. – Jesteśmy na miejscu.

# 16

Rękawiczki okazały się pomyłką.

Uświadomił to sobie w chwili, kiedy zaczął zapinać przeklęte guziczki. Chociaż wyobrażał sobie, jak je zapina, gdy tylko zjawił się w jej domu.

Chociaż wyobrażał sobie, jak rozpina wszystkie inne guziki i zostawia ją tylko w tych długich, jedwabnych rękawiczkach.

Tylko że wyobraźnia bladła w porównaniu z rzeczywistością, w każdym razie w porównaniu z rzeczywistą Marą Lowe, i nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie dotknąć. Żeby jej nie pocałować. Nie posmakować jej skóry.

Nigdy nie był tak podniecony ani tak wściekły, kiedy dotarli na bal. Wysiadł z powozu i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej zejść po schodkach; jedwabna rękawiczka przesunęła się w jego dłoni i uświadomił sobie, że popełnił ogromną pomyłkę. Będzie musiał jej dotykać cały wieczór i każde muśnięcie jedwabiu będzie jak liźnięcie ognia.

Przypomnieniem tego, czego dotykał.

A czego już nigdy nie dotknie.

Poprowadził ją po bogato udekorowanych schodach rezydencji księstwa Leighton, a potem patrzył, jak lokaj zdejmuje z niej obramowany futrem płaszcz, odsłaniając głęboki dekolt sukni.

Ukazujący zbyt wiele jasnej, gładkiej skóry.

Do diabła.

Nigdy nie powinien naciskać na Hebert, żeby wycięła suknię tak głęboko. Co on sobie myślał? Wszyscy mężczyźni będą się na nią gapić.

To była część jego planu.

Tylko że teraz, kiedy włożyła tę przepiękną złotą maskę, w której jej oczy lśniły jeszcze bardziej zachwycająco, i odwróciła się do niego ze spokojnym uśmiechem, ten plan wcale mu się już nie podobał.

Ale było za późno. Wręczył lokajowi zaproszenie i po chwili znaleźli się na sali balowej, w tłumie rozbawionych gości, którzy specjalnie na tę okazję wrócili do miasta. Dlatego też wybrał ten bal na zdemaskowania jej.

Na swój powrót.

Położył rękę na jej plecach i przeprowadził ją przez gromadę gości stłoczonych przy drzwiach, opierając się pokusie uduszenia mężczyzn, którzy patrzyli łakomie na piersi Mary.

Spojrzał z ukosa na te piękne piersi i zobaczył gładką, różową skórę i trzy małe piegi stojące na straży tuż powyżej krawędzi jaspisowo zielonego jedwabiu. W ustach mu

zaschło.

A potem napłynęła do nich ślina.

Odchrząknął, spojrzała na niego pytająco szeroko otwartymi za maską oczami.

– Cóż, Wasza Wysokość? Oto tu jestem i co zamierzasz ze mną zrobić?

Zamierzał zabrać ją do domu, położyć nagą na łóżku i zrobić to, co mogło się stać dwanaście lat wcześniej. Ale nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Ujął ją więc za rękę i poprowadził w tłum.

– Zamierzam z tobą tańczyć.

Trzymał ją w ramionach niecałą sekundę i uświadomił sobie, że tańczenie z nią to równie poważna pomyłka, jak podarowanie jej rękawiczek. Teraz ciepła, miękka, pachnąca cytrynami, doskonale wpasowała się w jego objęcia, kiedy próbował wykonywać kroki tańca, którego nie pamiętał. Myśląc o tych krokach, przez chwilę się zawahał.

Opanował się, ale zauważyła, że zrobił niewłaściwy krok, tak jak przedtem zauważyła zręczność jego ruchów. Spojrzała mu w oczy. Jej oczy lśniły w złotej oprawie.

– Kiedy ostatnio byłeś na czymś takim?

– Chcesz powiedzieć, na prawdziwym, arystokratycznym balu w prawdziwej arystokratycznej sali balowej?

Schyliła głowę, podczas gdy on wykonał skomplikowany zwrot, żeby ominąć inną parę.

– Ponad dziesięć lat.

Skinęła głową.

– Dwanaście.

Nie podobała mu się ścisłość tej odpowiedzi, choć nie umiałby powiedzieć dlaczego. Temple stykał się z elitą socjety głównie w kasynie, po walce, kiedy udowodnił swoją wartość siłą mięśni. Był z nich najsilniejszy.

Teraz już nie był.

Chora ręka napięła się na temblaku, bez czucia. Nienawidził tego, co się z nią stało, po części z powodu kobiety, którą trzymał w ramionach. Bo może tą ręką nigdy nie poczuje jej skóry. Jej włosów. A gdyby odkryła ten nowy defekt, może przestałaby uważać go za mężczyznę.

Nie powinno go to obchodzić; ostatecznie, po dzisiejszym wieczorze nigdy już jej nie zobaczy.

Tego chciał.

Kłamstwo.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła. Wolałby, żeby nie prosiła. Żeby się nim tak nie interesowała. Żeby tak łatwo nie przykuwała jego uwagi.

Żeby nie czuł się przy niej tak, jakby nie panował nad sytuacją.

– Raczej nie mamy czasu na rozmowę.

W jej pięknych oczach dojrzał kpinę. Popatrzyła na tańczące wokół pary.

– Gdzieś się wybierasz?

Była zdana na jego łaskę. Mógł jej kazać zdjąć maskę właśnie teraz. Trzymał w ręku wszystkie karty, ona żadnej. A jednak wciąż stroiła sobie z niego żarty. Nawet teraz, na

parę minut przed własną kompromitacją, nie załamywała się.

Niezwykła kobieta.

– Zmuszono mnie wtedy do udziału w debiutanckim balu sąsiadki.

Różowe wargi wygięły się pod maską, podkreślając jeszcze prowokacyjność stroju.

– Podobało ci się chyba. Drobne kroki kadryla, równa liczba pań i panów.

– Ojciec dał mi jasno do zrozumienia, że nie mam wyboru. Taki jest los przyszłych książąt.

– A więc poszedłeś.

– Tak.

– I nie podobało ci się? Młode damy rzucające ci do stóp chusteczki, żebyś musiał je podnieść i im podać?

Roześmiał się.

– Dlatego to robiły?

– Stara sztuczka, Wasza Wysokość.

– Myślałem, że są po prostu niezręczne.

Błysnęła białymi zębami.

– Nie podobało ci się.

– Ależ skąd – powiedział, patrząc, jak szeroki uśmiech na jej twarzy przemienia się w lekki uśmiech zaciekawienia. – Było znośnie.

Kłamał. Podobało mu się ogromnie.

Uwielbiał każdą sekundę swojego arystokratycznego życia. Podniecały go tytuły i sprawiało mu wielką przyjemność, że wszystkie najmłodsze, najpiękniejsze kobiety Londynu starają się zwrócić na siebie jego uwagę.

Był bogaty, inteligentny i utytułowany – miał przywileje i władzę.

Dlaczego miałoby mu się to nie podobać?

– A tamtejsze damy były z pewnością wdzięczne, że spełniłeś swój obowiązek.

Obowiązek.

To słowo, wyblakłe jak wspomnienia, odeszło wraz z tytułem, kiedy obudził się w tej zakrwawionej pościeli. Spojrzał jej w oczy.

– Dlaczego krew?

Po chwili konfuzji zrozumiała pytanie. Zawahała się.

To nie było odpowiednie miejsce na rozmowę – w domu jednego z najpotężniejszych ludzi w Londynie, w otoczeniu setek gości. Jednak do niej doszło. I on naciskał.

– Dlaczego po prostu nie uciekłaś? Dlaczego sfingowałaś własną śmierć?

Nie był pewien, czy odpowie. Ale zrobiła to.

– Nigdy nie chciałam, żeby oskarżono cię o moją śmierć.

Spodziewał się różnych odpowiedzi, ale nie tego, że znowu skłamie.

– Nawet teraz nie chcesz powiedzieć mi prawdy.

– Rozumiem, dlaczego mi nie wierzysz, ale taka jest prawda – odparła cicho. – Nie mieli myśleć, że nie żyję. Mieli myśleć, że się skompromitowałam.

Nie mógł powstrzymać szyderczego śmiechu.

– O jaką perwersję, twoim zdaniem, mieliby mnie podejrzewać?

– Słyszałam, że krew się wtedy pojawia – powiedziała, wyraźnie nierozbawiona.

Uniósł brwi nad maską.

– Nie tyle krwi.

– Tak, zrozumiałam to, kiedy oskarżyli cię o morderstwo – szepnęła.

– To musiało być… – Myślał o tamtym poranku.

– Kwarta.

Parsknął śmiechem.

– Kwarta świńskiej krwi.

Uśmiechnęła się lekko, nieoczekiwanie.

– Odpokutowałam za to, traktując bardzo dobrze Lavender.

– A zatem miałem cię skompromitować. – Pochylił się. – Ale nie zrobiłem tego.

Nie skomentowała tych słów.

– Nigdy też nie spodziewałam się, że będziesz spać tak długo. Dałam ci narkotyk, żebyś tam został tylko do czasu, aż pokojówki cię zauważą. Dopilnowałam, żeby widziały nas oboje. – Spojrzała mu w oczy. – Ale przysięgam, myślałam, że obudzisz się i uciekniesz, zanim cię znajdą.

– Pomyślałaś o wszystkim.

– Przesadziłam. – Usłyszał żal w jej głosie. Orkiestra właśnie przestała grać i Mara natychmiast puściła jego ręce. Ciekaw był, czy żałowała swojego postępku i jego następstw, czy też tego, co miało nastąpić – zemsty, jaką obiecał.

Ciekaw był, czy żałowała siebie, czy jego.

Nie miał okazji zapytać, bo zrobiła krok do tyłu i wpadła na innego mężczyznę w masce, który wykorzystał to, żeby dobrze jej się przyjrzeć.

– Och, czy to nie wojowniczka z Upadłego Anioła? – Uśmiechnął się lubieżnie.

– Znajdź sobie kogoś innego do podziwiania – mruknął ponuro Temple.

– Daj spokój, Temple. – Mężczyzna podniósł maskę. To był Oliver Densmore, król fircykowatych głupców, ten sam, który składał Marze ofertę, kiedy stała na ringu w Aniele. – Na pewno możemy się dogadać. Nie będziesz jej wiecznie trzymać przy sobie. – Teraz zwrócił się do Mary. – Dam ci dwa razy tyle. Trzy razy.

Temple zacisnął zdrową pięść, ale odezwała się, zanim uderzył.

– Nie stać cię na mnie, sir.

Densmore zarechotał i z powrotem włożył maskę.

– Myślę, że jesteś warta zachodu. – Pociągnął Marę za kasztanowy lok i znikł w tłumie, zostawiając Temple'a kipiącego ze złości. Sama się obroniła.

Ponieważ nie mogła ufać, że on ją obroni.

Ponieważ poprzysiągł, że zrobi coś dokładnie przeciwnego.

Mara wróciła do rozmowy, jakby nic się nie zdarzyło.

– Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale myślę, że i tak warto ci to powiedzieć. Ja naprawdę chcę cię przeprosić.

– Lekceważysz tego człowieka.

Zastanowiła się.

– Tak chyba najlepiej, nie sądzisz?

– Nie. – Sądził, że najlepiej dla Densmore'a byłoby się znaleźć się w jakimś rowie, twarzą do ziemi. Bardzo chciał odszukać go teraz wśród gości i sprawić, żeby tam się

znalazł.

Przyglądała mu się, jej oczy za maską patrzyły jasno i uczciwie.

– Potraktował mnie jak damę lekkich obyczajów.

– No właśnie.

Przechyliła głowę.

– Czyż nie o to chodzi?

Chryste, czuł się jak skończony dureń. Nie mógł jej tego zrobić.

– W każdym razie – powiedziała, nieświadoma, co się dzieje w jego głowie – przepraszam.

A teraz przepraszała go, jakby nie dał jej mnóstwa powodów, żeby go nienawidziła. Setek powodów.

– To nie jest żadne usprawiedliwienie – ciągnęła – ale byłam dzieckiem, popełniałam błędy i gdybym wtedy wiedziała…

Urwała. Nie zrobiłabym tego.

Nie, może nie chciał wysłuchać jej przeprosin, ale z pewnością chciał usłyszeć, że cofnęłaby to wszystko, gdyby mogła. Że oddałaby mu jego życie. Nie mógł się powstrzymać.

– Gdybyś wtedy wiedziała…?

Głos jej ścichł; mogło się wydawać, że są sami na tej sali balowej, gdzie bawiła się połowa Londynu.

– Nie wykorzystałabym cię. Ale i tak podeszłabym do ciebie tamtej nocy. I tak bym uciekła.

Powinien czuć gniew, chęć zemsty. Wszystkie jego wątpliwości co do dzisiejszego wieczoru powinny się rozwiać. Ale tak nie było.

– Dlaczego?

Spojrzała na ścianę z drzwiami, wychodzącymi na ogrody rezydencji Leightonów. Wszystkie były lekko uchylone, żeby wpuszczać świeże powietrze do sali.

– Dlaczego co?

Szedł za nią jak na sznurku.

– Dlaczego podeszłabyś do mnie?

Uśmiechnęła się leciutko.

– Byłeś przystojny. A w ogrodach zachowywałeś się swobodnie. Spodobałeś mi się. I w jakiś sposób podobasz mi się nadal.

„Podobać” to nieznaczące, nijakie słowo. Nie odpowiadało temu, co do niego czuła. Ani nie opisywało jego uczuć w stosunku do niej.

– Dlaczego uciekłabyś?

Powiedz mi prawdę, mówił w myślach. Zaufaj mi.

Nie powinna.

– Ponieważ bałam się, że twój ojciec jest taki jak mój.

Te słowa padły jak cios, szybki i niespodziewany, taki, po którym gwiazdy migają przed oczami. Oślepiający i bolesny, jak prawda.

Miała szesnaście lat i wydawano ją za mężczyznę trzykrotnie od niej starszego. Mężczyznę, którego trzy poprzednie żony umarły przedwcześnie. Mężczyznę, który

drania – jej ojca – zaliczał do swoich bliskich przyjaciół.

Mężczyznę, którego syn był niepoprawnym kobieciarzem już w wieku osiemnastu lat.

– Nigdy nie pozwoliłbym mu cię skrzywdzić – powiedział. Odwróciła się ze łzami w oczach.

Chroniłby ją od momentu poznania jej. Nienawidziłby ojca za to, że ona należy do niego.

– Tego nie wiedziałam – odparła z żalem.

Była wtedy przerażona. Ale, co ważniejsze, była silna.

Wybrała życie w nieznanym świecie, zamiast małżeństwa z człowiekiem, który mógł się okazać sobowtórem jej ojca.

Temple stał się przypadkową ofiarą.

Zamarła, pełna wdzięku, na skraju sali balowej, wpatrując się w ciemność za drzwiami. Był to dla niego obraz symboliczny. Czas był inny. Zagrożenie było inne. Inna chwila, która ujawniła zbyt wiele tajemnic Mary Lowe. A ona już się nie bała ciemności.

Dwanaście lat żyła w mroku.

Tak jak on.

Chryste, nieważne, jak dotarli do tego miejsca. Jak różniły się ich drogi.

Byli tacy sami.

Wyciągnął do niej rękę, wymawiając cicho jej imię, nie wiedząc, co się stanie potem. Nie wiedząc, co powie czy zrobi. Wiedząc tylko, że pragnie jej dotknąć. Jego palce prześliznęły się po jej owiniętym w jedwab nadgarstku w tej samej chwili, kiedy odsuwała się od niego płynnym, gładkim ruchem.

Kierując się do drzwi.

Pozwolił jej odejść.

Panowało dotkliwe zimno i żałowała, że nie pomyślała o zabraniu płaszcza, zanim wyszła z dusznej sali, ale nie bardzo miała ochotę wracać.

Objęła się ramionami, mówiąc sobie, że już bywało i zimniej, i gorzej. Tak było rzeczywiście. Dobrze się czuła z zimnem. Znała je. Potrafiła z nim walczyć.

Nie potrafiła walczyć z jego ciepłem.

„Nigdy nie pozwoliłbym mu cię skrzywdzić”.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i zbiegła po schodach, obok kamiennej kolumnady, w mrok ogrodów, znikając wśród klombów i krzewów, wdzięczna niebu za noc. Oparła się o wielki dąb i wpatrywała w gwiazdy, zastanawiając się, jak znalazła się tutaj, w tym miejscu, w tej sukni, z tym człowiekiem.

Z mężczyzną, z którego los uczynił jej wroga.

Z którym była związana.

Na zawsze.

Łzy zbierały jej się pod powiekami, oddychała ciężko. Wydychane powietrze zamieniało się w obłoczki pary, widoczne w słabym świetle dochodzącym z sali balowej. Zastanawiała się, co będzie dalej. Chciała, żeby wreszcie to zrobił, zdemaskował ją, żeby mogła go w końcu znienawidzić i zająć się własnym życiem.

Żeby mogła żyć bez niego.

Jak do tego doszło, że stał się dla niej taki ważny w tak krótkim czasie? I zmienił się tak bardzo? Jak to możliwe, że teraz mówi jej takie rzeczy, jest taki miły i dobry, a gdy zaczęli swoją niedawną znajomość, przysięgał, że ją zniszczy? Jak mogła mu tak ufać?

Jak stał się jedyną osobą, którą ona ma zdradzić?

Jakby przywołany przez myśl o zdradzie, jej brat wyłonił się z mroku.

– Szczęśliwie się składa.

Mara cofnęła się o krok.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Szedłem za tobą od sierocińca. Widziałem, jak po ciebie przyjechał. – Kit miał obłąkane oczy, nieogoloną twarz. – Tworzycie piękną parę.

– Nie jesteśmy parą.

Milczał chwilę, a potem powiedział:

– A jeśli byłabyś zaręczona z nim, zamiast z jego ojcem? Może nie byłoby tego całego bałaganu.

Pytanie zabolało. Jeśli.

Gdyby dostawała szylinga za każdym razem, kiedy ta myśl pojawiała się w jej głowie, byłaby najbogatszą kobietą w Londynie.

To nie pomagało. Napełniało tylko głowę niemożliwymi do spełnienia marzeniami.

Jednak wciąż je słyszała. A jeśli…

A jeśli poślubiłaby jego, przystojnego, młodego markiza o szelmowskim uśmiechu, który całował ją tak, jakby była jedyną kobietą na świecie? A jeśliby się pobrali, stworzyli wspólne życie, z dziećmi, zwierzętami, pocałunkami i intymnymi żartami dowodzącymi, że należą do siebie?

A jeśliby się pokochali?

Miłość.

Obracała tę myśl w głowie, przyglądając jej się ze wszystkich stron.

Nawet teraz nie rozumiała miłości tak, jak rozumieli ją inni. Tak, jak marzyła o niej w dzieciństwie. Tak, jak opłakiwała ją podczas tego okropnego miesiąca przed ślubem, oblewając łzami poduszkę, rozpaczając nad brakiem miłości między nią a jej starym narzeczonym.

Ale teraz… teraz kochała. I to było trudne. Bolesne.

Chciała, żeby to minęło.

Chciała przestać się łudzić marzeniami o innym życiu. Wyobrażanie sobie innego życia było niebezpieczne – groziło bólem, żalem, rozczarowaniem. Żyła w świecie realnym. Nigdy marzeniami.

Ale nadal myśl o tym chłopcu sprzed dwunastu lat… teraz mężczyźnie…

O życiu, jakie mogliby wieść… gdyby wszystko było inaczej.

– Dostałaś mój list?

Skinęła głową, odczuła palące ukłucie winy. Kit był tutaj. Temple nieco dalej. Nawet rozmowa z bratem miała posmak zdrady wobec człowieka, który obecnie tak wiele dla niej znaczył.

– Rozumiesz, dlaczego potrzebuję twojej pomocy. – Kit podszedł bliżej; mówił łagodnym tonem, bez gniewu, choć gniew z pewnością go przepełniał. – Muszę opuścić

Londyn. Jeśli te dranie mnie znajdą…

To nie były dranie. To byli najbardziej lojalni ludzie, jakich spotkała. A Temple miał prawo czuć gniew. Ukradła mu jego życie wiele lat wcześniej, a niedawno Kit niemal mu je odebrał.

– Maro – powiedział Kit, echo ich ojca. – Zrobiłem to dla ciebie.

Znienawidziła go w tym momencie, młodszego brata, którego kiedyś tak bardzo kochała. Znienawidziła za jego gwałtowność, bezmyślność, głupotę. Za jego gniew i chłód. Za wybory, jakich dokonał, a które mściły się na nich obojgu. A jej życie zamieniły w nieznośny chaos.

– Nie widzisz, co on ci zrobił? – Głos Kita brzmiał miękko jak jedwab. – Książę Zabójca. Zrobił z ciebie swoją dziwkę i obrócił przeciwko mnie.

Przyjęłaby to może za prawdę wcześniej, ale teraz wiedziała, że to nie jest prawda. Że Temple ją uwolnił.

Wtedy gdy mówił chłopcom w sierocińcu MacIntyre, że zemsta nie zawsze jest rozwiązaniem, gdy ratował Lavender przed niechybną śmiercią i gdy ratował Marę przed jej prześladowcami, sprawił, że go pokochała.

I dał jej wolność.

– Sądzisz, że tego nie widzę? Co o nim myślisz? – powiedział Kit z niechęcią. – Widzę, jak na niego patrzysz. Jak tobą manipuluje, niczym kukiełką na sznureczkach. Nie obchodzi cię, że wszystko mi odebrał.

Nie obchodziło. Chciała tylko, żeby Temple został pomszczony. Żeby w końcu odzyskał życie, jakie mu przeznaczono – doskonałą żonę, doskonałe dzieci, doskonały świat, na jaki zasługiwał od urodzenia, a który mu odebrała.

Jedyne, co mogła mu dać.

Zakłuły ją łzy pod powiekami.

– Odejdź, Christopherze. – Specjalnie użyła tego imienia. Nie był już dzieckiem. I już nie będzie z nim związana. – Jeśli cię złapią, zostaniesz ukarany.

– A ty ich nie powstrzymasz.

Nawet gdyby mogła.

– Nie.

Nienawidził jej, widziała to w jego oczach.

– Potrzebuję pieniędzy.

Zawsze pieniądze. Zawsze na pierwszym miejscu. Pokręciła głową.

– Nie mam nic dla ciebie.

– To kłamstwo – powiedział, podchodząc jeszcze bliżej. – Ukrywasz je przede mną.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Mówiła prawdę.

– Nie mam nic dla ciebie. – Wszystko, co miała, było przeznaczone dla sierocińca. A reszta… resztę miał dostać Temple.

Nie było już miejsca w jej sercu dla tego człowieka.

– Jesteś mi to winna. Za to, co wycierpiałem. Za to, co cierpię nadal.

– Nieprawda. Przez dwanaście lat przekonywałam samą siebie, że postępuję słusznie. Sądziłam, że cię skrzywdziłam. Że cię stworzyłam takim, jakim jesteś. – Zmarszczyła brwi. – Ale tak nie jest. Chłopcy dorastają. Mężczyźni dokonują wyborów. Masz

szczęście, że nie krzyczę, żeby zbiegła się tutaj połowa Londynu i cię znalazła.

Zesztywniał.

– Nie zrobiłabyś tego.

Pomyślała o Temple'u, rannym, nieruchomym, leżącym na stole w swoim pokoju w Upadłym Aniele. O tym, jaki czuła ból w piersi, jak serce jej się tłukło i jak strasznie się bała, że on się nie obudzi.

Małe przesunięcie się noża w prawo lub w lewo i Kit zabiłby człowieka, którego kocha.

– Nie wahałabym się.

Nie panował już nad gniewem.

– A więc jednak jesteś jego dziwką.

Gdyby to było takie łatwe. Stała dumnie, nie dając się zastraszyć.

Przekonawszy się o jej sile, zaczął jęczeć piskliwie:

– Wiesz, ty też popełniasz błędy.

– I codziennie za nie płacę.

– Widzę. Masz piękną jedwabną suknię, płaszcz obszyty futrem i maskę ze złota. Co za męka.

Zapomniał, co ją czeka. Że przyjmie na siebie karę za jego grzechy.

– Płacę za to każdego dnia, odkąd uciekłam. Więcej, odkąd wróciłam. Masz szczęście, że na mnie spada kara za nasze grzechy. Za twoje.

– Nie domagam się twojej opieki.

– Nie – parsknęła. – Domagasz się moich pieniędzy. – Zesztywniał. Wiedziała, że musi mu to jasno powiedzieć. – Powinnam cię mu wydać. O mało go nie zabiłeś.

– Żałuję, że tak się nie stało.

Pokręciła głową.

– Dlaczego? Nigdy nas nie skrzywdził. Był zupełnie niewinny. – Tylko on jeden.

– Niewinny? – warknął Kit. – Zrujnował mnie.

– My go zrujnowaliśmy! – krzyknęła.

– Zasłużył na to! – wrzasnął piskliwie Kit. – A pozostali wzięli ostatniego pensa, który do mnie należał!

W wieku dwudziestu sześciu lat nadal był dzieckiem.

– Mojego ostatniego pensa też, bracie. Nie zmuszali cię do robienia zakładów.

– Ale też mnie nie powstrzymali. Zasłużyli na to, co się stało.

– Nie. Nie zasłużyli. On nie zasłużył.

– Zwrócił cię przeciwko mnie, mnie, który dochowywał twoich tajemnic przez dwanaście lat. A teraz wybierasz jego.

Na Boga, tak było. Wybrała Temple'a ponad wszystko inne.

Ale to nie znaczyło, że może go mieć.

W tej chwili było jej żal Kita, że musiał żyć tak, jak żył, że nie byli w stanie chronić się nawzajem. Wzajemnie się wspierać. I opłakiwała tego roześmianego, kochającego chłopca, jakim był kiedyś, który przyniósł jej kwartę świńskiej krwi i wysłał pokojówki w różne miejsca Whitefawn Abbey, żeby koniecznie zobaczyły ją i Temple'a, zanim sfingowała swoją kompromitację.

Zanim zrujnowała człowieka, który w żaden sposób na to nie zasłużył.

Zadrżała z zimna, obejmując się rękami odzianymi w śliski jedwab. Nie pomagało, może dlatego, że ten chłód brał się z jej wnętrza. A potem, pełna smutku, sięgnęła ręką do torebki i wyciągnęła jedyne pieniądze, jakie miała. Resztkę, jaka jej została, żeby ją dowieźć do Yorkshire. Żeby mogła zacząć od nowa.

Podała bratu monety.

– Proszę. Dość, żeby wyjechać z Anglii. – Uśmiechnął się krzywo, widząc mizerną sumę, i znienawidziła go za to jeszcze bardziej. – Nie musisz tego brać.

Kit milczał.

– A więc to koniec? – odezwał się w końcu.

Przełknęła łzy, zmęczona życiem, jakie wiodła, ciągłym uciekaniem i ukrywaniem się. Życiem w cieniu przeszłości.

Gdzieś w głębi pojawiła się myśl, że pieniądze mogą kupić jej wolność. Mogą odesłać Kita daleko i dać jej szansę na coś innego. Coś więcej.

Temple.

– To koniec.

Zniknął w ciemności, tak jak przyszedł.

Zabolało ją poczucie winy. Ale nie ze względu na Kita. Nie martwiła się o jego przyszłość. Dała mu pieniądze i szansę na nowe życie. I w ten sposób pozbawiła Temple'a możliwości zemsty.

I to było gorsze niż wszystko inne.

Zdradziła go.

Miała poczucie zdrady, chociaż znajdowała się niedaleko miejsca, które wybrał na dokonanie zemsty. Chociaż wiedziała, że powinna go nienawidzić i źle mu życzyć za to, że zemsta była dla niego najważniejsza, i chociaż okazał jej tyle dobroci, ile nikt inny jej nie okazał.

Jeśli to miłość, to wcale jej nie chciała.

Długo po odejściu brata Mara siedziała na niskiej drewnianej ławeczce, czując się tak samotna, jak nigdy w życiu. Dziś wieczorem utraci brata, sierociniec, życie, jakie dla siebie stworzyła. Margaret MacIntyre przyłączy się do Mary Lowe, wyrzutka społeczeństwa. Odrzucone przez świat, jaki znała.

Ale to wszystko nie miało znaczenia. Myślała tylko o tym, że dziś wieczorem straci Temple'a.

Da mu życie, dla którego się urodził – arystokratyczną żonę, arystokratyczne dzieci, dziedzictwo. Da mu życie, którego zawsze pragnął. O którym marzył.

Ale go straci.

I to się już nie zmieni.

Była piękna.

Temple stał w ciemności, patrząc na Marę siedzącą na niskiej, drewnianej ławeczce wyciętej z pnia drzewa, przygnębioną tak, jakby straciła najbliższego przyjaciela.

I może tak było.

Ostatecznie, kiedy wygrzebała z torebki resztkę pieniędzy, jakie miała, i dała je

Christopherowi Lowe'owi, wysyłając go z Anglii, straciła ukochanego brata i jedynego człowieka, który znał jej historię.

Historię, dla której Temple zrównałby Londyn z ziemią.

Powinien jej nienawidzić. Powinien być wściekły, że pomogła Lowe'owi umknąć. Że pozwoliła mu rozpłynąć się w mroku nocy, zamiast go wydać. Ten człowiek próbował go zabić.

A jednak, kiedy przyglądał jej się, zmarzniętej i samotnej w ogrodzie Leightonów, nie mógł się zdobyć na nienawiść. Ponieważ, w tym całym szalonym zamęcie, był w stanie ją zrozumieć.

Wiedział, co czuje, kiedy tak siedziała bez ruchu, zagubiona w myślach o przeszłości. Rozumiał jej zdecydowanie. Podziwiał, że ani razu nie okazała mu strachu od tamtej nocy, która zmieniła życie ich obojga.

Sądziła, że zasłużyła na smutek. Na samotność. Myślała, że sama je na siebie sprowadziła.

Tak jak on.

Chryste, on nie tylko ją rozumiał.

Kochał ją. Ta myśl była jak uderzenie, zaskakujące, silne i prawdziwe. Kochał ją.

Dziewczynę, która go zrujnowała, a jednocześnie uwolniła, i kobietę, którą widział teraz przed sobą – silną jak stal, uosabiającą wszystko, czego pragnął.

Przez wszystkie minione lata wyobrażał sobie życie, jakie mógłby prowadzić. Żonę. Dzieci. Dziedzictwo. Wyobrażał sobie siebie jako arystokratę, potężnego, utytułowanego, którego przynależności do najwyższych sfer nikt nie kwestionuje.

I nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że to wszystko może zblednąć w porównaniu z tą kobietą i życiem, jakie mogliby razem wieść.

Uratowałby ją przed swoim ojcem. Kochałby ją bardziej. Mocniej. Namiętniej. Chroniłby ją. I czekał na nią.

Wiedział, że to niewłaściwe. Skandaliczne. Ale czekałby, aż ojciec umrze, a potem wziąłby ją dla siebie. I pokazał życie, na jakie zasługiwała.

Na które oboje zasługiwali.

Westchnęła w ciemności i usłyszał smutek w jej głosie. Głęboki żal.

Czy żałowała, że nie odeszła z bratem? Że nie skorzystała z okazji, żeby uniknąć kompromitacji?

Kompromitacja. Ten cel, wydało mu się, gdzieś się zagubił w ciemności.

Czekał zbyt długo. Żeby ją poznać. Zrozumieć. Zobaczyć.

A teraz chciał tylko zabrać ją do domu i kochać się z nią, aż oboje zapomną o przeszłości. Aż będą myśleć jedynie o przyszłości. Aż zaufa mu na tyle, żeby podzielić się z nim swoimi myślami, uśmiechami, swoim światem.

Aż stanie się jego.

Pora zacząć od nowa.

Wyszedł z mroku. Stanął w świetle, którym promieniała.

– Musiałaś zmarznąć.

Westchnęła, podnosząc gwałtownie brodę; dostrzegła go w mroku, na małej polance. Zerwała się na równe nogi.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Dość długo.

Na tyle długo, żeby zobaczyć, jak mnie zdradzasz.

I żeby sobie uświadomić, że cię kocham.

Skinęła głową, ciasno obejmując się ramionami. Trzęsła się z zimna. Zrzucił płaszcz i podał jej. Pokręciła głową.

– Nie, dziękuję.

– Weź. Zmęczyło mnie patrzenie, jak marzniesz.

Znowu pokręciła głową.

Rzucił płaszcz na ławkę.

– A więc żadne z nas go nie użyje.

Przez długą chwilę bał się, że go nie podniesie. Ale przecież przemarzła. I nie była dzieckiem. Nałożyła go, a on wykorzystał to jako pretekst, żeby podejść bliżej, opatulić ją ogromnym płaszczyskiem, patrząc z przyjemnością, jak grzeje się w cieple. Jego cieple.

Chciał ją na zawsze zatrzymać w swoim cieple.

Stali w milczeniu, wokół niego unosił się kuszący zapach cytryn.

– Chciałabym, żebyś to wreszcie zrobił – powiedziała, przerywając ciszę zdenerwowanym, gniewnym głosem.

Przechylił głowę.

– Zrobił co?

– Zdemaskował mnie. Przecież dlatego tu jestem.

Tak było, w istocie. Ale teraz…

– Północ jeszcze nie nadeszła.

Roześmiała się cicho.

– Chyba ci nie zależy na takiej oprawie. Jeśli wcześnie mnie zdemaskujesz, będę mogła odejść, a ty odzyskasz pozycję szanowanego przez wszystkich księcia. Długo na to czekałeś.

– Dwanaście lat – powiedział, patrząc na nią uważnie, widząc rozpacz w jej oczach. – Jedna godzina nic nie znaczy.

– A jeśli ci powiem, że dla mnie znaczy?

– Zapytałbym, dlaczego tak nagle zaczęło ci się spieszyć, żeby się ujawnić.

– Jestem zmęczona czekaniem. Zmęczona sytuacją, w której każdej chwili możesz zdecydować o moim losie. Mam dosyć cudzej kontroli nad sobą.

Miał ochotę się roześmiać. Myśl, że mógłby ją kontrolować, wydawała się szaleństwem. To ona zajmowała wszystkie jego myśli. Zagrażała jego spokojnemu, uporządkowanemu życiu. Uczyniła z jego życia chaos.

– Kontroluję cię?

– Oczywiście. Obserwujesz mnie. Kupiłeś mi stroje. Wszedłeś w moje życie. W życie moich wychowanków. Życie ludzi, którzy ze mną pracują. I sprawiłeś, że… – Urwała.

– Sprawiłem…?

Przez chwilę myślał, że wyzna mu miłość. Stwierdził, że niczego bardziej nie pragnie.

Milczała, rzecz jasna. Nie kochała go. Był dla niej środkiem do celu. Tak, jak ona dla niego. Albo raczej, jak nim była na początku.

Ogarnął go gniew. Żal. Jak mógł do tego dopuścić? Jak to się stało, że zaczęło mu na niej zależeć, mimo że ona z nim walczy? Jak mógł zapomnieć, dlaczego się spotkali? Co uczyniła?

Dlaczego przestało go to obchodzić?

Odezwał się w nim wojownik z ringu.

– Wiem, że on tu był, Maro. – To nią wstrząsnęło. – Nie zaprzeczysz?

– Nie.

– Dobrze. Przynajmniej tyle ustaliliśmy.

Powiedz prawdę, prosił w duchu. Chociaż raz w tym przeklętym czasie, kiedy jesteśmy razem, powiedz mi coś, w co mógłbym uwierzyć.

– Tej nocy, kiedy cię odnalazłam – zaczęła, jakby go usłyszała – zrobiłam to z powodu Kita.

Spojrzał w niebo, zniecierpliwiony.

– Wiem. Żeby odzyskać jego pieniądze.

Pokręciła zdecydowanie głową.

– To nie tak, jak myślisz. Kiedy otworzyłam sierociniec, udawanie Margaret MacIntyre wydawało się najłatwiejszym rozwiązaniem. Wdowa po żołnierzu budzi szacunek. Nie budzi wątpliwości. – Zamilkła na chwilę. – Ale żaden bank nie pozwoliłby zarządzać własnymi pieniędzmi niezamężnej kobiecie.

– Są kobiety, które korzystają z usług banków.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Ale nie kobiety z fałszywą tożsamością. Nie mogłam ryzykować pytań.

Zaczynał rozumieć.

– Kit był twoim bankierem.

– Trzymał wszystkie pieniądze. Pierwotne donacje i fundusze, jakie dawali ojcowie arystokraci, zostawiając swoje dzieci z nieprawego łoża u nas. Wszystkie pieniądze.

Temple sapnął gniewnie.

– I przegrał wszystko.

Skinęła głową.

– Co do pensa.

– A ty rozpaczliwie chciałaś to odzyskać.

Wzruszyła ramionami.

– Chłopcy potrzebowali pieniędzy.

Dlaczego mu nie powiedziała?

– Myślałaś, że pozwolę im głodować?

– Nie wiedziałam. – Zawahała się. – Byłeś pełen gniewu.

Spacerował nerwowo po małej polance, aż w końcu położył dłoń na pniu drzewa, zwrócony tyłem do niej. Miała oczywiście rację, ale słowa i tak bolały.

– Nie jestem jakimś przeklętym potworem!

– Nie wiedziałam! – Próbowała wyjaśnić; odwrócił się twarzą do niej.

– Nawet ty myślałaś, że jestem Księciem Zabójcą. Nawet wtedy. – Był straszliwie rozczarowany. Powinna go znać. Rozumieć. Lepiej niż inni. Powinna wiedzieć, że nie jest zabójcą. Że to wszystko kłamstwa.

Ale ona też w niego wątpiła.

Miał ochotę wyć z żalu.

Widziała to. Podniosła rękę, żeby go powstrzymać.

– Nie, Temple.

Kolejne kłamstwa. Ale nie mógł powstrzymać pytania.

– A więc dlaczego?

Rozłożyła szeroko ręce.

– Powiedziałeś, że nic, co powiem…

Przypomniał sobie. Na podium w pracowni madame Hebert. Był na nią wściekły.

– Chryste. Powiedziałem, że nic, co powiesz, nie sprawi, że ci wybaczę.

Kiwnęła głową.

– Uwierzyłam w to.

Odetchnął głęboko, w zimnym powietrzu ukazał się obłoczek pary.

– Ja też.

– Sądziłam, że powinnam zapłacić za jego uczynki. Stworzyłam go takim, podobnie jak ciebie. Zostawiłam was obu tamtej nocy i mój ojciec z pewnością ukarał go brutalnie, tak jak Londyn ciebie. – Zamilkła. – Moje błędy wydają się nie mieć końca.

Nie odzywał się długą chwilę.

– Co za nonsens.

To ją zdumiało.

– Słucham?

– Nie stworzyłaś go. Uratowałaś siebie. Chłopiec dokonał własnych wyborów.

Pokręciła głową.

– Mój ojciec…

– Twój ojciec to największy drań, jaki chodził po ziemi, i gdyby nie to, że umarł, sam zabiłbym go z przyjemnością. Ale nie był bogiem. Nie ulepił twojego brata z gliny i nie tchnął w niego życia. Grzechy twojego brata obciążają jego i tylko jego. – Przerwał, po czym dodał cicho: – Tak jak moje.

Podeszła do niego.

– Ależ nie. Gdybym cię nie uśpiła. Zostawiła. Gdybym wróciła…

– Nie stworzyłaś mnie, Maro. Ty też nie jesteś bogiem. Jesteś tylko kobietą. A ja tylko mężczyzną. – Odetchnął chrapliwie. – I razem sprowadziliśmy na siebie ten bałagan.

Jej oczy zwilgotniały i chciał ją przytulić. Dotknąć jej. Zabrać do domu i uczynić swoją.

Ale nie zrobił tego. Zamiast tego powiedział:

– Chciałbym, żeby to się już skończyło.

Skinęła głową.

– Niech będzie. Już pora.

Miała na myśli swoje ujawnienie. I może rzeczywiście pora nadeszła. Bogu wiadomo, że długo czekał, żeby odzyskać swoje życie – to, które mu obiecano. To, które kochał i za którym tak boleśnie tęsknił.

Ale kiedy na nią patrzył, to wszystko się ulotniło. W jakiś dziwny sposób należał do tej kobiety. Podniósł rękę i pogładził jej policzek. Wtuliła się w jego dłoń; kciukiem

obrysował jej wargi, zatrzymując palec na nich.

Coś się wydarzyło.

Wyszeptał jej imię i w ciemności to imię zabrzmiało jak modlitwa.

– Nie mogę.

Łzy napłynęły jej do oczu, zdradzając zmieszanie i żal.

– Dlaczego?

Bo cię kocham.

Bo już nie mam ochoty na zemstę. Nie wtedy, kiedy mógłbym cię tym skrzywdzić.

Znieruchomiała pod jego dotykiem, na jej twarzy pojawiały się i znikały różnorakie uczucia. Sięgnęła po jego rękę. Cofnął ją, wkładając dłoń do kieszeni.

Wyjął czek bankowy – ten, który zamierzał wręczyć Marze po jej zdemaskowaniu tego wieczoru. Musiał go jednak dać jej już teraz. Czek ich uwolni od tej dziwnej, bolesnej sytuacji. Wręczył jej kartkę papieru.

Zmarszczyła brwi, przyglądając się czekowi.

– Co to jest?

– Dług twojego brata. Wszystko twoje.

Pokręciła głową.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Tak czy inaczej, daję ci go.

Podniosła głowę, w jej spojrzeniu był smutek i jeszcze coś. Coś, czego się nie spodziewał. Duma.

– Nie.

– Weź to, Maro – nalegał. – Pieniądze są twoje.

– Nie – powtórzyła. Złożyła kartkę na dwoje, potem jeszcze raz i podarła ją na drobne kawałki.

Co ona robi, do diabła? Te pieniądze mogłyby uratować sierociniec dziesięć razy. Sto razy. Patrzył, jak rozrzuca drobinki papieru po śniegu.

Serce biło mu szybciej, kiedy obserwował, jak maleńkie kwadraciki spadają na czubki jego butów.

– Dlaczego to robisz?

Uśmiechnęła się smętnie.

– Nie rozumiesz? Skończyłam z braniem od ciebie.

Chciał ją utulić w ramionach. Kochać ją tak, jak na to zasługiwała. Jak zasługiwali oboje.

Pozwoliła się objąć, przyciskając usta do jego ust w jednym długim, namiętnym pocałunku, który pozbawił go tchu i napełnił pożądaniem. Chciałby wziąć ją na ręce i zabrać gdzieś daleko. Przeklinał zranioną rękę, która mu to uniemożliwiała.

Więc zamiast tego przytulał ją do siebie, napawając się dotykiem jej ust, zapachem cytryn, słodką obietnicą palców wplątanych w jego włosy. Całował ją, aż westchnęła z rozkoszy, wtulając się w niego. Dopiero wtedy ją puścił, zachwycając się tym, jak dotyka opuszkami palców swoich ust, jakby nikt nigdy nie całował jej w ten sposób.

Jakby nie wiedziała, że zawsze już będzie ją tak całować.

Wyciągnął po nią ręce raz jeszcze, z jej imieniem na ustach, żeby jej powiedzieć, czego

może się spodziewać po jego pocałunkach w przyszłości, ale ona się cofnęła.

– Nie – powiedziała.

Czekał dwanaście lat. Nie chciał czekać dłużej.

– Chodź ze mną do domu. – Wyciągnął rękę. Pragnął jej. – Pora, żebyśmy porozmawiali.

Pora, żeby zrobili coś więcej. Miał dość gadania.

Nie dała się dotknąć.

– Nie. – W jej głosie brzmiała jakaś twardość. – Nie.

# 17

Chyba zgubiłeś płaszcz.

Temple opróżnił trzeci kieliszek szampana i wymienił go na pełny, wzięty z tacy roznoszącego napoje lokaja. Udał, że nie słyszy uwagi nieproszonego kompana, i wpatrywał się w wirujący na parkiecie tłum rozbawionych gości. Wesołość na sali balowej rosła w miarę upływu czasu i wypijanych kieliszków lejącego się strumieniami wina.

– Zdaje się, że zgubiłeś także towarzyszkę – dodał Chase.

Temple napił się znowu.

– Wiem, że cię tu nie ma.

– Obawiam się, że nie jestem halucynacją.

– Mówiłem ci, żebyś się trzymał z daleka od moich spraw.

Oczy Chase'a zrobiły się okrągłe za czarną maską, identyczną z maską Temple'a.

– Zostałem zaproszony.

– To ci nigdy nie przeszkadzało unikać takich okazji, jak ta. Co ty, do diabła, tutaj robisz?

– Nie mogłem stracić okazji oglądania twojego triumfu.

Temple się odwrócił.

– Jeśli ludzie cię zobaczą ze mną, zaczną zadawać pytania.

Chase wzruszył ramionami.

– Jesteśmy zamaskowani. A poza tym za kilka minut przestaniesz być bohaterem skandalu. Dzisiaj jest ta noc, nieprawdaż? Powrót księcia Lamont?

Tak miało być. Ale nie wiedzieć czemu sprawy przybrały całkiem inny obrót i znalazł się w ogrodzie, wpatrzony w kobietę, którą ścigał przez dwanaście lat gniewu… żeby stwierdzić, że już nie chce zemsty.

Gdybyż to było wszystko.

Gdyby tak, patrząc na tę kobietę, nie widział kogoś zupełnie innego. Kogoś, na kim mu tak bardzo zależało. O wiele za bardzo. Tak bardzo, że nie obchodziło go, iż odesłała swojego brata w ciemność nocy, wolnego.

Obchodziło go tylko to, że ona też odeszła.

Bo chciał, żeby wróciła.

Chciał jej. Kropka.

Chryste.

– Powiedziałem ci, żebyś mnie zostawił w spokoju.

– Jakże dramatyzujesz. – Słowa Chase'a ociekały ironią. – Wiesz, nie możesz mnie

wiecznie unikać.

– Mógłbym spróbować.

– Czy coś to da, jeśli przeproszę?

Zdumiał się. To niesłychane, żeby Chase przepraszał.

– A masz taki zamiar?

– Nie jestem nim zachwycony.

– Nie dbam o to.

Chase westchnął.

– W porządku, przepraszam.

– Za co, ściśle mówiąc?

Chase zacisnął wargi.

– Teraz to ty jesteś durniem.

– Uważam, że ogień najlepiej zwalczać ogniem.

– Źle zrobiłem, nie mówiąc ci, że ona jest w Londynie.

– Masz całkowitą rację. Gdybym wiedział… – Urwał. Gdyby wiedział, poszedłby po nią.

Znalazłby ją. Wcześniej.

Mogłoby być inaczej.

Jak?

– Może dałoby się uniknąć tego bałaganu, gdybym wiedział.

– Gdybyś wiedział, może byłoby jeszcze gorzej.

Łypnął gniewnie na Chase'a.

– Myślałem, że przepraszasz.

Chase uśmiechnął się szeroko.

– Wciąż się wdrażam. – Uśmiech zniknął. – Co z dziewczyną?

Wyobrażał sobie, że Mara jest w połowie drogi do sierocińca i napawa się odzyskaną wolnością. Co nie powinno go aż tak boleć.

– Pozwoliłem jej odejść.

W oczach Chase'a nie było zaskoczenia.

– Rozumiem. Westowi pewnie będzie przykro.

Temple zapomniał o dziennikarzu. Zapomniał o wszystkim, kiedy spojrzała na niego swoimi zielono-niebieskimi oczami i wyznała, że przepełnia ją strach. Na którym przecież opierała się cała ta gra.

– Nikt nie zasługuje na takie upokorzenie, jakie planowałem.

Zwłaszcza nie Mara.

I nie z jego rąk.

– A zatem Książę Zabójca pozostaje.

Przez dwanaście lat żył w cieniu tego przezwiska. Dowiódł, że jest silniejszy i potężniejszy niż reszta Londynu. Zbudował fortunę równą książęcej, której nie chciał tknąć. I być może teraz, kiedy wiedział, że ona żyje, że on nie jest zabójcą, przezwisko będzie mniej bolało.

Ona żyła.

Powinna była przyjść do niego tamtej nocy i powiedzieć mu prawdę. Pomógłby jej.

Zapewniłby bezpieczeństwo.

Uznałby, że jest jego.

Ta myśl i obrazy, jakie wywołała, poruszyły go głęboko. Mara w jego ramionach, w jego łóżku, przy jego stole. Gromadka dzieci o kasztanowych włosach i niebiesko-zielonych oczach. Jej dzieci.

Ich dzieci.

Chryste.

Przeczesał zdrową ręką włosy, usiłując odepchnąć niepokojącą myśl. Niemożliwą myśl. Napotkał wzrok Chase'a.

– Książę Zabójca pozostaje.

Chase kiwnął ledwie zauważalnie głową i zerknął ponad ramieniem Temple'a. Coś w głębi sali przyciągnęło jego uwagę.

– Czyżby?

Temple odwrócił się i spojrzał tam, gdzie przyjaciel.

Nie odeszła.

Stała w odległym krańcu sali balowej, na szczycie schodów, górując nad gośćmi. Z jej ręki zwieszał się jego płaszcz. Wyglądała przepięknie w tej sukni, kilka długich kasztanowych loków wymknęło się z upięcia, cudownie kontrastując z jej bladą skórą. Pragnął wziąć je w dłoń i całować.

Ale najpierw…

Zrobił krok w jej stronę.

– Co ona, u diabła, tutaj robi?

Chase zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Poczekaj. Jest wspaniała.

Była wspaniała. I nie tylko.

Była jego.

Temple odwrócił się do Chese'a.

– To twoja sprawka?

– Przysięgam, nie mam z tym nic wspólnego. To ona sama. – Chase uśmiechnął się, zaskoczony, nie odrywając wzroku od Mary. – Chciałbym, żeby to była moja sprawka, słowo daję. Ta dziewczyna wszystko zmieni.

– Nie chcę, żeby zmieniała cokolwiek.

– Nie sądzę, żebyś mógł ją powstrzymać.

Orkiestra ucichła, a Temple spojrzał na ogromny zegar na ścianie. Dochodziła północ. Księżna Leighton wchodziła po schodach, kierując się w stronę Mary. Zapewne zamierzała dać hasło do zdejmowania masek. Mara wyszła jej na spotkanie i szepnęła coś do ucha.

Księżna Leighton, wyraźnie zaskoczona, cofnęła się o krok i zadała jakieś pytanie. Mara odpowiedziała i księżna, poważna i wstrząśnięta, zadała kolejne. Obserwował je cały Londyn. W końcu księżna skinęła głową i odwróciła się do tłumu z uśmiechem na ustach.

Temple wiedział, co się dzieje.

– To chyba najsilniejsza duchem kobieta, jaką w życiu spotkałem – stwierdził Chase z

podziwem.

– Powiedziałem jej, żeby tego nie robiła. Że ja nie chcę – oznajmił gniewnie zdumiony Temple.

– Wygląda na to, że niezbyt uważnie słuchała.

Temple nie odpowiedział. Ściągnął maskę i zaczął przeciskać się przez tłum, zdając sobie sprawę, że jest zbyt daleko od niej.

Że nie zdoła jej powstrzymać.

– Panie i panowie! – zawołała księżna, ujmując rękę męża, nie odstępującego jej ani o krok. – Wiecie, że uwielbiam skandale!

Goście parsknęli śmiechem, podekscytowani nieoczekiwanym wydarzeniem, a Temple parł naprzód, chcąc koniecznie dotrzeć do Mary. By powstrzymać ją od popełnienia czegoś wyjątkowo głupiego.

– I tak się składa – ciągnęła księżna – że zapewniono mnie, iż dzisiaj usłyszycie państwo coś naprawdę skandalicznego! Zanim zdejmiemy maski… – Przerwała, z pewnością zachwycona wyczuwalną ekscytacją zgromadzonych na sali osób, i skinęła ręką w stronę Mary. – Przedstawiam… gościa, którego tożsamości nawet ja nie znałam!

Temple usiłował przyspieszyć kroku, ale cały Londyn stał mu na drodze i nikt nie chciał ustąpić miejsca tuż przed główną sceną rozgrywającego się spektaklu. Odsunął zdrową ręką jakąś kobietę, nie zważając na jej oburzony pisk.

Towarzysz owej damy, wściekły, odwrócił się do niego, ale Temple szedł dalej, ścigany szeptami „Książę Zabójca”.

Bardzo dobrze. Może ludzie zaczną się rozstępować.

Mara postąpiła krok naprzód i przemówiła czystym, silnym głosem.

– Zbyt długo ukrywałam się przed wami. Zbyt długo pozwoliłam wam myśleć, że nie żyję. Zbyt długo pozwoliłam wam obarczać zbrodnią człowieka niewinnego.

Zegar zaczął wybijać północ i Temple ruszył jeszcze szybciej.

Nie rób tego, prosił ją w duchu. Nie rób tego sobie.

– Zbyt długo pozwoliłam wam sądzić, że William Harrow, książę Lamont, jest zabójcą.

Zatrzymał się, słysząc, jak wymawia jego imię i tytuł. W tłumie rozległy się pełne zdumienia westchnienia i pomruki.

Zegar wybijał pełną godzinę.

Podniosła ręce do maski, rozwiązując wstążki.

– Ale, jak widzicie, nie jest zabójcą – dokończyła. – Bo ja żyję.

Nie mógł jej dosięgnąć.

Zdjęła maskę i dygnęła głęboko przed księżną Leighton.

– Milady, wybacz, że się nie przedstawiłam. Jestem Mara Lowe, córka Marcusa Lowe’a. Siostra Christophera Lowe’a. Przez dwanaście lat uważana za zmarłą.

Dlaczego to zrobiła?

Ich oczy się spotkały. Zobaczyła go.

Czyż nie widziała go zawsze?

– Nie umarłam – powiedziała ze smutkiem. – Zaiste, czarny charakter w sztuce.

Ostatnie uderzenie zegara rozbrzmiało w ciszy, jaka nastąpiła po tym oświadczeniu, a potem, jakby uwolniony z pęt, tłum zafalował w wybuchu szaleńczego

rozemocjonowania.

Odwróciła się i uciekła.

Wokół niego krążyły plotki i domysły. Docierały do niego strzępki rozmów.

– Zrujnowała go…

– …jak ona śmiała!

– Wykorzystała jednego z nas!

– Zniszczyła kogoś z naszej sfery!

To było właśnie to… czego, jak sądził, chciał dla niej. Czego pragnął owej nocy na ulicy, przed swoim domem. Zanim sobie uświadomił, że jej kompromitacja to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył. Zanim zrozumiał, że jej pożąda. Że ją kocha.

– Ten nieszczęśnik…

– Zbyt przystojny, żeby popełnić coś takiego…

– …istna diablica.

– Nigdy nie będzie mogła się tu pokazać.

Skompromitowała się. Nieodwracalnie. Dla niego.

Dopiero teraz, kiedy to się stało, kiedy usłyszał nienawiść w ich głosach, przejął go wstręt do tego, co wcześniej planował. I do nich wszystkich. Chciał rzucić się z pięściami na całą tę bandę arystokratów.

Biłby się dla niej z całą Brytanią w razie potrzeby.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu.

– Wasza Wysokość… – Spojrzał na człowieka, którego nie znał, rasowego arystokratę, o nienagannych manierach. Tytuł w jego ustach brzmiał nienawistnie. – Wiedziałem, że tego nie zrobiłeś. Przyłączysz się do nas? – Wskazał ręką grupę otaczających go mężczyzn, a potem pokój karciany.

To było to… cel, do którego dążył.

Akceptacja.

Jakby nic się nigdy nie zdarzyło.

Już nie Książę Zabójca.

Ale jej tu nie było. Wszystko nie tak.

Odwrócił się od tytułu. Od przeszłości. Od tego, czego zawsze pragnął.

I ruszył na poszukiwanie tego, czego zawsze potrzebował.

Powinna wyjechać natychmiast. On został, uwięziony w balowej sali, gdzie cały Londyn chciał się z nim pogodzić, i mogła się mu wymknąć z łatwością. Taki miała zamiar. Ale nie mogła się pogodzić z myślą, że nigdy go już nie zobaczy.

Tak więc stała obok jego domu niedaleko Temple Bar, rozpływając się w ciemności i obiecując sobie, że tylko spojrzy. Że do niego nie podejdzie.

Że go zostawi. Oczyszczonego z podejrzeń.

Dała mu wszystko, co mogła.

Pokochała go.

I to, a także ujrzenie go po raz ostatni w świetle ulicznej latarni musi jej wystarczyć.

Ale tak się nie stało.

Jego powóz, pędzący na złamanie karku, zaturkotał na bruku. Wyskoczył z niego,

zanim powóz się zatrzymał, wykrzykując polecenia dla woźnicy:

– Jedź do Anioła. Powiedz, co się stało. I znajdź ją.

Powóz odjechał, zanim Temple wszedł do domu. Wstrzymała oddech, przyrzekając sobie, że się nie odezwie. Chłonęła jego widok – jego wzrost, szerokie ramiona. To, jak potargane włosy opadały mu na czoło. To, jak poruszał się, niemal się nie poruszając, kiedy wyciągnął klucz i otworzył drzwi.

Nie wszedł jednak, znieruchomiał.

Odwrócił się do niej, wpatrując się w ciemność.

Nie mógł jej zobaczyć. Wiedziała o tym. A jednak, wydawało się, wiedział, że ona tam jest. Stanął na ulicy.

– Wyjdź.

Nie mogła odmówić. Zbliżyła się do światła padającego z latarni.

Odetchnął, w powietrzu zawisł gęsty, biały obłoczek pary.

– Mara.

– Nie miałam zamiaru przyjść. Nie powinnam.

Ruszył w jej stronę.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Żeby ci oddać twoje życie. Wszystko, czego chciałeś.

Nienawidziła tych słów, chociaż były prawdziwe. Nienawidziła ich, bo mówiły o takiej Marze, jaką nie była. Doskonała.

Więc powiedziała tylko:

– To była właściwa pora.

Stał przed nią, wielki, piękny. Zamknęła oczy, kiedy podniósł zdrową rękę i pogłaskał ją po policzku.

– Wejdź do środka – szepnął.

Zaproszenie było zbyt kuszące, żeby je odrzucić.

Kiedy znaleźli się za drzwiami, u stóp schodów, odezwał się znowu:

– Ostatnim razem, kiedy tu byłaś, odurzyłaś mnie.

Całe życie temu. Kiedy sądziła, że może spotkać się z nim ot tak, po prostu, bez żadnych konsekwencji. Kiedy wydawało jej się, że może przebywać z nim tygodniami i nie poznać go bliżej. Nie zacząć go lubić.

– Ostatnim razem, kiedy tu byłam, przeraziłeś mnie.

Ruszył po schodach w stronę biblioteki, gdzie zostawiła go nieprzytomnego.

– Czy teraz się boisz?

Tak.

– Nie mam przy sobie laudanum, więc to chyba bez znaczenia.

Zatrzymał się i odwrócił, żeby na nią spojrzeć.

– Ma znaczenie.

– Wolałbyś, żebym się bała?

– Nie.

Powiedział to tak stanowczo, tak szczerze, że wszystko inne przestało być ważne. Szła za nim, jak prowadzona na sznurku. Nie zatrzymał się przy bibliotece, tylko szedł dalej po schodach, na kolejne piętro. W ciemność. Zawahała się, przeczuwając, że jeśli za nim

podąży, wszystko może się zdarzyć.

A potem uświadomiła sobie, że nie dba o to.

Albo, raczej, że chce, żeby się zdarzyło.

Jak to się stało, że ten człowiek tak szybko opanował wszystkie jej myśli? Jak to się stało, że w ciągu zaledwie kilku tygodni przestała widzieć w nim wroga, a zobaczyła kogoś jeszcze bardziej groźnego?

Jak to się stało, że go pokochała?

Nie mogła się już zatrzymać. Szła za nim w mrok. W nieznane. Na szczycie schodów zapalił świecę i podszedł do szerokich, mahoniowych drzwi.

Naprawdę powinna coś powiedzieć.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z twoim dziennikarzem – zaczęła. – Opowiem mu całą historię, zgodnie z naszą umową, a potem zostawię cię w spokoju, oczyszczonego z rzekomych grzechów. Właściwie – paplała – powinnam już teraz sobie pójść. Nie jestem tu potrzebna.

Chwycił klamkę i odwrócił się twarzą do niej, oświetlony migotliwym, złotym płomykiem świecy.

– Nigdzie nie pójdziesz, póki nie porozmawiamy. – Otworzył drzwi i puścił ją przodem.

Zatrzymała się gwałtownie wewnątrz.

– To sypialnia.

Zamknął drzwi.

– W istocie.

To był pokój zdecydowanie męski, z ciężkimi dębowymi meblami, ciemnymi tapetami na ścianach i stosami książek wszędzie – na podłodze, na stołach, na krześle przy kominku, w którym wesoło buzował ogień, i przy kolumienkach łóżka…

Ogromnego łóżka.

– To twoja sypialnia – stwierdziła oczywisty fakt.

– Tak.

Oczywiście, że miał ogromne łóżko. Musiał się w nim zmieścić. Ale to łóżko mogło konkurować ze słynnym wielkim łożem z White Inn w Ware, mogącym pomieścić ponad 15 ludzi naraz.

Nie mogła oderwać oczu od wielkich drewnianych kolumn, kunsztownej siatki dębowych listewek w głowach łoża i puszystego nakrycia, które obiecywało niebo, choć bez wątpienia utkano je w piekle.

– Mamy tutaj rozmawiać? – Jej głos przypominał pisk.

– Tak.

Mogła na to przystać. Czemu nie. Przez dwanaście lat musiała polegać tylko na sobie. Przeżyła chwile większej grozy niż ta. Ale nie była pewna, czy jakaś chwila niosła większą pokusę.

– Dlaczego tutaj? – zapytała.

Zbliżał się do niej, zostawiwszy świecę na pobliskim stole. Twarz miał ukrytą w cieniu. Serce zaczęło jej łomotać w piersi, może powinna się bać. Ale nie czuła strachu. Nie było w jego ruchach groźby. Tylko obietnica.

– Ponieważ, kiedy już porozmawiamy, będę się z tobą kochać.

Szczere, uczciwe słowa sprawiły, że przestała czuć grunt pod nogami, a serce tłukło jej się tak głośno, że musiał to słyszeć.

– Zrobisz to?

Skinął głową z najgłębszą powagą.

– Owszem.

Dobry Boże. Jak kobieta może myśleć, usłyszawszy coś takiego?

– A potem się z tobą ożenię – ciągnął.

Słuch ją najwidoczniej zawodził.

– Nie możesz.

To było niemożliwe. Skompromitowała się. A on był księciem.

Książęta nie żenią się ze skompromitowanymi bohaterkami skandali.

– Mogę.

– Dlaczego?

– Bo chcę – odparł, podchodząc do kominka, żeby rozpalić ogień. – I ponieważ myślę, że ty też tego chcesz.

Oszalał.

Patrzyła, jak kuca przy kominku, oblany pomarańczowym światłem. Prometeusz, który skradł bogom ogień, żeby dać go ludziom. Był wspaniały.

Wstał i wysunął rękę z temblaka, usunął czarną taśmę, która podtrzymywała jego ramię, a potem ustawił przy ogniu duży fotel, usiadł w nim i wyciągnął zdrową rękę do Mary.

– Chodź. – To mogło brzmieć jak rozkaz, ale było prośbą.

Powinna odmówić.

Ale stwierdziła, że nie chce.

Podeszła, kierując się do krzesła zawalonego książkami, chcąc usunąć je, by zrobić dla siebie miejsce, ale chwycił ją za rękę.

– Nie tam. Tutaj.

Chciał, żeby usiadła razem z nim w jednym fotelu. Żeby usiadła mu na kolanach.

– Nie mogę…

Białe zęby błysnęły w świetle ognia.

– Nikomu nie powiem.

Rozpaczliwie chciała do niego podejść, ale miała dość rozsądku. Wiedziała, że jeśli znajdzie się na jego kolanach i dotknie go, nie będzie w stanie mu się oprzeć. Zawahała się, usiłując skupić myśli.

– Myślałam, że się na mnie rozgniewałeś.

– Tak. Dosyć. Nawet bardzo.

– Dlaczego? Postąpiłam, jak sobie życzyłeś. Przywróciłam ci imię.

Przyglądał jej się bardzo długą chwilę. Jego czarne oczy widziały wszystko.

– Maro – odezwał się cicho, odwracając jej rękę dłonią do góry i przesuwając palcami po jedwabiu. Oblało ją gorąco, jakby była bez ubrania. Jakby czuła dotyk na gołej skórze. – A gdybyśmy nie dźwigali brzemienia przeszłości? Gdybyśmy nie byli Księciem Zabójcą i Marą Lowe?

– Nie nazywaj tak siebie – parsknęła.

Przyciągnął ją mocniej.

– Chyba już nie mogę. Zrujnowałaś mi reputację.

Zesztywniała.

– Myślałam, że tego chciałeś.

Przyciągnął ją do siebie bliżej, rozsuwając swoje masywne uda. Znalazła się między nimi. Patrzył na nią poważnymi, czarnymi oczami, które wydawały się obiecywać wszystko, czego mogłaby tylko zapragnąć, jeśli mu ulegnie.

– Ja też tak myślałem.

– A nie było tak?

Chwycił ją zdrowym ramieniem, przyciągając jeszcze mocniej, wtulając twarz w jej spódnice, głaszcząc jej nogi, rozpalając w niej żar. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie wsunąć palców w jego włosy, zła, że rękawiczki nie pozwalają odczuć ich miękkości. Dotknąć go.

Przyciskając twarz do miękkiej wypukłości jej łona, wyszeptał:

– Zbyt wiele straciłaś.

– Naprawiłam zło. Byłeś niewinny.

Roześmiał się w jedwab jej sukni, ciepły oddech wywołał w niej dreszcz przyjemności.

– Nie jestem niewinny. To, co robiłem…

– To, co robiłeś, było wynikiem tego, co ja zrobiłam tobie – powiedziała, napawając się dotykiem jego rąk, jego twarzy. Ciesząc się nim.

– Nie – odparł. – Dosyć tego kłamstwa. To, co zrobiłem, obciąża tylko mnie. Jakim jestem. Jakim byłem. – Podniósł głowę. – Po pierwsze, nie byłem grzecznym chłopczykiem.

To nieprawda.

– Nonsens. Byłeś…

– …utytułowanym, nadętym osłem. Tej nocy, kiedy się spotkaliśmy. Po raz pierwszy.

Pamiętała go – młodzieńca o świeżej twarzy, skorego do uśmiechu.

– Tak?

– Poszedłem za tobą do twojej sypialni. Zapewniam cię, nie przyszło mi do głowy, że połączy nas miłość do grobowej deski.

Uśmiechnęła się.

– Zapewniam cię, Wasza Wysokość, że coś takiego także mnie nie przyszło do głowy.

– Czy byłem wobec ciebie niemiły?

– Nie.

Nie patrząc jej w oczy, wyszeptał w spódnice:

– Powiedziałabyś mi, gdyby było inaczej?

Położyła mu dłonie na policzkach i uniosła jego głowę.

– Myślę, że niewielu mężczyzn martwiłoby się czymś takim. – W jej tonie brzmiało zdziwienie. – Niewielu mężczyzn by to obchodziło, zważywszy, że zostawiłam cię nieprzytomnego, a potem uznano cię za winnego morderstwa, którego nie popełniłeś. Do którego w ogóle nie doszło.

Milczał chwilę. Czekała z niecierpliwością, co jej odpowie.

– Jestem bardzo szczęśliwy, że nie doszło – powiedział w końcu.

Posadził ją sobie na kolanach i objął. Powinna się sprzeciwić, ale oboje chyba postradali zmysły.

– Nie rozumiem, dlaczego porzuciłeś zemstę – szepnę?a ła w jego ramionach.

Wsunął rękę w jej włosy, usuwając szpilki utrzymujące fryzurę. W miarę jak je po kolei wyjmował, ciężka masa loków opadała na jej ramiona.

– Nie rozumiem, dlaczego i tak przez ciebie zemsta się dokonała.

Jego dłoń poruszała się w jej włosach, a ten dotyk sprawiał jej przeogromną przyjemność. Włosy opadły falą wokół jej ramion.

Może to ta słodka pieszczota kazała jej powiedzieć prawdę:

– Uwolniłeś mnie, ale to nie była wolność.

Znieruchomiał, zastanawiając się nad tymi słowami, po czym zapytał:

– A co to znaczy?

Zamknęła oczy. Wtuliła się w jego dłoń. Powiedziała półprawdę.

– Zostawiłeś mnie spętaną świadomością tego, co uczyniłam. Tobie. – Przerwała, ale pieszczota skłoniła ją, żeby mówić dalej. – Nie tylko dwanaście lat temu. Także w tę noc, kiedy Kit stanął na ringu. Dzisiaj. – Odetchnęła głęboko, pełna żalu i poczucia winy. Ujęła jego drugą dłoń i ścisnęła mocno. – Dzisiaj cię zdradziłam, a ty mnie uwolniłeś.

Kocham cię.

I mogłam ci dać jedyną rzecz, jakiej pragnąłeś.

Nie powiedziała tego. Nie mogła.

Bała się tego, co mogłoby się stać, gdyby powiedziała.

Bała się, że mógłby się roześmiać.

Bała się, że by się nie roześmiał.

Otworzyła oczy, napotykając jego spojrzenie – ciepłe, skupione.

– Zbyt wiele o mnie myślisz.

– Kiedy ostatnio ktoś o tobie myślał, Maro? – zapytał, zsuwając palce z jej głowy na policzki, szyję, ramiona. – Kiedy ostatnio ktoś się o ciebie troszczył? Kiedy na to pozwoliłaś?

Urzekał ją, oczarowywał. Leciutkim dotykiem, ciepłem oddechu, kiedy mówił. Pokręciła głową.

– Kiedy komuś zaufałaś?

„Nigdy nie pozwoliłbym mu cię skrzywdzić”.

Przypomniała sobie słowa, które nią wstrząsnęły na sali balowej. Zapewnienie, że nawet wtedy, dwanaście lat temu, nic o niej nie wiedząc, gotów był jej bronić.

Ileż się w tym kryło pokusy.

– Nie pamiętam.

Westchnął, tuląc ją mocno, całując jej czoło i policzek, zarys podbródka, szyję i kącik ust. Odwróciła się do niego, chcąc oddać pocałunki. Uciec przed myślami, wywołanymi jego słowami. Uciec przed nim. Ukryć się przed nim.

W nim.

Ale on nie zamierzał na to pozwolić.

– Pytałaś mnie kiedyś, skąd się wzięło imię Temple.

Znieruchomiała, niepewna, czy chce teraz poznać prawdę. Czy jest w stanie się z nią zmierzyć.

– Tak.

– Spałem tam w noc przyjazdu do Londynu. Po wygnaniu mnie z domu.

Zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem. Spałeś w jakiejś świątyni?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Obok. Pod Temple Bar.

Znała ten obiekt, stojący parę ulic dalej, na wschodnim krańcu miasta, wyznaczający granicę między Londynem zamożnym a biednym, pracującym w pocie czoła. Pomyślała o młodzieńcu o otwartej, szczerej twarzy, który okazał jej dobroć i dał przyjemność. I który był tam sam. Nieszczęśliwy. Przerażony.

– Czy byłeś… – Usiłowała znaleźć słowa, które by go nie uraziły.

Wykrzywił usta w niewesołym uśmiechu.

– O czymkolwiek myślisz… odpowiedź zapewne brzmi: tak.

Cud, że był w stanie na nią patrzeć.

Przebywać z nią w tym samym pokoju.

Nie zasługiwała na niego.

– Co nastąpiło po pierwszej nocy? – zapytała.

– Druga i trzecia – odparł, rozpinając jej rękawiczkę i zdejmując ją tak samo zręcznie, jak przedtem włożył. – A potem nauczyłem się sobie radzić.

Zsunął jedwab z jej palców, a ona natychmiast położyła dłoń na jego ramieniu, czując, jak jego mięśnie poruszają się pod jej dotykiem.

– Nauczyłeś się walczyć.

Zajął się drugą rękawiczką.

– Byłem duży. I silny. Musiałem tylko zapomnieć o regułach boksu, jakie wpajano mi w szkole.

Skinęła głową. Zapomniała o wszelkich wyuczonych w dzieciństwie zasadach, żeby przeżyć – po ucieczce.

– Już nie miały zastosowania.

Spojrzał jej w oczy, zsuwając drugą rękawiczkę.

– To mi pomogło przetrwać. Byłem pełen gniewu, a dżentelmeńskie wychowanie nie jest pomocne w uśmierzaniu go. Walczyłem na ulicy dwa lata, angażując się w każdą walkę, za którą mi płacono. – Przerwał i się uśmiechnął. – I każdą, za którą mi nie płacono.

– Jak trafiłeś do Upadłego Anioła?

Zmarszczył brwi.

– Ja i Bourne przyjaźniliśmy się w szkole. Stracił wszystko, co nie podlegało dziedziczeniu, i postanowiliśmy zawrzeć przymierze. Organizował gry na ulicy. Ja pilnowałem, żeby przegrywający płacili. – Była zaskoczona, widział to. – Mało honorowe zajęcie.

– Co dalej? – chciała koniecznie poznać całą historię.

– Pewnej nocy posunęliśmy się za daleko. Za bardzo naciskaliśmy. I zapędziliśmy

grupę mężczyzn w kozi róg. Niezbyt przyjemny.

Mogła to sobie wyobrazić.

– Ilu?

Wzruszył ramieniem, jego ręka przesunęła się po jej udzie, rozpraszając ją.

– Dziesięciu. Może więcej.

Znowu się skupiła.

– Przeciwko tobie?

– I Bourne'owi.

– Niemożliwe.

Uśmiechnął się.

– Co za brak wiary we mnie.

Uniosła brwi.

– Nie mam racji?

– Nie.

– Więc co?

– Więc Chase.

Tajemniczy Chase.

– Był tam?

– W pewnym sensie. Walczyliśmy, jak się wydawało, wieki, a oni byli niezmordowani i myślałem, że już po nas. – Wskazał bliznę przy oku. – Krew zalewała mi oko i nic nie widziałem. – Skrzywiła się i natychmiast zamilkł. – Przepraszam. Nie powinienem.

– Nie – powiedziała, podnosząc dłoń do cienkiej, białej linii, muskając ją palcami, zastanawiając się, co by zrobił, gdyby ją pocałowała. – Po prostu nie mogę znieść myśli, że cię zraniono.

Uśmiechnął się, podniósł jej dłoń do ust i ucałował czubki palców.

– A odurzono?

Uśmiechnęła się również.

– Z mojej ręki to zupełnie co innego.

– Rozumiem. – Podobał jej się śmiech w jego głosie. – Cóż… Wystarczy powiedzieć, że myślałem, że już po nas. A potem zatrzymał się przy nas powóz i wysypała się z niego gromada mężczyzn – i wtedy uznałem, że to koniec. Ale oni walczyli po naszej stronie. I nie obchodziło mnie, dla kogo pracują, póki ja i Bourne byliśmy żywi.

– Pracowali dla Chase'a.

Temple schylił głowę.

– Tak.

– A potem ty pracowałeś dla niego.

Pokręcił głową.

– Z nim. Nigdy dla niego. Oferta była jasna od początku. Chase miał pomysł na kasyno, które zmieniłoby na zawsze tego rodzaju rozrywkę. Tylko dla arystokracji. Ale do tego potrzebował kogoś, kto umie się bić. I kogoś, kto zna się na grach. Ja i Bourne stanowiliśmy idealne połączenie.

Westchnęła.

– Uratował cię.

– Bez wątpienia. – Przerwał, zagubiony w myślach. – I nigdy nie wierzył, że jestem zabójcą.

– Bo nim nie byłeś. – Tym razem nie mogła nie pochylić się i nie pocałować go w skroń. Kiedy się odsunęła, poszukał jej ust.

Trwali w pocałunku długą chwilę, w końcu Mara się odsunęła.

– Chcę poznać resztę tej historii. Stałeś się niepokonany.

Zraniona ręka zgięła się przy jej biodrze.

– Zawsze byłem dobry w stosowaniu przemocy.

Jej ręce poruszały się mimowolnie, sunęły po jego szerokiej, ciepłej piersi. Był wspaniale zbudowany – wynik wielu lat walki. Nie tylko dla sportu, ale także dla zachowania życia.

– To był mój cel.

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie.

Był bystry, zabawny i dobry. I przystojny. Ale nigdy nie stosował przemocy.

Ujął mocno jej podbródek.

– Posłuchaj, Maro. To nie przez ciebie stałem się taki. Gdybym nie miał w sobie skłonności do przemocy, nigdy by mi się nie udało. Upadły Anioł nie odniósłby sukcesu.

Nie chciała w to uwierzyć.

– Kiedy komuś narzuca się jakąś rolę, przyjmuje ją. Byłeś do tego zmuszony. Okolicznościami. – Zamilkła. – Ja cię zmusiłam.

– A kto zmusił ciebie? – zapytał, splatając palce z jej palcami, przykładając jej dłoń do swojej piersi, gdzie czuła bicie serca. – Kto ukradł cię światu?

Cała rozmowa do tego zmierzała. Opowiedział swoją historię dokładnie, bez niedomówień. Doszli do punktu, w którym przyszła kolej na nią. Mogła albo powiedzieć prawdę, albo nic nie mówić.

Z jednej strony, była bezpieczna.

Z drugiej – znalazła się w straszliwym niebezpieczeństwie.

Że stanie się jego.

Pokusa była czymś przewrotnym i cudownym.

Skupiła się na jego doskonale zawiązanym fularze.

– Masz kamerdynera?

– Nie.

Skinęła głową.

– Nie pomyślałabym.

Sięgnął ręką i rozwiązał fular, ukazując trójkąt ciepłej, brązowej skóry, porośniętej kręconymi czarnymi włoskami.

Był piękny.

Czy tym słowem można opisać takiego mężczyznę jak on – szerokiego, silnego, świetnie zbudowanego? Większość wybrałaby określenie „przystojny” albo „robiący wrażenie”, podkreślające męskość.

Ale on był piękny. Pod bliznami i mięśniami kryła się miękkość, której nie mogła się oprzeć.

– Zawsze się bałam – zaczęła. – Od dzieciństwa. Bałam się swojego ojca, potem

twojego. Potem tego, że mnie znajdą. A jeszcze później, kiedy dowiedziałam się, jak straszną popełniłam pomyłkę – o tym, co się z tobą stało – bałam się, że mnie znajdą. – Spojrzała na niego, w jego piękne czarne oczy. – Należało wrócić, kiedy usłyszałam, że oskarżono cię o to, że mnie zabiłeś. Ale kości zostały rzucone i nie wiedziałam, jak to zmienić.

Pokręcił głową.

– Prowadzę kasyno. Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że nie można niczego zmienić, kiedy wypuścisz kości z ręki.

– Wiele miesięcy nie wiedziałam, co cię spotkało. Pojechałam do Yorkshire, a tam wieści docierały z rzadka. Nie wiedziałam nawet, że Książę Zabójca to ty, póki…

Kiwnął głową.

– Póki nie było za późno.

– Nie rozumiesz? Nie było za późno. Nigdy nie było za późno. Ale bałam się strasznie, że jeśli wrócę… – Urwała, musiała się uspokoić. – Mój ojciec wpadłby w furię. A ja ciągle byłam narzeczoną twojego ojca. I bałam się.

– Byłaś młoda.

Spojrzała w jego pełne zrozumienia oczy.

– Gdy oni umarli, też nie wróciłam. – Myślała o tym. Chciała. Wiedziała, że należało. Ale. – Wtedy też się bałam.

– Jesteś najmniej strachliwą osobą, jaką znam – powiedział.

Nie zgodziła się.

– Mylisz się. Całe życie bałam się kontroli nade mną. Że ktoś ją przejmie. Mój ojciec. Twój. Kit. Ty.

– Nie chcę cię kontrolować.

– Nie wiem dlaczego.

– Ponieważ wiem, co to znaczy być kontrolowanym. I nie życzę ci tego.

– Przestań – poprosiła cicho. – Przestań być taki dobry.

– Wolałabyś szorstkość? Nie dość ci jej okazałem? – Poruszył się pod nią i ujął jej twarz jedną ręką. – Dlaczego to zrobiłaś, Maro? Dlaczego dzisiaj?

Nie udawała, że nie rozumie. Pytał, dlaczego zdemaskowała się przed całym Londynem. Dlaczego wróciła, chociaż dał jej jasno do zrozumienia, że nie musi.

– Bałam się tego, kim się stanę, jeśli tego nie zrobię.

Skinął głową.

– Dlaczego jeszcze?

– Ponieważ bałam się, że jeśli zostanę w ukryciu, to i tak wkrótce ktoś mnie odnajdzie.

– Dlaczego jeszcze? – powtórzył.

– Bo zmęczyło mnie życie w cieniu. Skompromitowana czy nie, od dzisiaj żyję w świetle, a nie w cieniu.

Pocałował ją, przedłużając pieszczotę, przesuwając dłońmi wzdłuż jej boków, tuląc ją mocno.

Kiedy skończył pocałunek, przycisnął czoło do jej czoła i zapytał ledwie słyszalnie:

– Dlaczego jeszcze?

Zamknęła oczy, zachwycona jego bliskością, marząc o tym, żeby pozostać w jego

ramionach przez resztę życia.

– Bo na to nie zasługiwałeś.

Pokręcił głową.

– Ale to nie wyjaśnia: dlaczego.

Wciągnęła głęboko powietrze.

– Bo nie chciałam cię stracić.

Kiwnął głową.

– Jeszcze?

Wiedział. Prawda jawiła się pod słowami niczym przepaść. Chciał tylko, żeby powiedziała to głośno. Żeby skoczyła.

I tej ostatniej nocy – ich jedynej wspólnej nocy – ze wzrokiem utkwionym w jego oczach, wtulona w niego, skoczyła.

– Bo tak się jakoś stało…

Opierała się prawdzie z trudem, wiedząc, że prawda wszystko zmieni. Że wszystko stanie się trudniejsze.

– … że ty, twoje szczęście, twoje pragnienia, stały się najważniejsze.

A w myślach mówiła: kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.

Może to usłyszał, bo wstał i jednym płynnym ruchem podniósł ją do góry i zaniósł na to ogromne łoże.

# 18

Nigdy nie czuła się tak doceniona, jak wtedy, kiedy stała przy jego łóżku, odziana w jedwab, ciepła od jego dotyku i obietnicy tego, co miało nastąpić. Muskał palcami jej policzek i podbródek, szyję i miejsce, gdzie pulsowała krew pod skórą.

Obrysował linię jej obojczyka i wypukłość piersi, zatrzymując palce w momencie, gdy wciągnęła, drżąc, powietrze w płuca. Spojrzał na nią czarnymi oczami.

– Chcesz, żebym przestał?

– Nie – odparła natychmiast. Pragnęła, żeby podjął pieszczotę. Żeby nie ustawał. Nigdy.

– Nie zrobię ci krzywdy.

Znieruchomiała, zastanawiając się, ile razy składał taką obietnicę innym kobietom. Chcąc je uspokoić, kiedy stały na odległość wyciągniętego ramienia od Księcia Zabójcy.

– Wiem – oznajmiła, biorąc jego zranioną rękę i przyciskając do siebie jej palce. Drugą rękę wsunęła mu we włosy, nachylając ku sobie jego usta. – Nigdy mnie nie skrzywdzisz – szepnęła przy jego wargach.

Jęknął z pożądania, obejmując ją zdrową ręką w talii i przyciągając do siebie. Wyszeptał jej imię i pocałował ją namiętnie. Poprzednie pocałunki zaledwie wodziły na pokuszenie, ten zaś obiecywał ocean grzesznych rozkoszy.

Był cudowny.

Czuła jego dłoń wszędzie i sama w niczym mu nie ustępowała, oddając pocałunki, nie przestając, aż odsunął się z jękiem, zostawiając ją bez tchu, pragnącą więcej i więcej.

– Nie – szepnął, odwracając ją twarzą do masywnego łoża, sprawiającego groźne wrażenie i zarazem pociągającego. Zaczął rozpinać suknię.

– Szybciej – westchnęła, kiedy odpinał po kolei guziczki i rozwiązywał tasiemki. – Pospiesz się.

Guziki opierały się wyraźnie. A może to on wolał poruszać się wolniej.

– Nie pozwolę zmusić się, żeby to robić szybko – szepnął jej do ucha, wywołując dreszcz podniecenia. – Chcę mieć dla nas całą noc.

Ucałował jej ramię. Suknia rozluźniła się, przycisnęła ją dłonią do piersi.

Podniósł jej dłoń i pocałował, drażniąc zębami poduszeczkę wskazującego palca. Suknia spadła na podłogę; przesunął wzrok na jej koszulkę i zgrabny gorset.

– Chcę, żeby to trwało dłużej.

Westchnęła. Wiedziała, oczywiście, że nie mają dużo czasu. Ale mieli dzisiejszą noc i siebie, i to wystarczyło, żeby zapomniała o wszystkim innym.

Jutro wrócą do swojego życia – on do tego, za którym tak długo tęsknił, ona do tego,

na które od dawna zasługiwała.

Położył jej ręce na kolumience łoża i zaczął rozwiązywać gorset, pociągając jedwabne taśmy, aż spadł na ziemię, w ślad za nim poszła koszulka.

Stała naga w haftowanych pończochach, które jej kupił. Marzyła, zakładając te pończochy, że on je będzie zdejmować, nawet jeśli rozpaczliwie usiłowała stłumić tę myśl.

Jego ręce, silne, cudowne ręce, które pokochała zarówno za ich delikatność, jak i siłę, sunęły po jej nagiej skórze, podczas gdy usta całowały ramię.

Nie ręce. Ręka.

Zawsze jedna ręka. Zawsze ta zdrowa ręka.

Odwróciła się do niego.

– Poczekaj.

Czekał. Bo tego chciała. I kochała go za to jeszcze bardziej. Podniosła jego chorą rękę do ust i ucałowała kostki palców. Patrzył na nią oczami pociemniałymi z namiętności, ale czegoś w tym spojrzeniu brakowało. Czegoś, na co mogłaby nie zwrócić uwagi, gdyby się nad tym nie zastanawiała.

Nie czuł jej dotyku.

Odwróciła rękę, całując jego dłoń.

– Co myśmy ci zrobili? – szepnęła.

Wyrwał rękę, ale nie pozwoliła mu uciec.

Podniosła jego drugą rękę i pieściła ją, aż zabrakło mu tchu i z trudem zapanował nad pożądaniem.

Była wstrząśnięta. Jego ręka. Ukradli mu ją.

– Temple – zaczęła cicho, sięgając po tę chorą rękę, pełna miłości.

– Nie – sprzeciwił się, odwracając ją ponownie i kładąc jej ręce na kolumnie. Ucałował miejsce za jej uchem, jej szyję, plecy.

– Ty drżysz.

Nie mogła opanować drżenia, przejęta jego bliskością. Nie była w stanie skierować rozmowy na jego rękę.

– Nie mogę… – jęknęła. – To zbyt wiele.

– To jeszcze nie dosyć – szepnął.

Całował jej plecy, posuwając się w dół, aż dotarł do miejsca, gdzie przechodziły w miękkie zaokrąglenie. Pieścił ją, aż westchnęła głęboko. Wtedy odwrócił ją twarzą do siebie.

Nie powinna się zdziwić, widząc go na kolanach, ale jednak ją to zdumiało i wprawiło w panikę. Rozpaczliwie chciała powtórzyć to, co się działo poprzedniego dnia na ringu. A jednocześnie rozpaczliwie nie chciała.

– Temple – szepnęła, wyciągając rękę, pozwalając mu ją chwycić i przytulić do policzka.

– William – poprawił ją.

Spojrzała zaskoczona.

– Ale ty…

– Jesteś jedyna, która myśli o mnie w ten sposób. Jedyna, która widziała mnie w ten

sposób.

Prawda zabolała. Przypomniała jej to, co uczyniła. Uświadomiła jej, czym mogła być ta noc i czym nie mogła.

– Tak mi przykro – szepnęła ze łzami w oczach. – Ja nigdy…

Podniósł się z niezwykłą gracją i przytulił ją do siebie.

– Nie. Nie wolno ci tego żałować. To, że mnie takim widziałaś, zmieniło wszystko. Zmieniło moje życie. Zmieniło mnie. – Pocałował ją długo, mocno. – Chryste, Maro, oczywiście, że to ty. Zawsze byłaś ty. I zawsze będziesz.

To nią wstrząsnęło.

– Nie mogę ustać na nogach.

– To nie stój. Trzymam cię.

Poddała się jego sile; położył ją na łóżku, rozsuwając jej nogi i układając je na swoich ramionach; całował delikatną, wrażliwą skórę wewnętrznej strony jej ud. A ona, wijąc się na jedwabnej pościeli, zastanawiała się, jak to się stało, że się tutaj znalazła. Jak to się stało, że na niego zasłużyła.

Nie zasłużyła.

Nie zasłużyła i to miał być jej największy grzech – ta noc. To, że kradnie ją komuś, kto mógł na nią zasłużyć. Która mogłaby być dla niego czymś więcej. Która mogłaby być dla niego lepsza.

Weźmie tę noc bez żalu.

Żeby zapamiętać.

Na całe życie.

Całował ją, a ona wplotła palce w jego włosy. Dał jej wszystko, czego pragnęła. A jednak nie wszystko. Uniosła biodra.

– Och, jakiż piękny widok – szepnął. – Jesteś doskonała. Chcę cię mieć taką na zawsze.

Grał na niej jak wirtuoz, jakby była instrumentem, na którym grał całe życie.

Uleciała w jego ramionach w niebo, wiedząc, że ten człowiek jest wszystkim, czego pragnęła, o czym marzyła, co sobie wyobrażała. Zagubiła się w rozkoszy, w nim, w jego dotyku, zapachu.

Wróciła na ziemię i położyła głowę na jego ramieniu. Głaskał jej włosy, rozrzucając je na łóżku. Pocałował ją w skroń, szepcząc:

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Zadrżała i wtuliła się w jego ciało, kładąc rękę na jego koszuli. Przemówiła do koszuli:

– Przerażasz mnie.

Znieruchomiał.

– Dlaczego?

– Nigdy nie sądziłam, że możesz mnie tak pociągać. Że mogę być tak z tobą związana. Że będziesz mnie posiadać tak całkowicie. Że będziesz miał taką… – zawahała się – … nade mną władzę. Kontrolę.

Chwycił jej dłoń i podniósł się, żeby ją lepiej widzieć.

Usiadła, próbując wyjaśnić.

– Nawet teraz… kiedy jesteś o parę cali ode mnie… nie mogę znieść tego oddalenia.

Wyciągnął rękę, ale zatrzymał ją w powietrzu, jakby nie był pewien, co ma zrobić.

– Maro – powiedział cicho, kojącym tonem. – Nie chcę, żebyś kiedykolwiek pomyślała, że czerpię przyjemność z tego, że…

Przerwała mu, kładąc palce na jego ustach.

– Nie – szepnęła ze łzami w oczach. – Nie rozumiesz. Tęsknię za tobą, kiedy nie jesteś ze mną. – Jego oczy pociemniały z pożądania, a jej zaparło dech w piersiach na ten widok. – Zniewoliłeś mnie. – Dotykiem, pocałunkiem, pięknymi oczami. Całkowicie.

A to sprawia, że wszystko staje się trudniejsze.

Tego ostatniego nie powiedziała.

– Masz nade mną władzę. Kontrolujesz mnie – szepnęła tylko.

Patrzył na nią długą chwilę, a ona tęskniła za jego dotykiem. Wstał z łóżka i pomyślała, że wszystko popsuła. Ale wrócił za chwilę, bez koszuli i butów, jedynie w czarnych, wełnianych spodniach, z czarnym tatuażem na ramionach i białym płótnem bandaża.

Chłonęła go oczami, każdy cal jego skąpanego w złotym blasku świecy ciała. Jak ten podobny bogom, niczym grecka rzeźba albo dzieło Michała Anioła, człowiek mógł być potomkiem jednego z najświetniejszych rodów arystokratycznych Anglii? Nie było w nim nic zniewieściałego. Był niezwykle męski, silny, a przy tym pełen wdzięku.

Jej wzrok spoczął na jego zdrowej ręce, w której trzymał odrzucony wcześniej fular – długi pasek materiału, zarazem groźba i obietnica.

– Chcesz uniknąć kontroli – stwierdził.

Jej serce przyspieszyło gwałtownie.

– Tak.

Wyciągnął fular w jej stronę. Po chwili wahania wzięła go, a on położył się na łóżku, wyciągając ręce za głową, aż dotknęły wezgłowia.

Zaschło jej w ustach, był taki piękny. Doskonały pod każdym względem.

– Przejmij kontrolę – powiedział. Ogarnęło ją gorące, palące pożądanie, któremu nie była w stanie się oprzeć.

Przesunęła fular między palcami, szeroko otwierając oczy.

– Jesteś pewien?

Kiwnął głową, zaciskając dłonie na wezgłowiu.

– Zaufaj mi, Maro.

Przysunęła się, naga, tylko w jedwabnych pończochach.

– Chcesz, żebym cię przywiązała? – zapytała, klękając obok niego.

Uśmiechnął się.

– Chcę, żebyś zrobiła ze mną, na co masz ochotę.

Oddawał się jej. Dla jej przyjemności. Mogła myśleć tylko o tym, że jej przyjemność jest związana z jego przyjemnością. Ta myśl dodała jej odwagi, siły, żeby zrobić coś niesłychanie śmiałego. Usiadła okrakiem na jego torsie. Jęknął i zamknął oczy, unosząc biodra.

– Ale jeśli chcesz mi zawiązać oczy, kochana, zrób to teraz. Nie torturuj mnie dłużej tym widokiem.

Zawiązać mu oczy. Dobry Boże. Czy ludzie robią takie rzeczy?

Chciała to zrobić. Rozpaczliwie.

Uśmiechnęła się, zachwycona, że roześmiał się, widząc jej uśmiech.

– Ty hultajko. Podoba ci się to.

– Chcesz mnie.

– To nawet w przybliżeniu nie oddaje tego, co do ciebie czuję – odparł niskim głosem. – „Chcieć” to za mało, żeby opisać moje pożądanie. To, jak bardzo cię pragnę. Jak za tobą tęsknię.

Pochyliła się, nie mogąc się oprzeć impulsowi, i wzięła jego usta w posiadanie, całując go długo, namiętnie, tak jak ją nauczył.

Podniosła głowę. Odważnie nasunęła mu fular na oczy, a potem zawiązała mocno z tyłu, zachwycając się napięciem jego ciała pod sobą, jego szybkim oddechem.

Pochyliła się, wtulając się w niego i szepcząc mu do ucha:

– Jesteś mój.

– Na zawsze – jęknął głucho.

Jednak nie na zawsze.

Nie mogła mieć go na zawsze. Nie zasługiwał na takie życie – na małżeństwo z kobietą zhańbioną, której Londyn nigdy nie uzna za swoją, nigdy nie zapomni jej przewin. Jak długo z nim pozostanie, tak długo będzie Księciem Zabójcą.

A zasługiwał na coś dużo lepszego.

Ale tej nocy mogła udawać.

Całowała jego ciepłą skórę, ramiona, pierś, pieszcząc wargami zwłaszcza blizny – aż jęknął cicho.

Uniosła głowę.

– Czy to boli?

– Nie. Tylko, że… – Czekała, żeby dokończył. – Nikt nigdy nie chciał ich dotykać, nie w ten sposób.

Ona chciała. Chciała dotknąć każdego miejsca na jego ciele i to dodało jej śmiałości. Zsunęła się niżej i rozpięła jego spodnie, po czym je zdjęła. Instynkt i pożądanie zastąpiły doświadczenie.

Przyglądała mu się, był doskonały.

I był jej.

Oddawał jej władzę nad nim. Kontrolę.

– Maro – szepnął.

Chciała mu dać wszystko, czego chciał. Ale…

– Nie wiem, co mam robić – wyznała. Przyszło jej to łatwiej, bo jej nie widział. – Ja nigdy… Chcę to zrobić właściwie.

Zachichotał.

– Nie możesz tego zrobić niewłaściwie, kochana. Wierz mi. Za bardzo cię pragnę.

– Śniłam kiedyś o tym – powiedziała cicho. – W nocy. Byłam ciekawa, jakby to było…

– Nie mów. Nie chcę wiedzieć, że śniłaś o innym.

To nią wstrząsnęło.

– Nigdy nie było innego – odparła. – Zawsze byłeś tylko ty.

Pod jej dotykiem jęczał z rozkoszy.

– Mocniej – powiedział.

– Myślałam, że to ja panuję nad sytuacją.

– Kochana, jeśli myślisz, że jest inaczej, to postradałaś zmysły.

Uśmiechnęła się, zwiększając tempo.

– Skąd mam wiedzieć, że to ja sprawuję kontrolę?

– Bo gdybym ja był na twoim miejscu, nie bawilibyśmy się w głupie gierki.

Roześmiała się, a on dodał:

– Kocham dźwięk twojego śmiechu. – Zamarła. – Chcę go słyszeć codziennie.

To były najpiękniejsze słowa, jakie ktoś jej powiedział.

Nagrodziła go za to dłońmi, ustami.

Wielbiła go. Kochała go.

Póki sobie nie uświadomiła, że to nie dość. Że chce wszystkiego. Przerwała.

– Nie… – jęknął. – Dlaczego?

Podniosła się, rozsuwając nogi nad jego biodrami.

Tak doskonale do siebie pasowali. Westchnęli oboje – to była pół modlitwa, pół bluźnierstwo.

– Nie boli? – szepnął.

Pokręciła głową.

– Nie. – To było wspaniałe. – A ciebie?

Uśmiechnął się.

– Do diabła, nie.

– Poruszę się zatem, jeśli można.

Parsknął śmiechem.

– Kontrolujesz sytuację, kochana.

I tak było. Podnosiła się i opadała, napawając się doznaniami.

Zachęcał ją szeptem, unosząc biodra, kiedy jakiś rytm czy ruch szczególnie mu odpowiadał. Powtarzała te ruchy raz po raz, ciesząc się tym, jak Temple zapamiętuje się w pożądaniu.

To było cudowne.

Ale czegoś brakowało.

Jego.

Jego dotyku. Jego spojrzenia. Tak tego potrzebowała. Nie chciała panować. Nie chciała sama tego przeżywać.

Chciała się z nim dzielić tą chwilą.

Więc zdjęła opaskę z jego oczu i odrzuciła. Poczuła na sobie jego gorące spojrzenie. Omal nie zemdlała, kiedy natychmiast zaczął ustami pieścić jej pierś.

Wciąż jednak ściskał dłońmi wezgłowie. Póki nie uwolniła go, mówiąc po prostu:

– Jestem twoja.

Położył ręce na jej biodrach, kierując jej ruchem, znajdując perfekcyjny rytm.

– Nie przerywaj – szepnęła, opierając dłonie na łóżku obok jego głowy.

Nie przestawaj na mnie patrzeć.

Nie przestawaj się poruszać we mnie.

Nie przestawaj mnie kochać.

Usłyszał to.

– Nigdy – przyrzekł.

Poddała się rozkoszy. Jemu.

Dopiero kiedy jej rozkosz sięgnęła szczytu i on osiągnął spełnienie, wykrzyknął jej imię, tuląc ją mocno do siebie. Trwali tak, złączeni, póki nie uspokoił się rytm ich serc.

Poruszyła się po długiej chwili, zadrżała pod wpływem panującego w pokoju chłodu. Przykrył ją skrajem ogromnej kołdry, nie chcąc wypuszczać z ramion.

Zanurzył nos w jej szyi.

– Nie mogę się tobą nasycić – powiedział. – Twoim zapachem. Mam ochotę wykupić wszystkie cytryny w Londynie, żeby nikt nie mógł wziąć tej woni dla siebie. Ale to nie są po prostu cytryny. To coś jeszcze. Ty.

W jej sercu rozlało się ciepło.

– Zauważyłeś mój zapach?

Uśmiechnął się. O to samo ją zapytał wieki temu. Odpowiedział, jak ona wtedy.

– Nie można go nie zauważyć.

Leżeli w milczeniu; gładził ją zdrową ręką po plecach. Zastanawiała się, o czym on myśli, i już miała o to zapytać, kiedy sam się odezwał:

– A jeśli nie będę mógł więcej walczyć?

Jego ramię. Zaczęła całować jego pierś.

– Będziesz.

Zignorował banalną pociechę.

– A jeśli nigdy nie odzyskam czucia? Kim wówczas będę? Kim jestem, jeśli nie jestem niepokonany? Jeśli nie będę bokserem? Nie będę Księciem Zabójcą? Jaką będę miał wartość?

Serce ją bolało, kiedy słyszała te pytania. Będzie wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęła. Wszystkim, o czym marzyła.

Podniosła głowę.

– Nie rozumiesz tego, prawda?

– Czego?

– Jesteś kimś o wiele bardziej wartościowym.

Scałował te słowa z jej ust. Tak bardzo chciała, żeby jej uwierzył, że włożyła w tę pieszczotę całą miłość, całą wiarę.

A potem szepnęła:

– Temple, jesteś wszystkim.

– William – poprawił. – Nazywaj mnie Williamem.

– William – wyszeptała to imię przy jego piersi. – William.

William Harrow, książę Lamont.

Człowiek, którego zniszczyła. Którego mogła przywrócić światu. Oddać życie, które mu odebrała. Mogła mu przywrócić dawną chwałę – świat, który kochał, kobiety, bale, arystokrację. Świat, którego by nie odzyskał, gdyby postąpił szlachetnie, głupio, żeniąc się z nią.

Nie. To był największy dar, jaki mógł od niej otrzymać. Nawet jeśli była to także największa ofiara, jaką miała złożyć.

Miała oddać wszystko, czego pragnęła.

Jedyne, czego pragnęła.

Jego.

Ona nie była jego marzeniem. Jego celem. Nie mogła być żoną, matką, dziedzictwem.

– Nie możemy się pobrać – powiedziała cicho.

Pocałował ją w czubek głowy.

– Śpij ze mną tej nocy, a rano pozwól się przekonać, dlaczego to jest najlepszy z moich pomysłów.

Nie powinna. Powinna odejść teraz, kiedy jeszcze miała siłę.

– Nie mogę…

Przerwał jej długim, słodkim pocałunkiem, w którym było coś więcej niż namiętność. Nie chciała tego nazywać, bo gdyby to zrobiła, nie byłaby w stanie postąpić tak, jak należało.

– Zostań.

Serce jej omal nie pękło na to słowo, zmysłowe, mroczne w jego ustach. Tyle w nim było pożądania. Obietnicy. Doskonale wiedziała, że jeśli posłucha, on zrobi, co w jego mocy, żeby ją zatrzymać. Żeby ją chronić.

I już nigdy nie odzyskałby życia, na jakie zasługiwał. Wolnego od skandalu i kompromitacji. Wolnego od wspomnień o przeszłości i własnej ruinie.

Był zbyt doskonały. Zbyt prawy. A ona była tylko złem.

Tylko zniszczyłaby go na nowo. Zniszczyłaby wszystko, czego pragnął. Musiała go zostawić. Odejść, zanim pokusa, żeby zostać, stanie się zbyt silna.

Tak więc powiedziała ostatnie kłamstwo. Najważniejsze w życiu.

– Zostanę.

Zasnął, a kiedy jego oddech stał się głęboki i rytmiczny, wyznała prawdę:

– Kocham cię.

# 19

Obudził się spokojny, po raz pierwszy od dwunastu lat, i od razu wyciągnął ręce po Marę.

Chciał wziąć ją w ramiona i kochać się z nią. Chciał jej dowieść, że powinni się pobrać. Pokazać, jak uczyni ją szczęśliwą. Jak będzie okazywać jej miłość.

I będzie ją kochać – cóż za dziwne i nieuchwytne słowo – ze wszystkich sił, choć nigdy nie podejrzewał, że coś takiego może się zdarzyć w jego życiu. Będzie ją kochać.

Zacznie dzisiaj.

Tylko że nie było jej w łóżku. Miał w ręku tylko pościel, zbyt chłodną, żeby odeszła niedawno.

Do diabła, uciekła.

W jednej chwili wyskoczył z łóżka i naciągnął spodnie, które zdjęła z niego poprzedniego wieczoru, usiłując o tym nie myśleć. Nie chciał, żeby wspomnienie uczuć, jakie w nim budziła, zamroczyło mu umysł. Wspomnienie namiętności. Rozkoszy.

Ubrał się błyskawicznie i zszedł na dół, osiodłał konia w stajni i w ciągu pół godziny znalazł się przed numerem 9 na Cursitor Street. Wbiegł po schodkach, pokonując trzy stopnie naraz, i wpadł do środka, nie zawracając sobie głowy pukaniem. Dobrze, że drzwi nie były zamknięte, bo wyrwałby je z futryny.

Lydia przechodziła właśnie przez hol; stanęła w pół kroku. Nie miał czasu na uprzejmości.

– Gdzie ona jest?

Lydię uczyła mistrzyni.

– Wasza Wysokość wybaczy, gdzie jest kto?

Przeżył trzydzieści lat, nie udusiwszy żadnej kobiety, i nie zamierzał teraz zaczynać. Ale to nie znaczyło, że nie wykorzysta okazji – on, olbrzym – do wystraszenia jednej z nich.

– Panno Lydio, nie jestem w nastroju do zabawy.

Lydia wciągnęła głęboko powietrze.

– Nie ma jej tutaj.

W głębi duszy wiedział, że to prawda, ale nie miał ochoty w to uwierzyć. Więc zamiast ciągnąć bezowocną rozmowę, poszedł do jej biura. Otworzył drzwi, mając nadzieję, że zastanie ją tam, siedzącą za biurkiem, z kasztanowymi włosami ściągniętymi w koński ogon.

Ale jej nie było.

Biurko wyglądało dziewiczo, jak element dekoracji teatralnej, nie mający służyć żadnym praktycznym celom.

Odwrócił się. I spojrzał w smutne, szczere oczy Lydii.

– Jej pokój. Zaprowadź mnie tam.

Zastanowiła się nad odmową. Wyczytał to w jej oczach. Ale z jakiegoś powodu zmieniła zdanie i zaczęła wchodzić po schodach, na drugie piętro. Przeszła długim korytarzem, aż stanęli przed zamkniętymi, dębowymi drzwiami. Nie czekając na pozwolenie, szarpnął drzwi i wszedł do środka.

Pachniało cytrynami.

Cytrynami i Marą.

Pokoik był czyściutki, schludny, jak mógł się spodziewać. Stała tam nieduża szafa, w której trzymano zapewne jedynie najpotrzebniejsze rzeczy; na małym stoliku, obok półwypalonej świecy, leżał stos książek. Podszedł, żeby je obejrzeć. Były podniszczone, czytano je często, z miłością.

Z maleńkiego łóżka musiały jej chyba zwisać nogi, kiedy spała. Tylko w tym miejscu w pokoju nie panował idealny porządek, ponieważ łóżko zaścielała szmaragdowa jedwabna suknia. Ta, którą miała na sobie poprzedniej nocy, kiedy wyjawiła światu swoje imię; obok sukni leżał podbity futrem płaszcz i, zgrabnie zwinięte, rękawiczki, które jej podarował.

Ruszyła w świat i nie miała żadnych rękawiczek.

Podniósł je do nosa; nienawidził śliskiego jedwabiu, żałował, że to nie jej skóra. Nie jej ciepło.

Odwrócił się do Lydii.

– Gdzie ona jest?

W jej oczach był smutek.

– Odeszła.

Nie.

Tracił cierpliwość.

– Dokąd?

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Nie powiedziała.

– Kiedy wróci?

Spojrzała na podłogę; usłyszał odpowiedź, zanim otworzyła usta.

– Nigdy.

Miał ochotę krzyczeć. Przeklinać głupie kobiety i okrutny los. Zamiast tego powiedział:

– Dlaczego?

Lydia podniosła wzrok.

– Dla nas.

Co za nonsens. Miał to na czubku języka, ale odezwała się znowu Lydia.

– Uważa, że lepiej nam będzie bez niej.

– Chłopcy jej potrzebują. Ty jej potrzebujesz. Ten dom jej potrzebuje.

Lydia uśmiechnęła się smętnie.

– Nie rozumiesz. Ona sądzi, że tobie też będzie lepiej bez niej.

– Myli się. – Było mu lepiej z nią. Nieporównywalnie.

– Zgadzam się. Ale ona myśli, że żaden arystokrata nie powierzy swoich dzieci osobie o tak mrocznej przeszłości jak Mara. Żadne darowizny nie wpłyną do sierocińca prowadzonego przez oszustkę. I żaden książę nie wróci na łono socjety, mając u boku kobietę zhańbioną.

– Do diabła z socjetą.

Przekleństwo powinno Lydię zaszokować, ale ona uśmiechnęła się tylko promiennie.

– Słuchajcie, słuchajcie.

– Jak ją poznałaś? – zapytał Temple, nie wiedząc, skąd mu się wzięło to pytanie, ale chciał dowiedzieć się jak najwięcej o kobiecie, którą tak bardzo kochał.

Chryste. Powinien jej powiedzieć, że ją kocha. Może by została.

– To długa historia – odparła Lydia z uśmiechem.

– Opowiedz mi.

– W Yorkshire jest dom. Bezpieczne miejsce dla kobiet, które chcą zmienić swoje życie. Córki i siostry. Żony. Prostytutki. W tym domu kobiety zyskują drugą szansę.

Temple kiwnął głową. Istnienie takiego domu nie było czymś niesłychanym. Kobiety nie zawsze traktowano z należytym szacunkiem. Pomyślał o matce Mary, zasztyletowanej przez własnego męża. O niej samej, bitej i zmuszonej do małżeństwa z mężczyzną trzy razy starszym od siebie.

On by ją ochronił.

Tyle że nie mógłby. Gdyby wyszła za mąż. A on powrócił na studia.

I zawsze nienawidziłby ojca za to, że poślubił kobietę jego marzeń.

– Mara mieszkała tam kilka lat – ciągnęła Lydia – zanim pojawiła się szansa na powrót do Londynu, żeby otworzyć sierociniec pani MacIntyre. Ja tam spędziłam rok. Może mniej. Ale ona mówiła o tym domu, jakby to było coś więcej niż zwyczajny sierociniec. Myślę, że więcej dla niej znaczył. Myślę, że znaczył wszystko. – Spojrzała Temple'owi w oczy. – Myślę, że chciała zadośćuczynić za zło, które wyrządziła jednemu synowi arystokraty, opiekując się tuzinem innych chłopców, potomków arystokracji.

Oczywiście, że tak było. Prawda tych słów omal go załamała.

Ci chłopcy liczyli się dla niej najbardziej.

Gdy odzyska Marę, kupi im posiadłość na wsi, z końmi, zabawkami i ogromnymi połaciami ziemi, gdzie będą mogli bawić się i dorastać. Każdemu z nich stworzy szansę na takie życie, o jakim dla nich marzyła.

Ale najpierw da szansę jej.

– Poprosiłem ją, żeby mnie poślubiła.

Lydia otworzyła szeroko oczy.

– Cóż.

W istocie.

– Chciałem uczynić ją księżną, dać jej wszystko, czego mogła zapragnąć. A ona uciekła. – Musnął palcami rękawiczki. – Nie wzięła nawet przeklętych rękawiczek.

– Nie wzięła niczego.

– Co masz na myśli?

– Powiedziała, że nie może wziąć od ciebie niczego więcej. Zostawiła wszystko. Nie wzięła ubrań ani płaszcza.

Znieruchomiał, przypomniawszy sobie, jak podarła jego czek. Jak wyrzekła się pieniędzy, które zdobyła na mocy ich głupiej umowy.

– Nie ma pieniędzy.

– Kilka szylingów, nic ponadto.

– Ofiarowałem jej dość, żeby starczyło na lata! Fortunę!

– Nie wzięłaby od ciebie pieniędzy – oznajmiła Lydia. – Nie wzięłaby niczego. Nie teraz.

– Ale dlaczego?

– Nie rozumiesz zakochanych kobiet, prawda?

Zakochanych.

– Gdyby mnie kochała, nie zostawiłaby mnie przecież.

– Czy Wasza Wysokość nie rozumie – tłumaczyła Lydia. – Ona odeszła właśnie dlatego, że cię kocha. To ma związek z jakimś dziedzictwem.

Żona. Dzieci. Dziedzictwo. Powiedział jej, że tego właśnie chce.

A ona mu uwierzyła.

– Wszystko, czego pragnę, to ona.

Lydia się uśmiechnęła.

– Cóż. To jest coś.

Nie mógł myśleć, że ona go kocha. Oszalałby. Musiał zachować zdrowy umysł, jeśli miał ją odnaleźć. A potem zamknie ją w pokoju i nie pozwoli odejść, do diabła ze zdrowym umysłem.

– Odeszła w środku zimy, bez rękawiczek i bez pieniędzy.

– Nie jestem pewna, dlaczego rękawiczki mają takie znaczenie…

– Mają.

– Oczywiście. – Lydia miała dość rozumu, żeby nie dyskutować. – Rozumiesz więc, dlaczego miałam nadzieję, że się pojawisz. Miałam nadzieję, że ją znajdziesz.

– Znajdę.

Lydia odetchnęła z ulgą.

– Dobrze.

– A potem się z nią ożenię.

Uśmiechnęła się.

– Doskonale.

– Nie ciesz się za bardzo. Być może uduszę ją zaraz potem.

– To całkowicie zrozumiałe – stwierdziła Lydia z niewzruszoną powagą.

Skłonił się zdawkowo, odwrócił na pięcie, wyszedł z pokoju i ruszył w dół po schodach w stronę drzwi. Jeszcze na schodach zatrzymał go cichy głos, który dobiegł z cienia.

– Odeszła.

Temple się odwrócił. Na półpiętrze powyżej zobaczył gromadkę chłopców ze zmartwionymi minami. Daniel trzymał Lavender pod pachą.

Temple skinął głową.

– Tak.

Daniel się skrzywił.

– Płakała, kiedy odchodziła.

Temple'owi ścisnęło się serce.

– Widziałeś ją?

Chłopiec kiwnął głową.

– Pani MacIntyre nie płacze.

Temple przypomniał sobie łzy w jej oczach, kiedy zostawił ją nagą na ringu, i ogarnął go wstyd.

– Przez ciebie płakała.

Oskarżenie było gniewne i prawdziwe. Temple nie zaprzeczył.

– Sprowadzę ją. Żeby to naprawić.

– Co jej zrobiłeś? – zapytał mały Henry ze zrozpaczoną, gniewną twarzą, jakby zamierzał pomścić swoją damę.

Zrobił tysiące rzeczy.

Nie wierzyłem jej.

Nie ufałem jej.

Nie pokazałem, jak bardzo ją kocham.

Nie chroniłem jej.

Poprzestał na:

– Popełniłem błąd.

– Powinieneś przeprosić – stwierdził George.

Pozostali chłopcy wydawali się podzielać tę opinię.

– Dziewczyny lubią, jak się je przeprasza – dodał Henry.

– Zrobię to. Ale najpierw muszę ją znaleźć – oznajmił Temple z powagą.

– Ona jest bardzo dobra w chowaniu się – odezwał się znowu Henry.

Inny chłopiec kiwnął głową.

– Najlepsza z nas wszystkich.

Temple wcale w to nie wątpił.

– Ja też jestem dobry w ukrywaniu się. A jak ktoś jest w tym dobry, to jest świetny w odnajdywaniu.

George nie wyglądał na przekonanego.

– Tak samo jak ona?

– Lepszy. – Miał nadzieję, że to prawda.

Daniel mu nie wierzył.

– Zostawiła nas. Nie sądzę, żeby wróciła.

Strach w oczach chłopca był odbiciem jego strachu i Temple przypomniał sobie, dlaczego podejrzewał, że Daniel jest jego synem.

Chłopiec spojrzał na świnkę, którą trzymał w ramionach.

– Zostawiła Lavender.

Opuściła ich wszystkich. Chłopców – uważając, że tak będzie dla nich najlepiej. Lydię – uznając, że łatwiej będzie prowadzić sierociniec bez brzemienia skandalu nad głową. Lavender – bo na drodze, którą obrała, nie było miejsca dla prosiaczka.

– Zapomniała o Lavender – powtórzył inny chłopiec

Wszedł po schodach i ukucnął naprzeciwko chłopców, a potem wziął Lavender w

ramiona.

Zapomniała o Lavender.

Wiedział, jak czuje się małe, różowe prosiątko. I co czują chłopcy.

Zapomniała także o nim.

Podniósł zwierzaczka do góry.

– Czy mogę ją pożyczyć na jeden dzień?

Chłopcy zbili się w gromadkę, rozważając pytanie, zanim podjęli wspólnie decyzję.

– Tak, ale musisz ją oddać – oświadczył w ich imieniu Henry.

Daniel wystąpił naprzód.

– Musisz przyprowadzić oboje.

Serce Temple'a zabiło mocniej; skinął uroczyście głową.

– Zrobię to.

Jeśli będzie w stanie.

– Nie ma jej tutaj.

Temple chodził tam i z powrotem w biurze Duncana Westa na Fleet Street, nie chcąc w to uwierzyć.

– Musi tutaj być.

Zrozumiał ją w końcu. Nie wyjedzie z Londynu, póki nie dopełni ich umowy i nie oczyści jego imienia. Wierzył to całą duszą. Musiał. W przeciwnym razie musiałby dopuścić możliwość, że wyjechała, i odnalezienie jej wymaga czasu.

Nie chciał poświęcać czasu na szukanie. Chciał ją mieć natychmiast. W swoich ramionach. W łóżku. W życiu.

Chciał rozpocząć życie, jakie powinno do nich należeć od wielu lat. Które im odebrano. Chciał szczęścia. Przyjemności. Miłości.

Chryste, ona mogła nosić w sobie dziecko.

Jego dziecko.

I niech go diabli, jeśli nie chciał tego dziecka, tej ślicznej małej dziewczynki z dziwnymi oczami i kasztanowymi włosami. Niech go diabli, jeśli nie pragnął spędzić z nimi obiema każdej minuty swego życia.

Musiała tutaj być.

Zwrócił się do Westa, który siedział wyprostowany za biurkiem zarzuconym gazetami, notatkami, artykułami i Bóg wie czym jeszcze.

– Przyszłaby tutaj. Żeby z tobą porozmawiać. Dać ci twoją historię.

West oparł się na krześle, rozkładając szeroko ręce.

– Temple, przysięgam, że niczego bardziej bym sobie nie życzył, jak tego, żeby otworzyły się drzwi i Mara Lowe przyszła z historiami wartymi dziesiątków szpalt mojej gazety. – Przerwał, zerkając złotymi oczami na zdrową rękę Temple'a. – Ale wszystko, co mam, to książę z prosiakiem. – Temple zerknął na uśpioną Lavender. – Dlaczego masz świnię?

Temple skrzywił się na widok uśmieszku na twarzy Westa.

– Nie twoja sprawa.

West przechylił głowę.

– To wystarczająco dziwne, żeby stanowić materiał na interesujący artykulik.

– Dostarczę ci materiału na interesujący artykulik, jeśli nie powiesz mi prawdy.

West nie przejął się groźbą.

– Czy planujesz jakieś danie?

Temple przytulił mocno Lavender, zdegustowany podejrzeniem, że mogłaby posłużyć za posiłek.

– Nie… trzymam ją dla kogoś.

West się uśmiechnął.

– Trzymasz ją.

Temple pokręcił głową, krzywiąc się.

– Zapomnij o przeklętej świni. Nie widziałeś Mary…

– Nie widziałem.

– Jeśli ją zobaczysz…

West uniósł brwi.

– Zapewniam cię, że cały Londyn dowie się o tym, jeśli będę miał okazję porozmawiać z tą kobietą.

Temple skrzywił się znowu.

– Nie będziesz z niej szydzić.

– Prawdę mówiąc, zniszczyła ci życie. Mogła zasłużyć na szyderstwo. Ilustratorzy już pracują nad wydarzeniami ostatniej nocy.

Temple, wściekły, pochylił się nad biurkiem.

– Nie. Będziesz. Z. Niej. Szydzić.

W oczach Westa błysnęło zrozumienie. Był spostrzegawczy.

– Ach tak.

– Ach tak, co? – burknął Temple.

– Zależy ci na dziewczynie.

Niecodziennie udawało się z taką łatwością przejrzeć Temple'a. Niecodziennie – przedstawicielowi mediów.

– Oczywiście, że mi na niej zależy. Żenię się z nią.

West machnął ręką.

– Małżeństwo nikogo nie obchodzi. Rzuć kamieniem w Londynie, a trafisz w kogoś, kto się nieszczęśliwie ożenił. Co innego fakt, że ci na niej zależy.

Temple spojrzał na śpiącą w jego ramionach Lavender. Jedyną istotę w Londynie, która w tej chwili nie działała mu na nerwy.

– Chryste, niepokonany, niezwyciężony Temple. Powalony. Pobity. Przez kobietę.

Temple popatrzył na Westa groźnym wzrokiem.

– Jeśli tu przyjdzie, poślij po mnie. Natychmiast.

– Czy mam ją trzymać pod kluczem, póki się nie zjawisz?

– Jeśli trzeba będzie.

Była sama, bez żadnych środków, na ulicach Londynu. A chciał, żeby była bezpieczna. Żeby była z nim. Nie spocznie, póki jej nie znajdzie. Odwrócił się na pięcie, żeby wyjść.

– Zrobię to pod jednym warunkiem.

Powinien się tego, oczywiście, spodziewać. Wiedzieć, że dla Westa to interes. Spojrzał

na niego i czekał.

– Powiedz mi, dlaczego jest taka ważna. Ostatecznie, przywróciła ci już dobre imię. Wszyscy wiedzą, że żyje. Pół tuzina kobiet na sali ją rozpoznało. Jest starsza, ale tak samo piękna. I wszyscy pamiętają te oczy.

Na wzmiankę o oczach Mary ogarnęła go bezsensowna złość. Nie chciał, żeby ludzie je zauważali. Nie chciał, żeby o nich myśleli. Nie były dla wszystkich. Były tylko dla niego. On jeden w nie spojrzał i zauważył coś więcej niż to, że są różnej barwy. Spojrzał w nie i zobaczył ją.

– Dlaczego tak cię obchodzi, czy ona zostanie, czy wyjedzie? – naciskał West.

Napotkał wzrok Westa.

– Pewnego dnia kobieta, którą pokochasz, prześliznie ci się między palcami, a ja zadam ci to samo pytanie.

Wyszedł, zostawiając Westa rozważającego jego słowa.

Dziennikarz czekał długie minuty, aż zatrzasnęły się za Temple'em drzwi zewnętrzne, a wtedy podszedł do okna, patrząc, jak Książę Zabójca dosiada konia i rusza w drogę – na poszukiwanie miłości.

Dopiero kiedy przebrzmiał tupot końskich kopyta, przemówił do pustego pokoju:

– Możesz wyjść.

Drzwiczki niewielkiej szafy w ścianie otworzyły się i Mara weszła do pokoju. Na policzkach miała ślady łez.

– Poszedł?

– Szuka cię.

Skinęła głową, wpatrując się we własne stopy, przejęta smutkiem, jakiego dotąd nie zaznała. I pożądaniem, jakiego wcześniej nie doświadczyła. Kocha ją. Powiedział to. Przyszedł, szukając jej, i wyznał, że ją kocha.

– Znajdzie cię.

Podniosła głowę.

– Może nie.

Ledwie to powiedziała, w jej uszach rozbrzmiało echo zapewnień Temple'a:

„Jeśli uciekniesz, znajdę cię".

West pokręcił głową.

– Znajdzie cię, bo nie ustanie w poszukiwaniach, aż dopnie swego.

– Może – zawahała się, mając nadzieję, że tak nie będzie. Że uzna, że nie jest warta zachodu. Że ułoży sobie życie z inną kobietą. Kimś, kto będzie jego wart.

West się uśmiechnął.

– Myślisz, że mężczyzna tak po prostu porzuca myśl o znalezieniu kobiety, którą kocha?

Kobieta, którą kocha. Gorące, palące łzy, których nie zdołała powstrzymać, spłynęły jej po policzkach. On ją kocha.

– Jest coś, czego nie rozumiem – powiedział West bardziej do siebie, jak jej się wydawało, niż do niej. – Ty też go kochasz.

Kiwnęła głową.

– Całym sercem.

– Więc w czym problem?

Nie mogła się opanować. Parsknęła śmiechem.

– W czym problem? Wszystko jest problemem. Zrujnowałam go. Zniszczyłam wszystko, co miało do niego należeć. Ukradłam mu życie. Zasługuje na arystokratyczną żonę, doskonałe dzieci i dziedzictwo niesplamione małżeństwem ze mną.

West złożył dłonie i oparł brodę na czubkach palców.

– On, wydaje mi się, o to nie dba.

– Ale ja dbam! I Londyn! Nigdy nie odzyska należnego sobie miejsca jako książę Lamont, jeśli zwiąże się z kobietą, która splamiła jego reputację.

– Reputacja – parsknął pogardliwie West.

Otworzyła szeroko oczy.

– Żyjesz z tego.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A to oznacza tylko, że rozumiem, jak jest arbitralna.

Zmarszczyła brwi.

– Nie masz racji.

– Myślę, że zbyt długo żyłaś z dala od socjety – powiedział – i zapominasz, że książętom, niezależnie od tego, czy ożenili się w aurze skandalu, czy nie, bardzo szybko wszystko się wybacza. To, ostatecznie, jedyni ludzie, którzy mogą spłodzić kolejnych książąt. Arystokracja ich potrzebuje. W przeciwnym razie cywilizacja się zawali.

Może miał rację. Może Temple poradziłby sobie z burzą, jaka bez wątpienia nastąpi po demaskującym ją artykule.

Ale czy będzie w stanie zapomnieć, co mu uczyniła?

Pokręciła głową.

– Czy życzysz sobie jeszcze czegoś ode mnie, panie West?

Duncan West orientował się doskonale, kiedy rozmowa dobiega końca.

– Nie.

– I nie powiesz mu, że tu byłam?

– Nie wcześniej, niż ukaże się artykuł.

– A to nastąpi?

Zerknął w kalendarz.

– Za trzy dni.

Serce jej się ścisnęło. Trzy dni, żeby wyjechać z Londynu. Dotrzeć jak najdalej, najszybciej i w największej tajemnicy. Trzy dni, żeby zwrócić mu wolność. A potem będzie musiała zacząć o nim zapominać.

Dla dobra ich obojga.

Opuściła biura „London Gazette”, opatulając się ciasno płaszczem i nasuwając kaptur nisko na twarz, zanim wyszła na ulicę, w zimną, wilgotną mgłę, jaka zawisła nad Londynem – w najgorszą zimową londyńską pogodę.

Przemarzła natychmiast, marząc o cieplejszych butach. Cieplejszym płaszczu. Cieplejszym klimacie.

O Temple’u, który był zawsze ciepły. Jak kominek.

Tęskniła za nim. Boleśnie.

Uszła pół mili, może więcej, kiedy zorientowała się, że jedzie za nią powóz, posuwając się w jej tempie – przyspieszał, kiedy szła szybciej, zwalniał, kiedy ona zwalniała. Zatrzymała się, odwracając się w jego stronę. Był to wielki, czarny pojazd bez żadnych herbów czy innych oznaczeń.

Powóz także stanął.

Lokaj z tyłu zeskoczył, otworzył drzwi i rozłożył schodki, po czym wyciągnął do niej rękę, żeby pomóc jej wejść do środka.

Pokręciła głową.

– Nie wchodzę.

Młody człowiek zmieszał się, ale po chwili w drzwiczkach błysnął fioletowy jedwab.

– Proszę się pospieszyć, panno Lowe – odezwał się znajomy kobiecy głos i Mara mimowolnie podeszła bliżej. – Całe ciepło ucieka.

Mara wsunęła głowę w drzwi.

Anna – kobieta, z którą się zaprzyjaźniła w Upadłym Aniele – siedziała w środku. Mara otworzyła szeroko oczy.

– Ty!

Anna się uśmiechnęła.

– Ja, w istocie. Nie skrzywdzę cię, ale wolę rozmowę w cieple, a nie w chłodzie.

Mara się zawahała.

– Nie jesteś tu po to, żeby mnie zawieźć do Temple'a?

– Nie, jeśli sama nie uznasz, że chcesz do niego wrócić.

– Tego nie zrobię.

– Dobrze zatem. – Owinęła się peleryną, trzęsąc się wyraźnie. – A teraz wejdź i zamknij drzwi.

Posłuchała, ciepłe cegły na podłodze pojazdu były zbyt kuszące. Anna postukała w dach i czarny powóz ruszył powoli ulicą.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć? – Mara zaczęła od najbardziej oczywistego pytania.

Usta Anny wygięły się w ślicznym uśmiechu.

– Nie wiedziałam. Ale Temple wiedział.

– Śledziłaś go.

– On może znać lepiej ciebie, ale ja znam lepiej kobiety. – Przerwała. – Poza tym wątpię, żeby pewna kobieta oparła się pokusie spędzenia poranka z Duncanem Westem.

– Nie rozumiem.

Anna przewróciła oczami.

– Kobieta, która jest szaleńczo zakochana w Temple'u.

– Ja nie jestem… – zaczęła Mara, ale szybko zamilkła. Ostatecznie, była szaleńczo zakochana w Temple'u.

– Wiem, że jesteś – stwierdziła Anna. – Dlatego tu się zjawiłam. – Mara zmarszczyła brwi, a Anna machnęła ręką. – Ktoś musi ci przemówić do rozumu. Temple mógłby to zrobić, ale jest zbyt roztrzęsiony, żeby myśleć rozsądnie.

Mara czekała niecierpliwie na to, co Anna jeszcze powie. Nie miała pojęcia, co może usłyszeć, ale na pewno nie spodziewała się tego:

– Nie zniszczyłaś życia Temple’owi.

Zaczynała mieć powoli dosyć tego, że obcy ludzie mówią jej, iż się myli.

– Przypuszczam, że jesteś znawczynią, jeśli chodzi o rujnowanie kogoś?

Usta Anny drgnęły lekko.

– W istocie, jestem.

– Nie było cię tam.

– Nie było. Nie wtedy, kiedy zakrwawiłaś łóżko i zostawiłaś go z oskarżeniem o twoją śmierć. Nie wtedy, kiedy ojciec go wygnał, a arystokracja wyklęła. Nie było mnie też wtedy, kiedy spędził pierwszą noc pod Temple Bar, ani wtedy, gdy walczył na ulicy, ani wtedy, gdy obaj z Bourne’em wpadli na ten głupi pomysł prowadzenia gier hazardowych w najgorszej części Londynu.

Mara poczuła zimny dreszcz; nie mogła znieść tego, że ta kobieta tyle wiedziała o przeszłości Temple’a. Ale Anna parła naprzód.

– Ale byłam, kiedy założyli Upadłego Anioła. Kiedy stał się niezwyciężonym bokserem, takim, jakiego Anglia jeszcze nie widziała. Byłam, kiedy wygrał w Aniele pierwszą walkę. I byłam, kiedy jego szkatuły pęczniały, a pozycja i szacunek w Londynie się umacniał.

– To nie szacunek – sprostowała Mara szorstko. – To strach. Niezasłużony strach. Myśleli, że jest Księciem Zabójcą, bo ja go takim uczyniłam.

Anna się uśmiechnęła.

– To urocze, myśleć, że on w życiu nie zrobił niczego, czym zasłużył na to przezwisko.

Mara ściągnęła brwi.

– Niczego podobnego do tego, o co go podejrzewano.

Anna wzruszyła lekko ramionami.

– Tak czy inaczej. Jest szacunek. I strach. A jedno bez drugiego nie jest warte atramentu, żeby każde z tych słów z osobna napisać. – Przerwała, powóz zakołysał się, deszcz ze śniegiem tłukł o szybę. – I, jakby nie było, Temple’owi się to podoba.

Może i tak.

– Ma pieniądze i przyjaciół, i klub, za który każdy mężczyzna dałby się zabić. I ma po swojej stronie połowę Londynu – tę, która się liczy, która osądza człowieka po jego pracy, a nie urodzeniu. I jemu to wszystko się podoba.

Czy ta dziwna, tajemnicza kobieta miała rację? Czy lubił życie, które prowadził? Czy też żałował nieustannie życia, które mu ukradła?

– Jedynym, czego mu brakuje, jesteś ty. – Mara znieruchomiała na te słowa i Anna to zauważyła. Nie przestawała naciskać. – Wróć do Upadłego Anioła. Sama go zapytaj. – Pochyliła się naprzód. – Wracaj do Anioła i pozwól mu udowodnić, jak bardzo cię kocha.

Słowa bolały, propozycja była kusząca. Nie chciała uciekać.

– Jestem mu to winna, muszę odejść. Jestem mu winna wszystko to, co mu odebrałam. Muszę wytrzeć tabliczkę do czysta.

– Nawet jeśli masz rację, nawet jeśli coś takiego byłoby możliwe – powiedziała Anna – czy nie jesteś mu także winna szansy na szczęście?

Nazwał ją kobietą, którą kocha.

A on był mężczyzną, którego ona kochała.

Czy tyle wystarczy, żeby być szczęśliwym?

Wielki Boże, gdyby sądziła, że jest w stanie uczynić go szczęśliwym, pobiegłaby rzucić mu się w ramiona. Napotkała spojrzenie Anny w przyćmionym świetle.

– Czasami miłość nie wystarcza.

Anna skinęła głową.

– To prawda. Ale w tym wypadku to nie tylko miłość, prawda?

Trudno sobie wyobrazić, żeby mieli choćby tyle. Po dekadzie nienawiści, kłamstwa i skandalu. Ale oboje mieli siłę. I przeszłość, która ich przerastała.

Anna położyła dłoń w rękawiczce na złożonych na kolanach rękach Mary.

– Kiedyś powiedziałaś mi, że nie masz przyjaciół.

– Nie mam. Nie naprawdę.

Anna kiwnęła głową.

– Masz jego.

Znowu poczuła łzy pod powiekami. Zastukała w dach powozu, tak jak zrobiła to przedtem Anna. Na ten sygnał powóz stanął, a lokaj otworzył drzwi i rozstawił schodki. Zanim powóz odjechał, Mara odwróciła się jeszcze, pytając:

– Skąd wiesz to wszystko?

– Bo znam Temple'a lepiej niż ktokolwiek inny. Może poza tobą.

Marze stanął przed oczami obraz Anny czuwającej przy łóżku Temple'a, kiedy ten był nieprzytomny. Kiedy dochodził do siebie. Anna z jej pięknymi, złotymi włosami, ślicznym uśmiechem, której całe zachowanie zdradzało doświadczenie z mężczyznami.

– Jako jego kochanka – dodała Mara, pragnąć, żeby te słowa tak bardzo nie bolały. Żeby mogła nie zwracać na to uwagi.

– Dobry Boże, nie – sprzeciwiła się Anna. – Jako partnerka.

Mara przechyliła głowę, niepewna, choć w głosie kobiety brzmiała prawda.

– Ja nie…

– Niewiele osób w to wierzy. – Anna się uśmiechnęła. – Ale może powinnam się przedstawić.

– Zrobiłaś to. Jesteś Anna.

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Od czasu do czasu. Ale na ogół jestem kimś innym. Jestem… Chase'em.

Lokaj wsunął schodki do wnętrza powozu, a Chase, odjeżdżając, zawołała do zaszokowanej Mary:

– Rozważ, proszę, co ci powiedziałam, panno Lowe. Jesteś mile widziana w klubie, kiedy tylko zechcesz.

# 20

W Upadłym Aniele panował tłok. Kiedy Temple dochodził do zdrowia i nie prowadzono walk, na które można było stawiać zakłady, gracze zadowalali się grą w kości i karty. Jeśli chodziło o pieniądze, to w Aniele dbano o zaspokajanie pragnień klientów i cała obsada – lokaje, krupierzy, kucharze – była w stanie pogotowia.

Temple wszedł wejściem dla właścicieli, z Lavender pod pachą, i zaczął się przepychać w stronę głównego pomieszczenia kasyna, omiatając wzrokiem mężczyzn w świetnie skrojonych strojach, którzy tracili w kasynie fortuny, ciesząc się każdą chwilą.

Innej nocy ten widok sprawiłby mu przyjemność. Znalazłby Crossa i zapytał o wpływy tego wieczoru. Zagrałby partyjkę czy dwie *vingt-et-un*.

Ale tego wieczoru przechadzał się nerwowo z boku sali, przygnębiony i zły.

Wściekły, że teraz arystokracja zdawała się go akceptować – pozdrawiano go kiwnięciem głowy, poklepywano po ramieniu.

Stał się jednym z nich, na nowo.

Ale to nie miało znaczenia.

Nic się nie liczyło, póki jej nie znajdzie.

Trząsł się ze zmęczenia po dniu jazdy konnej w deszczu, spędzonym na bezowocnych poszukiwaniach pięknej igły w londyńskim pełnym brudu stogu siana. Pojechał do sierocińca, do Westa, znowu do sierocińca. Sprawdził dyliżanse pocztowe i zapłacił poczmistrzowi majątek za informacje o wyjeżdżających ludziach, bojąc się, że zdążyła już opuścić miasto.

Jedna zakochana, wymykająca się z miasta potajemnie para, oraz dwóch dżentelmenów udało się drogą północną w kierunku Szkocji. Choć, jak się wydawało, zakochana uciekinierka była raczej ładna, poczmistrz zapewnił, że nie miała kasztanowych włosów, a jej oczy były zupełnie zwyczajne.

To nie była Mara.

Powinien był szczęśliwy, że ona wciąż tu jest. Ale zamiast tego czuł wściekłość, że tak łatwo zniknęła. Rozpłynęła się bez śladu. Jak dym. Gdyby nie wiedział, że było inaczej, mógłby pomyśleć, że w ogóle nie pokazała się w Londynie.

Ale zostawiła świnkę.

I wyrwę w jego piersi. Wykrzywił boleśnie usta, kiedy na tę myśl odezwała się rana w ramieniu. To już dwie rany.

Jedna się goiła, a druga zagrażała życiu.

Poruszył chorą ręką pod żakietem, ból rozszedł się wzdłuż ramienia i zatrzymał przy łokciu. Poruszył palcami w temblaku – nic. Zmęczenie nie pomagało w przywracaniu

czucia w ręce, ale nie mógł przestać. Nie przestanie, póki jej nie znajdzie.

Jeśli po tym wszystkim zostanie kaleką, trudno.

Przynajmniej będzie miał ją.

Znowu poddał się rozpaczy. Gdzie ona, do diabła, mogła się podziać?

Podniósł głowę i jego wzrok spoczął na wielkim witrażu pośrodku głównego pomieszczenia Upadłego Anioła. Lucyfer spadający z nieba. Wielobarwne szkło ukazywało postać księcia ciemności, podczas jego upadku, gdzieś w połowie drogi między rajem a piekłem, z łańcuchem wokół kostki, z berłem w dłoni i z wielkimi skrzydłami, które mu nie pomagały, kiedy spadał na podłogę kasyna.

Temple nigdy nie zastanawiał się nad witrażem, choć doceniał jego przekaz dla członków klubu – chociaż arystokracja mogła uznać jego, Bourne'a, Crossa i Chase'a za banitów, to oni, szubrawcy, właściciele najbardziej legendarnego kasyna w Londynie, królowali w mieście, budząc tym większy strach, mając tym większą władzę.

Chase miał skłonność do dramatu.

Teraz jednak, kiedy przyglądał się wielkiemu witrażowi, upadkowi Lucyfera, zdał sobie sprawę z jego siły. Twórca szklanego malowidła zdołał uchwycić ruch mięśni, posługując się płytkami kolorowego szkła. Ale w tej chwili siła Lucyfera okazała się bezużyteczna. Musiał spaść tam, gdzie zechciał posłać go Bóg.

Stojąc tam z chorą ręką, czując się bezsilny, ponieważ nie zdołał odnaleźć kochanej kobiety, Temple uświadomił sobie, że rozumie księcia ciemności. Miał piękno, siłę, moc. A i tak skończył w piekle.

Chryste.

Co on zrobił?

– Wniosłeś świnię do mojego kasyna.

Chase, tym razem jako Anna, stała przed nim, w fioletowych jedwabiach.

– Pióra eksplodują ci z głowy.

Chase się uśmiechnęła.

– Zapewniono mnie, że to najnowszy krzyk mody.

– Mhm – odparł Temple.

– Nie znalazłeś dziewczyny.

Miał ochotę wrzasnąć z rozpaczy pod belki sufitu. Przewrócić najbliższy stół do gry i zerwać draperie ze ścian.

Zamiast tego powiedział:

– Zniknęła.

Stali obok siebie, przyglądając się kasynu.

– Ludzie Asriela nadal szukają.

– Może sama się pojawi.

Rzucił Chase krzywe spojrzenie, dając do zrozumienia założycielce kasyna, że coś takiego jest absolutnie niemożliwe.

– Być może.

– Znajdziemy ją.

– Znajdę ją, choćby miało mi to zająć resztę życia – oświadczył Temple.

Chase kiwnęła głową i odwróciła wzrok, nie mogąc zapewne znieść głębi emocji w

jego głosie. Temple się tym nie przejął.

– Ale znalazłeś świnkę.

Spojrzał na ryjek Lavender.

Chase uniosła jasne brwi.

– Dama jest właścicielką świni?

– To śmieszne. – Jeszcze śmieszniejsze, że on dbał o to stworzenie.

– Myślę, że to raczej czarujące.

Wręczył jej Lavender.

– No to zabierz ją do kuchni. Niech Didier da jej coś do jedzenia. – Przyglądał się tłumowi, szukając kogoś, kto mógł znać Marę. Może jakiś przyjaciel z dzieciństwa ofiarował jej łóżko.

A jeśli nie? Jeśli chodziła teraz po ulicach zziębnięta, nie mając się gdzie podziać na noc?

Pokręcił głową, mając nadzieję, że mu się w niej przejaśni. Nie był głupcem. Mara znajdzie miejsce do spania.

Ale z kim?

Ta myśl sprawiła, że miał ochotę w coś wyrżnąć pięścią.

Chase nie skończyła mówić, a on słuchał tylko po to, żeby zająć czymś innym myśli.

– Didier jest Francuzką. Prosiak może skończyć w garnku.

Temple rzucił Chase złe spojrzenie.

– Nie śmiej pozwolić kucharce ugotować mojego prosiaka.

– Myślałam, że to świnka panny Lowe. – Chase i jej upodobanie do semantyki.

– Jako że mamy się pobrać, wolę o niej myśleć jako o naszej śwince.

Chase nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Doskonale. – Uśmiech znikł równie szybko, jak się pojawił. – Temple, myślę, że powinnam ci coś powiedzieć.

– Nie chcę tego słuchać. Mam dosyć twojego intrygowania. Chcesz pomóc, nakarm świnię. To wszystko.

– Ale…

– Nakarm świnię.

Przez chwilę Temple podejrzewał, że Chase zignoruje jego życzenie i dalej będzie snuć intrygi – ostatecznie tym się stale zajmowała. Ale pojawił się przy nich Justin.

– Mamy gościa.

Temple sądził przez chwilę, że to może Mara.

– Kogo?

– Christophera Lowe’a. Chce walczyć z Temple’em.

Chase zmrużyła oczy.

– Przyprowadź go do mojego biura. I ściągnij Asriela i Brunona. Będzie miał swoją walkę. Ale nie z Temple’em. I to nie będzie fair play.

– Nie – zaprzeczył Temple.

Chase spojrzała zdziwiona.

– Twoje ramię się nie zagoiło.

– Przyprowadźcie go do mnie. – Temple zignorował słowa biznesowej partnerki. –

Teraz.

W ciągu paru minut Lowe, w towarzystwie Brunona i Asriela, zjawił się w sali kasyna.

– Popełniłeś błąd, przychodząc tutaj.

– Zrobiłeś z mojej siostry dziwkę.

Temple zwinął zdrową rękę w pięść. Rozpaczliwie pragnął przyłożyć chłopakowi.

– Będzie moją księżną.

– Ona mnie nie obchodzi. Nie mam z niej pożytku. – Mówił bełkotliwie, ze złością. Musiał pić, od kiedy zostawił siostrę poprzedniego wieczoru. – Zrujnowałeś ją. Prawdopodobnie dwanaście lat temu. Pewnie wziąłeś to, co coś warte, zanim straciłeś przytomność.

Temple'a ogarnęła wściekłość.

– Nie powinieneś oddychać tym samym powietrzem co ona.

Lowe wyszczerzył zęby.

– Gotów ze mną walczyć? Jeśli nie za pieniądze, to dla honoru?

Temple chwycił Lowe'a za wymięty fular i uniósł go nad podłogę.

– Będę walczył z obu powodów. Jeśli wygrasz, dostaniesz swoje pieniądze.

Lowe kiwnął głową.

– Nie przegram.

Temple rzucił go na ziemię, nie zważając na jego charkot i kaszel; ukucnął przy nim, wziął go za brodę i podniósł jego twarz do góry.

– Zaczekasz chwilę, spotkam cię na ringu za pół godziny.

Lowe się uśmiechnął.

– Przynieś moje pieniądze.

– Z przyjemnością. – Jeśli nie mógł mieć jej, mógł przynajmniej mieć tę walkę. – Masz szczęście – dodał, podnosząc się – że nie powaliłem cię tu i teraz. Nauczę cię, jak mówić o kobiecie, którą kocham.

– O ho, ho! Słuchajcie no! Ty ją kochasz – parsknął szyderczo Lowe. – Co za parszywa bzdura.

Temple nie obejrzał się. Szedł do swoich pokoi i po drodze już zdejmował fular. W kasynie było cicho jak w grobie, gracze patrzyli, jak Temple szaleje z gniewu.

Dlatego też usłyszał, kiedy Chase powiedziała bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego:

– Cóż.

A ona usłyszała, kiedy on zawołał:

– Nakarm przeklętą świnię.

Kiedy Mara zjawiła się przed Upadłym Aniołem, ulica była pusta i cicha. Nie tak wyobrażała sobie wejście do jednego z najbardziej ekskluzywnych londyńskich kasyn.

Zastanowiła się przelotnie, czy nie przybyła za późno. Czy Temple nie zamknął klubu i nie wyjechał. Czy nie postanowił zakończyć swojego życia w mroku i wyjść na światło. Wrócić do swojego księstwa. Do tego, co mu się należy.

Wtedy wpadła w panikę.

Ponieważ tego pochmurnego, deszczowego dnia, kiedy nie miała nic innego do roboty

poza włóczeniem się po ulicach i myśleniem, zrozumiała, że kocha tego człowieka ponad wszelką miarę. I że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby uczynić jego życie lepszym, niż byłoby bez niej.

Oczywiście w chwili, kiedy to sobie uświadomiła, zauważyła, że jest bardzo daleko od kasyna.

Ale oto tu była. Zapukała do drzwi i z podnieceniem patrzyła, jak odsłania się małe okienko w stalowej płycie. Przysunęła się bliżej, mówiąc:

– Witam, jestem…

Klapka opadła.

Zawahała się, zastanawiając się, co teraz powinna zrobić. Zapukała znowu. Klapka się uniosła.

– Jestem…

To samo.

Doprawdy. Czy wszyscy w tym klubie mieli obsesje? Zapukała. Kolejne odsłonięcie.

– Hasło.

– Nie znam. Ale…

Metalowa klapka opadła z trzaskiem.

Mara była teraz naprawdę zła. Zaczęła walić w drzwi ze wszystkich sił. Po długiej chwili klapka się uniosła, ukazując parę gniewnych czarnych oczu.

– Słuchaj no ty! – zawołała Mara tonem guwernantki, dla zwiększenia efektu łomocząc w drzwi.

Oczy w szparze rozszerzyły się ze zdumienia.

– Spędziłam cały dzień na ulicach Londynu w przeraźliwym zimnie!

To ostatnie wypunktowała kolejnymi uderzeniami.

– I w końcu uznałam, że nadeszła pora, żebym zmierzyła się ze swoimi pragnieniami, przeszłością, przyszłością i człowiekiem, którego kocham! Więc mnie wpuścisz! – Uderzenie. – Do środka! – Uderzenie.

Zakończyła tyradę serią uderzeń w stalowe drzwi, dołożywszy jeszcze kopniaka.

A oczy… Dobry Boże. Czy te oczy się śmiały?

– Panna Lowe?

Podniosła palec.

– Zastanowiłabym się nad wyrazem twarzy, jaki mi zaprezentujesz, kiedy w końcu otworzysz te drzwi!

Musiała to odźwiernemu przyznać, minę miał śmiertelnie poważną, kiedy zamki szczęknęły i wpuścił ją do środka. Przyjął postawę pełną szacunku. Mara otrzepała mokry płaszcz i przyjęła maskę.

– A teraz zaprowadź mnie do Temple’a – zażądała wyniośle.

Zastosował się do polecenia.

A w każdym razie próbował. W mrocznym korytarzyku spotkali Chase, która przejęła rolę przewodnika i zaprowadziła Marę do damskiej części ringu.

– Słyszałam, że Bruno przeżywał trudne chwile, wpuszczając cię dzisiaj do klubu.

Mara zerknęła na nią z ukosa.

– Informacje szybko się tutaj rozchodzą.

– Informacje to nasze najcenniejsze dobro.

Mara wzruszyła ramionami.

– Na przyszłość może wystarczy, jeśli raz zapukam, żeby mi otworzył.

Chase się uśmiechnęła.

– W przyszłości, jak sądzę, będziesz znała hasło.

Marze zrobiło się przyjemnie ciepło na tę myśl. Jeśli dzisiaj wszystko dobrze pójdzie, pozna hasło. Jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, będzie tu przychodzić pod rękę z jednym z właścicieli klubu.

Gdyby tylko ktoś ją do niego zaprowadził, żeby mogła naprawić to, co zepsuła. Ale Chase nie zaprowadziła jej do niego. Zabrała ją do długiego pokoju z ogromnym lustrem, gdzie zbierały się damy.

Wkroczyła do słabo oświetlonego pokoju z duszą na ramieniu.

– Ma być walka? – zapytała, odwracając się do Chase.

– Tak jest. – Założycielka Anioła powiodła ją pod samo lustro, gdzie stały dwa krzesła obok siebie.

Mara się zawahała.

– Nie. Chcę się zobaczyć z Temple'em – szepnęła. – Czekałam zbyt długo. Chcę, żeby wiedział, że zmieniłam zdanie. Chcę, żeby wiedział…

Że go kocham.

Że chcę zacząć od nowa.

Na zawsze z nim.

Chase kiwnęła głową.

– I zobaczysz się. Ale najpierw zobaczysz to.

Drzwi od pokojów Temple'a otworzyły się i Mara zerwała się z krzesła, patrząc, jak bokser wychodzi na środek ringu. Położyła dłonie na lustrze.

– Nie – szepnęła.

Był nagi od pasa w górę, przystojny jak sam diabeł i Mara mogła myśleć tylko o tym, jak to było tulić się do niego, dotykać go. Czuć jego ręce na sobie. Tęskniła za tą bliskością. Za przyjemnością.

Za mężczyzną.

A potem jej uwagę przyciągnął bandaż na jego ramieniu – rana, którą mu zadano na tym ringu tydzień wcześniej.

– Nie – powtórzyła, zwracając się do Chase.

Chase nie zwracała na nią uwagi. Obserwowała Temple'a.

– Faworyzuje swoją prawą stronę – mruknęła z niezadowoleniem.

– Oczywiście! – zawołała Mara. – Jest ranny. To nie będzie uczciwa walka.

Powinna powiedzieć Chase o ranie. Nie dopuścić do pojedynku.

Kobiety dookoła podniosły hałas, wykrzykując sprośne komentarze.

– A niech to! Nie można tytułu oddzielić od człowieka, ale można człowieka od tytułu!

– Nie jest podobny do żadnego księcia, jakiego widziałam.

– Boże, jest piękny.

– Wygląda jak najprawdziwszy zabójca.

– Z rozkoszą oddałabym się w jego ręce!

– Wiecie, nie wierzę, że ona naprawdę żyje – wtrąciła któraś. – Myślę, że po prostu zapłacił jakiejś dziwce, żeby przyszła i podszyła się pod Marę Lowe.

– To ona. Debiutowałam w sezonie, kiedy miała poślubić zmarłego księcia. Wszyscy mówili o tych oczach.

– Cóż. Tak czy inaczej, jestem jej wdzięczna. Dzięki niej książę Lamont stał się znowu partią do wzięcia.

Mara płonęła z gniewu, miała ochotę wymłócić pięściami wszystkie te kobiety.

Rozległ się śmiech.

– Myślisz, że sama możesz go złowić?

– Słyszałam, że on ją kocha.

Kocha, miała ochotę krzyknąć Mara. I ona go kocha. Rozpaczliwie.

– Jestem markizą – odezwała się ponownie kobieta, która mówiła poprzednio. Wykrzywiła usta w nieprzyjemnym uśmiechu. – Stanowczo za młodą, żeby trwać we wdowieństwie.

Jakby Temple uzależniał swoje przyszłe szczęście od tytułu. Mara myślała o tym z gniewem.

– Przypuszczam, że jest spora kolejka do tytułu księżnej Lamont – zauważyła inna wesoło. – I stoją w niej nie tylko wdowy. Moja siostra ma prawie osiemnastoletnią córkę i zabiłaby dla zięcia z książęcym tytułem. – Kobiety parsknęły śmiechem. – To wcale nie żart. Myślę, że niejedna z tych mamuś na rynku matrymonialnym gotowa by była dopuścić się mordu.

Mara przełknęła słowa, które cisnęły jej się na usta. On nie potrzebował tytułu. Potrzebował kobiety, która go zrozumie. Która będzie go kochać. I spędzi resztę życia, dbając o jego szczęście.

Taką, która go ochroni przed tymi kobietami.

Przed ringiem.

– Musisz to przerwać – zwróciła się do Chase.

Chase pokręciła głową.

– Wyzwanie zostało przyjęte. Postawiono zakłady.

– Do diabła z zakładami!

W oczach Chase pojawił się szacunek.

– Mówisz jak Temple!

– Masz rację, mówię jak on. – Mara miotała się między troską a irytacją. Pochyliła się i wycedziła groźnie: – Przerwiesz tę walkę albo powiem wszystkim obecnym prawdę o tobie.

Chase znieruchomiała, nagle niezwykle poważna.

– Nie zrobiłabyś tego.

– Czy to by uratowało go przed walką? Zrobię. – Chase w to nie wątpiła.

– Co cię tak niepokoi?

Jak to wyjaśnić, nie zdradzając jego zaufania?

– Nie jest gotów jeszcze do walki. Rany się jeszcze nie zagoiły. To go może rozłożyć na całe tygodnie. Dłużej. Zmusiłaś go do tego? – natarła na Chase.

– Nie mam z tym nic wspólnego – odparła Chase, kładąc rękę na piersi. – To jego

decyzja.

– Dlaczego? – Zerknęła na ring, gdzie stał półnagi, dumny i piękny. Ruszyła do drzwi, ale wielki ochroniarz zastąpił jej drogę. Odwróciła się do Chase.

– Dlaczego?!

Chase posłała jej smutny uśmiech.

– Dla ciebie.

– Dla mnie! – To był obłęd.

– Chce cię pomścić.

Nawet teraz. Po tylu latach.

Kocha ją.

Tak jak ona jego. Mara zamknęła oczy. Może na niego nie zasługiwała, ale pragnęła go całą sobą. Popatrzyła na niego – na poruszające się pod skórą mięśnie, silną szczękę. Na to, jak mierzy wzrokiem przeciwnika. Ale w tym Temple'u było coś innego. Coś, czego nie widziała w poprzednie wieczory.

Gniew.

Desperacja.

Smutek.

Przycisnęła ręce do szyby.

– On myśli, że odeszłam.

– Tak – potwierdziła Chase.

– Zabierz mnie do niego.

– Jeszcze nie.

Wtedy Mara zobaczyła drugiego z walczących. Swojego brata.

– Co on tu robi?

– Wykazuje się głupotą. Przyszedł do klubu i wyzwał Temple'a.

– Dlaczego Temple to przyjął?

– Lowe obraził ciebie.

Mara nie wątpiła, że brat użył przy tym barwnego języka.

– Musisz to przerwać.

Chase spojrzała na nią badawczo.

– Dlaczego?

– Dlaczego?! – Czy ta kobieta oszalała? – On tylko sobie zaszkodzi!

– Zatem, gdybyś miała wybrać zwycięzcę…

I nagle Mara zrozumiała, dlaczego tu jest.

– Myślisz, że go nie kocham.

– Myślę, że ten człowiek zasługuje na więcej miłości niż inni. I myślę, że ty jesteś tego powodem. Więc tak, boję się, że nie dość go kochasz. Boję się, że w tej chwili chcesz przerwać walkę z innego powodu.

Chciała przerwać walkę, żeby być z nim. Żeby móc go kochać. Żeby wreszcie zamknąć przeszłość.

Ale walka zaczęła się, zanim mogła to powiedzieć, i ten nowy, gniewny Temple rzucił się na przeciwnika, nacierając szybko i mocno, okładając go ciosami. Prawy sierpowy. Prawy prosty. Prawy krzyżowy.

Zawsze prawy.

Kit ochłonął, uderzył raz i drugi, Temple zatańczył na ringu. Mara zauważyła, że bandaż na lewym ramieniu Temple'a się rozluźnia. Zwróciła się do Chase:

– Skończ to.

– To jego walka. Dla ciebie.

– Nie chcę jej.

– Ale masz ją i tak.

Kolejny prawy sierpowy. Prawy prosty.

Wtedy Kit to zauważył.

Mara odwróciła wzrok. Dziecko by to zauważyło.

On przegra.

Ile razy zapewniał ją, że nie przegrywa? Ile razy słyszała o wielkim Temple'u, niezwyciężonym bokserze Brytanii. Całego świata. Niepokonanym. Niezwyciężonym. Najlepszym.

Kit mógł być pijany, ale nie był głupcem. Rozumiał, że Temple ma słabą lewą stronę, więc tam uderzył, wymierzając ciosy. Na tyle marne, że wcześniej nie uratowałyby go od przegranej, ale na tyle silne, żeby teraz sprawić ból. Na tyle silne, żeby Temple musiał się cofnąć.

Nie był niepokonany. Nie dzisiaj.

Ale Kit ją obraził i Temple był gotów przegrać.

– Chryste, dlaczego nie używa lewej ręki? Dlaczego nią nie blokuje? – Mara słyszała przestrach w głosie Chase.

– Nie może – odparła Mara, patrząc, jak miłość jej życia przyjmuje ciosy. I znowu. I znowu. Dla niej.

Jego ręka nie odzyskała sprawności.

Przegrywał.

Kit uderzył jeszcze raz i Temple padł na kolana, tłum odliczał sekundy. Podniósł się z trudem, krew ciekła mu po policzku.

Będzie walczył do upadłego.

Nie podda się. Nie wtedy, kiedy chodziło o nią.

Kocha ją.

Przypomniała sobie jego słowa z ostatniej nocy: „A jeśli nie będę niepokonany. Nie będę bokserem? Nie będę Księciem Zabójcą? Ile będę wart?"

Wciąż był mężczyzną, którego kocha.

Ale on nie przestanie. Póki jej brat go nie zabije.

Chase pojęła wówczas to, co okazało się nieuniknione.

– Będzie po wszystkim, zanim zdążę posłać swoich ludzi, żeby przerwali walkę.

Mara nie chciała słuchać.

Ukochany mężczyzna był o dziesięć stóp od niej. Mniej. I potrzebował jej.

Do diabła, jeśli tylko ona może go uratować, zrobi to.

Działała jak w transie, podniosła krzesło, zanim ktokolwiek w pokoju zorientował się, co zrobi. Chase sięgnęła po nie, krzycząc:

– Nie!

Ale Mara miała tylko jeden cel.

Temple’a.

Przegrywał.

Lewa strona ciała krzyczała z bólu, mięśnie odmawiały walki. Stanął do niej za wcześnie. A do tego dochodził rwący ból w zranionej ręce, równie dokuczliwy jak od razów Lowe’a.

Przegrywał. Nie był w stanie jej pomścić.

To i tak nie miało znaczenia. Opuściła go.

Uciekła i nie mógł jej znaleźć.

Lowe uderzył go potężnie dwa razy w lewy bok i Temple padł na kolana. Tam, na wiórach, chciał sobie przypomnieć, kiedy ostatnio klęczał na ringu.

Z Marą.

Tamtego popołudnia, kiedy byli tutaj sami. Kiedy ją odepchnął, zamiast unieść w ramionach, do łóżka, i nigdy już nie wypuścić.

Podniósł wzrok na Lowe’a i ostrzegł:

– Możesz dzisiaj wygrać, ale zniszczę cię później, jeśli powiesz o niej jedno złe słowo.

Lowe zatańczył na ringu.

– Jeśli zostawię cię przy życiu, zabójco.

Niech i tak będzie.

Temple podniósł się, wiedząc, że teraz nastąpi koniec walki. Zanim jednak padły ciosy, w sali nastąpił wybuch.

Lustro, za którym krył się pokój dam, rozprysło się z rozdzierającym uszy trzaskiem, kawałki szkła opadły na podłogę głównego pomieszczenia jak wata cukrowa. Nigdy nie słyszał czegoś podobnego. On i Lowe oraz reszta gości obejrzeli się, patrząc, jak damy rozbiegają się z piskiem, ukrywając w mroku, nie chcąc, aby je zobaczono i rozpoznano.

Mężczyźni wokół ringu zamarli z rękami w powietrzu, ściskając kartki z zakładami, z ustami zastygłymi w okrzykach.

Ale Temple’a to wszystko nie obchodziło.

Obchodziła go tylko kobieta, która wywołała tę katastrofę.

Stała sama pośrodku stłuczonego lustra, dumna i silna jak królowa, trzymając wciąż krzesło w dłoni.

Mara.

Jego miłość.

Była tutaj.

Nareszcie.

Postawiła krzesło i stanęła na nim, żeby przejść do sali z ringiem, nie przejmując się tłumem mężczyzn. Patrząc tylko na niego.

Szedł w jej stronę, kiedy ostatnie okruchy szkła spadały z brzękiem na podłogę. Chciał jej dotknąć, objąć ją. Uwierzyć, że jest tutaj. Zdjęła maskę, odsłaniając twarz przed Londynem po raz drugi w ciągu kilku dni.

W pokoju rozszedł się szmer niczym fala.

– Zmęczyłam się czekaniem, aż Wasza Wysokość mnie znajdziesz – powiedziała tak

głośno, że usłyszano ją dookoła. Ale słowa były przeznaczone dla niego. Tylko dla niego.

Uśmiechnął się.

– Znalazłbym cię.

– Nie jestem pewna – odparła. – Wydawałeś się zajęty.

Spojrzał przez ramię.

– I co, Lowe?

Objęła wzrokiem jego zakrwawioną twarz, widział troskę w jej oczach. Widział, jak jej ręka unosi się, żeby go dotknąć. Złagodzić ból.

– Myślałam, że mogę pomóc.

Zmarszczył brwi, kiedy wdrapała się na ring, stając twarzą w twarz z bratem.

– Ty, Christopherze, jesteś głupcem i dzieckiem, jakim byłeś, kiedy zostawiłam cię dwanaście lat temu.

Spojrzenie Kita pociemniało.

– To dziecko zniszczyłoby twojego księcia, gdybyś nie odwróciła naszej uwagi.

Zignorowała te słowa i jego szydercze zadowolenie.

– Jaka szkoda wobec tego, że odwróciłam twoją uwagę. – Rozejrzała się po sali, przyglądając się setkom mężczyzn, którzy przyszli obejrzeć walkę. Którym sprawiło przyjemność oglądanie upadku Temple'a. – Zróbmy to szybko, dobrze?

Kit uśmiechnął się złośliwie.

– Proszę.

– Jeden, ostatni cios. Kto go zada, wygrywa.

– Myślę, że tak jest w porządku. Jeśli wygram, odchodzę wolno. Z pieniędzmi.

Odwróciła się do Temple'a, w oczach miała coś cudownego, ciepłego. Pragnął tej walki bardziej niż czegokolwiek innego. Ponieważ chciał jej. Teraz. Na zawsze.

– Temple?

Nie obchodziło go, co się stanie z Lowe'em, jeśli Mara z nim zostanie. Kiwnął głową.

– Zawsze twierdziłem, że jesteś wspaniałą negocjatorką.

Uśmiechnęła się.

– Doskonale.

A potem kobieta, którą kochał, odwróciła się do swojego brata i rozłożyła go na deskach. Jednym uderzeniem pięści.

Uczyła się błyskawicznie.

Kit podniósł się na kolana, wyjąc z bólu.

– Złamałaś mi nos!

– Zasłużyłeś na to. – Patrzyła na niego z góry. – Przegrałeś. – Asriel i Bruno wchodzili już na ring, żeby uniemożliwić Lowe'owi ucieczkę z klubu. – A oto moje warunki. Staniesz przed sądem. Za usiłowanie zabójstwa księcia. – Spojrzała na Temple'a. – Mojego księcia.

Jej księcia.

To prawda.

Był, kim ona sobie życzyła.

Temple ukrył zaszokowanie pod maską obojętności.

– Już prawie skończyliśmy.

Skinęła głową, podchodząc do niego. Nie zważała na to, że jest posiniaczony i zakrwawiony.

– Też się zmęczyłam czekaniem.

– Jesteś dzisiaj niecierpliwa.

– Dwanaście lat czekania to bardzo długo.

Znieruchomiał.

– Czekania na co?

– Na miłość.

Chryste. Kocha go. Podszedł bliżej i wziął ją w ramiona.

– Powiedz to jeszcze raz.

I zrobiła to. Wobec wszystkich członków klubu Upadłego Anioła.

– Kocham cię, Williamie Harrow, książę Lamont.

Jego pozbawiona wstydu królowa zemsty. Wziął jej usta w długim, gorącym pocałunku; wlał całą swoją miłość w tę pieszczotę, chcąc, żeby zrozumiała teraz i na zawsze, jak bardzo ją kocha.

Podniósł głowę i przycisnął czoło do jej czoła.

– Powiedz to jeszcze raz.

Zrozumiała go dobrze.

– Kocham cię. – Zmarszczyła brwi, patrząc na niego i dotykając jego spuchniętego oka. – Zranił cię okropnie.

– Zagoi się. – Chwycił jej palce i ucałował. – Wszystko się goi. Powiedz mi to jeszcze raz.

Zarumieniła się.

– Kocham cię.

Nagrodził jej szczerość kolejnym namiętnym pocałunkiem.

– Bardzo dobrze – oznajmił, kiedy się odsunął.

Delikatnie położyła dłonie na jego piersi.

– Nie mogłabym cię zostawić. – Łagodność jej głosu dorównywała delikatności dotyku. – Myślałam, że mogę. Myślałam, że tak będzie najlepiej, że dzięki temu odzyskasz życie, jakiego pragniesz. Żonę. Dzieci. Dzie…

Przerwał jej pocałunkiem.

– Nie. Ty jesteś moim dziedzictwem.

Pokręciła głową.

– Sądziłam, że dzięki temu będziesz mógł zacząć nowy rozdział w swoim życiu. Że staniesz się znowu księciem Lamont, a ja odejdę w niepamięć i już nigdy nie będę cię dręczyć.

Serce zabiło mu z niepokoju na myśl, że mogłaby zniknąć z jego życia. Uniósł jej twarz ku sobie.

– Posłuchaj mnie, Maro Lowe. Jest tylko jedno miejsce dla ciebie. Tutaj. W moich ramionach. W moim życiu. W moim domu. W moim łóżku. Gdybyś odeszła, nie dałabyś mi życia, jakiego chciałem. W moim życiu powstałaby ogromna, ziejąca pustką przepaść.

Pocałował ją znowu i powiedział cicho:

– Kocham cię. Myślę, że pokochałem cię w chwili, kiedy podeszłaś do mnie na

ciemnej londyńskiej ulicy. Uwielbiam twoją siłę i twoją urodę. I twój stosunek do dzieci i prosiąt. – Uśmiechnęła się ze łzami w oczach. – Nawiasem mówiąc, Chase nakarmiła Lavender.

W jej pięknych oczach błysnęło zdumienie.

– Skąd Lavender wzięła się u Chase?

– To długa historia, ale mówiąc krótko – nie mogłem bez niej wytrzymać. Bez jakiejś części ciebie.

Roześmiała się, a on uświadomił sobie, że będzie nosił świnkę przez resztę życia, jeśli to sprawi jej radość.

– Kocham twój śmiech. Chcę go słyszeć codziennie. Chcę zapomnieć o wszystkim, co złe, mroczne. Chcę szczęścia. Tego, co nam się należy. Chcę tego, na co zasługiwaliśmy od samego początku. – Przerwał, zaglądając jej głęboko w oczy, chcąc, żeby zrozumiała, jak bardzo ją kocha. – Chcę ciebie.

Skinęła głową.

– Tak

Uśmiechnął się.

– Tak?

– Tak! Tak na wszystko. Szczęście, życie, miłość. – Zawahała się, w jej oczach dostrzegł jakiś cień. – Tyle złego ci zrobiłam. Tak bardzo cię skrzywdziłam.

– Dość. – Pocałował ją, odsuwając usta dopiero wtedy, gdy zwiotczała w jego ramionach. – Nie krzywdź mnie ponownie.

Łzy spłynęły na policzki.

– Nigdy.

Wytarł łzy kciukiem.

– Nie opuszczaj mnie nigdy więcej.

– Nigdy. – Westchnęła. – Chciałabym, żebyśmy mogli zacząć od nowa.

Pokręcił głową.

– A ja nie. Bez przeszłości nie byłoby chwili obecnej. Ani przyszłości. Nie żałuję ani jednej chwili z naszej przeszłości. To nas doprowadziło do tego miejsca. Tej chwili. Tej miłości.

Pocałowali się znowu, a on pożałował, że stoją tutaj wobec całego Londynu, zamiast w jakimkolwiek innym miejscu.

Przerwała pocałunek, śmiała i piękna.

– Wygrałam.

Odwzajemnił uśmiech.

– Tak jest. Po raz pierwszy ktoś inny, nie ja, wygrał na tym ringu. – Machnął ręką w stronę sędziego. – Zaznacz to w księdze. Wygrana należy się pannie Marze Lowe.

Tłum zawył z rozczarowania, wykrzykując, że walka była oszukańcza i porobiono złe zakłady. Nie przejął się tym. Chase sobie z nimi poradzi i najbardziej zaciekli przed upływem godziny z pewnością będą robić nowe zakłady.

– Co wygrałam? – szepnęła mu do ucha.

– A co byś chciała? – odparł z uśmiechem.

– Ciebie. – Taka prosta odpowiedź. Tak doskonała.

– Należę do ciebie – powiedział i pocałował ją. – Tak jak ty należysz do mnie.
Roześmiała się.
– Na zawsze.
I tak było.

# *Epilog*

***W*** przeddzień ślubu panna Mara Lowe stała w oknie na trzecim piętrze rodzinnego skrzydła Whitefawn Abbey, patrząc na zielone ogrody w dole. Przycisnęła dłoń do zimnego szkła, które zamgliło się pod jej dotykiem, po czym odsunęła rękę, odsłaniając ciemność; rozjaśniały ją jedynie odbicia płomyków świec zapalonych w pokoju wokół niej.

Uśmiechając się leciutko, przesunęła palcem między świetlistymi gwiazdkami, łącząc tańczące płomyczki. Tak ją to pochłonęło, że nie zauważyła, kiedy wszedł jej przyszły mąż, aż ujrzała go w szybie, w ramce kresek, które narysowała.

Objął ją ramionami, kładąc dłonie z rozsuniętymi palcami na jej brzuchu, przyciągając ją do siebie i całując miejsce między szyją a ramieniem.

– Pachniesz cytrynami.

Uśmiechnęła się, wzdychając i wtulając w niego, splatając palce dłoni z jego palcami.

– O czym myślisz? – zapytał, kiedy w końcu podniósł głowę.

Obróciła się w jego ramionach i odpowiedziała zgodnie z cudowną, dodającą skrzydeł prawdą.

– O tym, co było tutaj, w Whitefawn, innym razem. W tym pokoju.

Nie udawał, że nie zauważył, gdzie stoją. Spojrzał na łóżko, na którym zostawiła go dwanaście lat wcześniej.

– Myślisz, że ktoś spał w tym łóżku od tamtej pory? – zapytał.

Roześmiała się, zaskoczona.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę.

Skinął głową z najgłębszą powagą.

– Szkoda wielka.

– Można się było tego spodziewać, nie sądzisz? W końcu to tutaj rzekomo zakończyłam życie.

Przyciągnął ją ponownie, kładąc sobie jej ramiona na szyi.

– Ale tak się nie stało. – Zadowolenie, jakie brzmiało w tych słowach, wprawiło ją w podniecenie.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie.

– Ani nie wyszłaś wtedy za mąż.

Pokręciła głową.

– Nie.

Przytulił ją mocno, między ich ciałami nie było najmniejszej szpary; oblało ją gorąco,

jakby rozmawiali o czymś zgoła innym niż tamten dzień sprzed dwunastu lat.

– Szczęściarz ze mnie – powiedział, zanim zamknął jej usta w długim, namiętnym pocałunku, obietnicy rozkoszy, która miała nadejść.

Wciąż na nowo.

Począwszy od tego dnia przez wszystkie kolejne.

Tak bardzo zagubiła się w pieszczocie, że nie zauważyła, kiedy przeniósł ją przez pokój; poczuła krawędź łóżka za nogami. Sapnęła zdumiona, kiedy bez cienia wysiłku złożył ją na pościeli, kładąc się obok.

– Widzisz, dlaczego szkoda? – Składał drobne, miękkie pocałunki wzdłuż linii jej szczęki. – To wyjątkowo wygodne łóżko.

Jej ręce poruszyły się same, wsuwając w jego włosy.

– Temple – szepnęła cicho.

Spojrzał na nią, ciemne oczy nie widziały niczego poza nią.

Było dziesiątki rzeczy, które mogła powiedzieć. Setki.

Pokręcił głową.

– Nie. Dość demonów. Dość wspomnień.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Jak możesz tak mówić? Tutaj, w tym miejscu?

Uśmiechnął się i pogładził jej policzek.

– Bo przeszłość jest przeszłością. Teraźniejszość interesuje mnie dużo bardziej.

Wspaniały mężczyzna.

– Kocham cię. – Chciała, żeby to wiedział na pewno. Żeby nigdy w to nie wątpił.

Pocałował ją i w tej pieszczocie odnalazła spokój i pewność.

Kiedy przerwał pocałunek, sięgnął chorą ręką ponad jej głową, mówiąc:

– A skoro mowa o teraźniejszości…

Swoboda, z jaką się poruszał, tak szybko po zranieniu, budziła jej zachwyt. Czucie wracało i chociaż nie spodziewano się, żeby był w stanie walczyć z poprzednią precyzją, jego stan się poprawiał.

Dzięki Bogu.

Nieświadomy jej myśli, podał jej paczuszkę, której wcześniej nie zauważyła na łóżku.

– Wesołych świąt, kochana.

Uśmiechnęła się.

– Święta są jutro.

Pokręcił głową.

– Nie, jutro bierzemy ślub. Święta muszą zacząć się wcześniej. – Uśmiechnął się wesoło. – Otwórz.

Roześmiała się.

– Masz minę, jak jeden z moich chłopców.

Chłopców, którzy przyjechali do Whitefawn na święta – którzy mieli tu zapewne zostać na długie lata, już nie sieroty, ale wychowankowie księcia Lamont.

Ich opiekuna. I jej.

Położyła dłoń na jego ciepłym, szorstkim już o tej porze policzku.

– Dziękuję ci.

Uniósł brew.

– Jeszcze nie wiesz, co to jest.

– Nie za podarunek – powiedziała z uśmiechem. – Cóż, za podarunek także, ale i za wszystko inne. Za to, że ich kochasz. Że kochasz mnie. Za to, że mnie pojmiesz za żonę. Za…

Pochylił się, przerywając potok słów długim, słodkim pocałunkiem.

– Maro – szepnął, kiedy w końcu oderwał usta od jej ust. – To ja powinienem ci dziękować, kochana. Za twoją siłę. I mądrość. Za twoich chłopców. I za to, że wychodzisz za mnie za mąż. – Musnął jej usta w kolejnym, szybkim pocałunku. – A teraz otwórz.

Zrobiła to; odsunęła go, żeby usiąść i rozpakować prezent. Brązowy papier skrywał znajome, białe pudło z wytłoczoną wymyślnie złotą literą H. Podniosła wieko i odsunęła piękną, czerwoną bibułę, ukazując…

Rękawiczki.

Kupił jej rękawiczki. Całe tuziny. Więcej. W najrozmaitszych kolorach, z różnych materiałów, różnej długości, o różnej fakturze. Z żółtej koźlej skóry, lawendowego sztruksu, czarnego jedwabiu i zielonej skóry.

Śmiejąc się, wyjęła je z pudełka i rozłożyła na ich kolanach i na pościeli.

– Oszalałeś.

Podniósł długą rękawiczkę z białego aksamitu, przesuwając materiał między palcami.

– Chcę, żebyś miała tyle par rękawiczek, ile jest dni w roku.

Uśmiechnęła się.

– Dlaczego?

Podniósł jej ręce do ust. Całując po kolei szorstkie kostki jej dłoni, mówił:

– Ponieważ nie chcę, żebyś kiedykolwiek zmarzła.

Dziwne, frywolne i zupełnie niezrozumiałe. Ale nic piękniejszego w życiu nikt jej nie powiedział. A rękawiczki były piękne.

Podniosła parę krótkich rękawiczek ze srebrzystej satyny i zaczęła je nakładać.

Powstrzymał ją gestem.

– Nie.

Uśmiechnęła się.

– Nie?

Pokręcił głową.

– Kiedy jesteśmy sami, nie chcę, żebyś je nosiła.

Zmarszczyła brwi.

– Temple, to nie ma sensu.

Uśmiechnął się i pocałował ją w szyję, a potem podniósł głowę, szepcząc jej do ucha ciepłe, cudowne słowa:

– Kiedy jesteśmy sami, mogę cię ogrzać w inny sposób.

I słowa te wprowadził natychmiast w czyn.

Co, w istocie, całkowicie jej odpowiadało.

Prawie tydzień później, zgodnie z uświęconym tradycją obyczajem angielskich dżentelmenów, założycielka Upadłego Anioła jadła śniadanie, czytając poranną gazetę.

Jednak tego szczególnego dnia Chase zerwała z tradycją, zaczynając od kolumny towarzyskiej:

*Książę Lamont i panna Mara Lowe zawarli związek małżeński w święta Bożego Narodzenia w kaplicy Whitefawn Abbey, gdzie spotkali się po raz pierwszy, brzemiennej w skutki nocy przed dwunastoma laty.*

*Doniesiono nam, że zaślubiny ściągnęły wielu gości, w tym kilku najbardziej znanych londyńskich szubrawców wraz z małżonkami, dwa tuziny chłopców w wieku od trzech do trzynastu lat, francuską kucharkę, guwernantkę i jedno prosię.*

*Bez wątpienia, kiedy sznur pojazdów z tą dziwaczną zbieraniną posuwał się długim podjazdem Whitefawn Abbey służba w rezydencji drżała o swoje bezpieczeństwo. I zdrowe zmysły. Należy jednak wspomnieć, że owa grupa, choć zapewne chwilami sprośna i na ogół hałaśliwa, podczas ceremonii zachowywała się nienagannie, wykazując należytą powagę i w stosowny sposób dając wyraz swojej radości.*

*Z wyjątkiem świnki. Wydaje się, że przespała całą uroczystość.*

„Nowiny Brytyjskie”
30 grudnia 1831

Z pełnym satysfakcji uśmiechem Chase złożyła gazetę, dokończyła śniadanie, po czym wstała, wygładziła spódnice i udała się na miasto.

W końcu musiała się przecież zająć prowadzeniem kasyna.

# *Od autorki*

*Wiedza medyczna w latach trzydziestych* XIX *wieku pozostawiała wiele do życzenia. Ponieważ nie wiedziano o istnieniu bakterii, człowiek mógł umrzeć na skutek czegoś znacznie mniej poważnego niż rana zadana nożem, a tego typu zranienie zawsze groziło śmiercią, nawet jeśli ostrze nie tknęło najważniejszych organów. Oczywiście, pisząc książkę, nie myśli się o takich sprawach, zwłaszcza opisując bohatera, który przyciąga przemoc jak magnes.*

*Tak więc pisarze tacy jak ja mają ogromne szczęście, przyjaźniąc się z utalentowanymi lekarzami. Składam wyrazy wdzięczności doktorowi Danielowi Medelowi, który zniósł lekturę moich zwariowanych tekstów oraz nocne telefony na temat ran zadanych nożem, puszczania krwi, uszkodzenia nerwów, i nigdy nie powiedział, że opisana sytuacja jest niemożliwa, przyjąwszy, że nóż był wyjątkowo i szczęśliwie czysty. A tak było. Daję słowo. Rzecz oczywista, wszystkie błędy medyczne w książce pochodzą ode mnie.*

*Podobnie jak inne moje powieści, ta także nie powstałaby bez zawsze przenikliwego spojrzenia mojego literackiego Szerpy, Carrie Feron, ciężkiej pracy Tessy Woodward, Nicole Fischer, Pam Spengler-Jaffee, Jessie Edwards, Caroline Perny, Shawn Nicholls, Toma Egnera, Gail Dubov, Carli Parker, Briana Grogana, Eleanor Mikucki oraz całego, niezrównanego zespołu wydawnictwa Avon Books.*

*Jak zawsze, dziękuję Sabrinie Darby, Carrie Ryan, Sophie Jordan, Melissie Walker, Lily Everett i Randi Silberman Klett za pomoc w kreacji postaci Temple'a i przedstawieniu historii Mary oraz Aprilynne Pike i Sarah Rees Brennan za lunch zorganizowany w nagłej potrzebie, który zaowocował świeżymi pomysłami i heterochromią (różnobarwność tęczówek) Mary.*

*Nareszcie! Dziękuję, że odbyliście tę podróż z moimi szubrawcami i że kochacie ich tak samo jak ja, i za zachętę wyrażaną online i w mailach. Mam nadzieję, że do Waszych rąk trafi książka o Chase (i że dochowacie wszystkich jej tajemnic) w 2014 roku.*